

**LITERATURA  
W SPODNICY**  
Warszawa 2005

**Clare  
Naylor**

**W pogoni  
za Alice**

**LITERATURA  
W SPÓDNICY**

Warszawa 2005

## *Rozdział 1*

Jedzenie może zastąpić robienie zakupów, a robienie zakupów seks. W obecnej fazie życia Alice ani nie robiła zakupów, ani nie uprawiała seksu, więc doszła do wniosku, że równie dobrze może coś zjeść. Tak, to było to. Ale nie twarde płatki kukurydziane, które ranią dziąsła, lub spalone na węgiel grzanki, tylko coś naprawdę nadającego się do jedzenia, coś, co przy odrobinie wyobraźni i dobrej woli mogłoby przypominać seks.

Otworzyła lodówkę. Była pusta. Z całą pewnością nie znalazła w niej ani smakowitych, suszonych na słońcu pomidorów, ani wspaniałej belgijskiej czekolady. Alice miała ochotę na coś, co zrekompensowałoby wszystko, czego brak odczuwała w swoim marnym życiu. Chciała zjeść coś, co pomogłoby jej zatrzeć gorzki smak wspomnień, w których nieustannie pojawiał się jej niewierny chłopak, tyran Jamie. Coś tak obrzydliwie słodkiego, żeby na samą myśl o tym zęby atakowała próchnica. Na przykład ciasto biszkoptowe. Kawalek lekkiego biszkoptu, posmarowany grubą warstwą gęstego dżemu malinowego z pesteczkami i śmietany kremówki. Wyjęła okrągłe blaszane pudełko po ciastkach z szuflady pod piekarnikiem i zaczęła odmierzać mąkę. Kiedy jednak sięgnęła po proszek do pieczenia, jej ramię zatrzęsło się jak galareta. Niedobrze. Powinna przejść na dietę. W tej sytuacji zdecydowała się na ciasto z marchewką. Miało mniej kalorii, w każdym razie tak jej się wydawało. Niestety, w lodówce tkwiła tylko

połowa gnijącej marchewki. Alice przeczesła włosy białą od mąki dłonią i wyruszyła z domu w kierunku Chelsea Green.

Domy przy jej ulicy miały kolor migdałów w cukrze i w ten poniedziałkowy poranek usiane były słonecznymi plamami. Im bliżej rzeki, tym głębiej zanurzała się w cygańską atmosferę Chelsea. Pod drzwiami domów stały tysiące koszu z kwiatami, gdzieś tam z rzadkimi odmianami lili. Sąsiedzi Alice byli, o ile mogła to ocenić, niedobitkami z Woodstock, wielkimi damami, śpiewakami operowymi i emerytowanymi wojskowymi. Niektórzy z nich ćwiczyli teraz gamy, inni zaznajamiali się z tajnikami podstawowych technik wypychania zwierząt, a jeszcze inni nawozili świeżo rozkwitłe majowe róże resztkami homarów. Nadeszła wiosna i Alice czuła, że jeżeli tylko się skoncentruje, na pewno usłyszy śpiew ptaków, nieco przygłuszony odgłosami ruchu ulicznego, dochodzącymi z King's Road. Ubrana w dziurawe legginsy i zafarbowaną w praniu koszulkę, pełna nadziei, że należące do jej kuzyna Simona klapki firmy Turnbull & Asser (rozmiar 42, męski) mogą udawać najnowszy projekt letniego obuwia Gucciego, usiłowała wmieszać się w tłum lekko opalonych kobiet i eleganckich mężczyzn, stojących w grupkach przed kawiarniami lub przeżuwanymi skromną dzienną porcją tłuszczu nad teczkami zdjęć z ostatnich pokazów mody, w jakich wzięli udział. Kątem oka złowiła swoje odbicie w oknie butiku z ekskluzywną bielizną i natychmiast zrozumiała, że nie ma najmniejszej szansy, aby ktokolwiek wziął ślady mąki w jej włosach za najnowszy pomysł stylistyczny któregoś ze znajdujących się na topie fryzjerów. Potrząsnęła niesformnymi kasztanowymi lokami, aby uwolnić je z resztek składników do pieczenia ciasta, i przyspieszyła kroku, wołąc ukryć się za rogiem przed krytycznymi spojrzeniami przedstawicieli świata mody.

Znalazła się na terenie Chelsea Green, bardzo dziwnego miejsca. Ci, którzy nigdy wcześniej go nie widzieli, bez trudu rozpoznaliby w nim część Londynu i radośnie zaintonowali własną wersję sentymentalnej piosenki *I've Got a Lovely Bunch of Coconuts*. Wokół eleganckiego placu starannie przystrzyżonej trawy znajduje się tu mnóstwo sklepów rodem

prosto z filmowego planu: sklep rybny z pstrągami, które wydają się tak świeże, jakby przed chwilą same skoczyły ze strumienia na wagę, warzywniak z gruszkami i ziemniakami dekoracyjnie ułożonymi na zielonej sztucznej trawce oraz kiosk z gazetami i wieloma innymi rzeczami, na przykład sprzedawaną na sztuki gumą do żucia i sorbetowymi rożkami. Co bardziej obcy uważali jednak Chelsea Green przede wszystkim za stajnię niewiarygodnie pięknych, długonogich kobiet, które zawsze wyglądały tak nieskazitelnie, że trudno było przypuszczać, aby rzeczywiście wydały na świat idealnie czyste i wymuskane dzieci, tkwiące w fotelikach na tylnych siedzeniach mercedesów. Alice, która świetnie wiedziała, że jedyną częścią jej ciała, jaka mogła się kojarzyć z koniem wyścigowym, był jej zadek, stała teraz w sklepie warzywnym za jedną z tych niebiańskich istot, i usiłowała obciągnąć sobie koszulkę aż do kolan. Kobieta ta obmacywała brzozwinę tak cudownie rumianą, że można było wziąć ją za sztuczną. Alice pokornie wybrała kilka marnych marchewek, usiłując wyobrazić sobie styl życia osoby, która sama nie musi kupować nic poza owocami, przechowuje w antycznej komodzie pościel z egipskiego lnu perfumowaną paczuli i niepokoi się jedynie tym, czy jej polenta posiada odpowiednią konsystencję.

Alice nie była stworzona do egzystencji, w której liczy się efektywne szukanie pracy i terminowe płacenie rachunków. Marzyła o życiu w realiach serialowych, o starej plebanii otoczonej sypiącym się murem i o psach. Na razie nie widziała się jeszcze w roli matki, ale ostatnio doszła do wniosku, że mogłaby wziąć na swoje barki odpowiedzialność za psa. Sądziła, że aby zaistnieć w wymarzonej rzeczywistości, będzie musiała wyjść za pastora, chociaż miała dość mętne pojęcie, gdzie można znaleźć młodych anglikańskich duchownych. • Wszyscy, których widywała, przekroczyli w najlepszym razie pięćdziesiątkę, lecz cóż, może gdzieś w pobliżu jest jakieś seminarium czy coś w tym rodzaju...

Mieszcząca się tuż obok herbaciarnia Jane Asher wydawała się miejscem równie prawdopodobnym jak każde inne, gdzie można spotkać przedstawiciela duchowieństwa, więc Alice

bez ciężkiej walki uległa pokusie i zamówiła filiżankę herbaty oraz ciastko z kremem. Usiadła przy stoliku, łyżeczką wzbudzając miniaturowy wir earl greya w filiżance i bacznie obserwując ulicę z nadzieją, że uda jej się wypatrzeć jakąś sutannę. A może nie chodziło jej o sutannę, tylko o coś innego? Jak, u licha, nazywa się to, co oni noszą pod szyją... Boże, nigdy nie zdoła spokojnie przetrwać przyjęcia w ogrodzie za plebanią, jeżeli nie będzie wiedziała, jak nazywają się poszczególne części stroju jej męża...

- Ależ oczywiście, lady B., ja także uważam, że Ariel do pralek automatycznych jest absolutnie najlepszy. Nic równie skutecznie nie usuwa plam z szat pastora.

Naturalnie, w idealnym życiu na plebanii nie będzie musiała zajmować się praniem. W serialach, których akcja działa się na plebaniach, zawsze występowały fanki pastora, zajmujące się różnymi domowymi czynnościami, a to układaniem kwiatów w wazonach, a to nalewaniem herbaty czy wycieraniem nosa małym chłopcom z chóru. Tak jest, Alice i jej pastor będą musieli z wielką rozwagą wybrać odpowiednią plebanię. Pewnym problemem mógł też okazać się wygląd Alice - należało przyznać, że trudno jej będzie wejść w rolę cnotliwej i skromnej żony pastora, bo pod względem fizycznym raczej nie była do niej predestynowana. Jej biodra bynajmniej nie sprawiały wrażenia dziewiczych - wiedziała, że w plisowanej spódnicy wyglądałaby po prostu fatalnie. Wargi miała tak pulchne, że jedno spojrzenie na nie mogłoby wzbudzić w wiernych grzeszne myśli i uniemożliwić im przyjmowanie komunii świętej, a jej loki nigdy by się nie poddały żadnemu zdyscyplinowanemu uczesaniu w rodzaju koka lub warkocza francuskiego. Więc może była to z góry przegrana sprawa? Chyba tak, bo przecież Alice mogłaby wypaść dobrze jedynie w roli Marii Magdaleny w wielkanocnym przedstawieniu...

Zakupiona marchewka, która, zapakowana do papierowej torebki, leżała obok niej na stole w herbaciarni, najwyraźniej przesiąkła aurą lokalu Jane Asher, ponieważ ciasto wspaniale wyrosło i znacznie zyskało na walorach smakowych dzięki dodatkowi w postaci odrobiny maku.

- Natchnione dzieło! - orzekła Alice, zlizując płynne ciasto z łyżki i już widząc rysującą się przed nią świetlaną przyszłość twórczyni ciast na specjalne okazje.

Byłoby to o wiele bardziej interesujące zajęcie od przepisywania tekstów na komputerze, sęk w tym, że w tej chwili Alice nie mogła sobie pozwolić nawet na zakup dwunastu jajek.

Jeżeli przyszło wam do głowy, że Alice jest osobą genetycznie uprzywilejowaną, wyposażoną w dochody z funduszu powierniczego i cudne, wychuchane mieszkanko w modnej dzielnicy Londynu, to bardzo się mylicie. Alice jest taką samą dziewczyną jak każda inna, szczerze mówiąc, nawet nieco bardziej pechową od innych, jeśli wziąć pod uwagę utratę pracy, mieszkania i chłopa w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Jednego dnia miała obiecującą pracę w dziale public relations, a już następnego firma połączyła się z gigantyczną agencją o tymże profilu i okazało się, że Alice nie spełnia nowych wymagań, a co za tym idzie, jest niepotrzebna. W ten sposób została skazana na całodobowe oglądanie telewizji. Na domiar złego, wbrew szlachetnemu powiedzeniu: „Nie kopie się leżącego”, właśnie wtedy podły Jamie postanowił ją rzucić i parę dni później wprowadził swoją nową dziewczynę do mieszkania, które wynajmował wspólnie z Alice, oraz do łóża, które z nią dzielił. W rezultacie została sama i mogła tylko tulić się do poduszki na rozkładanych kanapach u przyjaciół, ewentualnie oglądać ostatni czek, jaki otrzymała w pracy.

Na szczęście dla niej oraz jej przyjaciół, którzy wkrótce odkryli, że ich zapasy chusteczek higienicznych nawet w połowie nie zaspokajają potrzeb rozżalonego niesprawiedliwością losu gościa, Alice miała fascynującego i niezwykle uroczego kuzyna. Simon Benedictus, bo tak się nazywał, opuścił Londyn sześć miesięcy wcześniej, aby fotografować przyrodę w Brazylii. Alice odnosiła wprawdzie dziwne wrażenie, że uchwycona obiektywem Simona brazylijska przyroda zdominowana była przez piękne i uwodzicielskie kobiety, ale nie do niej należało wydawanie wyroków w tej kwestii. Zresztą, jakże mogłaby go osądzać? Simon zdobył się na naprawdę wielki gest i po prostu udostępnił swoje mieszkanie zrozpaczonej

i pozbawionej środków do życia kuzynce z Clapham. Pozostawił jej nie tylko klucze do mieszkania, lecz także „spadek” w postaci sporej grupy ofiar swojego zabójczego uroku, które dzień i noc wydzwaniały pod jego numer telefonu, a czasami nawet zjawiały się pod drzwiami, nieskazitelnie eleganckie i pachnące, zostawiając pod domem kabriolety z mrużącym cicho silnikiem.

Początkowo Alice niesprawiedliwie obeszała się ze Spadkiem po Simonie. Szczerze mówiąc, nie było w tym nic dziwnego. Ciekawe, jak wy byście się czuły, gdybyście codziennie musiały otwierać drzwi smukłym boginiom o skórze koloru miodu, częściowo ukrytej pod satynowymi kreacjami, ubrane w wystrzępione legginsy z 1987 roku lub coś koło tego i z brudnymi włosami? No, jak? Właśnie, tak myślałam. I trzeba przyznać, że na początku przedstawicielki Spadku też nie były zachwycone widokiem Alice. Chciały poznać odpowiedź na pytanie, kim jest ta niepokojąca istota, która otwiera drzwi mieszkania Simona z taką miną, jakby należało do niej. Czyżby Simon w tajemnicy poślubił ją któregoś ranka po szczególnie ciężkiej nocy? Może stał się kolejnym ogniwem dobrze udokumentowanej historii szaleństwa w swojej rodzinie?

Możecie więc wyobrazić sobie, z jaką ulgą odkryły, że: a) Alice jest kuzynką Simona, a tym samym raczej mało prawdopodobną kandydatką na jego żonę oraz b) jej kończyny bynajmniej nie mają nasyczonej barwy miodu i daleko im do doskonałości. Z chwilą dokonania przez pięknie wielbicelki Simona wyżej wymienionych odkryć, Alice przestała być dla nich groźna i została zgodnie uznana za sojuszniczkę. No, bo któż lepiej i skuteczniej niż ona mógł wytłumaczyć Simonowi po jego powrocie, że powinien niezwłocznie ożenić się z Triny/Sophie/Tamsin lub inną urodziwą fanką? Alice nie zgłaszała sprzeciwu, ponieważ każda z dziewczyn przynajmniej raz w tygodniu zapraszała ją na otwarcie jakiegoś nocnego klubu lub na eleganckie przyjęcie.

- Po co ci jakaś okropna praca, kochanie? - zapytała Triny, jedna z mniej onieśmielających przedstawicielek Spadku,



wybierając ziarenka maku z ciasta i zostawiając całą rozdłubaną resztę na talerzyku.

Trinny zastanawiała się, czy Alice ma pojęcie, ile kalorii tkwiło w jednym kawałku takiego ciasta. Była w nie najlepszym nastroju, ponieważ Alice właśnie przed chwilą zebrała się na odwagę i powiedziała, że następnego dnia nie będzie mogła pójść z Trinny na lunch tylko dla dziewczyn, bo planuje oddać się do dyspozycji agencji o nazwie Office Trollopes, zajmującej się wyszukiwaniem prac na zlecenie. Zarejestrowała się u nich już dwa tygodnie wcześniej, lecz na razie zaproponowali jej tylko pakowanie mrożonego jogurtu i ustawianie porcelany firmy Denby na ekspozycji licytacyjnej w domu aukcyjnym Debenhams. Nie reflektowała na żadne z tych zajęć, wiedziała jednak, że jeśli szybko nie zarobi jakichś pieniędzy, debet na jej koncie poważnie wzrośnie.

- Żeby opłacić rachunki, Trin. Żeby mieć na jedzenie i ubranie.

Trinny patrzyła na Alice bez cienia zrozumienia w oczach. Nie potrafiła nic dodać do tej listy przyziemnych spraw.

- W przyszłym tygodniu zobaczę się z Simonem. - Uśmiech upodobił ją do kota, któremu wreszcie udało się napić śmietanki.

- Z kuzynem Simonem? - Alice pogmerała palcem w kauluży pomarańczowego lukru na talerzyku.

- Tak, z Simonem B. - Nazywając Simona w ten sposób, Trinny zdołała przeistoczyć młodego człowieka o uszach jak nietoperz, który w dzieciństwie nasusiał do akwarium żółwia wodnego Alice podczas rodzinnego pikniku, w salonowego lwa, zdobywającego niezliczone kobiece serca i łamiącego je bez mrugnienia okiem. - Zaprosił mnie do siebie. To znaczy, ja zadzwoniłam do niego, do jakiejś tam bazy w górach, i powiedziałam, że zamierzam wziąć udział w konkursie w Wenezueli i że to chyba niedaleko miejsca, gdzie on przebywa... Tak czy owak, Simon B. uznał, że powinnam do niego wpaść, więc zrobię to...

Alice nie była zbyt dobra z geografii i miała naprawdę mgliste pojęcie o niuansach mapy Ameryki Południowej, ale

wydawało się jej, że Wenezuelą i Brazylię dzieli całkiem spora odległość. Wstrzymała się jednak od uwag, zaklejając sobie usta pełną łyżeczką lukru. Życie Trinny składało się z kursów tańców egzotycznych i puszczania latawców. Jej dni gubiły się w wirze kreacji zielonych jak niedojrzałe jabłka i różowych jak od Schiaparelli, w których fruwała pod niebem gorących krajów. Sumy, które Trinny wydawała na podróże samolotem, były tak długie jak numery telefoniczne. Alice nie mogła zrozumieć, dlaczego wiatr nad Clapham Common nie był dość dobry, aby puszczać w nim latawce, ale najwyraźniej Trinny po prostu musiała puszczać je gdzie indziej.

- Więc kiedy dostaniesz tę jakąś tam okropną pracę, nie będziemy już mogły umawiać się na lunch, tak? - zapytała nadażana Trinny.

- Wydaje mi się, że ludzie, którzy normalnie pracują, też kiedyś jedzą, Trin.

- Tak ci się tylko wydaje. A poza tym tyłek ci się rozrośnie, możesz być tego pewna. - Trinny odrzuciła do tyłu zasłonę jasnych włosów i zadrżała na samą myśl o takiej katastrofie. - Miałaś jakieś wiadomości od Simona?

Alice błyskawicznie doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli nie wspomni Trinny o telefonie, którym Simon obudził ją ubiegłej nocy. Był kompletnie pijany, zresztą może raczej namiętny alkoholowym napojem, wytwarzanym ze śliny halucynogennej amazońskiej żaby drzewnej i szczerze wyznał Alice, że zakochał się w pigmejce.

- Och, sama wiesz, jaki jest Simon... - wymamrotała wieloznacznie i szybko pochłonęła jeszcze jeden kawałek ciasta.

- Ten, kto ostatni dobiegnie na szczyt, myje kubek po gównie i sikach! - wrzasnął Simon i niczym błyskawica pomknął do zardzewiałej metalowej budki, dość niepewnie tkwiącej na zboczu góry.

Oczywiście dobiegł pierwszy, zostawiając swoich towarzyszy daleko, w dole ścieżki. Rozejrzał się dookoła, popatrzył na góry i wciągnął lodowate powietrze do płuc, narzucając na głowę kaptur kurtki z wełny jaka.

- Nawet nie wiecie, co tracicie - mruknął do siebie, sycąc wzrok wspaniałym krajobrazem Ameryki Południowej.

Zawsze do przodu i to dwa razy szybciej - oto, jak brzmiało życiowe motto Simona.

Matka Simona, a ciotka Alice, Meg, spotkała Teddy'ego, ojca Simona, pod koniec lat sześćdziesiątych w Nepalu. Zrobili to, co wszystkim dobrym hippisom wychodziło najlepiej, w efekcie czego pewnego pięknego dnia w lecie 1969 roku w Kaszmirze, na rozchybotanej barce, przyszedł na świat Icarus Benedictus. Dwa lata później, w 1971, pojawił się pewien problem. Właśnie wtedy chwilowo trzeźwy i nienaćpany Teddy poinformował Meg, że powinni wrócić z chłopcem do Anglii i zafundować mu normalny chrzest. Meg uważała, że dziecko rodziców wyznania buddyjskiego może się doskonale obyć bez tego rytuału i winę za całe zamieszanie zwała na kaca po kwasie, jaki miał podobno dręczyć Teddy'ego. Dopiero kiedy Teddy zaczął niewyraźnie bełkotać, że ród Debrettów powinien dowiedzieć się o narodzinach Icarusa, lorda Kirkheaton, Meg spakowała swoje sari i wyjątkowo piękną bryłkę bursztynu, i zdecydowała się pojechać do Anglii i dowiedzieć się wszystkiego bezpośrednio. Po wielu przepychankach z teściami, których scenerią był ich zamek, Meg przyjęła pragmatyczny punkt widzenia i wyraziła zgodę, aby Icarus (ochrzczony imieniem Simon, zanim zdążyła spostrzec, co się stało) uczęszczał do Eton, a następnie do Cambridge i odwiedzał aśram tylko w czasie wakacji.

- Wpadłem właśnie na genialny pomysł, jak wydostać nas z tego gówna - zwierzył się Simon swemu przyjacielowi Gibbo, który w końcu dotarł na górę.

Otwarta przestrzeń i kontakt z przyrodą zawsze pomagały Simonowi w dokonywaniu epokowych odkryć. Tym razem nie bez znaczenia było też to, że teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebował błyskotliwych pomysłów.

Alice wysypała do miseczki cztery ostatnie kakaowe kuleczki. Miała nadzieję, że właśnie dziś otrzyma propozycję powrotu do starej pracy, ze wszystkimi honorami i ewentualnie do-

datkowymi bonami na lunch, tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. Nadal z drzeniem serca czekała na telefon z agencji Office Trollopes. Nawet jeżeli zaproponują jej zmywanie w barze Harvester przy trasie M4, będzie musiała się zgodzić, nie ma cudów. Wbiła zęby w paznokcie i ułożyła okruchy czekoladowych ciasteczek, które znalazła na dnie puszki, w napis: „RATUNKU!”.

Telefon zadzwonił jednak dopiero po symbolicznym śniadaniu, które skomponowała z resztek wszystkiego, co zdołała znaleźć. Dzwoniła Tamsin, jeszcze jedna przedstawicielka Spadku. Chciała zaprosić Alice na lunch w nowej kawiarni w Westbourne Grove.

Podkręcona dziwnym śniadaniem Alice wybuchnęła wesołym śmiechem.

- Powiem ci coś, Tamsin - obwieściła. - Zawsze znajdzie się jakaś bidula, która musi przyszywać sznureczki do tamponów, i niewykluczone, że właśnie dzisiaj będę nią ja!

Tamsin pośpiesznie odłożyła słuchawkę i zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno Simon Benedictus jest najlepszym kandydatem na męża, jakiego udało jej się wypatrzeć. To prawda, że ma cudne, szczupłe i porośnięte jasnymi włosami nogi, ale czy ona, Tamsin, rzeczywiście chce wejść do tak niepoczytalnej i wyszczekanej rodziny?

Alice z rozmachem otworzyła wychodzące na tył domu drzwi, rozejrzała się szybko, aby sprawdzić, czy wszyscy sąsiedzi bezpiecznie rozeszli się już do pracy, i pędem pokonała sześć metrów, dzielące ją od ogrodu. Cóż, powiedziała sobie, jesteśmy przecież w Londynie, gdzie taki nie większy od znaczka pocztowego ogródek można traktować jak posiadłość ziemską razem z kompleksem do jazdy konnej. Koszula nocna, którą miała na sobie, była tak przejrzysta, że to aż dziwne, iż Stowarzyszenie Anonimowych Wizjonerów, Oddział w Chelsea, jeszcze nie wpadło na trop Alice i nie zwróciło uwagi na jej codzienne wypady do małej szklarni. Może właśnie w tej chwili członkowie Stowarzyszenia obserwowali ją z wygodnego szezlongu w stylu Ludwika XIV, od niechceńia sącząc herbatę Earl Grey... Zaraz przyszło jej jednak do

głowy, że w Chelsea z pewnością nie brakuje bardziej wykwalifikowanych podglądaczy.

Pochyliła się nad swoimi dwunastodniowymi sadzonkami i obdarzyła je czułym uśmiechem. Podniosły ku niej małe zielone twarzyczki, złożone z drobniutkich listków, ślicznych i pełnych optymizmu. Alice dmuchnęła na nie delikatnie i ostrożnie wlała odrobinę wody do każdej z trzydziestu dwóch doniczek. Nie była pewna, gdzie umieści słoneczniki, kiedy już dorosną (lubiła myśleć o nich jak o istotach ludzkich, myślących i czujących), pamiętała jednak wykonane w Prowansji zdjęcie, które widziała w jakiejś książce, i była zdania, że pole słoneczników to dokładnie to, czego potrzeba londyńskiej Bywater Street. Druga fotografia, która również bardzo jej się spodobała, przedstawiała poletko lawendy, lecz po wizycie w centrum ogrodnictwa doszła do wniosku, że cena lawendy stanowi pewną przeszkodę w realizacji projektu. Zakup lawendy pociągnąłby za sobą tydzień bez jedzenia i prądu. Przez chwilę rozważała nawet tę możliwość, którą większość normalnych i przytomnych ludzi odrzuciłaby od razu, ale w końcu uświadomiła sobie, że nie jest w stanie zrezygnować z otrębów pszennych i zmywarki na rzecz lawendy.

- Nie mogę uwolnić się od tej wiedźmy z agencji pracy - wyznała dotleniającym szeptem swoim skupionym i zasłuchanym dzieciom-kwiatom. - Dzwoni do mnie codziennie i mówi takim jęklwym tonem: „Wiem, że nie jest to praca, jakiej szukasz, Alison, i płacą tam tylko trzy funty pięćdziesiąt siedem pensów za godzinę, ale uznajmy to za twórcze zajęcie, oczywiście jeżeli twórczym zajęciem może być bazgranie na firmowym papierze i odbieranie telefonów. Pozwalają też nosić pracownikom rajstopy takiej grubości, jaką lubią, co na obecnym rynku pracy należy uznać za plus. Poprzednia dziewczyna, która podjęła tę pracę, zrezygnowała po dwóch godzinach wyłącznie dlatego, że miała uczulenie na płyn po goleniu szefa. Naprawdę nie chodziło o nic innego". W tej sytuacji musiałam skłamać i powiedziałam jej, że mam umówioną wizytę u lekarza. Wiem, że nie powinnam była tego robić, ale...

Tu Alice wyrwała z jednej z doniczek co najmniej milime-

trowej długości chwast o szczególnie zabójczym wyglądzie i z utęsknieniem pomyślała o dniu, w którym jej dzieci osiągną dojrzałość, a ten maleńki skrawek Londynu przeistoczy się w południe Francji, ze słonecznikami i nieskazitelnie błękitnym niebem.

Marzenia te pochłonięły ją do tego stopnia, że w pierwszej chwili wzięła wesoły dzwonek za brzęczenie dzwoneczka na szyi jakiejś prowansalskiej krowy na pobliskiej łące i dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że taki charakterystyczny dźwięk wydaje telefon. W podkasaney koszuli pędem rzuciła się do domu, o mały włos nie roztrzaskując drzwi szklarni i niewątpliwie zapewniając wszystkim ciekawskim najbardziej interesujący spektakl od dnia, kiedy lady Caroline spod numeru 17 nie mogła o własnych siłach wyswobodzić się z przy ciasnego gorsetu.

Dopadła do telefonu w chwili, gdy umilkł.

- Cholera jasna!-warknęła.

Zadzwoniła pod 1471 i dowiedziała się, że chciała się z nią skontaktować Angela z agencji Office Trollopes. Alice popadła w zamyślenie. Oddzwonić czy nie? Postanowiła zastanowić się nad tym głębiej przy filiżance herbaty, ale w drodze do kuchni kątem oka dostrzegła leżący na stoliku w przedpokoju wyciąg z konta, z sumą debetową wydrukowaną na czerwono, i resztki zdrowego rozsądku zmusiły ją do wybrania numeru Angeli.

- Zrobisz mi ogromną przysługę, przyjmując tę pracę, tylko na kilka dni - powiedziała Angela. - Sekretarka firmy poszła na urlop macierzyński, stąd problem.

Alice nie zwróciła nawet uwagi na fakt, że byłby to najkrótszy urlop macierzyński w historii.

- Byłabym ci naprawdę bardzo wdzięczna, Alison - ciągnęła Angela. - Płacą trzy funty dwadzieścia trzy penty za godzinę...

Co za bogactwo! Prawie cztery funty za godzinę! Jak Alice mogłaby odrzucić taką propozycję? Poza tym zawsze była łasa na objawy pamięci ze strony innych, nawet jeżeli zapamiętywali jej imię w zaledwie zbliżonej wersji. Naturalnie wie-

działa, że tego rodzaju kobiety właśnie takich technik uczą się na zajęciach z manipulacji i podejścia do klienta - odwoływać się do sumienia ofiary, sprawić, żeby weszła w rolę najlepszego przyjaciela oprawcy. Ale co z tego, że wiedziała, skoro za każdym razem pozwalała się nabrać... Nie mogła znieść myśli, że dalsza kariera tej biednej kobiety może stać pod znakiem zapytania tylko dlatego, iż ona, Alice, uważa się za wartą więcej niż marne trzy funty dwadzieścia trzy za godzinę.

- W porządku, będę tam o ósmej trzydzieści. Słucham? Rajstopy o grubości co najmniej czterdzieści den? Dobrze, nie ma problemu. Naprawdę? Granatowa, nad kolano? Chyba takiej nie mam, ale mogę kupić. Na pewno mi się przyda. Do widzenia.

Jaka naprawdę jesteś, Alice Lewis? To pytanie Alice zadała sobie w myśli, wciągając spodnie do joggingu i szykując się do wyjścia na zakupy. Poszła prosto do domu towarowego Marks & Spencer, ostatniego bastionu i skarbnicy rzeczy w kolorze granatowym. I nie pomyliła się. W M & S znalazła dokładnie to, co miało jej się przydać w firmie PSOK, czyli Poznaj Swój Osobisty Komputer. Cóż, w końcu sama była sobie winna. Powiedziała przecież tej babie z agencji, że jest spragniona odmiany w życiu zawodowym, że chciałyby zająć się dziennikarstwem. A to był pierwszy szczebel na tej drabinie, prawda?

Zapięła zamek błyskawiczny, spojrzała w lustro i poczuła się tak, jakby nagle cofnęła się w czasie o jakieś piętnaście lat. Delikatny trapez spódnicy odsłaniał jej blade, nieogolone nogi, lecz równie dobrze mógłby zasłaniać brzegi sięgających do połowy uda nadkolanówek czy nawet nieudane imitacje szpilek, które nosiła w starszych klasach. Stałaby sobie na pokrywie klozetu, pod ścianką kabiny, narzekając wraz z innymi dziewczynami na trudności w nauce i paląc silk cuta... Ach, to były dobre czasy... Ale cóż, życie jest twarde. Jutro włoży tę okropną spódnicę i pójdzie do pracy, niezależnie od tego, czy jej się to podoba, czy nie. I nie ma co narzekać, Alice.

## *Rozdział 2*

Alice obudziła się, otworzyła zapuchnięte powieki i zobaczyła granatowe rajstopy grubości czterdzieści den, leżące obok niej na poduszce. Wydzielały obrzydliwy zapach szkolnej stołówki albo biura, więc czym prędzej zrzuciła je na podłogę. Znowu śnił jej się Jamie. W tym śnie była kelnerką na jego weselu.

Wziął kanapkę z tacy, którą trzymała w rękach, i rzucił jej pańsko-feudalny uśmiech.

- Wiem, że jesteś tylko służącą, mimo to chętnie cię przelecę. Może tam, na tamtym stole?

Spełniła jego życzenie wyłącznie dlatego, że miał na sobie smoking, a na widok Jamiego w smokingu zawsze miękły jej kolana. Tak czy inaczej, był to tylko sen. Gdy zupełnie oprzytomniała, usiłowała myśleć o nim negatywnie, koncentrując się na jego wyniosłym uśmiechu, jedynym realistycznym aspekcie snu. Doskonale wiedziała, jakim draniem jest Jamie, lecz myślami ciągle wracała do tej cudownej chwili, kiedy zaczął rozpinać kusą bluzeczkę kelnerki, czyli jej bluzeczkę. Przestań, upomniała się zaraz surowo. Przestań. Dostyc tego.

Odgarnęła włosy z twarzy i z przerażeniem zauważyła czarne od tuszu paznokcie. Po trzech dniach w PSOK jej dłonie wyglądały jak rączki trzyletniego dziecka, które w nudne, deszczowe popołudnie dorwało się do farb. Wczoraj tak długo stała przy kserokopiarce, że pod koniec miała ochotę sksero-



wać własną twarz i zamieścić ją w nekrologu. „Śmierć sfrustrowanej młodej kobiety w dawnej komórce na szczotki...”. Ciekawe, czy śmierć z nudów jest rzeczywiście niemożliwa, pomyślała, uśmiechając się do nowego szefa, biorąc w ramiona manuskrypt wielkości sporego niemowlęcia i kierując się do kserokopiami. Wtedy była jeszcze zupełnie nieświadoma swego losu, lecz już wkrótce odkryła, że to, co ją czekało, było znacznie gorsze od rachunku telefonicznego. Maszyna pluła tuszem i wykonywała takie sztuczki z papierem, jakich nie powstydziliby się sam Houdini. Jakim cudem strona trzecia znalazła się nagle na miejscu siedemdziesiątej pierwszej? Dlaczego artykuł o ulubionej miejscowości wakacyjnej Billa Gatesa pojawił się na stronie „Sieci, które kochamy”? Alice trzasnęła pokrywą i szarpnęła tkwiącą w trzewiach kserokopiarki kartkę z wściekłością, która początkowo mogła działać oczyszczająco, ponieważ wyobraziła sobie, że są to włosy obecnej narzeczonej Jamiego, lecz zaraz przekształciła się w wyczerpujący atak hysterii. Kiedy szef zajął do komórki dwie godziny później, Alice ogryzała palce ze zdenerwowania.

- Nie mogę tam wrócić w poniedziałek! - podśpiewywała pod własnoręcznie zainstalowanym przez Simona prysznicem, z którego co trzy sekundy kapało parę kropel wody. - Nie mogę tam wrócić!

W brzuchu głośno burczało jej z głodu. Co właściwie miała dzisiaj ze sobą zrobić? Co ludzie pracujący robili w czasie weekendów? Nie miała domu pod miastem. Nie miała nawet faceta, na miłość boską. Może przygotowałyby sobie coś dobrego do jedzenia? Ciasto z marchwi było niezłe, ale może należało spróbować czegoś bardziej egzotycznego, zwłaszcza jeżeli miała traktować jedzenie jako substytut seksu... Tym razem postara się wymyślić coś trochę smaczniejszego.

Stała w prądzie zimnego powietrza z wielkiej chłodziarki i rozglądała się po jej wnętrzu. Wreszcie sięgnęła po oliwkę w zalewie z ziołami prowansalskimi i wrzuciła ją sobie do ust. Przytrzymała oliwkę na języku, wyssała z niej ziołowy aromat, wgrzyzła się w miąższ i dopiero wtedy podniosła przy-

mknięte powieki. Stojąca naprzeciwko niej sprzedawczyni przyglądała jej się z wyraźną dezaprobatą.

Jedenasta godzina w sobotnie przedpołudnie w delikatesach U Toma na Notting Hill to ani czas, ani miejsce na odgrywanie pokręconych fantazji, mówiło spojrzenie dziewczyny. Alice pospiesznie przełknęła jędrną kuleczkę i szybkim krokiem podszła do stoiska z serami. Jasnowłose chłopak, obcięty na krótkiego pazia, sprawiał wrażenie znacznie bardziej otwartego i tolerancyjnego od swojej koleżanki, chociaż w ręku trzymał spory nóż.

- Nie, nie, nie! - protestował stojący przed Alice solidnie zbudowany mężczyzna. - W żadnym razie! Ten ser smakuje jak wysuszony kozi tyłek!

Alice nie śmiała się nawet zastanawiać, dzięki czemu wpadł na to soczyste porównanie i ostrożnie rozpychając się łokciami, wcisnęła się między mężczyznę a ścianę.

- Co dla pani? - Chłopak z nożem w ręku mrugnął do niej z rozbawieniem.

- Kawałek cheddaru Cathedral City... - pisnęła niepewnie i natychmiast tego pożałowała.

Cholera jasna, Alice, czy naprawdę nie stać cię na nic więcej, pomyślała. Czy nie mogła wyszeptać kusząco: „Poproszę kawałek sera *chaumes*”, albo umiejętnie zasugerować istnienie bardziej tajemniczej strony swojej natury, kupując kawałek dojrzalego stiltona? Wszystko przez te jasne włosy... Zawsze gdy widziała czuprynę choćby o odcień jaśniejszą od koloru błota, myślała o Jamiem i brzuch zaczynał ją boleć z tęsknoty i zdenerwowania. Było to dosyć stresujące, ponieważ zbliżało się lato i co drugi chłopak w Londynie miał włosy rozjaśnione promieniami słońca (lub mniej naturalnymi czynnikami).

Przyjęła nadzieję na wykałaczkę kawałeczek najzwyklejszego w świecie cheddaru i właśnie zastanawiała się, jakiej terapii powinna się poddać, by skutecznie obrzydzić sobie Jamię (może dobrze by jej zrobiło, gdyby wbijała sobie pod paznokcie rozżarzone igły za każdym razem, gdy o nim pomyśli), kiedy zadbana damska dłoń z paznokciami ozdobionymi francuskim manikiurem wyjęła ser z jej ręki.

- O, nie - usłyszała znajomy głos z lekkim amerykańskim akcentem. - Przecież to nabiął. Zdecydowanie zbyt tuczące...

Alice odwróciła się gwałtownie i ujrzała przed sobą mierzącą prawie metr osiemdziesiąt cudowną jasnowłosą istotę. Była to Natasha Beauregard, przyjaciółka ze szkoły.

- Tash, mój Boże! Co? Skąd?

Na widok Natashy Alice przeistoczyła się w idiotkę o zasobie słów papużki.

- Wiedziałam, że to ty, skarbie - powiedziała Natasha. - Nie zmieniaś się ani na jotę.

Mimo zupełnie nowej, wspaniałej powierzchowności Natasha pozostała Natashą, tą samą Tash, która wystawiała się jak bohaterka sztuki Tennessee Williamsa po paru kieliszkach szampana, godną podziwu Tash, nalegającą, aby Alice nie zadawała się z „tymi okropnymi chłopcami z szóstej klasy”, lecz zaczęła umawiać się z co bardziej interesującymi okazami z uniwersyteckiego wydziału sztuki.

- Mój Boże, to naprawdę ty! Nie widziałymy się od siedmiu lat! - krzyknęła Alice, nadziewając się na wykałaczkę, którą Tash nadal trzymała w dwóch palcach. - Auuu...

- Ciii... - Tash się zaśmiała. - Jesteśmy za stare, żeby publicznie przyznawać się do swojego wieku! A teraz powiedz mi, czy będziemy do końca dnia wdychać ten smród owczej kupy, czy może napijemy się cappuccino na piętrze?

Alice uśmiechnęła się szeroko, biegnąc po schodach za Tash ubraną w długie, sięgające kostek futro. Nie ulegało wątpliwości, że Tash dorosła i dojrzała niczym ser najlepszego gatunku. Matka Tash była dyplomata, a jej bardzo nowoczesnie myślący jak na tamte i nawet obecne czasy ojciec z poświęceniem i entuzjazmem zajmował się domem. Oboje doszli do wniosku, że płaska jak stół równina Norfolk będzie doskonałym, zdrowym miejscem dla ich bladej i nieco chorowitej jedynaczki. Alice często myślała, że słońce Florydy lub podnóża Alp równie skutecznie poprawiłyby stan zdrowia Tash, lecz milczała, obawiając się rozstania z najlepszą przyjaciółką i współniczką wielu związanych z płcią przeciwną wykroczeń. Kiedy ojciec Tash w końcu zmęczył się robieniem dżemów

i konfitur w Norfolk i postanowił przenieść się do Bostonu, Alice i Tash we łzach rozstały się na lotnisku Heathrow. Przyjęły pisać do siebie codziennie wieczorem, ale oczywiście po pewnym czasie przerwy między listami wydłużyły się do dwóch tygodni, potem zaś kilku miesięcy. Wreszcie, gdy obydwie bezboleśnie przekroczyły próg życia uniwersyteckiego, korespondowały już tylko z okazji świąt lub urodzin. Nie było w tym nic dziwnego - nie miały teraz przecież wspólnych przeżyć, nie mogły wymieniać wrażeń po nocach spędzanych na plotkach i sączeniu jabłeczniaka lub ponczu. Jeszcze później, już po ukończeniu szkoły filmowej, Tash od czasu do czasu telefonowała do Alice z Heathrow, gdzie przesiadała się do samolotu, którym miała się dostać na plan filmu kręconego gdzieś w Szkocji lub w jakimś innym odległym miejscu. Uaktualniały wtedy podstawowe dane - nadal nie miały dzieci, dzięki Bogu, Tash widywała się z nawróconym wachaczem kleju, no i powinny koniecznie się spotkać, kiedy któraś z nich będzie w Los Angeles lub Norfolk. Po skończonej rozmowie przez chwilę myślały o sobie z czułością, a następnie spokojnie wracały do przerwanych zajęć. Takie jest życie. Tak czy inaczej, Alice była głęboko wzruszona niespodziewanym spotkaniem z Tash i wcale tego nie ukrywała.

- No więc zostawiłam Martina w tej jego przeklętej kupie cegieł w Toskanii i przyjechałam tutaj. Zamierzałam odzyskać siły i szacunek do siebie, robiąc jakieś przyjemne zakupy, bo przecież już we wtorek wracam do Stanów i do pracy przy nowym filmie. Ale zapomnijmy o zakupach, zamiast tego możemy się przecież zabawić...

Tash o smukłych kończynach i granatowych oczach miała teraz godny pozazdrosczenia biust, tak kształtny, że wielu mężczyzn z pewnością byłoby gotowych zapłacić grube pieniądze, by zamieszkać z jego właścicielką. Alice słyszała o operacjach piersi i widziała Pamelę Anderson, lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, że coś takiego może się przydarzyć normalnym osobom. Streszczając ostatnie kilka lat swojego życia, usiłowała oderwać wzrok od piersi Tash, jednak nie było to proste. A kiedy wreszcie jej się to udało, przeniosła spojrzenie

na głowę przyjaciółki i zdziwiła się brakiem odrostów na kiedyś myszatoszarych, teraz zaś zabójczo jasnych włosach. Przez chwilę zmagająca się z koncepcją włosów blond, starając się w ogóle nie myśleć o Jamie, ale oczywiście wyobraźnia natychmiast podsunęła jej jego wizerunek. Tym razem był to Jamie opalony słońcem Antigui - wspomnienie z ubiegłego lata.

- Skarbie... - Ponieważ Alice zamarła, więc Tash długa chwilę wpatrywała się w nią uważnie, czekając na szczegóły z jej życia, zwłaszcza te dotyczące faceta. - Skarbie, widzę przecież, że jesteś zakochana... Przyglądałam się, jak uwodziłaś tę oliwkę i jestem tego absolutnie pewna...

Alice nie bardzo wyobrażała sobie, jak ma powiedzieć Tash, że do oliwek zaprowadziła ją nie miłość, ale pobożne życzenia? Nie chciała znowu roztrząsać tego wszystkiego. Poza tym, znajdowała się w miejscu publicznym i doskonale pamiętała, jak to ostatnim razem tak bardzo zdenerwowała się w restauracji, że kierownik sali o mały włos nie wezwał pogotowia. Z drugiej strony... Z drugiej strony Tash patrzyła na nią wyczekująco, z absolutnym skupieniem i Alice po prostu nie mogła tego dłużej znieść.

- Byłam z kimś, nazywał się Jamie, ale cóż... Jak powiedział Mick Jagger, to się już skończyło...

Alice wyrzuciła z siebie te dwa zdania w błyskawicznym tempie, wprawiając Tash w zdumienie i w pewien rodzaj zakłopotania. Nie ulegało jednak wątpliwości, że u Tash taki stan może trwać najwyżej sekundę.

- Nie chcesz mi chyba wmówić, że kiedyś go kochałaś, ale już przestałaś, co? - zapytała serdecznie. - Ty nadal go kochasz, Alice...

Alice kiwnęła głową.

- Bardzo mi przykro... - Tash ściągnęła brwi na zwykłe gładkim jak lustro czole. - Co się stało?

Alice widziała, że naprawdę jest jej przykro. Nie przykro na niby, na odczep się, jak w przypadku Trinny, która uważała, że po wypowiedzeniu tej kwestii można już iść do pubu i porozmawiać o czymś bardziej interesującym, ani nie tak, jak matce

Alice, która oświadczyła: „Zawsze ci powtarzałam, że nie należy ufać niskim mężczyznom, kochanie. Wystarczyło, że raz na niego spojrzałam i już wiedziałam, że ten facet nie ma duszy, więc przykro mi wyłącznie dlatego, że to on pierwszy wystawił cię do wiatru, a nie ty jego”. Tash współczuła szczerze i z całego serca, a na takie współczucie stać tylko prawdziwych przyjaciół. Prawdziwi przyjaciele rozumieją twój ból i cierpią razem z tobą. No tak, teraz już nic nie mogło powstrzymać strumienia zwierzeń, który zaczął wylewać się z ust Alice.

- I powiedział ci to cztery minuty po stosunku?! - krzyknęła Tash, budząc wielkie zainteresowanie siedzących przy sąsiednich stolikach osób, pogrążonych dotąd w lekturze weekendowych gazet.

Wszyscy oni byli już teraz absolutnie pewni, że wolą podsłuchiwać rozmowę tej hałaśliwej Amerykanki i jej nieszczernej przyjaciółki, niż dowiedzieć się, co leci wieczorem w telewizji.

- Może było to trochę później... Jakies sześć minut, nie cztery... - zastanowiła się Alice. Nagle uświadomiła sobie, że stała się obiektem ogólnego zainteresowania i usiłowała ukryć płonące policzki w kołnierzu bluzki polo. - Tak czy inaczej, sęk w tym, Tash, że on jest teraz z nią, z tą zdzirą Helen, prawniczką i ja nie mam najmniejszych szans, by go odzyskać, nawet gdybym tego chciała...

- Rozumiem, że chciałybyś odzyskać tego durnia wyłącznie po to, by go ukarać, zemścić się i WYKASTROWAĆ GO, a nie znowu obdarzyć miłością, prawda?

Obecni na sali mężczyźni pośpiesznie skrzyżowali nogi.

- Oczywiście - zgodziła się Alice szybko. - Zresztą, mówiłam ci, że nawet gdybym chciała, to...

- Widzę, że ani na chwilę nie mogę zostawić cię samej, Alice Lewis - przerwała jej Tash. - Zabierzemy teraz moje rzeczy z hotelu Lanesborough i przewieziemy je do ciebie.

## Rozdział 3

- Napijesz się herbaty? - zapytała Alice, wchodząc do pokoju zasłanego markowymi ciuchami i wypełnionego obłokami perfum.

Natychmiast po przybyciu, Tash zajęła sypialnię pana domu. Usunęła ze stolika przy łóżku należące do Simona książki o tematyce wojennej oraz egzemplarze magazynu „Penthouse” i ustawiła tam szeroki asortyment słoiczków i buteleczek z kremami i emulsjami, których głównym i jedynym zadaniem było ratowanie urody. Siedem różnych kosmetyków na siedem rodzajów uszkodzeń skóry wokół oczu - na drobne zmarszczki, kurze łapki, za dużo alkoholu, za mało wody, zmęczenie po imprezie lub nieprzespanej nocy, i tak dalej, i tak dalej. Alice wyobrażała sobie, że te dwa ostatnie zagrożenia są szczególnie ważne dla Tash, która była zahartowaną w bojach imprezo wiczką. Już w wieku siedemnastu lat Alice musiała się bardzo starać, aby dotrzymać jej kroku i zademonstrować przynajmniej zbliżony poziom energii, a teraz, będąc zaawansowaną w latach dwudziestosześcioletką, drżała na samą myśl o imprezie i natychmiast chowała się pod kołdrą.

Tash usiadła na brzegu łóżka.

- Dokładnie tak, jak podejrzewałam. - Alice się roześmiała, patrząc na Tash, która właśnie zapinała srebrzyste buty do kolan, komponując się w idealną całość z posrebrzаныmi anielskimi skrzydłami i nową tiarą od Butlera i Wilsona. -

I jak, spełnimy dziś modlitewne prośby wszystkich mężczyzn w Londynie, aniołku?

Tash mrugnęła do niej i rozprostowała skrzydła.

- Och, Tash, naprawdę chciałabym z tobą pójść. Naprawdę, wierz mi, ale...

Alice rozpaczliwie szukała w głowie odpowiedniej wymówki. Musi skończyć prasowanie. Napisać mnóstwo listów. Zabrać się do plewienia chwastów. Ble, ble, ble. Postanowiła wziąć byka za rogi i wykazać się uczciwością.

- Wolałabym jeszcze na razie nie wychodzić, Tash - powiedziała, siadając na krzesle w rogu pokoju i czując się jak stuletnia staruszka.

- Zaraz, zaraz, spokojnie. Jak to wolałabyś na razie nie wychodzić? Nie masz ochoty ze względu na coś, a raczej na kogoś, prawda?

- Ze względu na Jamiego - przytaknęła Alice. - Tak.

- Alice! - ryknęła Tash, aż jej skrzydła zadygotały. - Facet oszukuje, kłamie, zostawia cię, a ty czujesz się winna? Pójdziesz ze mną i razem pokażemy mu, co stracił.

Alice od dawna wiedziała, że fizyczne powłoki Thelmy i Louise runęły w szeroką i głęboką czelusć Wielkiego Kanionu, lecz teraz z zadowoleniem i rozbawieniem spostrzegła, iż ich wspólny duch ma się dobrze i zamieszkuje krtań jej najlepszej przyjaciółki.

- Tash... - Alice westchnęła i spojrzała na siebie.

Jej uda przelewały się z obu brzegów krzesła, na którym siedziała, włosy wyglądały tak, jakby nie myła ich od 1985 roku. Tash zmierzyła przyjaciółkę baczny wzrokiem. W obliczu oczywistej katastrofy nawet jej kalifornijski optymizm ustąpił miejsca zdrowemu pragmatyzmowi. Musiała przyznać, że konturówka do ust niczego tu nie załatwi.

- W porządku - rzekła. - Pójdziemy na kompromis. Przygotuję ci kąpiel aromaterapeutyczną i pyszną sałatkę, a ty pod moją nieobecność będziesz się trzymać z daleka od ciastek.

Gdyby nie anielskie skrzydełka, sterczące z łopatek Tash, Alice z pewnością by ją uściskała, lecz w tej sytuacji pokiwała tylko z entuzjazmem głową. Uniknęła nocy w dzielnicy



klubów i dyskotek, co dla niej równało się odroczeniu egzekucji.

- Ale przecież muszę z kimś potańczyć... - poskarżyła się Tash.

- Jeżeli chcesz, Trinny zabierze się do jakiegoś przyjemnego lokalu - zaproponowała Alice, po kolei oglądając słoiczki, w których zamknięta była tajemnica nieskazitelnej cery Tash.

- Trinny? Co to za imię? - zaświergotała Tash, ozdabiając swoje loki spinkami ze sztucznymi brylancikami. - Brzmi jak nazwa karmy dla papużek...

- Nie udawaj, że jesteś zaskoczona inwencją Brytyjczyków w tej dziedzinie, Natasho Beauregard. Dobrze wiesz, że lubią imiona w rodzaju „Bunny” czy „Pickles”, w końcu chodziłaś tu do szkoły.

- Tylko żartowałam, Alice. Bardzo chętnie spędzę wieczór w towarzystwie tego... Trinny, tak? Podasz mi jego numer telefonu?

Alice odczekała ponad pół godziny od wyjścia Tash i dopiero wtedy zebrała się na odwagę, aby w koszuli nocnej zakraść się do kuchni. Tu czekała ją niespodzianka - już w progu przywitał ją mocny zapach Eau Hadrien, ulubionych perfum Tash. Znała przyjaciółkę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie był to przypadek. Tash najprawdopodobniej rozpyliła perfumy po całej kuchni, a wszystko po to, aby Alice przypomniała sobie jej przestrogi, kiedy zbliży się do pudełka z ciastkami. Tash przez dwa semestry studiowała psychologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, zanim doszła do wniosku, że Fellini jest ciekawszym obiektem badań niż Freud. Nie zmarnowała tego czasu i często wykorzystywała zdobytą wiedzę, zręcznie manipulując przyjaciółmi, znajomymi i mężczyznami, na których miała ochotę. Prowadziła z nimi interesującą grę, chociaż oni zazwyczaj nie zdawali sobie z tego sprawy.

- Jesteś zdecydowanie za sprytna, żeby miało ci to wyjść na dobre, Tash - mruknęła Alice, podważając pokrywkę pudełka z ciastkami.

Wiedziała, że nie może wziąć talerzyka, ponieważ Tash na

pewno policzyła wszystkie, które tkwiły w zmywarce. Musiała pożyć ciastko nad puszką, czując się jak obrzydliwy łakomczuch.

.- Cholera jasna... - jęknęła, ostrożnie odłamując zgrabny kawałek.

Gdyby nie ten przeklęty Jamie, najprawdopodobniej bez większego trudu zapanowałyby nad apetytem na słodycze.

Po rozstaniu z Jamiem przestała spędzać piątkowe wieczory w barze Dzban i Fortepian, sobotnie na przyjęciach u dziewczyny najlepszego przyjaciela Jamiego, a niedzielne w domu, czekając na powrót Jamiego z golfa i piekąc kurczaka. Trzeba było słuchać tych, którzy mówili, żebym nie ufała fanatykowi golfa, pomyślała. Nie mogła sobie przypomnieć, na czym miała opierać się ta nieufność wobec wielbicieli golfa, ale zdaje się, że miało to coś wspólnego z koszulkami polo i specjalnym obuwem. Cóż, każdy jest mądry po szkodzie. Tak czy inaczej, sobotnie wieczory Alice pozbawione były delikatnego teraz pobrzękiwania kieliszków, wypełnionych czerwonym winem, oraz dźwięku nieco ostrego głosu ciemnowłosej gospodyni w płaskich czółenkach w stylu Miu Miu, która z czarującym uśmiechem wyjaśniała: „To takie małe nic, przygotowałam je na podstawie przepisu z książki kucharskiej *River Cafe Cookbook*, mam nadzieję, że nie znudziło wam się jeszcze *Patate al forno con aceto balsamico e timo*, kochani...”. Oczywiście, nazwa potrawy wypowiedziana była z cudownym włoskim akcentem, a sam przysmak podany na eleganckiej porcelanie. W tym momencie Jamie zwykle zapominał na pięć minut (w skali tygodnia) o futbolu i raczył piękną panią domu opowieściami o roku, który spędził we Florencji, szepcząc jej miękko do jej prawego ucha lub w kierunku innego, równie wrażliwego pod względem erotycznym miejsca. W tym samym czasie zrezygnowana Alice skazana była na towarzystwo księgowego z Balham, który z zapałem zwierzał jej się ze swoich kłopotów. No, ale ostatnio wszystko się zmieniło.

Teraz Alice spędzała sobotnie wieczory na kanapie kuzyna Simona. Miała nawet wrażenie, że w jej ulubionym miejscu pokrycie kanapy chyba zaczynało się przecierać. I niezależnie

od tego, co oglądała - *Terminatora II* czy *Love Story* - w pewnej chwili zawsze robiło jej się niedobrze, ponieważ wyraźnie wiedziała, że każda aktorka ma nos lub włosy tej suki Helen. Z aluminiowej folii, którą wyłożone było dno pudełka z ciastkami, Alice zrobiła kukiełkę przypominającą Helen. Nie przyniosło jej to wprawdzie dużej ulgi, ale pewną satysfakcję sprawiła myśl, że ma za mało folii, aby ulepić tyłek Helen. Zachichotała gorzko i pociągnęła ostatni łyk różowego wina prosto z butelki.

Kiedy się obudziła, rękawy miała jeszcze wilgotne od łez, którymi nasiąkł materiał, a w pokoju szalał jakiś zupełnie niesamowity przeciąg. Z trudem powstrzymała okrzyk grozy i nagle usłyszała dobiegające z korytarza głosy.

- Myślę, że gdyby Trinny chciała cię zaprosić na seks, na pewno już dawno by to zrobiła. Przyjechałeś tu tym swoim obleśnym czarnym porsche i wydaje ci się, że dzięki temu będzie cię mocniej pragnęła? Nie zdajesz sobie sprawy, że to żałosne?

Słowa wypowiedane były bardzo p-o-w-o-l-i, zupełnie jak do niegrzecznego pięciolatka, który i tak nic nie rozumie. Męski głos wymamrotał coś niewyraźnie, potem trzasnęły drzwi. Cholera jasna, pomyślała Alice. Leżę tu w przeźroczystej nylonowej koszuli nocnej, z okruchami ciasta we włosach, a tymczasem w domu pojawił się mężczyzna, pierwszy mężczyzna w tych progach od chwili wyjazdu Simona trzy miesiące temu. Pośpiesznie zerwała się z kanapy, by jak najszybciej ukryć się w swojej sypialni, i o mały włos nie potknęła się o pustą butelkę po winie. Wepchnęła ją pod kanapę dosłownie w ostatniej chwili, ponieważ na progu stanęła właśnie Tash, a za nią wyglądająca na zrozpaczoną Trinny.

- Nie mam pojęcia, co dzieje się z tymi facetami. Mówisz mi, że jedziesz do domu, bo jesteś zmęczona, a on myśli, że pójdziesz z nim do łóżka. Zupełnie tego nie rozumiem...

W tej chwili Tash ujrzała przed sobą żałośnie wyglądającą Alice, która jedną ręką gorączkowo wygrzebywała z włosów okruchy ciasta, a drugą ukrywała za plecami kukiełkę z folii.

- Czy olejek jałowcowy nie podziałał, Alice? - zdumiała się. - Powinnaś była zasnąć parę godzin temu.

Alice odchrząknęła wieloznacznie i poprawiła poduszki na kanapie.

- Ależ my robimy to co sobotę! Tim wstępuje na kanapkę z bekonem do Vingt-Quatre, a potem jedziemy do mnie na mały numerek!

Trinny nadal nie mogła dojść do siebie po utracie szansy na cotygodniowy numerek. Oczywiście, była śmiertelnie zakochana w Simonie Benedictusie, podobnie jak większość młodych mieszkank Londynu, ale przecież musiała jakoś sobie radzić. Od Sylwestra 1996 roku pomagał jej w tym wspomniany Tim (ten od czarnego porsche). Był to obustronnie korzystny układ, który zdaniem Trinny mógł sobie spokojnie istnieć do czasu, gdy Simon w końcu uświadomił sobie, że kocha ją do szaleństwa i porzuci fatalną namiętność do fotografii oraz innych kobiet na rzecz małżeństwa i rodziny.

Tymczasem zjawiła się ni stąd, ni zowąd ta Amerykanka i natychmiast przystąpiła do niszczenia tego wspańskiego układu, bo doszła do wniosku, że Tim za dużo sobie wyobraża. Trinny była bardzo niezadowolona. Dochodziła piąta rano, to prawda, ale szminka wcale jej się jeszcze nie rozmazała, nie zamierzała też marnować możliwości, jakie stwarzała nowa satynowa suknia. Tash patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby Trinny przed sekundą przyznała się do romansu z premierem Johnem Majorem.

- Wy, angielskie dziewczyny, jesteście bardzo dziwne. - Tash ze smutkiem potrząsnęła głową. - Cóż, jeżeli chcesz, to leć za nim. Na pewno nie wyłączył jeszcze silnika...

Tash wyprowadziła z pokoju rozradowaną i przepełnioną wdzięcznością Trinny, potem zaś skupiła uwagę na Alice, która powoli siniała w swoim kącie, chłodzona arktycznym wiatrem.

Jak to się działo, że Tash zawsze otoczona była wibracjami prawdziwego życia i rozrywki? Gdyby Alice zademonstrowała Jamiemu choćby drobną cząstkę magnetyzmu przyjaciółki, najprawdopodobniej nadal miałyby faceta, albo przynajmniej

nie pozwoliłaby mu odejść bez ostrej awantury. Ale ona wypuściła go bez słowa protestu i bez wypalanej w sumieniu dziury, i nawet wyznała mu, że nadal go kocha i że gdyby kiedyś chciał do niej wrócić, to wie, gdzie ją znaleźć. Boże, jak to dobrze, że Tash nie wydusiła z niej całej prawdy...

Tash zaparzyła herbatką z mango oraz imbiru i tak długo udzielała Alice mądrych rad, że ta prawie zasnęła przy kuchennym stole. Anielskie skrzydła leżały złożone na blacie i wprost kusiły miękkością. Alice chętnie wykorzystywałaby je jako poduszkę, bo oczy jej się zamykały, a głowa opadała.

- Chyba zgodzisz się ze mną, prawda? - Rzeński głos Tash poraził Alice niczym piorun.

Drgnęła i ogromnym wysiłkiem woli otrząsnęła się z senności. Szeroko otworzyła oczy, wstrząśnięta widokiem przyjaciółki, wyglądającej jak supermodelka o siódmej rano, po nieprzespanej nocy. Alice przyrzekła sobie, że jeżeli Jamie zadzwoni i zaprosi ją na kolację, pożyczycy od Tash odrobinę któregoś z kremów, stojących przy jej łóżku.

- Widzisz, kochanie, musisz odzyskać kontrolę nad swoim życiem - orzekła Tash. - Nie możesz oddawać jej w ręce innych ludzi. Jeżeli inni zbyt wiele od ciebie wymagają, przestajesz się orientować, na czym tobie samej zależy. Twój szef, twoja matka, twój chłopak... - Tash przerwała na sekundę, widząc grymas na twarzy Alice. - Nawet twój były chłopak może zabrać ci zbyt wiele czasu i energii, oczywiście, jeżeli mu na to pozwolisz.

Miała absolutną rację, lecz w tej chwili Alice pragnęła tylko znaleźć w sobie dość odwagi i siły, aby oderwać się od kuchennego stołu i zanieść swoje nieszczęsne życie do sypialni na górze, gdzie mogłaby paść na łóżko, zagrzebać się pod kołdrą i spokojnie wrócić do przerwane go snu. W tym śnie Jamie stał przed ołtarzem i poważnym wzrokiem wpatrywał się w Helen. „Bardzo mi przykro, ale popełniłem okropny błąd, Helen”, mówił. „Między nami wszystko skończone. Nigdy nie przestałem kochać Alice Lewis. Zamierzam ją poślubić, więc odsuń się i pozwól, żeby twoje miejsce zajęła kobieta moich marzeń”. Nie mogła się już doczekać, kiedy przeżyje tę chwilę

jeszcze raz, a potem jeszcze. Fakt, że ominięły ją romantyczne oświadczenia o zachodzie słońca, na plaży na wyspie Bali, nie miał najmniejszego znaczenia. Wychodziła za męża za Jamiego, i już.

- Jestem wykończona - oświadczyła wreszcie Tash, chociaż jej wygląd przeczył tym słowom. - Do zobaczenia po południu.

Musnęła pocałunkiem zmarszczone czoło Alice i lekkim krokiem pobiegła na górę.

Jeśli Alice sądziła, że uda jej się uciec w sen przed mądrymi uwagami Tash, to bardzo się myliła. Tej nocy, czy raczej tego ranka, w jej śnie nie pojawił się Jamie, niestety. Obudziła się koło południa, zirytowana i zawiedziona. Jakim prawem Tash wdarła się w jej życie i zakłóciła cudowne, niezwykle przyjemne cierpienie? Zbiegła na dół do kuchni, spodziewając się radosnych dźwięków zajęć z aerobiku, nagranych na kasetę, lub wycia sokowirówki, ale panowała tam zupełna cisza, dzięki Bogu. W kuchni znalazła tylko skąpiane w słońcu rośliny w skrzynce na parapecie oraz gazety na wycieraczce pod drzwiami. Spokojnie usiadła przy kuchennym stole, wbiła zęby w kanapkę z bekonem i grubą warstwą masła, i zabrała się do czytania horoskopu. Zdążyła właśnie przebrnąć przez nudną techniczną część o cofającym się Jowiszu i panującym Marsie, i miała zapoznać się z soczystymi radami dotyczącymi jej życia uczuciowego, kiedy nagle rozległ się dzwonek. Złizała masło z palców i skierowała się do drzwi.

- To tylko my! - usłyszała radosny okrzyk gości.

Nie miała pojęcia, kim mogą być „my”. Z zasady starała się unikać męczących szczęśliwych par. Po wieczorze spędzonym w towarzystwie czulącej się do siebie parki miała zwykle ochotę wrócić do domu i podciąć sobie żyły w wannie pełnej alkoholu. W ciągu tygodnia po rozstaniu z Jamiem zdążyła dokładnie poznać to uczucie.

Po pewnym czasie zastosowała do siebie radę redaktora kolumny złamanych serc z jakiegoś czasopisma i postanowiła stawić czoło własnym demonom. Przyjmowała wszystkie zaproszenia i po przybyciu na miejsce nieodmiennie odkrywała,

że wokół niej kłębi się całe mnóstwo zakochanych par. Czuli kochankowie gładzili się nawzajem po włosach i z zapalonym badali sobie językami migdałki. Po piętnastu minutach Alice przeistaczała się w istną furję, groźnie warczącą na najmniejszą wzmiankę o miłości.

- Miłość, też coś! - mamrotała cynicznie. - Co za bzdury!

Wreszcie znajomi i przyjaciele przestali ją zapraszać. Teraz niechętnie przysunęła oko do judasza i ujrzała wyjątkowo wysokie czoło oraz szeroki, zniekształcony przez zaokrąglone szkło uśmiech Trinny.

- Otwórz, Alice, bo strasznie nam zimno!

Alice otworzyła i natychmiast zrozumiała, o co chodzi. Trinny i Tim tak się do niej śpieszyli, że prawie zapomnieli się ubrać. Trinny miała na sobie tę samą satynową suknię, w której widziała ją w nocy, adidas i rozpinany sweter, natomiast Tim był w czymś, co najbardziej przypominało pidżamę.

- Chcemy, żebyś dowiedziała się pierwsza... - Trinny wyciągnęła rękę ozdobioną pierścieniem z gumy do żucia i pocałowała Tima w policzek. - Zamierzamy wziąć ślub!

Alice przełknęła milion uczuć i uśmiechnęła się dzielnie.

- Wchodźcie! - zawołała. - Gratulacje!

Uściskała ich i wpuściła do kuchni. Na schodach ukazała się postać o figurze znacznie lepszej i bardziej kuszącej niż Brigitte Bardot.

- Hej, co się dzieje? - zapytała nieco zachrypniętym głosem.

Tash promieniała nawet mimo piekielnego kaca.

- Trinny i Tim właśnie się zaręczyli - wyjaśniła niepewnie Alice.

Nie była w stanie przyjąć tej nowiny do wiadomości - w końcu było wczesne niedzielne popołudnie, a ona nie zdążyła jeszcze przeczytać, jaki los szykują dla niej gwiazdy.

- Co zrobili? - zapytała z niedowierzaniem Tash.

Zanim nad ranem zapadła w przesiąknięty oparami szampa sen, pomyślała, że musi wziąć Trinny na stronę i wytłumaczyć jej, iż zabieganie o względy mężczyzny nie ma najmniejszego sensu, a najlepszą polityką końca dwudziestego wieku

jest uczciwość. Nie miała jednak szansy podzielić się z Trinny swoimi spostrzeżeniami, ponieważ szczęśliwa narzeczona już otwierała butelkę szampana i rozlewała go do filiżanek.

- Właściwie powinniśmy podziękować Tash. Gdybyś nie uświadomiła Timowi, że nie zawsze będę do jego dyspozycji, Bóg wie, kiedy zdecydowalibyśmy się na ten krok.

- Tak, pewnie jeszcze przez następne pięć lat spotykałibysmy się raz w tygodniu na mały numerek - czknął Tim.

Wiele wskazywało na to, że świeżo zaręczona para świętowała swoje szczęście już od paru godzin. Alice przyszło nawet do głowy, że jej dom nie jest chyba pierwszym, który odwiedzili tego ranka.

- Nadal jestem zakochana w Simonie, ale sęk w tym, że Tim jest na miejscu, a Simon chyba nigdzie nie zagrzeje miejsca - westchnęła Trinny, kiedy udało jej się w końcu dopaść Alice w toalecie na dole. - Simon będzie jeszcze długo fotografował przyrodę w Brazylii albo gdzieś indziej i w końcu okaże się, że jest już za późno na dzieci. Muszę być realistką. Zresztą Tim też jest wspaniały, a kiedy siedzi, wydaje się całkiem przystojny. Poza tym mogę zawsze nosić buty na płaskim obcasie, żeby wyglądał na wyższego. Czółenka na płaskim obcasie pasują do wszystkiego...

Alice wytarła ręce.

- Naprawdę bardzo się cieszę, Trinny. Masz zupełną rację, czasami trzeba myśleć rozsądnie. Simon z pewnością jeszcze nie dojrzał do życia rodzinnego, więc dobrze zrobiłaś.

Cmoknęła Trinny w policzek i wróciła do kuchni. W Londynie nowiny rozchodzą się z szybkością błyskawicy, toteż kameralny lunch we czworo w ciągu dwóch godzin przeobraził się w huczną imprezę. Wyglądało na to, że Alice będzie musiała nakarmić pięć tysięcy ludzi bez możliwości dokonania cudu rozmnożenia ryb i bochenków chleba.

Rozradowani goście tłoczyli się w kuchni, a Alice czuła się fatalnie, nie potrafiła bowiem wzbudzić w sobie szczerego entuzjazmu. Nigdy nie sądziła, że mogłaby stać się jedną z tych kobiet, które, osiagając pewien wiek, wpadają w panikę, po-



nieważ mężczyźni nadający się na stałych partnerów znikają stopniowo z ich horyzontu, lecz wszystko wskazywało na to, że właśnie taka przyszłość ją czeka. Zaczęła postrzegać cztery lata spędzone z Jamiem jako całkowicie chybioną inwestycję. Może Trinny miała rację, decydując się na Tima, który we właściwym momencie znalazł się pod ręką? Alice była gotowa na wszystko, byle tylko nie stać się istotą, która z uporem kupuje magazyn „Zasady”, usiłując „zbudować w sobie niepowtarzalną osobowość”, i nigdy nie umawia się na randkę częściej niż raz w tygodniu. Dobry Boże, to byłoby zbyt straszne...

- Wszystkiemu winien jest ten cholerny Londyn - wyznała lekko podpita trzydziestoczteroletnia stara panna, wyławiając kawałki korka z kieliszka i wyrzucając je do kuchennego zlewu. — Wszyscy tu wszystkich znają, nie ma nikogo, w kim można by wzbudzić zainteresowanie, a już na pewno nikogo, z kim można by wziąć ślub...

- Chyba masz rację - powiedziała Alice, wyciągając z kuchenki mikrofalowej przypalone pieczywo czosnkowe.

- Życie w tym mieście przypomina zabawę w komórki do wynajęcia. Na dźwięk gwizdka wpadasz do komórki, gdzie czeka na ciebie jakiś partner, potem szukasz następnej, i tak dalej. W końcu odkrywasz, że ze wszystkimi już próbowałaś...

Stara panna pochyliła głowę nad kieliszkiem i wykonywała nim koliste ruchy, starając się splukać resztki korka ze ścianek.

- To piękna metafora - oświadczyła Alice z pijackim wzruszeniem i zalała się łzami.

O godzinie siedemnastej, kiedy zniknęły resztki pośpiesznie przygotowanej pieczeni, a niesłabnący strumień gości nadal pochłaniał czerwone wino z piwniczki Simona, Alice odkryła, że jest wściekłą, małostkową starą krową. Opróżniając kolejną popielniczkę, przyłapała się na myśli, czy nie włączyć alarmu przeciwłamaniewego, aby wystraszyć natrętów.

- Kochanie, jesteś zupełnie zielona - zauważyła Tash, tanczącym krokiem wpadając do kuchni z półmiskiem po tartinkach. - Żle się czujesz?

- Och, nie zwracaj na mnie uwagi, Tash - jęknęła Alice. - Jestem zwykłą starą zrzedą. Sama nie wiem, dlaczego nie potrafię cieszyć się szczęściem Trin.

Rozkochana w imprezach Tash zniknęła w jednej chwili, a zastąpiła ją specjalistka od dobrych rad.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że musisz przejąć kontrolę nad swoim życiem? Dopóki tego nie zrobisz, nie będziesz umiała wczuć się w sytuację innych ludzi. - Tash uśmiechnęła się ze współczuciem. - Nie zapominaj o tym, Alice. Och, przy okazji przypomnij mi, dlaczego Brytyjczycy tyle palą, dobrze? Czy ma to coś wspólnego z kopalniami węgla?

Alice odpowiedziała uśmiechem i udała się na górę, żeby się porządnie wypłakać. W końcu od czegoś musiała zacząć akcję przejmowania kontroli nad swoim życiem.

scandalous

## Rozdział 4

Słońce odbijało się w szybach pociągu i oślepiało Alice, która kuliła się w kącie, kryjąc twarz za dużymi ciemnymi szklami. Miała za sobą kolejną nieprzespaną noc, podczas której w kółko przypominała sobie rozstanie z Jamiem. Pamiętała wszystko, od chwili, gdy tamtego ranka Jamie objął ją w łóżku, a w jej głowie natychmiast zrodziło się przekonanie, że pragnie poprosić ją, żeby przeprowadziła się do niego. Już od kilku tygodni miała wrażenie, że Jamie chce jej coś powiedzieć, bo często zerkał na nią ukradkiem lub wbijał wzrok w jej twarz i popadał w zamyślenie.

- Alice? - odezwał się niepewnie.

Odwróciła się do niego i ogarnęła go spojrzeniem pełnym uwielbienia. Oczekiwała, że Jamie zaraz powie: „Och, to nic ważnego”, ale ten sobotni ranek miał być inny od wszystkich.

- Od czterech miesięcy spotykam się z Helen Caudwell - wyrzucił z siebie, gdy Alice ufnie oparła głowę o jego ramię.

Miała wrażenie, że na jej szyi nagle zacisnęła się pętla z metalowej linki. O mały włos nie zemdłała.

- Alice... Słyszałaś, co powiedziałem? Strasznie mi przykro...

Jeszcze teraz, siedząc w wagonie pełnym dojeżdżających do pracy ludzi, miała trudności ze złapaniem oddechu. Przestań, Alice, skarciła się surowo. Przestań się zadrećzać. Mocno zacisnęła prawą dłoń i z całej siły uderzyła się pięścią w lewe ramię. Siedzący naprzeciwko mężczyzna obrzucił ją zafascyno-

wanym i jednocześnie przerażonym spojrzeniem. Nie ulegało wątpliwości, że dopatruje się w jej zachowaniu objawów poważnej choroby umysłowej. Na pewno uznał ją za jedną z tych osób, które chodzą po supermarketach i wybuchają fontanną głośnych przekleństw na widok paluszków rybnych. Szybko sięgnęła po torbę i zajęła miejsce przy drzwiach, czekając na swoją stację.

Perspektywa kolejnego dnia w firmie PSOK budziła w niej myśli samobójcze, ale cóż mogła na to poradzić. Przypomniała sobie wszystkie swoje koleżanki, które miały stałą pracę i robiły wrażenie całkiem zadowolonych z życia. Z samego rana chodziły na siłownię lub aerobik, na lunch biegały do modnego baru Jigsaw, a ich fryzury wraz z każdą pensją ulegały zmianie na lepsze. Ciekawe, jak to się dzieje, że właśnie ja więcej wydaję na ubezpieczenie zdrowotne niż na ciuchy i w dodatku pracuję w jedynej chyba firmie w Londynie, gdzie średnia wiekowa personelu wynosi pięćdziesiąt siedem lat, pomyślała.

Wszystkie jej koleżanki i znajome pracowały w firmach, gdzie najbliżsi wieku emerytalnego byli trzydziestolatkowie. Skoro musiała zostać sekretarką, to chciałyby przynajmniej w wolnych chwilach rozmawiać o seksie z innymi dziewczynami i podkochiwać się w niezwykle przystojnym, interesującym i żonatym szefie. Nic z tego. Takie rzeczy nigdy jej się nie zdarzały. Kiedy miała czternaście lat, jej przyjaciółki flirtowały lub romansowały na wakacjach z lokalnymi adonisami, a ich rodzice, zajęci własnymi rozrywkami, na przykład odtańczeniem kankana w hotelowym barze, przymykali na to zaczerwienione od nadmiaru alkoholu oczy. Alice zawsze jeździła z rodzicami do uzdrowisk, w których nie było ani cienia dyskoteki, a pozostali goście mówili wyłącznie po niemiecku i nosili wystrzępione fryzury, zupełnie jakby nikt ich nie poinformował, że styl punk dawno wyszedł z mody. Alice bardzo często miała poczucie, że znajduje się po niewłaściwej stronie lustra i przeżywa rzeczy, które nie powinny być jej się przydarzyć.

Jej biurko stało w ciemnym kącie, częściowo zasłonięte pa-

protkami i bluszczowatymi roślinami, które w żarłoczny sposób pieniły się na terenie całej firmy. Jediną oznaką tego, że w biurze kiedyś działało się coś ciekawego, była obecność w najwyższej szufladzie kilku saszetek ziołowej herbaty oraz paragonu ze sklepu Josepha Sale'a, w którym trafiały się naprawdę niezłe ciuchy. Niestety, sądząc po dacie na paragonie, osoba, która go zostawiła, musiała już dość dawno dojść do trafnego wniosku, że w firmie PSOK nie ma szans na normalne życie. Alice, pochłonięta malowaniem paznokci tippexem i rysowaniem na nich serduszek długopisem, nawet nie zauważyła, że na brzegu jej biurka przysiadł jedyny mężczyzna w PSOK, który prawdopodobnie przyszedł na świat tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej.

- Wszystko w porządku? - zagadnął z czarującym uśmiechem.

Podniosła wzrok. O, nie, ten egzemplarz nie był ani fascynujący, ani przystojny. Pracował w dziale komputerowym i całymi dniami wisiął na telefonie, zachęcając panie domu, żeby podłączyły sobie modem.

- Tak, dziękuję - odparła krótko.

Jedynym dobrym owocem potwornej zdrady Jamiego było to, że Alice zaczęła patrzeć na wszystkich mężczyzn z innej perspektywy i nauczyła się traktować ich chłodno i obojętnie. Nie było to proste, ponieważ stanowiła ona ucieleśnienie archetypu dziewczyny, która nie potrafi odmawiać. Przez całe życie w ostatniej chwili wymigiwała się z randek z mężczyznami, którzy przez piętnaście minut chodzili za nią po sklepie Bootsa i w końcu przy wyjściu zdobywali się na odwagę, żeby poprosić ją o numer telefonu. Alice zawsze tańczyła w rytm piosenki *Careless Whisper* z obleśnym najlepszym przyjacielem i drużbą pana młodego w czasie weselnych przyjęć swoich krewnych, a wszystko to dlatego, że nie umiała powiedzieć „nie”. Niech żyje Nowa Alice, pomyślała, mierząc nowego wielbiciela zimnym wzrokiem.

- A jak ma się twój twardy dysk? - zapytał, pochylając się nad nią i sugestywnie krążąc myszką po blacie biurka.

Bleee, skrzywiła się.

- Słucham?
- Gotowa do działania? - Mężczyzna mrugnął znacząco.

O, mój Boże... Poczuła, że zaraz zrobi jej się niedobrze. Kanapka z pieczoną wołowiną i cebulą, którą jej rozmówca zjadł na lunch, właśnie mu się odbiła i Alice znalazła się w polu rażenia zapachem częściowo przetrawionego dania. Z trudem przełknęła ślinę i w tej samej chwili przed jej oczami pojawiła się twarz Tash, tak poważna jak oblicze anioła czuwającego nad umierającym.

- Musisz odzyskać kontrolę nad swoim życiem, kochanie. To jedyna droga...

Jeszcze raz spojrzała na brudne i tłuste włosy komputerowca, związane w cienką kitkę z tyłu głowy.

- Tak, naturalnie - odrzekła ostro. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to zejdź z mojego biurka, dobrze? Mam mnóstwo pracy.

Rozpaczliwie rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się natychmiast zająć. Od incydentu z fotokopiarką, który miał miejsce w ubiegły piątek, nie podniosła palca i nie była nawet pewna, co właściwie powinna robić. Chwyliła jakąś teczkę, która spokojnie pokrywała się kurzem na krawędzi biurka, i otworzyła ją zdecydowanym ruchem.

- Wydaje ci się, że możesz zadzierać nosa, ty nadęta krowo?

Alice obrzuciła mężczyznę piorunującym spojrzeniem.

- Odchrzań się, głupku - warknęła, starając się naśladować urokliwy uśmiech Tash.

Niespodziewanie odkryła, że cała ta scena, a zwłaszcza rola, jaką sama w niej odegrała, sprawiła jej sporą przyjemność.

Facet opadł jak przekłuty balon, a jego oczki przypominały teraz dwie wążutkie szparki, ledwo widoczne w morzu krost i wyprysków. Wysypał na granatową spódniczkę Alice okrucy mocno solonych chipsów z torebki i oddalił się bez słowa.

Alice w trybie pilnym umówiła się z Tash na lunch w barze Pręt a Manger. W pierwszej chwili Tash przeszła obok siedzącej w kącie Alice, nawet jej nie zauważywszy. Alice miała

przed sobą podzielone na sześć części lustro i w każdej z nich widziała swój wizerunek z epoki po rozstaniu z Jamiem - coraz większą liczbę podbródków i brzuch, jakiego nie powstydziałaby się tuczna świnia. Dobrze chociaż, że teraz jadła wegetariańską kanapkę o niskiej zawartości tłuszczu, ho na nic innego nie było ją stać.

- Mało brakowało, a w ogóle bym cię nie poznała - oświadczyła Tash, przyglądając się granatowej spódnicy. - Wyglądasz na siedemnastolatkę. Właściwie nie ma w tym nic złego, wręcz przeciwnie, może nawet spróbuję wykreować ten styl po powrocie do Los Angeles. Czuję, że faceci oszaleją na jego punkcie...

- Mój Boże, przecież ty jutro wyjeżdżasz... -jęknęła Alice.

Zupełnie zapomniała, że właśnie dziś Tash spędza ostatni dzień w Londynie. Jak mogła pragnąć, aby jej przyjaciółka jak najszybciej znalazła się w concordzie lecącym do Nowego Jorku? Teraz oddałaby pół życia, aby to obleczone w lycré źródło mądrości zostało z nią chociaż odrobinę dłużej. Potrzebowała obecności Tash.

- Tash, nie możesz teraz wyjechać! - wybuchnęła. - Zostań dłużej, bardzo proszę!

- Muszę, skarbie. W przyszłym tygodniu zabieram się do pracy przy nowym filmie. Reżyser ma legendarny seksapil, więc za nic nie chcę przepuścić takiej okazji! - Tash uśmiechnęła się szeroko.

Alice wyobraziła sobie nagle cały ten świat, do którego wróci Tash - Los Angeles, Hollywood... Najprawdopodobniej Tash ma wspaniały dom z basenem i zaprasza Joan Collins na lunch, a Toma Cruise'a i Nicole Kidman na barbecue. A co ma Alice? Bardzo miłe mieszkanie, w którym może przebywać do powrotu Simona. Jest także dumną posiadaczką wyjątkowo obfitych ud, które można by pomylić z górami masła, gdyby pomalować je na żółto. Nie ma nawet pracy, cholera jasna!

- Wyrzucili mnie z pracy - wyznała gwałtownie.

- Wyrzucili? - powtórzyła Tash, w której słowniku taki wyraz najwyraźniej nie istniał.

- Wylali, zwolnili, dali kopa. Chyba zacznę się już do

tego przyzwyczajając, bo sytuacja się powtarza - jak nie Jamie, to mój szef. Sama rozumiesz... - Alice wyciągnęła kilka kawałków czerwonej papryki z koziego sera. - Na świecie są ci, którzy rzucają, i ci, których się rzuca...

- Nie, nie, nieeee! - Tash zdecydowanie pokręciła głową.

. Alice nie była pewna, czego dotyczy to energiczne zaprzeczenie, ale słowa przyjaciółki sprawiły, że załamała się kompletnie.

- Co się stało? - zapytała Tash.

Alice miała wrażenie, że Tash raz po raz z dezaprobatą zerkna na jej granatową spódniczkę. Może myślała, że to nic dziwnego, iż szef pozbył się Alice, skoro ta nosiła coś tak zgrzebnego w miejscu pracy.

- Próbowałam cię posłuchać i odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Ten obleśny facet z działu komputerowego usiłował mnie poderwać, a ja odmówiłam...

Tash obdarzyła Alice uśmiechem nauczycielki wyrażającej pełne uznanie dla najlepszej uczennicy.

- Parę minut później okazało się, że obrzydliwy gnojek jest synem szefa - ciągnęła Alice. - Powinnam była zauważyć podobieństwo - obaj mają wiecznie spocone ręce i łupież. Tak czy inaczej, wylali mnie na zbity pysk.

- Och, Boże, czuję się za to odpowiedzialna... - Tash westchnęła. - Nie przejmuj się, zaraz coś wymyślimy...

- Co ja mam zrobić, Tash? Nikt mnie nie chce! - Alice z prawdziwą rozpaczą wyrzuciła z siebie ostatnie zdanie i załapała się łzami.

Tash wyrwała jej z ręki resztki bułki z rozmazanym kozim serem i uściskała ją mocno.

- Zaufaj mi, skarbie. Już mam pewien pomysł... Musisz natchmiast przestać płakać, bo od tego robią się fatalne zmarszczki wokół oczu...



## Rozdział 5

Alice włączyła suszarkę do włosów i wywaliła korki w całym domu.

- Cholera jasna!

Obmacując ścianę korytarza, powoli dotarła do kuchni. Gdzie była skrzynka z korkami? Czy Simon mówił jej o tym? Nie. Simon nie przejmował się takimi drobnostkami, to nie w jego stylu. Alice nie miała mu tego za złe, ale też nie miała w tej chwili również zielonego pojęcia, czy suszarka, pralka i lodówka będą jeszcze kiedykolwiek działały. Co za szczęście, że akurat dzisiaj nie była w stanie się tym zdenerwować! A dlaczego? Bo właśnie dzisiaj Alice Lewis zamierzała spędzić wieczór poza domem.

Wprawdzie nie w jakimś wyrafinowanie eleganckim lokalu, gdzie wymagane są stroje wieczorowe i przejście na ostrą dietę dwa dni wcześniej, żeby wbić się w rzucającą na kolana suknię, ale w pubie, lecz to bez znaczenia, ponieważ wieczór poza domem to wieczór poza domem i tylko to się liczy. Zwłaszcza że od dość dawna nie wychodziła wieczorami z domu, jeśli nie brać pod uwagę charytatywnych imprez, na które zapraszała ją Trinny i inne dziewczyny należące do Spadku.

- Wiesz może, jak powinna wyglądać skrzynka z korkami, Tash?! - wrzasnęła, otwierając kolejną szafę ze starannie ułożonymi płytami z początku lat osiemdziesiątych oraz jeszcze jedną nadmuchiwaną lalą w nader skąpym stroju.

- Czy wyglądam na osobę, która może coś takiego wiedzieć? - Tash stanęła na progu kuchni, ze względu na wspólnie wyeksponowany dekolt bardziej podobna do Giny Lollobrigidy niż do elektryka w granatowym roboczym kombinezonie.

- Przepraszam za głupie pytanie... - wymamrotała Alice i w tej samej chwili zauważyła kilka czarnych guzików, sterujących ze ściany koło bojlera. - Nic się nie martw, już znalazłam! - krzyknęła triumfalnie w stronę Tash, która bynajmniej nie wyglądała na zaniepokojoną.

Alice zaczęła naciskać guziczki, w wyniku czego we wszystkich pokojach zabłyśnięło światło, a elektryczne urządzenia ożyły. Wszystkie z wyjątkiem suszarki do włosów.

- O, cholera!

Alice podbiegła do okna w sypialni, otworzyła je, wywiesiła głowę na zewnątrz i potrząsała nią tak długo, aż krew napłynęła jej do policzków, co upodobiło ją do oblanego wrzątkiem prosiaka. Kątem oka dostrzegła dwóch biznesmenów ubranych w garnitury, którzy szybko przeszli na drugą stronę ulicy, najwyraźniej zaniepokojeni, że i tu, w sercu Chelsea, mogliby paść ofiarami masakry w amerykańskim stylu. Alice natychmiast wyobraziła sobie wielkie nagłówki: „Niepozycylna kobieta otwiera ogień do niewinnych biznesmenów”. Przez sekundę miała nawet ochotę wyciągnąć w ich stronę suszarkę i wrzasnąć: „Ręce do góry!”, ale już jakiś czas temu zauważyła, że tego rodzaju dowcipy cieszą się w Chelsea znacznie mniejszym uznaniem i popularnością niż na przykład w jej rodzinnym Clapham. Chociaż z drugiej strony, w Clapham także nie próbowała wykręcić takiego numeru... Nigdy też nie suszyła włosów za oknem...

Mężczyźni wyglądający na księgowych oddalili się pośpiesznie. Alice się wyprostowała. Postanowiła teraz skupić myśli na czekającym ją wieczorze. Na swojej Ostatniej Imprezie w Londynie. W co ma się ubrać, na miłość boską? Doskonale wiedziała, że kiedy o dziewiątej wieczorem przekroczy próg pubu, wpadnie wprost w ramiona dziewcząt, które zawsze wyglądają, jakby przed sekundą zeszyły z planu filmu re-

klamującego się salonów Helmeta Newtona. Obcisłe błyszczące sukienki, nieprawdopodobnie lśniące włosy i tak dalej... Spojrzała na swój niegdyś biały szlafrok i zmatowiałe, wilgotne włosy. Ten widok trochę ją przygnębił. Ale to dzięki sprawnym dłoniom Tash po dziesięciu minutach ani trochę nie przypominała tamtego smętnego upiora.

Dziewczyny ramię w ramię wyruszyły do baru. Przecięły ogrody otaczające kościół Św. Łukasza i z podziwem obejrzały kwietniki w miejskim parku. Jak dobrze mieć przyjaciółkę, pomyślała Alice. Trinny i pozostałe dziewczęta były bardzo miłe, ale żadna z nich nie znała jej tak dogłębnie jak Tash, która dokładnie wiedziała, na co stać Alice i w jakiej fryzurze wygląda najgorzej. Odkąd Alice przyjechała do Londynu i zaczęła chodzić z Jamiem, straciła kontakt z koleżankami z Norwich. Jamie uważał je za nudne, a jeżeli nawet któraś z nich wydała mu się interesująca, a przypadkiem akurat nie miała chłopaka, z miejsca uznawał ją za lesbę.

- Jeszcze wspomnisz moje słowa, Alice - mamrotał z niezadowolaniem przy stole w restauracji, kiedy Alice jakimś cudem zdołała go przekonać, że jej kumpelki są warte tego, aby poświęcić dla nich jeden wieczór. - Louise aż się pali, żeby dorwać cię sam na sam w damskiej toalecie...

- Znam Louise od prawie dwudziestu lat, Jamie.

- I co z tego? To znaczy tylko tyle, że najprawdopodobniej nigdy nie zapomniła, jak podniecająco wyglądasz w stroju gimnastycznym.

Jamie był prawdziwym mężczyzną, bez dwóch zdań, chociaż co jakiś czas z żywą przyjemnością myślał, że byłoby miło spędzić noc we trójkę, z Alice i jedną z jej koleżanek. Należy jednak dodać, że gdyby doszło co do czego, z pewnością natychmiast rzuciłby się do ucieczki. Ostatnio Alice zaczęła się czerwienić na wspomnienie niektórych uwag Jamiego. Gdyby nadal nie kochała go tak mocno, zapewne by pomyślała, że Jamie jest jednym z absolutnie przewidywalnych konserwatystów, w oczach których noszenie krawata z kopulującymi żabkami uchodzi za niesmaczny dowcip. Dobrze, że Jamie nie będzie miał okazji poznać Tash, westchnęła z ulgą,

starając się nadażyć za stawiającą znacznie dłuższe kroki przyjaciółką.

W pubie Blenheim powietrze było ciężkie od dymu i wibrowało szczególną atmosferą nocnego życia w Londynie. W jednym kącie wychylał ostatnią whisky tego wieczoru wiecznie pijany były piłkarz, stały bywalec pubu. Jego dziewczyna, mocno tleniona blondyna, właśnie stanęła w drzwiach i szykowała się, aby zrobić mu dziką awanturę. Pijak ruszył w jej stronę, po drodze rozlewając ciepłe białe wino, które zamówiła dla siebie Alice.

- Przepraszam, skarbie... - wybełkotał i w ramach rekompensaty klepnął ją po pupie.

Alice, wzięta w obroty przez Tash i jej wałki do włosów, wyglądała nie najgorzej. Tash wklepała w worki pod oczami przyjaciółki siedem rodzajów kremu i kazała jej się ubrać w grafitową kreację w pionowe pasy, która dość udalnie maskowała wyprawy Alice do puszek z ciastkami.

- Nie mogę uwierzyć, że nas zostawiasz, Alice. Wrócisz na nasz ślub, prawda? - Trinny nie omijała żadnej możliwości, aby przypomnieć o zbliżającym się ślubie.

Alice uśmiechnęła się spokojnie.

- To tylko trzymiesięczna wycieczka, chyba że dostanę tam pracę... Sądzę, że we wrześniu będę już w Londynie, do tego czasu nie zdążycie jeszcze wybrać serwetek.

Tash przyniosła dzban z piwem i postawiła go na stole. Po-tem napełniła szklanki wszystkich zebranych i sięgnęła po swoją.

- Za nowe drogi i dobre początki - wzniosła toast.

- Tak jest, za nowe drogi!

Dziewczyny wymieniły szerokie uśmiechy, a w oczach Alice zakręciły się łzy. Jej ostatnia noc w Anglii...

- Za drogę na Dzikie Zachód! - rzucił Tim, trącając jej szklankę swoją.

- Co ty tam będziesz robiła, na miłość boską? - zapytała Sophie, która była trochę rozgoryczona, że kuzynka Simona Benedictusa wyjeżdża do Los Angeles, chociaż ona przez parę miesięcy starała się zdobyć jej przyjaźń i przychyłność.

Cóż, trudno, pomyślała Sophie. Zerknęła na serdeczny palec swojej lewej ręki i lekko westchnęła. Dobrze chociaż, że pozbyła się Trinny, bo teraz właśnie ona, Sophie, ma największe szanse na zdobycie Simona. Nie ulegało wątpliwości, że pozycja Sophie była mocniejsza niż kiedykolwiek. Właściwie mogła uważać się za faworytkę wyścigu do ręki Simona, jeśli nie liczyć rozmaitych europejskich arystokratek, które już teraz odkurzały swoje książęce i hrabiowskie tiary, przygotowując się na powrót Simona.

- Kto wie? - Alice zaśmiała się nerwowo. - Będę się opalać, może nawet znajdę pracę i zostanę trochę dłużej. A już na pewno zdołam wreszcie raz na zawsze przegnać widmo Jamiego...

Wszyscy zgodnie zamilkli na dźwięk tego imienia. Wiedzieli, że wzruszona wspomnieniami Alice może w każdej chwili wybuchnąć płaczem. Ale nie tym razem. Alice była zupełnie opanowana. Tash udzieliła jej kilku dobrych rad i dziewczyna z nadzieją patrzyła w przyszłość, w ogóle nie zastanawiając się nad przeszłością.

- Będzie nam cię brakowało, kochanie - powiedziała Trinny, gładząc policzek Alice.

Alice, zgodnie z oczekiwaniami ogółu, uroniła łezkę, ale chyba nikt tego nie zauważył. Trinny niby przypadkiem podniosła lewą rękę i wtedy oczy pozostałych dziewcząt spoczęły na jej zaręczynowym pierścionku z brylantem wielkości laskowego orzecha. Ależ jej się poszczęściło, mówiły ich spojżenia.

Alice była w gruncie rzeczy bardzo zadowolona, że zostawia to wszystko za sobą. Wolny rynek małżeński, na którym transakcje trwały przez cały tydzień, od siódmej wieczorem do północy, był po prostu okropny. Popyt na kawalerów, względnie kawalerów z odzysku, rósł z każdym rokiem. Może w Los Angeles zdoła zapomnieć o Jamie i o swoim staropaniństwie (w zaawansowanym wieku lat dwudziestu sześciu), i dla odmiany skoncentrować się na sobie i swojej karierze. Dobry Boże, czy sufrażystki naprawdę bez pożytku i sensu ginęły pod kopytami koni wyścigowych? Obecność Tash doskonale

wpływała na feministycznego ducha Alice. Mężczyźni, którzy zwykle świetnie bawili się przy takich okazjach, tego wieczoru nie zwracali najmniejszej uwagi na zabiegi polujących na nie kobiet. Byli zbyt zajęci obserwowaniem dekoltu Tash, który żył własnym życiem. Łzy Alice pozostały więc niezauważone, w każdym razie ona tak sądziła.

Na ławce w rogu pubu siedział Patrick Wilde, który czekał na swoich przyjaciół. Opróżnił szklankę guinnessa, przeczesał dłonią krótkie czarne włosy i utkwiał wzrok w twarzy Alice. Zwrócił na nią uwagę już wcześniej, kiedy szła w stronę baru, ubrana w najbardziej potworną pasiastą suknię w kształcie trapezu, jaką kiedykolwiek widział w Londynie, gdzie nawet w środowe wieczory zaglądające do pubów kobiety nosiły satynowe bluzki koszulowe i robione na miarę buty. Tymczasem ta dziewczyna wydawała się zupełnie obojętna na niuanse mody. Stojąc przy barze, wrzuciła jedną kostkę lodu do szklanki, a drugą do ust, by kilka sekund później, wyraźnie zniechęcona uczuciem zimna, zdjąć ją z języka i wpuścić do drinka.

Wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z tak naturalną, prawdziwą kobietą. Nie mógł oderwać wzroku od jej potarganych ciemnych loków i płonących rumieńcem policzków, po prostu musiał na nią patrzeć. Chłubił się doskonałym gustem i znajomością kobiet, ale ta tutaj najzwyczajniej w świecie nie pasowała do żadnej kategorii. Była jak dziki kucyk z wrzosowiska, który przypadkiem zabłądził do stadniny rasowych wierzchowców. Więc dlaczego był nią tak zafascynowany? Co przykuło jego uwagę? Pomachał znajomym, którzy właśnie stanęli w drzwiach, zadowolony, że nie będzie musiał dłużej patrzeć na tę dziewczynę w okropnej sukience i z dziwacznym upodobaniem do lodu w kostkach.

## Rozdział 6

Alice wrzuciła walizkę na tylne siedzenie żółtej taksówki, stojącej przed głównym budynkiem lotniska w Los Angeles, i zerknęła na pokryte bąblami dłonie. Nie miała pojęcia, jak podróżuje się z niewielką ilością bagażu. Ku jej wielkiemu zdumieniu, właśnie Tash była chyba jedyną kobietą na świecie, która najwyraźniej pojęła, co to jest garderoba kompaktowa, w rezultacie czego wszystkie jej kremy do twarzy, olejki, czófenka od Jimmy'ego Choo oraz bielizna firmy Agent Provocateur mieściły się w torbie wielkości pudełka na lekarstwa. Alice, której bagaż zawsze rozmnażał się w podróży, szczerze podziwiała przyjaciółkę i doszła do wniosku, że wyprawa do Los Angeles będzie dla niej wyjątkowo pouczającym przeżyciem. Nawet jeżeli nie zdoła zwiedzić Meksyku ani nauczyć się jeździć po niewłaściwej stronie drogi, to przynajmniej pozna sekrety ekonomicznego pakowania się, co było poważnym osiągnięciem.

- Nawet powietrze pachnie tu inaczej - zauważyła Alice, kiedy jechały w kierunku Santa Monica. Wieczór był pogodny i ciepły, więc ukradkiem zdjęła grube wełniane skarpety, które miała na nogach w samolocie. - Jak tu pięknie...

Na chodniku rosły palmy nie niższe od kamienicy, w której mieszkała w Londynie, a ulice były tak szerokie, że można było przepuszczać nimi karnawałowe pochody. Po obu stronach migały jasne światła i Alice nagle zaczęła się zastanawiać, w jakim stopniu dane jej będzie poznać Los Angeles.

- To bardzo niebezpieczna dzielnica - ostrzegła ją Tash.  
Pod żadnym pozorem nie zapuszczaj się tu po zmroku.

- Mam nadzieję, że szybko się wszystkiego nauczę.

Pomyślała, że ta część miasta prawdopodobnie przypomina Notting Hill, dzielnicę londyńskiej bohemy. Tash na pewno mieszka w okolicy podobnej do Fulham, luksusowej i bezpiecznej. Minęły idącego chodnikiem dwumetrowego transwestytę, pogrążonego w rozmowie z facetem, który, zdaniem Alice, po prostu musiał być jednym z aktorów z serialu *Eastenders*. No cóż, może to miejsce było czymś w rodzaju North Notting Hill, dzielnicy jeszcze bardziej artystycznej...

- To jest twoje łóżko - oznajmiła Tash zdecydowanym tonem, stawiając podniszczoną walizkę przyjaciółki przy drzwiach.

Alice padła na wspianałe, szerokie łożo, najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziała.

- Ojej, jest cudowne! - wykrzyknęła z zachwytem.

Za wykonanym z różanego drzewa wezgłowiem i puszystymi białymi poduszkami ściekały po szklanej tafli strumyczki wody, podświetlone od tyłu lampami w kształcie wysokich świeczników. Alice o mało nie zemdląła.

- Każdy mężczyzna w Los Angeles pragnie kochać się w tym łóżku - poinformowała ją spokojnie Tash.

Alice zaczęła podskakiwać na materacu tej niezwyklej świątyni miłości.

- Czy to jest obietnica? - Roześmiała się wesoło.

- Nie, to groźba. Na razie nie masz pojęcia, jacy potrafią być tutejsi mężczyźni.

Tash ponuro pokiwała głową i udała się do kuchni.

- Nie będę narzekać, bylebyś tylko nie przedstawiła mi żadnego angielskiego prawnika imieniem Jamie - odpowiedziała Alice, idąc za nią długim korytarzem.

- Życzę ci, żebyś się dobrze bawiła w Los Angeles, ale nawet nie próbuj się zakochać - rzekła Tash. - To byłoby okropne.

Alice zwiedzała właśnie salon umeblowany pluszowymi kanapami i fotelami.



- Jesteś pewna, że to miejsce nie należało kiedyś do jakiejś gwiazdki niemego kina? - zapytała, gładząc szezlong obity szkarłatnym aksamitem i przyglądając się srebrnym kandelabrom.

- Jestem absolutnie pewna! - ryknęła Tash, starając się przekrzyczeć ogłuszający trzask gniecionego w blenderze lodu. - Ten dom zbudowano zaledwie sześć lat temu!

Weszła do salonu, niosąc dwa olbrzymie puchary, wypełnione truskawkową daiquiri.

- Witaj w Los Angeles - rzekła z uśmiechem, podając Alice cudownie pachnącego drinka.

Alice powoli sączyła alkohol i ani trochę nie myślała o Jamie. Kiedy wyszła na balkon, ujrzała rozciągającą się za ogrodowym murem Venice Beach. Widok chwiejących się na lekkim wietrze palm wygnał z jej głowy wszystkie wspomnienia i tęsknotę za Jamie. Po raz pierwszy poczuła wdzięczność dla losu, że nie jest Helen Caudwell, która w tej chwili na pewno siedziała w swoim zakurzonym adwokackim biurze w Tempie, poprawiając perfekcyjnie ostrzyżone włosy i marząc o wielkiej karierze. Prawdziwym życiem było to, co Alice miała w tej chwili przed sobą, czyli słońce, kabriolety z podniesionymi dachami i pełne ludzi kafejki. Tak, to było życie... Komu potrzebny był Jamie i jego brudne jasne loczki...

- Pobudka! - Tash z rozmachem rozsunała zasłony w pokoju Alice. - Jeżeli się pośpieszysz, to może zdążysz zjeść śniadanie przed rozmową w sprawie pracy.

Alice opadła szczęka. Rozmowa w sprawie pracy? Śniadanie? Boże, nic gorszego nie mogło ją chyba spotkać!

- Alejajeszczeniedoszłamdosiebiepозmianieczasu... - wybełkotała jednym tchem, chowając głowę pod kołdrę.

- Pszenna trawa! Tak jest, czułam, że właśnie tego ci potrzeba!

Alice od początku wiedziała, że Tash starannie ukrywa tajemnicę, w jaki sposób przeistoczyć się z przeciętnie bystrej i ładnej uczennicy z prostującymi nieprawidłowy przodozgryszynami na zębach w boginię amazońskiej dżungli, rozprawiającą o symbolice Junga oraz przesłaniu filmów Felliniego,

stojąc na głowie. No i proszę, wreszcie się wydało. Jakaś tam trawa! To był ten sekretny napar, o którym Tash aż do dziś nie pisnęła słowem. Kiedy Alice ujrzała jej promieniejącą radioaktywnym, zdrowym blaskiem twarz, natychmiast odgadła, że nie bierze się on wyłącznie z do'skonale skomponowanej diety, w której reprezentowane są wszystkie składniki żywnościowe. Czuła, że musi to być coś znacznie bardziej skomplikowanego. Początkowo podejrzewała Tash o przyjmowanie narkotyków, ale szybko zauważyła, że nadludzkiej energii jej przyjaciółki nie towarzyszą objawy w rodzaju zaczerwienionych oczu czy nozdrzy i wysuszonego do cna rachunku bankowego, typowego dla zdecydowanej większości narkomanów.

Trawa. Alice czytała o niej w „Daily Mail” i nawet widziała tę roślinę na własne oczy, w oknie wystawowym modnego sklepu Planet Organie w Westbourne Grove, gdzie rośło sobie toto zupełnie niewinnie w zwyczajnej doniczce i ukrywało się pod nazwą „Astroturf”. Podobno można było hodować ten cud w warunkach domowych, ale Alice wolała trzymać się swoich słoneczników i wędnącej na kuchennym parapecie bazylii. Gdy redaktor działu zdrowia „Daily Mail” orzekł, że astroturf nie jest zbyt smaczny, Alice wzięła to za dziennikarską przesadę, lecz już wkrótce miała odkryć, jak bardzo się myliła.

Tash poprowadziła ją w dół Fourth Street, a następnie Main, szeroka, prosta ulica, po której obu stronach znajdowały się sklepy dosłownie ze wszystkim, od seksownych różowych bikini po rozmaite rodzaje tabletek mineralnych z wyciągami z alg niebieskich, zielonych, białych i innych oraz prawdziwe hippisowskie kaftany z epoki Woodstock. Tak wyglądała prawdziwa Kalifornia. Przed sklepami ze sprzętem do surfingu siedzieli pięćdziesięcioparoletni mężczyźni z opalonymi na ciemny brąz brzuchami, wylewającymi się z wilgotnych od potu dżinsowych szortów, i nucili piosenki Toma Petty, płynące z tranzystorów ustawionych w oknach zasłanych zmumifikowanymi trupkami much. Cały parter jednego z budynków zajmowały ogromne okna siłowni Gold's Gym, gdzie umięśnione ciała prężyły się i napinały na jadących donikąd rowerach treningowych, a wykrzywieni z wysiłku wielbiciele pęka-

tych muskułów z satysfakcją wpatrywali się w lustra. Dopiero po chwili dostrzegła ukryte w dalekim kącie i skazane na ciężkie ćwiczenia na maszynach do wiosłowania znacznie mniej smukłe ofiary spożywania hamburgerów. Nie ulegało wątpliwości, że Main Street jest mekką typowego dla Zachodniego Wybrzeża stylu życia.

Stłoczone przy tej ulicy liczne kawiarnie oferowały wszelkiego rodzaju przysmaki, od alfalfa po ciastka z potrójną porcją kremu czekoladowego i mrożonym jogurtem, oświecone duszyczki zaś ze wszystkich zakątków wyiębionego świata, które porzuciły atrakcje Druid Dorset oraz młodzieżowych schronisk w Byron Bay, z entuzjazmem zajmowały się jazdą na rolkach i medytacją w Santa Monica. Main Street była miejscem wyjątkowo przyjaznym dla konsumentów - gdyby Alice kiedykolwiek zapragnęła trzymetrowej gąbki naturalnej lub prywatnego trenera, który poświęciłby się likwidacji grubej warstwy tłuszczu na jej brzuchu, właśnie tu powinna skierować kroki.

Zanim dotarły do kawiarni Herbal Heaven, Alice zdażyła pozbyć się kaca. Spacer w podniecającej atmosferze nowego otoczenia bardzo poprawił jej nastrój i czuła się teraz lepiej niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy. W każdym razie było tak do chwili, kiedy zobaczyła długie żdźbła trawy o ostrych krawędziach, znikające w otworze miksera i przyjmujące postać galaretowatej zielonej masy, żywo przypominającej oślizgłe wodorosty w ustanej wodzie. Wyobraziła sobie nagle, że zapomniała zabrać swój żołądek. Organ ten z całą pewnością nie zajmował zwykłego miejsca tuż pod żebrami. Miała ochotę rzucić się pędem do toalety, ale rozanielony uśmiech Tash położył się cieniem na jej sumieniu, podobnie jak wspomnienie pyszczka złotej rybki, którą, mając siedem lat, przez zapomnienie zagłodziła na śmierć.

- Oto idealny lek na wszystkie dolegliwości - oświadczyła Tash, z dumą podając Alice szklanekę z podejrzanym płynem. - Proszę bardzo, na zdrowie.

Gdyby nie ta ostatnia kolejka daiquiri poprzedniego wieczoru, Alice prawdopodobnie przełknęłaby galaretowatą maź

i zdołała zatrzymać ją w obrębie przewodu pokarmowego. Próba skupienia myśli na powoli przeżuwiających krowich mordach i ich podwójnych żołądkach wcale jej nie pomogła. Może powinna skoncentrować się na faktach naukowych? Na przykład na tabeli pierwiastków chemicznych. Sód - Na. Potas - K. Tak, dzięki temu jakoś to zniosę, pomyślała, kiedy wreszcie zlokalizowała żołądek.

- Wypijmy koktajl na tarasie - zaproponowała Tash, radośnie prowadząc Alice do zielonej altany na tyłach ekologicznej kawiarni.

- Bardzo sympatyczne miejsce. - Alice uśmiechnęła się nienaturalnie, grając na czas.

- Och, zawsze kręci się tu mnóstwo granoli, ale mnie to nie przeszkadza - odparła Tash i zabrała się do pogryzania chudego ciasteczka z sera tofu.

- Granoli? - zdziwiła się Alice.

Wołała rozmawiać do końca świata, niż wypić to świństwo.

- Granola to takie płatki śniadaniowe, coś w rodzaju muesli - wyjaśniła Tash.

Alice skinęła głową. Dobrze, że chociaż wiedziała, co to takiego muesli.

- Ludzi, którzy są nastawieni na bardzo zdrowe, naturalne żywienie, zioła i tak dalej, nazywamy granolami - ciągnęła Tash. - Zwykle noszą ubrania firmy Birkenstocks, z czystych, naturalnych włókien. Takie ekoludki, chyba rozumiesz, o co mi chodzi...

- Tak, jasne - zapewniła ją Alice, zadowolona, że na trzydzieści sekund udało jej się odsunąć nieuniknione nieszczęście.

W odległym kącie kawiarni stał wolny stolik. Tash ruszyła w jego stronę, usiadła i pociągnęła duży łyk zielonego paskadztwa z taką miną, jakby była to ambrozja.

Dlaczego ten cholerny ogród musi być taki zielony, skrzywiła się wewnętrznie Alice. Zielony, zielony, zielony... Zsunęła ciemne szkła na oczy, aby Tash nie zobaczyła jej oczu, gdy wypije astroturf, i desperackim gestem podniosła do ust

szklanę. Niestety, Alice i astroturf nie miały wspólnej przyszłości.

- Przpszm... - wybełkotała i rzuciła się ku najbliższej stojącej dużej doniczce.

Tam, na korzonkach organicznie hodowanego drzewka cytrynowego, spoczął łyk czystego chlorofilu oraz duża część spożytych poprzedniego wieczoru nachosów z sosem serowym i kilku kolejek daiquiri. W ten sposób drzewko straciło wiele ze swoich naturalnych walorów.

Alice oprzytomniała z głową opartą o chłodną terakotową doniczkę i nagle przypomniała sobie ostatnią część rzuconej przez Tash groźby. Rozmowa w sprawie czegoś tam... Ciekawe, w jakiej sprawie... A może to Tash miała odbyć jakąś rozmowę? Jeżeli tak, to nic strasznego - Tash doskonale sobie radziła w każdej sytuacji, ponieważ była pewna siebie i nie dawała się wpawić w zmieszanie. I właśnie za to Alice kochała ją z całego serca, tak jest, właśnie za to. Tash przykucnęła teraz obok niej i smuga orzeźwiającego zapachu perfum Eau Hadrien podziałała na Alice jak sole trzeźwiące na bohaterkę powieści Jane Austen. Otworzyła oczy w chwili, gdy dotarł do niej ostatni fragment okrzyku Tash.

- ...bo spóźnisz się na rozmowę w sprawie pracy!

Kremowy kostium ze spodniami od Armaniego, który miała na sobie Tash, stanowił cudowny, niosący ulgę punkt w morzu tej wściekłej zieleni. Alice niepewnie podniosła głowę. Rozmowa w sprawie pracy... Ach, tak...

- Rozmowa? Gdzie? - zapytała, ignorując poważne spojrzenia entuzjastów astroturfu i koncentrując całą uwagę na ustach Tash.

- Nic się nie martw, to moi przyjaciele. Na pewno cię polubią.

- Ale... Ale ja nie mam CV.

- Twoje CV nie jest im do niczego potrzebne, kochanie. Mówiłam im już, jaka jesteś wspaniała i zdolna. Wszystko będzie w porządku, zobaczysz. Kiedy dadzą ci tę pracę, bez tru-

du dostaniesz zieloną kartę i będziesz mogła zostać tu na dłużej niż trzy miesiące. Świetnie, co?

Alice strząsnęła z włosów suchy liść cytryny i zastanowiła się nad swoimi zdolnościami. Przypomniła sobie, że zawsze nienawidziła tych fragmentów rozmów o pracę, kiedy pytano ją, jakie są jej mocne strony. Cóż, lepiej być przygotowaną na takie doznania. Zaczęła rozpaczliwie wysilać umysł. Nie ulegało wątpliwości, że była lojalna, bo przecież wytrzymała z Jamiem bardzo długo; potrafiła też wykazać się inicjatywą - dodała do ciasta z marchwi pyszny, posiadający dużą wartość odżywczą mak, prawda? Na pewno umiałyby też wetknąć sobie w pępek odpowiedniej wielkości rubin i utrzymać go tam przez jakiś czas. Co prawda, jej pępek ostatnio zniknął w fałdach tłuszczu, będących owocem konsumpcji wspomnianego ciasta (i wielu innych), ale kiedyś, w stanie lekkiej nietrzeźwości, włożyła sobie w pępek owocowego dropsa, więc gdyby poćwiczyła... W końcu rubin niczym szczególnym nie różni się od dropsa. Hmm... Okazuje się więc, że jest wyjątkowo utalentowaną osobą... Jeżeli Tash wyraziła tak niezachwiane przekonanie o jej wartości tuż po tym, jak Alice zwymiotowała do doniczki, to chyba coś w tym musi być... Wspaniała, zdolna Alice... Trawa trawą, ale trzeba przyznać, że ten amerykański pozytywny sposób myślenia wcale nie jest taki zły.

- Rozumiem, że posiada pani odpowiednie doświadczenie, dzięki któremu czuje się pani wykwalifikowana do podjęcia pracy na tym stanowisku, panno Lewis - odezwała się kobieta, która przy powitaniu uściśnęła dłoń Alice tak mocno, że o mało nie zgruchotała jej kości, potem zaś przez cały czas patrzyła jej prosto w oczy.

- Ehm... Cóż, teraz, gdy wspomniła pani o doświadczeniu... - Głos Alice zamarł.

Rozejrzała się po sali zarządu firmy. Były tu na pewno nieprawdopodobnie drogie kanapy ze skóry w kolorze masła oraz multimedialny sprzęt, tak nowoczesny, że na jego widok jej byli współpracownicy z PSOK mogliby śmiało pomyśleć, że poszli do nieba i uprawiają seks ze Scully z serialu *Archi-*

wum X, a z okien roztaczał się oszłamiający widok na korki uliczne wzdłuż całego Wilshire Boulevard. Alice nigdy w życiu nawet nie protokołowała tak ważnego spotkania i nie śniła jej się, by kiedykolwiek mogła stać się obiektem zainteresowania tak zajętych i wysoko postawionych osób. Dlaczego, na miłość boską, zdecydowali się poświęcić swój cenny czas biednej Alice, która stenografowała trzydzieści dwa słowa na minutę (jeżeli miała akurat dobry dzień) i była w stanie sprać nawet tak proste zadanie, jak wkładanie listów do kopert? Podejrzała, że oni także zaczynają się nad tym zastanawiać. Pozostałych czterech członków zarządu obserwowało ją bacznie zza swoich biurka i szkieł w oprawkach od Armaniego. Alice miała dziwne wrażenie, że za chwilę wszyscy wyciągną spod blatów kartki z napisem: „WIELKA BRYTANIA - 0 PUNKTÓW”. Zielona karta wymknie się wtedy z zasięgu dłoni Alice, co całkowicie zniweczy perspektywę nowego życia, które już zaczęła sobie wyobrażać.

- Co może pani zaoferować naszej firmie? - Mężczyzna w typie starzejącego się rockmana, z włosami ściągniętymi w kucyk, którego Alice uznała za zupełnie nieszkodliwego (pomyślała, że usatysfakcjonuje go uwaga o jej znajomości systemu REM), obrzucił ją poważnym, surowym spojrzeniem.

A przecież to byli przyjaciele Tash... Jak wobec tego wyglądałaby rozmowa w sprawie pracy z obcymi osobami? Alice ujrzała przed sobą straszną przyszłość - będzie nielegalnie pracowała w jakiejś wypożyczalni kaset wideo i po pewnym czasie samotna i smutna wróci do Anglii.

- Właściwie to ja... - zaczęła niepewnie i przerwała.

Przy całym swoim chłodnym profesjonalizmie członkowie przesłuchującego ją jury nie byli w stanie dłużej ukrywać pogardy. Wszyscy zgodnie przewrócili oczami, co sprawiło, że wyglądali teraz jak sfotografowane pod wodą delfiny na jednym z tych dziwacznych zdjęć w książce *Magiczne oko*. Może gdyby Alice odpowiednio wysiliła wzrok...

- Panno Lewis?

Dobry Boże, wpakowała się w niezłe kłopoty. Czy mogą ją

deportować za tak ewidentną porażkę w trakcie rozmowy o pracę? Swoją drogą to bardzo ciekawe...

- Nie mam pojęcia, z czym wiąże się ta praca - wyznała odważnie. - Gdyby państwo byli tak dobrzy i udzielili mi informacji, z pewnością udałoby mi się dowieść, że posiadam stosowne doświadczenie.

Uśmiechnęła się łagodnie. Czy „stosowne” było właściwym słowem? Miała co do tego pewne wątpliwości.

Absolwenci kilku najlepszych uniwersytetów w Stanach, jakie przychodzą wam do głowy, i paru takich, których nazw nie znacie, jak na komendę wciągnęli ostro powietrze. Alice pomyślała, że oto zaraz się dowie, czego od niej wymagają.

Alice pochłonęła trzy bajgle z cebulą oraz całą torebkę chipsów o smaku zwanym „Ranczo”, które znalazła pod tylną ścianką lodówki. Nie miała pojęcia, jak powinny smakować chipsy „Ranczo”, ponieważ ta nazwa kojarzyła jej się wyłącznie z bezkresnymi równinami, chatami z grubych drewnianych bali oraz Kevinem Costnerem, ale po zanurzeniu w śmietankowym serku okazały się całkiem niezłe. Usłyszała, jak Tash odkłada słuchawkę w kuchni i natychmiast sprawnym kopnięciem umieściła torebkę po chipsach pod kanapą. Już sobie wyobrażała, co Tash by powiedziała: po co zapisywać ją do najbardziej elitarniej siłowni w Santa Monica, skoro i tak przez cały dzień żywi się tonami chipsów, hamburgerów i tym podobnych... No i miałyby rację, zwłaszcza że Alice nie wyobrażała sobie, aby kiedykolwiek rzeczywiście mogła wstąpić do tego rajy najlepiej umięśnionych ciał i najwspanialej ukształtowanych torsów w całej południowej Kalifornii.

Od rozmowy o pracę, która odbyła się przed dwoma dniami, pogrążona w głębokiej depresji jadła prawie bez przerwy. Nie dostanie pracy. Nie dostanie zielonej karty. Nie czeka ją tu nic poza upokorzeniem i totalną klęską. Jutro wróci samolotem do Londynu, gdzie każdy mężczyzna będzie przypominał jej Jamiego, a jedynym romantycznym akcentem jej życia będzie randka z Nickiem z działu komputerowego i szansa na awans na główną kserokopistkę po ślubie. Szybko przełknęła



ostatni obwarzanek, przerażona myślą, że Tash mogłaby go skonfiskować.

- No, więc dostałaś tę pracę. - Tash wkroczyła do pokoju z wetkniętym pod pachę telefonem. - Muszę jeszcze tylko zadzwonić do nich w sprawie podwyżki. Nie dopuszczę, żebyś pracowała za mniej niż czterdzieści tysięcy rocznie. To oczywiście obelga.

Alice widziała to trochę inaczej. Niech ją obrażają, niech obsypują ją obelgami, niech jej mówią, że jest zerem - nic ją to nie obchodziło. CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY DOLARÓW. W stanie szoku wsypała sobie do ust resztę czipsów. Boże, prawdziwa pensja... Pensja jak dla dorosłej osoby... Miała ogromną ochotę zadzwonić do oddziału banku Lloyd'sa w Norwich i poinformować ich, gdzie mogą sobie wsadzić swoje oprocentowanie rachunku. „Nie, pani Turnbull, nie interesuje mnie już limit debetowy w wysokości siedmiu tysięcy funtów”, mogłaby powiedzieć. „Tak, jestem tego zupełnie pewna, dziękuję bardzo”.

Lecz Tash wcale nie była usatysfakcjonowana.

- Co takiego?! - ryknęła do słuchawki, podejmując negocjacje z szefową działu kadr. - Nie przyznacie jej dodatku na stroje reprezentacyjne?! Więc co - pracownica waszej firmy ma wykonywać obowiązki służbowe w ciuchach wyprodukowanych w jakiejś republice bananowej?!

- Nie przesadzaj, Tash - wymamrotała nerwowo Alice.

O co właściwie Tash tak się wścieka? Przecież za czterdzieści tysięcy rocznie Alice może wykupić cały sklep Donny Karan...

- Doskonale - zakończyła Tash ten etap negocjacji. - Teraz musimy omówić kwestię dodatku na wydatki reprezentacyjne.

Alice ukryła głowę pod poduszką, czekając na katastrofę, która nie nastąpiła. Po chwili Tash uśmiechnęła się szeroko.

- Dzięki, Melisso. Przywiozę ją do was w poniedziałek rano. Ciao.

Alice wyszarpnęła głowę spod poduszki i rzuciła Tash udręczone spojrzenie.

- Nie trzymaj mnie dłużej w napięciu! -jęknęła.

- Zaczynasz o dziesiątej rano w poniedziałek, więc mamy tylko dwa dni, aby nadać ci wygląd rzecznika prasowego gwiazd filmowych. Chodźmy.

Tash zarzuciła torbę na ramię i włączyła alarm antywłamaniowy, podczas gdy Alice w przyśpieszonym tempie przetrwała informacje. Dopiero teraz w pełni zrozumiała, na czym właściwie ma polegać jej praca. W czasie rozmowy była tak skoncentrowana na tym, aby nie wyrzucić z siebie prosto na dywan reszty zielonej mazi z astroturfu, że w ogóle nie przyjęła do wiadomości słów ewentualnych pracodawców. Rzecznik prasowy gwiazd filmowych, osoba dbająca o wizerunek publiczny sław... Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać, więc po prostu zlizła z palców resztki serka śmietankowego i pobiegła za Tash.

scandalous

## Rozdział 7

- Alice, zrozum, musisz się tego pozbyć - powiedziała Tash, szarpiąc rękaw czarnego rozpinanego swetra.

Ukochany sweter Alice, do którego była najbardziej przywiązana. Wisił na oparciu jej krzesła, kiedy w szóstej klasie zmagala się z zawiłymi wojny francusko-pruskiej. Zarzuciła go sobie na ramiona, wychodząc na pierwszą randkę z Jamiem. Ogrzewał ją w letnie wieczory spędzane w ogródkach pubów... Fakt, iż Tash zwróciła uwagę na jego estetyczne braki, mocno ją zasmucił. Poczuli się tak, jakby nagle uświadomiła sobie, że jej matka ma zmarszczki i nie jest już tą samą zgrabną młodą kobietą, której zdjęcia zdobiły zakurzone kartki albumów z fotografiami. Mocniej otuliła się wyświechtanym sweterkiem.

- Rób ze mną, co chcesz, Tash, ale nie pozbawiaj mnie swetra. Dobrze wiesz, że tego bym nie przeżyła.

Tash roześmiała się i odrzuciła do tyłu włosy. Jechały srebrzystym kabrioletem autostradą wiodącą do Beverly Hills.

- No i te buty! - prychnęła Tash. - Są okropne! Uch!

Alice wepchnęła stopy pod siedzenie. Musiała przyznać, że jej stare pumy nie roztaczają czarodziejskiego zapachu, a między nacięciami na podszwach tkwi mnóstwo brudu zebranego w londyńskich środkach transportu. Szybko doszła do wniosku, że nie będzie narzekać, jeżeli Tash namówi ją do zakupu zamszowych sznurowanych butów koloru kawy z mlekiem.

Zatrzymały się na cienistym parkingu pod Beverly Center i właśnie tam od razu napadł je mężczyzna w czarnym krawacie.

- Ach! - krzyknęła Alice, kiedy nieznajomy otworzył drzwi od strony Tash. - Pomocy!

Nie miała cienia wątpliwości, że czeka ją gwałtowna śmierć i natychmiast wyobraziła sobie porażonych rozpaczą rodziców, siedzących bez ruchu na kanapie i zobojętniałych nawet na gwizd czajnika w kuchni, swoje zdjęcie do legitymacji szkolnej z piątej klasy, opublikowane na pierwszej stronie „Daily Mail” oraz debatę w programie telewizji BBC2 na temat mnożących się zagrożeń, na które narażeni są wybierający się za granicę turyści.

- Alice, skarbie, to tylko parkingowy - powiedziała Tash, podając mężczyźnie kluczyki i biorąc do ręki torbę. - Uspokój się.

Alice wysiadła z samochodu na drżących nogach.

- Ta historia z Jamiem rozstroiła cię bardziej, niż podejrzewałaś, prawda? - ciągnęła Tash. - Pewnie nie chcesz o tym mówić, ale tak czy inaczej muszę zadać ci to pytanie... Czy Jamie kiedykolwiek zachował się wobec ciebie w gwałtowny sposób? Może cię kiedyś uderzył? - Tash nie spuszczała z przyjaciółki czujnego spojrzenia, szukając w jej twarzy dalszych oznak głębokiego urazu psychicznego.

- Cha, cha, cha! - Alice wybuchnęła śmiechem, przepełniona ogromną ulgą, że jej życie zostało uratowane, i rozbawiona pytaniem przyjaciółki. - Skądże znowu! Oczywiście, jeżeli nie liczyć sytuacji, kiedy walnęła mnie w policzek, bo podobno siedział na nim komar. Osobiście nigdy w to nie wierzyłam. Do dziś wydaje mi się, że zrobił to, ponieważ parę chwil wcześniej skakałam po jego kijach do golfa.

Tash wycofała się pośpiesznie, wyraźnie zaskoczona tym wyznaniem.

- To chyba bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje - oznajmiła. - Myślę, że powinnyśmy rozejrzeć się za jakimś psychonanalitkiem, który by ci pomógł...

Z tymi słowami poprowadziła Alice w kierunku windy.

Na Rodeo Drive panował piekielny upał. Alice widziała tylko unoszące się nad asfaltem fale gorącego powietrza i grupki japońskich turystów, obładowanych błyszczącymi torbami z markowych sklepów. Dżinsy przykleiły jej się do nóg i czuła się jak żeński odpowiednik Nicka Nolte w filmie *Down and Out in Beverly Hills*, czyli kompletny lump. Kiedy spojrzenia kobiet obwieszonych złotem i tulących do siebie starannie u fryzowane pudle stały się dla niej zbyt ciężkie do zniesienia, zaczęła udawać przed sobą, że jest aktorką wykształconą na Stanisławskim, która dogłębnie wczuwa się w rolę. Nie powstrzymało to uciążliwie krytycznych spojrzeń, ale zapewniło jej poczucie wyższości, którego wyraz przekonał ciekawskich, że osoba tak niedbale ubrana i wyniosła musi być albo aktorką w stylu grunge, albo angielską arystokratką.

- Umówiłam cię z Randi, która zajmie się twoimi włosami. Potem masz manikiur i pedikiur u Andiego. Spotkamy się za trzy godziny w kawiarni po drugiej stronie ulicy.

Alice była tak pochłonięta pilnym stosowaniem się do zaleceń metody Stanisławskiego, że nie zwróciła uwagi, iż zatrzymała się przed gmachem, który niewątpliwie został przeniesiony tu prosto z Aten, i to chyba jeszcze przed śmiercią Platona. Wejście zdobiły imponujące kolumny i starannie utrzymane krzewy laurowe. Niesamowite, pomyślała.

- To gdzie mam iść na podstrzyżenie końców? - zapytała, mrugając oczami.

Szczerze żałowała, że nie wzięła okularów przeciwsłonecznych. Ciekawe, czy Tash ma jakiś krem na zmarszczki spowodowane zbyt częstym mrużeniem powiek.

- Tutaj. - Tash otworzyła drzwi prowadzące do wnętrza Ateneum, wepchnęła Alice do środka i szybkim krokiem oddaliła się w kierunku Melrose Avenue. - I nie wmawiaj nikomu, że mają ci tylko podciąć końce! - zawołała na pożegnanie. - Powiedziałam Randi, co ma zrobić, więc nie spieraj się bez sensu!

Alice błyskawicznie rozważyła możliwe wyjścia z trudnej sytuacji. Wybiec z budynku, złapać taksówkę, wrócić do Santa Monica, spakować walizkę... Nie, ten plan miał zdecydowanie

zbyt krótkie nogi. Nie miała dość pieniędzy, żeby zapłacić za przejazd do salonu Versace na najbliższym rogu, a cóż dopiero mówić o Santa Monica... Poza tym, właśnie w tej chwili facet łądząco podobny do Rudolfa Valentino uprzejmym gestem zapraszał ją do środka, wyciągając drugą rękę po czarny sweter. Co ci cholerni Amerykanie mieli do jej ukochanego sweterka? Zdecydowała, że może pozwolić, aby umyli jej włosy i ułożyli je, ale nic poza tym. To jej włosy i to ona decyduje, co z nimi zrobić. Odzyskaj kontrolę nad swoimi włosami, Alice, pomyślała ze złością.

Pół godziny później siedziała w wygodnym fotelu z głową obciążoną niezliczonymi kawałkami folii aluminiowej. Widziała Randi tylko przez otwory w metalowym hełmie, za to słyszała ją doskonale.

- Masz włosy porowate, wysuszone czy przetłuszczające się? - Randi okręciła zabójczo jasne loki wokół długich na co najmniej sześć centymetrów paznokci i bez pośpiechu zadała dwudzieste pytanie.

- Nie dotyczy - wymamrotała Alice, prawie nieprzytomna od oparów rozjaśniacza.

Przypomniała sobie, że w którymś z popularnych seriali pojawiła się bohaterka, która wyłysiała po zupełnie rutynowym balejażu. Nerwowo rozejrzała się dookoła. Ciekawe, czy inne klientki, które miały na głowach dość folii do pieczenia, aby upiec w niej potrawy na lunch na cały miesiąc z góry, zdawały sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmują.

- ...nigdy, czasami czy zwykle? - ciągnęła Randi, w skupieniu wpatrując się w kwestionariusz klientki i zakreślając kolejne kwadraciki z wprawą osoby, która często rozwiązuje testy i psychozabawy w popularnych czasopismach dla kobiet.

- Zwykle - odparła Alice z przekonaniem.

Czuła się jak podczas badania u okulisty, kiedy każą powieździe, które kółka są jaśniejsze, czerwone czy zielone. Po chwili człowiek zaczyna się nudzić i w końcu kłamie, by potem przez następne dwa lata martwić się, czy przypadkiem nie przepisano mu nieodpowiednich szkielek. Kurczę blade, pomyślała.

łała Alice, chyba powinnam się skupić, bo wystarczy jedna zła odpowiedź i mogę skończyć łyśa jak kolano.

- Przepraszam, Randi, ale czy mogłabyś powtórzyć ostatnie pytanie? Ktoś właśnie włączył suszarkę i...

Bystre spostrzeżenie, Alice, nie ma co. Nie jedną suszarkę, ale koło stu pięćdziesięciu. To nie był zwyczajny salon fryzjerski, o, nie. To był najprawdziwszy pałac próżności - cztery piętra pełne zadbanych, wymuskanych hollywoodzkich piękności. Włosy uczesane i starannie ułożone, brwi wydepilowane. Wszystko razem przypominało wizytę w fabryce czekoladek bez możliwości spróbowania choćby najmniejszego kęsa. Wszędzie tylko fotele i schody prowadzące do sal pełnych narzędzi tortur. Jedno z takich narzędzi pojawiło się przed oczami Alice dwie godziny później, w gabinecie manikiuru.

- To tylko przycinak do skórek, skarbie - powiedział Andi, patrząc na nią z zaciekawieniem. - Nie bój się, nic ci nie grozi...

Alice przestraszyła się jeszcze bardziej. Mój Boże, na pewno przygląda się moim włosom, pomyślała. Dam głowę, że wypadają... Spojrzała w dół, spodziewając się, że zobaczy zasłaną włosami podłogę. Usiłowała zerknąć na siebie w lustrze i ocenić efekty działania Randi, ale fryzjerka przegoniła ją z krzesła do umywalni i z powrotem tak szybko, że Alice dostrzegła tylko smugę dziwnego koloru. Dlaczego Andi tak na nią patrzy, na miłość boską?

- Czy wiesz, że masz piękne oczy? - Andi ujął jej podbródek obiema dłońmi w taki sposób, który tylko gejowi może ująć na sucho bez ryzyka spoliczkowania.

Uśmiechnęła się. Podobało jej się ciepłe, otwarte podejście do ludzi, tak typowe dla Amerykanów.

- Pozwól mi tylko wyrównać kształt tej brwi, a zaraz będziesz wyglądała jak laleczka - dodał Andi.

Alice znowu się zirytowała.

- Gdybym chciała wyglądać jak jakaś durna hollywoodzka nadmuchana lala, to chyba sama bym o to poprosiła, prawda? I nie mów mi, że nigdy nie słyszałeś o Brooke Shields!

Natychmiast pożałowała tego wybuchu, lecz Andi pozostał zupełnie niewzruszony.

- Brooke? Oczywiście! Nie dalej jak wczoraj regulowałem jej brewki!

Alice parsknęła śmiechem. Czy ci ludzie wiedzieli, w jakim świecie żyją? Tak czy inaczej, życie w światowej stolicy próżności i chirurgii plastycznej na pewno ma swoje plusy, pomyślała. Biorąc pod uwagę, że wszyscy tlenią tu sobie włosy, nie ma przynajmniej zagrożenia, że spotkam faceta o szarobeżowych włosach.

Kiedy spotkały się w kawiarni, Tash długo udawała, że w ogóle nie poznaje nowej, upiękkszzonej Alice, natomiast Alice udawała, że wcale nie szuka wzrokiem swojego odbicia w oprawionych w szkło obrazach na przeciwległej ścianie.

- Mój Boże, panno Lewis, ależ pani jest śliczna! - wykrzyknęła Tash między jednym a drugim łykiem kawy z pienistym mlekiem.

Alice dostrzegła swoją nową twarz w ramach reprodukcji Mondriana. Jej włosy zajmowały powierzchnię małego europejskiego kraju, a brwi zmieniły kształt z opasłych, obzartych kapustą gąsienic w anorektyczne tasiemce. Czy to oznaczało poprawę? Dalej nie była pewna, jaki właściwie kolor mają jej włosy, ponieważ w zależności od tła wydawały się mieć różne odcienie. Całe szczęście, że loczek, który widziała kątem lewego oka, miał przyjemną barwę czekolady z mlekiem.

- Teraz musimy tylko wybrać jakieś przyzwoite ubranie i zaręczam, że w poniedziałek uda ci się poderwać kogoś znacznie sympatyczniejszego niż tamten nieszczęsny komputerowiec.

Alice rzuciła Tash ostrzegawcze spojrzenie.

- W porządku, wiem, że nie jesteś jeszcze gotowa na nowy związek, skarbie, ale naprawdę powinnaś jak najszybciej wrócić do normalnego życia. - Tash położyła na sercu dłoń ze świeżo pomalowanymi na zielono paznokciami i mrugnęła do przyjaciółki.

- Powoli, krok po kroku, profesorze Higgins... - rzekła Alice, całkiem zadowolona, że poświęca się jej dużo uwagi.



Po raz pierwszy od dawna miała ochotę wybrać się na zakupy.

- Do Gapa? - jęknęła tonem nastolatki, którą rodzice prowadzą do pierwszego z brzegu sklepu osiedlowego, żeby kupić jej buty.

- Jak na kogoś, komu jest absolutnie obojętne, jak wygląda, jesteś bardzo wybredna.

- Kto powiedział, że jest mi to obojętne? - oburzyła się Alice, powłócząc nogami i niechętnie przyglądając się tenisówkom i sportowym ubraniom.

Tash zmierzyła ją znaczącym spojrzeniem.

- Tak się składa, że wydałam całą pierwszą pensję na ufarbowanie włosów na odcień, jaki i tak przybrałyby po tygodniu na słońcu, tylko dlatego, że zwyczajnie nie chciało mi się czekać - oświadczyła Alice, w pełni świadoma, że brzmi to jak dziecięce przechwałki. - Nie zamierzam oszczędzać na ubraniach...

Wszystko wskazywało na to, że zbyt długie przebywanie w najmodniejszej dzielnicy świata uderzyło jej do głowy. Spuściła wzrok i zajęła się oglądaniem letnich sukienek, ale spojrzenie Tash było wyjątkowo przenikliwe.

- No, no, może jednak masz w sobie zadatki na dziewczynę z Hollywood. - Tash się uśmiechnęła. - Chodźmy wreszcie na prawdziwe zakupy, dobrze? Starłam się tylko rozpoznać, czy pod tą nieco zaniedbaną powłoką jest trochę miejsca na poprawę.

Alice zamachnęła się na nią czarnym swetrem, ale Tash szybko ukryła się za wieszakami z golfami i bliźniakami.

- Poza tym muszę dbać o swoją reputację - ciągnęła. - Jesteś Angielką i to już jest wystarczająco złe, ponieważ od czasu wielkiej popularności filmu *Cztery wesela i pogrzeb* Anglicy stali się mało oryginalnymi dodatkami w tym mieście. Przez pewien czas wszyscy zachwycali się nimi, ale potem wyszli z mody. Będziesz musiała zdobywać punkty w nowej kategorii, mianowicie: elegancko ubrana Brytyjka.

Wyszły ze sklepu Gapa i ruszyły do salonu Ralpha Laurena.

Alice kupiła tam wyjątkowo piękny pasek i była przekonana, że całkowicie odmieni on jej życie. Warto zauważyć, że często prezentujemy takie oczekiwania w stosunku do świeżo nabytych przedmiotów - liczymy, że w krótkim czasie przeobrażą nas w nowe, olśniewająco atrakcyjne osobowości. Alice nie mogła się już doczekać, kiedy pojedzie na wakacje do Londynu i pokaże swoją fryzurę i paznokcie na Blackfrairs Road, oczywiście przypadkiem wpadając na Jamiego i jego Dziwkę.

Dziewczyny wróciły do domu obładowane torbami z centrum handlowego Barneys i bez tchu padły na kanapę. Większość z tych toreb stanowiła własność Tash, lecz to Alice zaczęła natychmiast wyjmować i oglądać swoje zakupy.

- Nadal nie jestem zupełnie pewna, czy jest mi dobrze w tym beżu - powiedziała, przykładając do siebie jedwabne spodnie i sweter z kaszmiru w tym samym kolorze.

Tash skrzywiła się lekko.

- Są kremowe, kochanie, nie beżowe.

- Żadna różnica. Nie wydaje ci się, że wyglądam jak wielka porcja owsianki? - Alice włożyła sweter przez głowę i wyczekująco spojrzała na Tash.

- A, właśnie! - Tash się ożywiła. - Jutro zawiozę cię na siłownię!

Alice zaczęła się zastanawiać, co zrodziło to nieświadome skojarzenie i doszła do wniosku, że musi chodzić o jej uda. O, tak, nic w takim stopniu nie kojarzyło się ludziom z obfitym śniadaniem jak uda Alice. Jamie porównał je kiedyś do swoich ulubionych kiełbasek cumberland.

## Rozdział 8

Patrick pocił się z niepokoju na pokładzie boeinga lecącego do Los Angeles. Przyrzekł sobie, że następnym razem wykupi klasę ekonomiczną. Siedzenia w pierwszej wykonano z beżowego skóropodobnego materiału obszytego sztucznym kożuszkim, co żywo przypominało mu, jak w wieku lat dwunastu został uwiedziony przez najlepszą przyjaciółkę matki na rozłożonej przed kominkiem skórze. Skrzywił się na to wspomnienie. Od tamtego czasu zdążył się już do tego przyzwyczaić, oczywiście do bycia uwodzonym, nie do owczych skór. Spotykało go to z łatwością do przewidzenia częstotliwością - nie żeby był jakimś adonisem czy kimś w tym rodzaju, ale po prostu miał coś w sobie. Kobiety widziały przede wszystkim jego chłopięco potarganą czuprynę i magnetyczne zielone oczy i oczywiście natychmiast pragnęły się nim zaopiekować. Irlandzki akcent sprawiał, że Patrick wydawał się jeszcze bardziej atrakcyjny.

Poczucie ogromnych możliwości w sprawach damsko-męskich, ugruntowane w dość wczesnym wieku, obdarzyło go optymizmem Casanowy, nie obarczając próżnością wielkiego amanta. Dość często padał ofiarą uroku jakiejś damy i gdyby wydawcy brytyjskiego *Who's Who* zapytali go o ulubione rozrywki, na pewno odpowiedziałyby, że są nimi kobiety, pieszczoty, i tak dalej. Kariera, jaką robił w teatrze, sprzyjała popularności u kobiet i romantycznemu nastawieniu do życia. Jako jeden z najmłodszych i najbardziej uzdolnionych reżyserów

w Londynie, stale zachęcał Antoniuszów i Kleopatry oraz inne pary kochanków do wypowiedzania swych kwestii z większym przejęciem i entuzjazmem.

- Czy nie moglibyście włożyć w tę scenę trochę więcej uczucia? - pojękiwał z budki suflera, podczas gdy aktorzy niepokoiili się reakcją swoich życiowych partnerów, którzy podczas premiery mieli zasiąść w pierwszych rzędach.

Zresztą, przecież wcale nie leciał do Los Angeles wyłącznie ze względu na nią, prawda? Od dawna planował tę wizytę. Z drugiej strony faktem jest, że nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, aby pędzić na drugi koniec świata za jakąś kobietą... Ale właśnie na tym polegał urok miłości. Alice w ogóle nie była w jego typie, lecz Patrick myślał o niej dosłownie przez cały czas, w dzień i w nocy, dlatego przyszło mu do głowy, że mógłby połączyć podróż do Los Angeles z próbą nawiązania znajomości z dziewczyną, która tak go zainteresowała. Ogólnie rzecz biorąc, wolał blondynki. Oczywiście raz czy dwa uległ czarowi rudowłosych, ale trzeba przyznać, że wszystkie one grały wspaniałe role w reżyserowanych przez niego sztukach, na przykład tragicznej i szlachetnej księżnej Malfi lub świętej Joanny d'Arc Bernarda Shaw. Jeśli miał być zupełnie szczerzy, to kochał się raczej w granych przez rude bohaterkach niż w nich samych... Jeżeli chodzi o Alice, to przecież nawet nie starał się dowiedzieć, kim jest, po prostu akurat skończył swego guinnessa i zupełnie przypadkiem wpadł na jedną z jej przyjaciółek przy barze.

- Czyjeś urodziny? - zapytał piękną Sophie, która obok niego czekała na swój tanqueray z limonką.

- Przyjęcie zaręczynowe - wyjaśniła, obdarzając go najbardziej promiennym uśmiechem i zastanawiając się, kim jest ten interesujący facet.

Może jest wolny i warto na niego zapolować? Sophie postanowiła, że zaraz po przyjeździe do domu sprawdzi, czy przypadkiem nie umieszczono go na opublikowanej w „Tatlerze” liście godnych zainteresowania kawalerów do wzięcia.

- Nie jesteś z Londynu, prawda? - zagadnęła, pociągając łyk tanqueray z limonką.

- Mieszkam w Dublinie - rzucił, zerkając przez jej ramię na Alice. - Czy to jest szczęśliwa narzeczona?

- Alice? Nie, skądże znowu. Alice wyjeżdża, to Trinny wychodzi za męża. Dostała cudny pierścionek zaręczynowy od Theo Fennella.

Patrick oszacował Sophie uważnym, celnym spojrzeniem. Bardzo długie nogi, zielone jak morze oczy... Zdecydowanie ładna. A więc tamta miała na imię Alice... Alice... Świetnie do niej pasowało.

- Dokąd wybiera się Alice? - zapytał od niechcienia, rozważając ewentualność odwiezienia Sophie do domu.

- Och, Alice... Do Stanów, chyba do Los Angeles. Słyszałam, że Dublin jest bardzo piękny...

Przejechała palcem po krawędzi szklanki i dokładnie przyrzęła się Patrickowi. Piękny egzemplarz. Dość wysoki, może odrobinę za szczupły, tak, trochę kościsty, ale to żaden problem, na szczęście. Wystarczy pójść z nim parę razy na kolację do baru Bluebird i wszystko będzie w największym porządku. Włosy rozczochrane, ale to także nic - znała wspańskiego fryzjera na Notting Hill, który robił cuda z męskimi czuprynami. Tak, już sobie wyobrażała, jak ona i ten cudny chłopak wchodzi do sklepu Bulgariego i wybierają pierścionek zaręczynowy. Do Bulgariego, oczywiście, że do Bulgariego. Theo Fennell był świetnym projektantem biżuterii, ale czy jego dzieła przetrwają próbę czasu? Nie wiadomo. No, więc pójdą do Bulgariego, a potem do salonu Catherine Walker, żeby obejrzeć suknie ślubne. Najprawdopodobniej będzie to cichy, prosty ślub, może w kościele św. Łukasza. A może on będzie miał inny pomysł...

- Czy twoja rodzina mieszka w Dublinie? - zapytała, chcąc wiedzieć, na jakie przeszkody może się natknąć przy realizacji planu.

- Przez część roku - odparł nieuważnie, znowu wpatrując się w coś za jej plecami.

Boże, ci Irlandczycy są strasznie roztargnieni...

\*

Przypomniał sobie, że lekko się zirytowała, kiedy przyjechał na przyjęcie w jej domu prosto ze studia RSC w Clapham ubrany w wyświechtane dżinsy i białą koszulę, ale potem odbiła to sobie (chyba nieświadomie), przedstawiając go swoim gościom jako „jednego z tych artystów” i wybuchając nieopanowanym chichotem. Później zaczęli rozmawiać o Alice, najprawdopodobniej dlatego, że nie mieli żadnego innego wspólnego tematu. Koniec końców Sophie powiedziała mu, że właściwie nie ma nic przeciwko temu, aby pojechał za Alice do Stanów, ponieważ ona sama i tak jest zakochana w niejakiim Simonie B., a zresztą matka by ją zabiła, gdyby wyszła za socjalistę. Patrick nie miał zielonego pojęcia, o co Sophie chodzi, bo przecież to ona była w jego typie, nie Alice. Po wyjściu gości wypili nawet razem parę kieliszków szampana.

Kiedy wrócił w nocy do domu, od razu zadzwonił do Jacka, swojego najbliższego przyjaciela, który mieszkał w Los Angeles.

- Masz jeszcze ten wolny pokój, Jacko? - zapytał.

- Aha! Czyżby Patrick Wilde zdecydował się zaprzedać duszę Hollywood?! - wykrzyknął Jack, przełykając jajecznicę z wędzonym łososiem, którą codziennie jadał na balkonie z widokiem na plażę.

- Nie, ale mam spotkanie z producentem, który chce sfinansować filmową wersję *Mewy*.

- Czyli że zaprzedałeś swoją czystą duszyczkę. Wydawało mi się, że nie chcesz robić filmów.

- Zgadza się, ale ten facet chce po prostu sfilmować moją sztukę z kilkoma poprawkami i o to właśnie chodzi. Poza tym spotkałem dziewczynę i...

Po szampanie Patrick zawsze mówił rzeczy, których normalnie nigdy by nie powiedział.

- A to dopiero niespodzianka! - roześmiał się Jacko, który znał ten scenariusz na pamięć. - Niech zgadnę, metr siedemdziesiąt, tleniona blondyna, kiedyś grała w RSC, a teraz dostała rolę w serialu telewizyjnym. Trafiałem?

Jacko wiedział, że kiedy Paddy kończy pracę nad sztuką, natychmiast skupia uwagę na najbardziej atrakcyjnej aktorce.

- Mylisz się, i to bardzo. Prawdopodobnie w ogóle się z nią nie zobaczę, bo mieszka w Santa Monica, a ty na Manhattanie, prawda? Tak czy inaczej, mam parę wolnych tygodni, więc może pomalowalibyśmy całe Los Angeles na fluorescencyjny odcień szkarłatu, co ty na to?

- Nie robisz się trochę za stary na tego rodzaju numery, Pat? - Jack westchnął. - Po sztuce *Playboy Zachodu* pogałaś za jakąś babeczką do Sydney, w zeszłym roku byłeś z tą instruktorką gimnastyki artystycznej z Nowego Jorku... Mam wrażenie, że za dużo ci płacą za rolę cudownego dziecka. Nie nudzi cię to?

- Chyba żartujesz! Jest wspaniale! Ty po prostu nie doceniasz kobiet, Jacko, nie zdajesz sobie sprawy, że różnorodność tych istot jest nieograniczona. Przy tym każda z nich ma w sobie coś zupełnie wyjątkowego i zdumiewającego - a to sposób, w jaki gładzi włosy na twoim karku, a to ruch, jakim w nocy pociera swoją nogą o twoją... Wszystko to drobiazgi, ale na tym polega cud natury. W każdym razie ta dziewczyna to zupełnie co innego, stary. Wcale mi się nie podoba. Nawet jeżeli przyjadę, raczej się z nią nie zobaczę...

- Wszystko jasne. Przygotuję ci łóżko.

Jack znał Patricka od czasu, gdy wystąpił jako Ariel w jego inscenizacji Szekspira w jakimś zapyziałym teatrze w Camden. Spektakl błyskawicznie zszedł ze sceny, ale ich przyjaźń przetrwała. Kiedy Jack czasami przyjeżdżał do Londynu na przesłuchanie do roli, Paddy zawsze gościł go w swoim zaskakująco dużym i luksusowym mieszkaniu w Soho.

Jack odłożył słuchawkę i zaczął się zastanawiać, o co chodzi, do diabła. Paddy nigdy nie był nieśmiały w kontaktach z kobietami, zawsze mówił otwarcie, którą chce zdobyć, i szybko przystępował do akcji. Ponieważ jak dotąd ani razu nie spotkał się z odmową, pojęcie ostrożności nie istniało w repertuarze stosowanych przez niego środków. Dla Paddy'ego wszystko było dziecinnie proste - przybywał, zdobywał i kochał się ze swoją wybranką do końca świata, którym zwykle było pojawienie się w polu widzenia następnej interesującej kobiety.

Paddy wyprostował nogi i wyciągnął je do połowy przejścia między fotelami. Oczywiście, że nie był na to za stary. Ciężko pracował i ostro się bawił. Wiedział, że razem z Jackiem urządzą kilka hucznych imprez w Los Angeles. Otworzył torebkę orzeszków ziemnych i pomyślał, że jeżeli wszystko ułoży się zgodnie z planem, może nawet zdoła wcisnąć do rozkładu pobytu w LA krótki romansik z miłą dziewczyną i przed upływem miesiąca wrócić do Londynu na casting do sztuki *A. Chaste Maid in Cheapside*. Wszystkie te miłosne zabiegi nie trwały zwykle zbyt długo - kwiaty, pozornie niewinny lunch w pięknej restauracji, a potem gorąca sješta i mniej więcej dwa tygodnie grzesznej namiętności, no, najwyżej miesiąc. Patrick był realista, nie cynikiem. Zamknął oczy i postanowił się zdrzemnąć. Gdyby tylko udało mu się nie myśleć o Alice...

scandalous



## Rozdział 9

- Nawet Bóg odpoczywał w niedzielę! - poskarżyła się głośno Alice, naciągając kołdrę na głowę.

- To dlatego, że Bóg nie miał sflaczałych, tłustych ud! - odchrzyknęła Tash z łazienki, wypływając do umywalki pastę do zębów. - Czterdzieści minut dziennie na ruchomych schodkach w siłowni i wkrótce będziesz jak nowa! Po treningu zabiorę cię na pyszny omlet, co ty na to?

- Ile czasu zostało do lunchu, panienko?

- Udam, że tego nie słyszałam. - Tash zgasiła światło w łazience i zajrzała do pokoju Alice. - To dla twojego dobra, skarbie.

- Wiem, wiem. Jestem niewdzięczną krową, ale ciągle nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia, że moja najlepsza przyjaciółka, kiedyś słodka nastolatka ze słabością do paskudnych legginsów, przeszła transformację duchową i fizyczną i teraz jest świetnie zorganizowaną, zdyscyplinowaną i ołsniewająco piękną boginią. To zbyt wielki szok, nie potrafię sobie z tym poradzić.

Tash poklepała otuloną kołdrą kluskowatą wypukłość na łóżku i uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Nic się nie martw, niedługo sama spocznieś na pokrytym ożywczą rosą szczycie Olimpu, kochanie. Dobranoc.

Mam dosyć spoczywania, pomyślała Alice, przypominając sobie miesiąc po odejściu Jamiego. Prawie w ogóle nie wstała wtedy z łóżka, a jej pokój stał się zwykłym śmietnikiem,

zasypanym kubeczkami po pełnotłustym jogurcie i opakowaniami po czekoladowych jajeczkach ze śmietankowym nadzieniem. Nie odsłaniała też okien. Gdyby nie propozycja Simona, aby przeprowadziła się do jego domu przy Waterford Street oraz pojawiające się z irytującą częstotliwością monity z banku, prawdopodobnie nadal szlochałaby pod kocem, ubrana w nieśmiertelne spodnie do joggingu. Kiedy teraz dotykała swoich nowych włosów, pozbawionych rozdwijających się końców, czuła szczerze zadowolenie, że jej czas spoczywania dobiegł końca, ale nie była jeszcze gotowa, by przyjąć rolę bogini. Nie miała zresztą na to wielkich szans, nawet gdyby zamieszkała w siłowni i na stałe zatrudniła Randi oraz Andiego. Nie szkodzi, pomyślała, włączając kaskadę wodną za wezłowiec łóżka. Przynajmniej przez tę jedną noc mogę udawać, że jestem albo kiedyś będę boginią...

I gdyby nie dziwne, żółtawe światło kandelabrow, które przypomniało jej to, czego nie powinna sobie przypominać, a mianowicie włosy Jamiego, może przynajmniej raz zasnęłaby, nie płacząc.

To mit, że można wybrać się na siłownię w najstarszych i najmocniej poprzecieranych czarnych legginsach oraz dziurawej koszulce, i nikt nawet na nas nie spojrzy. Alice odkryła, że sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej - wszyscy przyglądali się jej z wyraźnym zaciekawieniem. Właśnie spadła z ruchomych schodków, a miss świata, która ćwiczyła z tyłu, głośno posykiwała z niezadowolenia, ponieważ pupa Alice zasłaniała jej połowę lustra.

- Rytualne upokorzenie... - jęknęła Alice, zajmując miejsce na ruchomej taśmie do biegania, aby spalić parę kalorii.

Dobrze chociaż, że z chodzeniem i bieganiem jest znacznie łatwiej. Stała przy liczniku i postanowiła użyć swojej elementarnej wiedzy o komputerach w celu zaprogramowania tej wściekłej maszyny. Ciekawe, dlaczego teraz nie wyrósł przy niej jak spod ziemi jakiś obleśny idiota z działu komputerowego... Taśma zaszumiała i zaczęła się przesuwac. No, w po-

rzędu, pomyślała z dumą. Nadal stoję. Maszyna zapiszczała i zażądała podania tempa bicia serca.

- Niby skąd mam to wiedzieć, do cholery? - Alice się zdeenerwowała.

- Połóż ręce na czytnikach, skarbie, a komputer sam poda odpowiednie dane! - zawołała staruszka ćwicząca na taśmie obok, przekrzykując głos Bryana Adamsa.

Alice utkwiała wzrok w pomarszczonych ramionach sąsiadki i zagapiła się tak bezmyślnie, że o mały włos nie spadła ze swojej maszyny.

- Tutaj! - Staruszka poklepała dwie srebrzyste rączki i obnażyła w uśmiechu najdoskonalsze i najbielsze zęby, jakie Alice kiedykolwiek widziała, jeśli nie liczyć reklamy wybielającej pasty Pearl Drops.

Był to zupełnie niesamowity widok. Alice zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem staruszka nie występuje w specjalnym odcinku *Archiwum X*.

- Dziękuję... - Zaciśnęła dłonie na rączkach-i natychmiast zauważyła, że maszyna nawet nie odnotowała faktu, iż ona ma serce.

A może go nie miała? Wszystko przez tego cholernego Jamiego, skrzywiła się boleśnie.

- Idziemy na ciężarki? - Uśmiechnięta Tash wyrzała zza pleców Alice, tryskając energią godną labradora w stanie ustawicznej rui.

Tym razem Tash postanowiła odsłonić prawie całe uda i brzuch. No i oczywiście połowę jędrnego, dziarsko podskaakującego biustu. W tym miejscu nikogo to nie raziło, ponieważ wszędzie, jak okiem sięgnąć, Alice widziała przykłady rękodzieła najlepszych chirurgów plastycznych w Hollywood. Jamie oszalałby ze szczęścia, pomyślała z goryczą. W porównaniu z tym, co miały do zademonstrowania inne kobiety, jej koszulka była wręcz wklęsła...

Schodząc do szatni, z całej siły trzymała się poręczy. Nogi jej drżały. Od początku czuła, że dwie minuty na maszynie wzmacniającej wewnętrzne mięśnie ud to za dużo, ale Saffron

nie chciała jej słuchać. Saffron była od dziś jej osobistą trenerką. Młoda Australijka pod koniec treningu poinformowała ją, że na taśmie spaliła koło czternastu kalorii. Alice, która miała wrażenie, że ćwiczyła przez cały miesiąc bez chwili przerwy, przygryzła wargę i z najwyższym trudem oparła się pokusie popchnięcia sprężystego ciałka Saffron prosto na napakowanego sterydami entuzjastę podnoszenia ciężarów.

- Ach, w ogóle się tym nie przejmuj! - zaświergotała Saffron, macając palcem fragmenty krągłych kształtów Alice, widoczne przez dziury w legginsach. - Pij dużo wody, a zobaczysz, że twój cellulitis wkrótce stanie się tylko przykrym wspomnieniem!

Pij dużo wody, a nigdy nie wyjdiesz z toalety, sarkastycznie pomyślała Alice. Swoją drogą ciekawe, ile litrów wody musiałyby wypić, żeby jej uda i pośladki, których skóra przypominała pokrytą kraterami powierzchnię Księżyca, trochę się wyładziły...

- Jesteś Angielką, prawda? - Saffron uśmiechnęła się ciepło, poprawiając swój idealny kucyk.

Alice kiwnęła głową.

- Moja mama pochodzi z Walii. - Saffron z wyraźną przyjemnością podzieliła się z Alice tą wiadomością.

Alice odpowiedziała jej równie ciepłym uśmiechem. Poczuła sympatię do dziewczyny, która ani nie próbowała pozbawić ją ukochanego czarnego swetra, ani nie zachęcała do wykorzystania należnych kobiecie praw. Może jako rodaczki ze Wspólnoty Brytyjskiej powinny trzymać się razem? Saffron była chyba podobnego zdania.

- Nie masz faceta, co? - Ton Saffron wskazywał, że nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Ehhh... - Alice odchrząknęła. - Nie, w tej chwili nie... Robię sobie krótką przerwę. Szczerze mówiąc, chcę odpocząć.

Naturalnie Saffron jej nie uwierzyła. Alice przyszło nagle do głowy, że jeżeli wszystkie kobiety w tym mieście wyglądają tak jak jej trenerka, to ona nie ma najmniejszych szans na znalezienie faceta, choćby nie wiem co robiła. Saffron wcisnęła jej wizytówkę do ręki.

- Jeżeli będziesz miała ochotę popracować nad wzmocnieniem mięśni wewnętrznych ud, to zadzwoń, dobrze?

Potem odwróciła się i lekkim krokiem, zupełnie jakby była z gumy, pobiegła na następne zajęcia z aerobiku. Alice zamrugała nerwowo i spojrzała na wizytówkę. Nie była do końca pewna, czy właśnie została obrażona, czy też może poderwana przez kobietę.

- Prosimy cię tylko, żebyś przyszył to sobie do wewnętrznej strony bokserek i przeszedł przez kontrolę celną.

Jeszcze parę dni temu Simon sądził, że najlepszym sposobem na pozbycie się południowoamerykańskich gangsterów, którzy przyczepili się do jego przyjaciela Gibbo, będzie spełnienie ich żądań, ale teraz nie był już tego taki pewien. Trzeba zrobić, co każą, mówił wcześniej. Donatello i jego ludzie byli mali i raczej drobni, lecz twardzi jak orzechy brazylijskie. Obiecali Simonowi i Gibbo, że jeżeli przeschmuglują kilka rzeczy do Meksyku, raz na zawsze dadzą im spokój, jednak w tej chwili ta propozycja nie wydawała się szczególnie kusząca.

- Jeżeli sugerujesz, żebym wepchnął to sobie do tyłka... - Simon Benedictus mocno zwarł pośladki na samą myśl o takim okropieństwie.

- Oczywiście, że nie! Spójrz na siebie - jesteś Anglikiem, osobą prawie królewskiego rodu. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zatrzymać cię na kontroli celnej, tymczasem ja... Wystarczy, że powiem „dzień dobry” i już aresztują mnie za przemyt heroiny. - Gibbo odgarnął jasne dredy z gładkiego, brązowego czoła i rzucił Simonowi błagalne spojrzenie. - Jeżeli nie przewieziemy tego do Meksyku, oni mnie zakatrupią, człowieku.

- A jeżeli przewieziemy, dadzą nam spokój, tak? Jesteś tego pewny, Gibbo? - Simon odwrócił się w hamaku i zaczął rysować patykiem koła na piasku. - Bo naprawdę nie mam ochoty narażać się tylko po to, żeby ci dranie ścigali nas po całym Meksyku...

- Nie, nic z tych rzeczy! Mamy to przemycić do Meksyku, oddać Donatellowi i tyle. Potem ja wsiedam do samolotu i od-

latuję do Melbourne. Chrzanię to wszystko, mojemu staremu potrzebny jest partner do prowadzenia biura księgowego, więc sądzę, że mu się przydam. - Gibbo wstał i zaczął spacerować po tarasie.

Skrzyżowane sznury, na których zawieszony był hamak, rzucały cień na jego plecy i szerokie ramiona surfera.

- Zrobię to tylko, jeżeli przysięgniesz, że inaczej oni cię zabiją. Jeśli grozili ci tylko torturami, to sobie odpuszczam, bo uważam, że powinienesz stawić im czoło jak mężczyzna.

Simon zmrużył oczy i wbił wzrok w olśniewający horyzont. Bardzo żałował, że zaproponował swego nikona Donatellowi jako polisę za Gibbo. Chociaż z drugiej strony... Nie był przekonany, czy kiedykolwiek będzie jeszcze robił zdjęcia. Ostatnią przyzwoitą rolę zrobił w striptizerskim klubie w Rio. Dział foto redakcji „The Sunday Times” prawdopodobnie kupiłby go na pniu, ale Simon był już mocno znudzony Ameryką Południową. Może po tej całej historii wybierze się do Azji? Kto wie... Tubylcy w Azji nie byli tacy natarczywi.

- Znam hiszpański dość dobrze, żeby dostrzec różnicę między zwrotem „wyrwiemy ci paznokcie” a „zamordujemy cię z zimną krwią”, nie sądzisz? - Gibbo nie ukrywał przerażenia.

Simon pociągnął duży łyk piwa.

- No, dobra, pójdę na to. Ale jeżeli ktoś dotknie mojego tyłka, to jesteś trupem, stary.

## *Rozdział 10*

- I co się stało z tym facetem we Włoszech? - Alice wbiła czubek łyżeczki w miąższ melona i łakomym wzrokiem zmierzyla podwójną porcję naleśników z bekonem na sąsiednim stole.

- No, wiesz, aktorzy to aktorzy. Specjalny gatunek. Facet grał główną rolę w filmie, przy którym pracowałam w Mediolanie. Doszliśmy do wniosku, że może powinniśmy postarać się o dzieci, więc pojechaliśmy do jego rodzinnego majątku w Toskanii. Po kilku tygodniach występowania w roli żony i suszenia pomidorów na słońcu robiło mi się niedobrze z nudów. Poza tym zaczęliśmy rzucać w siebie nieglazurowaną ceramiką z okresu umbryjskiego, więc wyjechałam.

- Tęsknisz za nim? - zapytała Alice, która w tej chwili tęskniła za Jamiem bardziej, niż chciała się przyznać.

Niedzielne przedpołudnia miały w sobie coś dziwnego. Najlepszym sposobem ich spędzania było wylegiwanie się w łóżku do południa, a potem wyprawa do restauracji, gdzie można wypić kilka drinków krwawej mary i zjeść pyszną pieczeń. Nic nie mogło się z tym równać.

- Czy za nim tęsknię? Wcale nie. Może zacznę romansować z szefem zdjęć filmu, nad którym teraz pracuję... Fotografowie są o wiele bardziej kreatywni niż aktorzy, poza tym uwielbiam ten ruch, którym zarzucają sobie kamerę na ramię... - Przerwała i z namysłem oblizała piankę z cappuccino

z łyżeczki. - Kiedy to widzę, zaczynam żałować, że to kamera, a nie ja...

Nie ulegało wątpliwości, że wyobraża sobie, jak by to było, gdyby jakiś mocarny facet zarzucił ją sobie na ramię.

Alice wróciła myślami na skapaną w niedzielny słońcu Fulham Road. Zdawała sobie sprawę, że jej wspomnienia są blade i nijakie w porównaniu z pełnokrwistymi marzeniami Tash.

- Czy chciałaś kiedyś urodzić Jamiemu dziecko? - zapytała Tash, otrząsając się z namiętnych, gorących snów o przyśrości i wrzucając dojrzałą malinkę do ust.

- Nie, raczej nie... Nie byliśmy jeszcze gotowi na ten etap...

Dlaczego brzmiało to tak słabo i mgliście? Alice czuła się jak jedna z tych kobiet, które poświęcają na seks dwa razy po piętnaście minut tygodniowo - zero namiętności, zero radości życia. Ona prąta Jamiemu strój do rugby, a on, wychodząc do pubu, burzył palcami jej włosy i mówił: „Do zobaczenia później, skarbie. Och, dobrze, że sobie przypomniałem. Czy mogłabyś przeciągnąć żelazkiem moją różową koszulę? Jutro mam spotkanie z klientem, więc sama rozumiesz...”.

Tragicznie patetyczne było to, że „skarbowi” wcale to nie przeszkadzało, wręcz odwrotnie, „skarb” z radością chłonał każde słowo ukochanego. I nawet polewając vanissem te paskudne plamy po drinkach z sokiem malinowym na kołnierzyku koszuli (jak to możliwe, że ona kiedykolwiek w to wierzyła?!), „skarb” był absolutnie szczęśliwy.

- Ja chciałam mieć mnóstwo dzieci - powiedziała Tash. - Nadal chcę, ale teraz szukam odpowiedniego materiału genetycznego. Nie ma nic strasznego w tym, że wyjdiesz za zbikowanego faceta, bo przecież możesz się z nim rozwieść i zatrzymać dom w Bel Air. Ale zbikowane dziecko to zupełnie co innego, bo jesteś na nie skazana na całe życie. Dlatego lepiej zachować najdalej posuniętą ostrożność...

Alice zaczęła się zastanawiać, jak może wyglądać dziecko Jamiego. Cóż, prawdopodobnie będzie miało nienaganną fryzurę i skłonność do minispódniczek, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, że z pewnością nie Alice wyda je na świat.



Tash bezbłędnie odgadła jej myśli.

- Zrobiłaś już ogromny krok do przodu, Ali Babo - rzekła ciepło. - Ani się obejrzysz, jak znajdziemy ci mężczyznę twoich snów.

Alice głośno przełknęła ślinę. Miała ochotę przypomnieć Tash, że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nigdy nie poszłaby do łóżka z facetem z LA, ale szybko uświadomiła sobie, że taka uwaga stanowiłaby żywy dowód jej niewdzięczności.

- Myślę, że w tej chwili nie potrzebuję żadnego mężczyzny. Dlaczego wszyscy tak interesują się moim życiem emocjonalnym? Czy jesteś lepszym człowiekiem, jeśli masz faceta?

- W żadnym razie! Oczywiście, że nie! Chodzi mi tylko o to, że... - Tash przerwała i wbiła zęby w kawałek papai. - Widzisz, jestem pewna, że gdybyś miała przyzwoite życie seksualne, nie płakałabyś tyle...

- Nie mogłaś przeze mnie zasnąć? - Alice natychmiast poczuła się winna.

- Tylko dwie godziny. Potem tyknęłam garść melatoniny i zasnęłam jak dziecko.

- Przepraszam cię, Tash. Postaram się nie absorbować cię swoimi nieszczęściami.

- Byłoby lepiej, gdybyś wyrzuciła to wszystko z siebie. Mniej więcej za tydzień zaczyna się kurs seksu tantrycznego gdzieś w Manhattan Beach. Jeżeli do tego czasu nie rozwiążemy twoich problemów, to spróbujemy cię tam zapisać. Dzięki takiemu kursowi twoje hormony ruszą z miejsca jak szalone, zobaczysz.

- Dlaczego uważasz, że powinnam nauczyć się czegoś o seksie? - zapytała Alice z oburzeniem.

- Bo gdybyś rzeczywiście coś o nim wiedziała, nie mogłabyś się nim nasycić, kochanie - odparła Tash z pobłażliwym uśmiechem. - Nie przejmuj się, przecież jesteś Angielką. Nikt nie spodziewa się po tobie cudów, ale pomyśl tylko, jaką przyjemną niespodziankę sprawiłabyś mężczyźnie, który zaprosiłby cię do łóżka, spodziewając się przysłowiowego „łodu w majtkach”, a trafił na takie pokłady złota...

Ach, ci cholerni Amerykanie, pomyślała Alice. Prymitywni, źle wychowani, wulgarni. Wydaje im się, że świat kręci się wokół genitaliów. Wszystko przez te idiotyczne filmy.

- Powiem ci jedno, Tash - my, Anglicy, wcale nie jesteśmy pruderyjni. Tak się składa, że słyniemy z perwersji seksualnych. Nigdy nie słyszałaś o torysach?

Mężczyzna przy sąsiednim stoliku mrugnął do niej i znacząco oblizał wargi. Obrzydliwość! Alice rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i zadrżała.

- Cudownie, Alice, tak trzymaj! - Tash wyraźnie się ucieszyła. - Mów, co ci leży na wątrobie! W Kalifornii wszystko jest dozwolone!

- Chciałabym tylko, byś zrozumiała, że nie mam nic przeciwko seksowi, ale mężczyzna powinien być przystojny i...

- Nie zamierzasz mi chyba powiedzieć, że musisz być w nim zakochana? - Tash odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się, odsłaniając dwa rzędy perfekcyjnie ustawionych i polakierowanych zębów.

- Nie. Szczerze mówiąc, jestem otwarta na propozycje. Tak jest. Jeżeli znajdę faceta, który spełni moje wymagania, z radością oddam się wielkiej namiętności, słowo daję - rezolutnie oświadczyła Alice.

Miała na myśli zupełnie co innego, ale uznała, że musi spełnić obowiązek wobec swego narodu. Zaszczytne obowiązek. Nie może przecież pozwolić, aby reputacja jej rodaków legła w gruzach. Boże, chroń królową! Święty Jerzy, wspomagaj Anglię!

Alice ułożyła swoje nowe ubrania na krześle w kącie pokoju, przygotowując się do pierwszego dnia w nowej pracy. Czowała się tak, jakby wracała do szkoły po letnich wakacjach. Brakowało tylko nowego blaszanego piórnika oraz butów z niepodrapanymi noskami i sztywnymi sprzączkami. Nieważne, że po dwóch dniach nowe ołówki będą wyglądały jak stare, a okładkę nowego zeszytu (specjalnie do prac domowych) pokryją imiona gwiazd muzyki pop - liczy się myśl, chęć rozpo-

częcia wszystkiego od nowa. Postaram się dać z siebie wszystko w tej pracy, pomyślała z nagłym entuzjazmem. Nie zmarnuję szansy.

Postanowiła pokazać Jamiemu i Helen, że wprawdzie śpią ze sobą pod jej kołdrą w mieszkaniu w Clapham, ale jeszcze jej nie pokonali.

scandalous

## Rozdział 11

Paddy siedział przed barem na plaży w Santa Monica, popijał kawę z mlekiem i zastanawiał się, na kiedy powinien ustalić datę spotkania. Nie był nawet pewien, czy ten facet w ogóle jest w mieście. Co jeszcze mógł zrobić? I co z dziewczyną? Nieźle się wkopał. W tej chwili wiedział już, że Alice mieszka z Tash, która pracuje jako pierwszy asystent reżysera na planie filmu pod tytułem *Bat*.

Aby zdobyć te informacje, uruchomił swoje znajomości w świecie filmowym, których miał całkiem sporo. Co jakiś czas ktoś ze znajomych dzwonił do niego z pytaniem, czy nie zgodziłby się wyreżyserować następnego filmu z Sylwestrem Stallone.

- Słuchaj, Patrick, takiego scenariusza nie powstydziliby się sam Tołstoj - mówili. - Film ma nosić tytuł *Zemsta należy do mnie*. Dostaniesz samochód i jeszcze jakieś bajery. Firma Fisher Price ma świetne próbki dmuchanej lalki o nazwie „Podstępna zemsta” z przyczepianymi do pasa granatami, oszalejesz na jej punkcie, zobaczysz.

Patrick nieodmiennie odmawiał. Nie miał serca do kamer, nie rozumiał ich. Wystarczało mu to, co zarabiał w Londynie i nie wyobrażał sobie, na co miałyby wydać dzikie pieniądze, jakie dostałyby za zrobienie filmu w Hollywood.

Tak czy inaczej, znajomi skierowali go we właściwym kierunku i dowiedzieli się, gdzie teraz przebywa ekipa kręcąca *Bat*. Patrick musiał tylko zjawić się jutro w studio, pojechać za

Tash do domu i odnaleźć Alice, dziewczynę, która wcale mu się nie podobała, ale wyglądała na dość zabawną. Nic więc nie stało na przeszkodzie, aby zaprosił ją na kolację czy drinka, oczywiście ze zwykłej sympatii. Teraz, kiedy wiedział, gdzie mieszka, doszedł do wniosku, że właściwie nie ma nic innego do roboty. Szczerze mówiąc, sam Columbo nie poradziłby sobie lepiej. Paddy był prawdziwym specem od tropienia i uwodzenia kobiet. Nie traktował zresztą tego jako zadania detektywistycznego, widział się raczej w roli średniowiecznego rycerza, który znajduje rękawiczkę z delikatnej koronki i po prostu musi zdobyć jej właścicielkę. Tak wyglądała jego własna wersja poszukiwań świętego Graala.

Słońce powoli stoczyło się za molo. Zapalając papierosa, Patrick zauważył nagle siedzącą przy sąsiednim stoliku dziewczynę. W Santa Monica kręciły się tłumy neohippisek, ale niektóre z nich były śliczne, prawdziwe dzieci-dzieci-kwiatów. Woodstock z pewnością przyczynił się do uwolnienia ciała i ducha wielu Amerykanek, pomyślał, i leniwie mrugnął do dziewczyny, której kuse dzinsowe szorty prawie nie zakrywały cudownej pupy w kształcie kalifornijskiej brzoskwini.

Kiedy Tash zostawiła przyjaciółkę na parkingu i pomachała jej na pożegnanie, Alice bez pośpiechu weszła do budynku i skierowała się do biurka recepcjonistki firmy Star Public Relations. Ze zdenerwowania bolał ją brzuch. Wielki hol rozbrzmiewał echem jej kroków, a umieszczone na ścianie dwadzieścia cztery monitory rejestrowały każdy ruch. W nowym kaszmirowym komplecie wyglądała jak chodząca miska budynku karmelowego. Trudno. Nie miała dokąd uciec ani gdzie się ukryć. Pozostałe ściany tworzyły prawdziwe planetarium - od podłogi do sufitu pokryte były wielkimi zdjęciami sław. Stojące w wazonie na biurku białe lilie w niemym zachwycie zwracały ku nim anemiczne główki. Ale chociaż siedząca za biurkiem osoba powinna bez trudu dostrzec mrówkę, gdyby ta ośmieliła się wejść do środka i przebiec po marmurowej podłodze, Alice miała pewne problemy ze zwróceniem na siebie uwagi recepcjonistki. Czekala już piętnaście minut, przysłu-

chując się, jak platynowa blondynka (jakżeby inaczej!) opowiada o swoim przesłuchaniu do trzecioplanowej roli w serialu *Beverly Hills 90210*.

- Ciąta, jakich nigdy nie widziałas - skarżyła się, wyciągając daleko przed siebie rękę, aby z odpowiedniej perspektywy obejrzeć niebieskie paznokcie. - W czym mogę pomóc? - zwróciła się wreszcie do Alice pogodnym, energicznym głosem, którego ciepłej barwie całkowicie zaprzeczało zimne spojrzenie zielonych oczu.

- Dzień dobry. - Alice się uśmiechnęła. — Nazywam się Alice Lewis i dzisiaj zaczynam tu pracę...

Recepcjonistka utkwiała obojętny wzrok w jej twarzy.

- Hmm... Nie wydaje mi się - oznajmiła, lekko wydymając wypełnione sztucznym kolagenem wargi.

- Jak to? - Alice, zdziwiona, natychmiast pomyślała, że może jednak się pomyliła.

- Widzi pani, gdyby miała tu pani zacząć pracę, na pewno bym o tym wiedziała. - Blondynka weszła teraz w rolę królowej Saby.

- Chodzi mi o dział kontaktów ze środkami masowego przekazu i publicznością - wykrztusiła Alice.

- Cała ta firma zajmuje się kontaktami z mediami i publicznością. Naprawdę nie wiem, co ma pani na myśli...

Recepcjonistka zajęła się masowaniem sobie skroni i całkowicie zignorowała intruza.

Na szczęście właśnie w tej chwili Alice zauważyła, że do holu weszła jedna z osób, które przeprowadziły z nią rozmowę kwalifikacyjną.

- Ehm... - chrząknęła. - Przepraszam bardzo... Jestem Alice Lewis, poznałyśmy się podczas rozmowy w sprawie pracy... Mam dziś zacząć pracę, ale nie wiem, gdzie powinnam się zgłosić...

Kobieta obdarzyła ją oficjalnym uśmiechem i zwróciła nie-nagannie uczesaną głowę w stronę blondynki sprawiającej teraz wrażenie urodzonej profesjonalistki, która, o dziwo, ani nie masowała sobie głowy, ani nie oglądała paznokci.

- Kelly? - rzuciła nowo przybyła.

- Och, sprawdzałam właśnie, w którym dziale oczekiwana jest panna Lewis. - Recepcjonistka uśmiechnęła się do Alice z dużą pewnością siebie, najwyraźniej przekonana, że dziewczyna, którą jeszcze przed chwilą traktowała jak powietrze, nie ośmieli się zaprzeczyć jej słowom.

Alice nie miała cienia wątpliwości, że wcześniej czy później Kelly otrzyma Oscara za odpowiednią rolę w odpowiednim filmie.

- Doskonale, w takim razie zostawiam panią w rękach Kelly, panno Lewis.

Kobieta pobiegła w kierunku wind, ściskając w rękę drogą skórzaną teczkę produkcji włoskiej, natomiast Kelly pracownice zastukotała w klawiaturę komputera.

- Proszę wjechać windą na siódme piętro - rzekła trzy sekundy później. - Tam będzie czekać na panią Lysette.

Alice zauważyła pogardliwie wyzywające spojrzenie, jakim w ostatniej chwili obrzuciła ją Kelly. Świetnie, Alice, już pierwszego dnia udało ci się podpaść recepcjonistce, pomyślała z gryzącą autoironią. Teraz Kelly będzie mogła sabotować wszystkie twoje osobiste telefony. Wyobraziła sobie, jak Kelly celowo myli Simonów z Kevinami i pyta Nathana, czy miło spędził czas z Alice w operze, doskonale wiedząc, że Alice tak naprawdę jeździła na rolnkach z Paulem. Hmm... Chciałaby dusza do raj... Alice szybko oprzytomniała, ponieważ winda dotarła na siódme piętro i drzwi otworzyły się z cichym poszumem.

- Lysette Jackson. - Smukła brunetka o równo obciętych włosach wyciągnęła dłoń do Alice, która wysiadła z windy, tym samym przekraczając próg ogromnego biura z imponującym widokiem na słynny napis HOLLYWOOD, umieszczony na zboczu wzgórza. - Jesteś Alice, prawda? Siedzisz przy biurku tuż obok mnie. Chodźmy. - Lysette uśmiechnęła się ciepło i poprowadziła Alice między grupkami ludzi, siedzących przy swoich stanowiskach pracy i hermetycznie przyklejonych do telefonów.

Ściany ozdobione były kolażami błyszczących fotografii klientów firmy. Niektórych z nich Alice świetnie znała z wiel-

kiego ekranu, twarze innych musiała wyławiać z pamięci. Do tej ostatniej kategorii należały przede wszystkim gwiazdki z lat osiemdziesiątych oraz etatowi odtwórcy ról bohaterских policjantów w filmach, które obecnie szły już tylko w stacjach kablowych. Alice bez trudu odgadła, jakiego typu gwiazdy będzie musiała promować.

- Proszę bardzo, oto twoje miejsce. - Lysette przysiadła na brzegu biurka i wskazała Alice ergonomiczne krzesło obrotowe. - Ty tutaj, ja tam. Zaraz zadzwonię do Jennifer, żeby przyszła i przedstawiła ci zakres twoich obowiązków. Jeżeli masz ochotę na frytki i pikantne skrzydełka na lunch, to możemy razem wybrać się do baru Koo-Koo-Roo. Będzie mi bardzo miło, jeżeli się do mnie przyłączysz.

Alice nie czułaby się szczęśliwsza, nawet gdyby otrzymała zaproszenie na wspólny wieczór nad prywatnym basenem od Tommy'ego Kelly, którego piękne, emanujące zmysłowością zdjęcie wisiało na ścianie najbliższej jej nowej szafki na dokumenty. Czy to znaczyło, że Tommy Kelly był klientem Star PR? Czy Alice będzie miała szansę go poznać? Na samą myśl o takim szczęściu poczuła zmieszanie. Tommy Kelly, bardzo niegrzeczny chłopiec Hollywood, którego każda kobieta pragnęła zmienić i zatrzymać przy sobie na zawsze... Ciekawe, co powiedziałyby na to Jamie...

- Z przyjemnością pójdę z tobą na lunch - oświadczyła radośnie i zakreśliła się na krzesło, podekscytowana świadomością posiadania własnych pólki i zszywacza.

Czuła, że pod beżowym kaszmirowym sweterkiem zaczyna bić serce prawdziwej profesjonalistki. Tak, ta wyprawa w świat kariery zawodowej na pewno sprawi jej dużo satysfakcji, chociaż nadal nie wiedziała, czego właściwie wymaga się od rzecznika prasowego gwiazd.

- A Jennifer to po prostu facet. - Lysette zlizwała majonez Koo-Koo-Roo z palców i z cichym siorbnięciem wypijała resztę coli.

Alice z zaskoczeniem podniosła głowę znad smażonego kurczaka w ostrym sosie. Była szczęśliwa, że jej nowi koledzy



i koleżanki z pracy nie wybrali się na lunch do baru ze zdrową żywnością, gdzie podano by jej kotleciki sojowe, albo coś w tym rodzaju. Tash za wszelką cenę starała się ją zagłodzić i Alice po prostu musiała zaopatrzyć się w porcję kalorii normalnego pochodzenia.

- Jak to? - zapytała, nie do końca pewna, czy rzeczywiście chce poznać odpowiedź.

- Nie mam na myśli nic złego, Jennifer nie jest lesbą, co to, to nie - rzekła Lysette i nachyliła się ku Alice z taką powagą, jakby zamierzała powierzyć jej najbardziej tajne informacje Pentagonu. - Od trzech lat nikt ani razu nie widział jej nóg...

Za to Lysette miała nogi, jakich mogłaby jej pozazdrościć każda dziewczyna, długie, zgrabne, o które bezustannie potykali się kelnerzy. Miała też południowy akcent, którym z pewnością oczarowałyby nawet grzechotnika.

- Recepcjonistka wydała mi się niezbyt... niezbyt przyjaźnie nastawiona do świata - wyznała Alice, decydując się przedstawić Lysette swoje wrażenia.

Lysette z powagą skinęła głową i ponownie nachyliła się w stronę Alice nad blatem stołu z czerwonej formiki.

- To dlatego, że Kelly pieprzy się z Hueyem z księgowości, a on podkochuje się w Tommym Kelly - oświadczyła.

- Naprawdę? - Alice poczuła, jak nagle z wielką przyjemnością zmienia się w plotkarę. Od tak dawna nie miała o czym plotkować, że samo to doznanie wydało jej równie smakowite jak frytki unurzane w keczupie. - Coś takiego... Nigdy bym nie pomyślała... Jak długo tu pracujesz, Lysette?

- Och, od wieków. Czekam na otwarcie filii firmy w Londynie, bo wtedy przeniosę się tam i odszukam męża...

- Jesteś mężatką? - zapytała Alice, której jakoś nie mieściło się w głowie, że ktoś mógłby zgubić męża.

Wprawdzie ona wciąż gubiła różne rzeczy, a to konturówkę do ust, a to parasolkę, ale żeby zgubić męża...

- Nie, ale mój mąż jest w Londynie. Byłam u wróżki w Venice Beach, nie takiej zwyczajnej bajary, która opowiada ci, że wkrótce spotkasz przystojnego bruneta i te pe... Ta powie-

działa mi, że układ okruszków mojego ciasta mówi wyraźnie, że...

- Okruszków ciasta? - powtórzyła Alice z niedowierzaniem.

- Tak, na początku wizyty trzeba zjeść kawałek ciasta. Ja wybrałam biszkopt cytrynowy, ale można też dostać ciasto czekoladowe i jeszcze jakieś inne. Tak czy inaczej, ta wróżka powiedziała: „Okruszki mówią mi, że twoja bratnia dusza czeka na ciebie w Anglii”. Wyobrażasz sobie coś takiego? - Lysette rozpromieniła się radośnie. - Zaczekam do przyszłego roku i jeśli nic się tu nie zmieni, wyjeżdżam do Anglii. Zawsze czułam, że powinnam mieszkać w zamku i marzyłam o mężczyźnie, który przepuszczałby mnie pierwszą w drzwiach, więc w gruncie rzeczy wcale się tak bardzo nie dziwię, że moja bratnia dusza czeka na mnie w Anglii. Rozumiesz mnie, prawda? - W spojrzeniu Lysette było tyle wyczekiwania i nadziei, jakby Alice była wyrocznią delficką, która lada chwila przeżuje ostatni liść laurowy i udzieli kilku bezcennych rad.

- Och, naturalnie...

Alice nie chciała jej rozczarować, więc ugryzła się w język i zmilczała na temat mężczyzn, którzy starali się wpełznąć przed nią do kolejki na stacji benzynowej.

- Zaczęłam już nawet kupować swetry na zimowych wyprzedazach i od czasu do czasu oglądam na wideo *My Fair Lady*, żeby lepiej rozumieć język, no i atmosferę Londynu...

Lysette zapatrzyła się w dal, wyobrażając sobie herbową tarczę swego szlachetnie urodzonego przyszłego małżonka i oczywiście portrety jego przodków, zdobiące ściany rodowej siedziby. Wszyscy ci mężczyźni o wielkich, garbatych nosach... Ach, nie mogła się już doczekać, kiedy ich zobaczy! Im większe nosy, tym lepiej...

Alice spędziła całe popołudnie, podziwiając spis telefonów w swoim służbowym notesie. Miała tu domowe numery wszystkich, ale to wszystkich hollywoodzkich sław, aktorów występujących w każdym filmie, jaki widziała, gwiazdorów muzyki pop, na widok których mocniej biło jej serce, oraz

znanych alkoholików po tej stronie Vegas. Wszystko to zostało zapisane szerokim charakterem pisma jej poprzedniczki, turkusowym tuszem. Alice zdążyła także z grubsza zapoznać się ze swoim komputerem, na którego monitorze zaraz po włączeniu pojawił się nieco deprymujący dowcip: „Co łączy mnie z Burtem Reynoldsem? Obaj jesteśmy cholernie marnymi aktorami”.

- Tamta dziewczyna spała z Tommym - wyjaśniła Lysette, przechylając się ku Alice nad swoim biurkiem.

Dobry Boże, najwyraźniej Tommy Kelly naprawdę był klientem firmy Star PR! Alice zaczęła się zastanawiać, czy pozwoliłby jej przynieść Tommy'emu herbatę, gdyby wpadł do biura na spotkanie w interesach. Przypomniała sobie, jak kiedyś, w jej dawnej pracy, do firmy zajrzał Richard Madely i ona, Alice, zapytała go, czy chce jedną kostkę cukru, czy dwie. Potem do końca dnia nie była w stanie napisać ani słowa na komputerze. Ale Tommy Kelly, mój Boże... To dopiero jest ktoś! Widziała wszystkie jego filmy, od pierwszego, tego w reżyserii Francisa Forda Coppoli, w którym Tommy zagrał młodocianego złodzieja motocykli. Przez następne dwa lata pojawienie się jego nazwiska na okładce „Just Seventeen” było absolutną gwarancją, że Alice wyjdzie z kiosku właśnie z tym czasopismem w rękę.

To przecież niemożliwe, żeby ona miała pracować z Tommym Kelly! Z jej doświadczeń jasno wynikało, że zawsze będzie jedynie dziewczyną od fotokopiarki, bynajmniej nie tą, która chodzi do restauracji z wielkimi gwiazdoram. Zresztą nieważne, wystarczy jej dotknięcie skraju jego szaty, to ją w pełni zadowoli. Pod koniec dnia podjęła próbę, by zamienić wyskakujący na ekranie monitora idiotyczny żart na jakiś dowcipny cytat z Oscara Wilde'a, na przykład: „Potrafię oprzeć się wszystkiemu z wyjątkiem pokusy”, ale twardy dysk był chyba zablokowany jedwabną pończochą, bo nie udało jej się nic wskórać.

Wróciła do domu wycieńczona długim trwaniem w roli bizneswoman. Starła się nie piszczeć z podniecenia, kiedy do biura wszedł odtwórca jednej z ról w serialu *Knots Landing*

i nie wpatrywać się tęsknie w okno, gdy ogarnęły ją marzenia o lunchu. Przez cały dzień siedziała ze wzrokiem utkwionym w ekran komputera i nawet udało jej się nawet na chwilę nie zdjąć butów. Tak, trzeba przyznać, że powoli zmieniała się w prawdziwą profesjonalistkę. Otworzyła lodówkę i nie znalazła w niej nic poza pokrytym kozuszką pleśni kawałkiem korzenia imbiru i półlitrowym kartonem skisłego mleka. Doskonale. Właśnie tego można było spodziewać się po kobiecie zbyt zajętej pracą, aby zrobić zakupy, pomyślała z satysfakcją, szukając w książce telefonicznej numeru restauracji dostarczającej pizzę. Tash nie było w domu, więc Alice, która po prostu musiała podzielić się z kimś wrażeniami z pierwszego dnia w pracy, zadzwoniła do Trinny, wiedząc, że ona, jako jedyna ze znajomych, nie będzie miała jej za złe, że wyrwała ją ze snu w środku nocy.

- Tommy Kelly? - powtórzyła Trinny, rozpaczliwie ziewając. - Zaraz, zaraz, czy to ten, który prowadzi program *Zwierzęta zdobywają nagrody!*

- Jak możesz mówić coś takiego, Trin? Tommy to najzdolniejszy, najprzystojniejszy, najseksowniejszy facet na świecie. Ale nieważne, przypuszczam, że masz na głowie mnóstwo innych rzeczy. Jak tam wasze plany? - Alice zaczęła wypisywać „Tommy Kelly 4 Me” na książce telefonicznej.

- Piekło się wściekło - nie możemy zdecydować, czy listę prezentów dać do sklepu Petera Jonesa, czy do Conrana. A ty jak myślisz?

- Nie mam pojęcia...

- Peter Jones jest oczywiście bardzo praktyczny, ale u Conrana mają stojak do parasoli, za który oddałabym pół życia.

- Wobec tego sama kup stojak, a listę dajcie do Petera Jonesa. Jeżeli będziesz chciała wyrwać się na trochę z tego przedślubnego stresu, zawsze możesz przyjechać tutaj.

- Może wybierzemy się do Stanów w podróż poślubną - powiedziała Trinny. - Tim ma kuzyna w Santa Barbara, a Antigua jest już zupełnie *passe*. Trzeba wprowadzać nowinki, bo inaczej Dempster nie ma o czym pisać...

- Słusznie. No dobrze, Trin, kończą, bo zapłacą majątek za telefon. Niedługo znowu zadzwonię i wtedy powiesz mi, kogo umieściłaś na liście gości. Ucałuj ode mnie Tima.

- Jasne, Alice. Mam do ciebie prośbę - czy mogłabyś w łagodny sposób zawiadomić o moim ślubie Simona B.? Ktoregoś wieczoru nagrał mi się na sekretarce automatycznej. Pytał, czy nadal śpiam z tym znanym adwokatem, bo niewykluczalne, że będzie potrzebował jego usług. Chyba trochę za długo siedział na słońcu. W każdym razie pozdrów go ode mnie bardzo, bardzo serdecznie. Chwileczkę, jeszcze coś - wydrukować zaproszenia złotymi czy srebrnymi literami? Czy złote nie będą zbyt wulgarne?

Alice dolała sobie do kąpieli po trochu każdego z piętnastu olejków aromatycznych Tash, wgramoliła się do wanny i od razu poczuła się nieco dziwnie. Schizofreniczna mieszanka zapachów wszystkiego, od arniki po macierzankę i ylang-ylang miała pobudzać napiętność, odprężyć, uspokajać, sprowadzać zapomnienie, leczyć chore gardło i robić jeszcze kilka rzeczy. Hmm... Może jednak trochę przesadziłam, pomyślała, i po paru minutach uciekła z łazienki przed zbyt intensywnymi oparami. Obejrzała film na wideo, zjadła środek pizzy, zostawiając brzegi. Niezjedanie brzegu było zdaniem Jamiego potwornym, niewybaczalnym grzechem. Alice miała nadzieję, że jej były ukochany w ten sam sposób stresuje Dziwkę, ale oczywiście zapomniała, że w Londynie panowała teraz głęboka noc. Jamie i Dzwka na pewno leżą w łóżku, wtuleni w siebie jak dwie łyżeczki. Alice żałowała, że Tash nie wróciła jeszcze do domu, lecz jej przyjaciółka prawdopodobnie wzmacniała w tej chwili mięśnie ud przy zastosowaniu znacznie przyjemniejszej metody niż te z siłowni. No cóż, niektórzy z wielkich ludzi naszych czasów również żyją w celibacie, pocieszyła się, na przykład Kennell Williams i Matka Teresa z Kalkuty...

Tuż przed północą się poddała. Postanowiła nie czekać dłużej na Tash i poszła do łóżka, zostawiając na kuchennym stole kartkę z wiadomością, że prosi o wczesne budzenie, ponie-

waż przed pracą chce iść na siłownię. Już prawie spała, kiedy z kuchni dobiegł ją dziwny dźwięk. W pierwszej chwili pomyślała, że to piszczy kot sąsiadów, bo w jakiś sposób wlaź do opiekacza, a następnie go włączył, ale po paru sekundach uświadomiła sobie, że to chyba zdławiony chichot Tash, która właśnie przeczytała, że Alice, leniwa, zaniedbana Alice, chce wstać o szóstej rano, żeby spalić trochę kalorii. Mój Boże, cóż za zmiana...

scandalous

## Rozdział 12

W środę dziewczyny skandalicznie zasnęły. Za dziesięć siódma Tash ze złością zabębniła w drzwi pokoju Alice.

- Już za późno na siłownię. Za piętnaście minut wyjeżdżam. Chcesz trochę owsianki?! - krzyknęła już z kuchni, gdzie pochłaniała równocześnie wiadomości z „Variety” i miseczkę płatków owsianych na wodzie.

Alice pośpiesznie wygramoliła się spod kołdry i wrzuciła na siebie wczorajsze ciuchy. To by było tyle, jeśli chodzi o dobre intencje, pomyślała. Złapała swoją miseczkę z owsianką i stanęła w progu kuchni. Tash zdecydowanymi kopniakami usuwała spod drzwi jakieś śmieci.

- Te cholerne, pieprzone reklamówki! - wybuchnęła. - Prosiłam ich, żeby mi tego nie przysyłali!

Czubkiem czótenka na bardzo wysokim obcasie odgarnęła reklamowe ulotki na bok i pognała do samochodu. Alice przełknęła jeszcze dwie łyżeczki zimnej owsianki z grudami i postanowiła, że w drodze z pracy do domu kupi sobie parę przyjemnych amuletów, które poprawią jej nastrój i napełnią pozytywną energią. Miała już zamknąć drzwi, kiedy nagle przypomniała sobie, że przywiozła do domu statut firmy z zamiarem dokładnego przejrzania go, ale oczywiście nawet na niego nie zerknęła. Ostрым sprintem pobiegła do pokoju i chwyciła teczkę z dokumentami.

- Szybciej, Alice, bo się spóźnimy! - wrzasnęła Tash, włączając silnik niczym sam Damon Hill.

Było oczywiste, że wczoraj przeżyła straszny dzień na pla- nie i teraz wścieka się, ponieważ jej kamerzysty czy jakgo- tamzwał jeszcze nie zaprosił ją na kolację.

- Lecę! - Alice podskoczyła kilka razy, starając się włożyć nowe buty, ale okazało się, że w nocy jej stopy urosły o dwa rozmiary. - Auuu! - zawyła, ponieważ przytrzasnęła sobie palce drzwiami i potknęła się o kupkę jakichś śmieci.

Kiedy się schyliła, żeby na siłę wepchnąć spuchnięte stopy w buty, zauważyła, że kupka śmieci to w rzeczywistości bu- kiet kwiatów, związanych kolorową wstążką.

- Alice, czekam jeszcze dziesięć sekund i odjeżdżam! - Tash wrzuciła wsteczny i zaczęła cofać się na podjeździe.

- Chwileczkę, już jestem... - Alice podniosła kwiaty i jed- nym skokiem wylądowała w samochodzie.

- Po co zabrałaś ze sobą to paskudztwo? - Tash wyjechała na ulicę.

Alice uważniej przyjrzała się kwiatom. Były to fiołki o żółciutkich środkach. Pod wstążką tkwiła jakaś karteczka. Alice wyjęła ją i ze zdumienia wstrzymała oddech.

- Co się stało? - Tash w ostatniej chwili wyminęła mknącego środkiem ulicy na rolkach chłopaka. Otworzyła okno i ryknęła: - Ty kretynie! Jedź skręcić kark na Venice Beach, nie tutaj!

Alice spojrzała na nią półprzytomnie.

- Tash, one są dla mnie... - wyjąkała.

- Co? - Tash odwróciła się na sekundę i spod zmrużonych powiek zerknęła na bukiet. - Co to jest?

- Kwiaty.

- Uch! - Tash nie okazała zachwytu. - Kto je przysłał?

- Nie wiem. Na kartce są tylko słowa: „Dla Alice, z ser- decznymi pozdrowieniami”.

Policzki Alice pokrył rumieniec. Przez głowę przemknęła jej myśl, że kwiaty mogła przysłać mama. Czyżby podczas ostatniej rozmowy telefonicznej jej głos brzmiał jakoś wy- jątkowo smutno? I nagle uświadomiła sobie, że mama nigdy nie przysłałaby jej dwunastu fiołków. Zamówiłaby gladiole i chryzantemy, na pewno nie fiołki.



- Na twoim miejscu wyrzuciłabym je do pierwszego z brzegu kosza - poradziła życzliwie Tash, która tego ranka zostawiła chyba serce pod prysznicem. - Uważaj, żebyś nie złapała jakiejś paskudnej choroby.

Alice bez słowa zawięła bukiet w bibułkę i wsunęła go do torby.

- Jakie śliczne! Od kogo je dostałaś? - Lysette przechyliła się przez ściankę dzielącą ich stanowiska pracy, bacznie przyglądając się tajemniczemu podarunkowi.

- To bardzo dziwne, bo przecież nikogo tu nie znam i nikt nie zna mnie... - Alice nadal nie mogła się otrząsnąć z miłego zaskoczenia.

Nie przypominała sobie, kiedy ostatnio spotkała ją jakaś romantyczna niespodzianka. Chyba w piątej klasie, gdy Killian Madden przysłał jej walentynkę, oczywiście niepodpisaną. Szczerze mówiąc, zupełnie nie wiadomo, dlaczego to zrobił, bo przecież wcale nie ukrywał, że bardzo zależy mu, by na walentynkowej dyskoteci obmacać Sharon Dickinson.

- Nie mam zielonego pojęcia, kto mógł mi je przysłać. - Ostrożnie włożyła fiołki do pełnego wody plastikowego kubeczka. - Ale bardzo mi się podobają.

- Powiem ci jedno, na pewno nie ofiarował ci ich żaden facet z tego miasta.

Alice spojrzała na Lysette, której drażniąco elegancka sylwetka w najmniejszym stopniu nie zdradzała jej słabości do smakołyków z baru Koo-Koo-Roo.

- Skąd wiesz? - zapytała ze zdumieniem.

- Ponieważ faceci z Los Angeles nawet nie zbliżają się do kwiatów. Jeżeli coś komuś wysyłają, to zamawiają to za pośrednictwem swoich sekretarek i każą obciążyć kosztem swoje platynowe karty AMEX. Moim zdaniem, twój cichy wielbiciel musi być albo bankrutem, albo nieuleczalnym romantykiem, a dookoła nie ma zbyt wielu mężczyzn z żadnej z tych kategorii...

Lysette pośpiesznie schowała głowę za przegrodą, bo w polu jej widzenia pojawiła się Jennifer.

- Alice, chciałabym, żebyś zajrzała do mojego gabinetu i poznała jednego z naszych najważniejszych klientów. - Jennifer pochyliła się i musnęła palcami kwiaty na biurku. - Lepiej spryskaj je jakimś chemicznym środkiem, żeby nie załęgły się tu insekty...

Jennifer nie miała nic złego na myśli, lecz Alice poczuła się nagle wyrzutkiem biurowej społeczności.

- Idź i przedstaw się Tommy'emu - dodała Jennifer. - Muszę coś załatwić, ale zaraz do was przyjdę.

Tommy Kelly. Alice powiedziała to powoli, raz i drugi, by zapanować nad zdenerwowaniem. Niestety, mimo jej wysiłków i tak zabrzmiało to jak Tommy-Kelly-dziko-sławny-aktor-i-model-z-okładki-„Vanity Fair”-nie-przeżyję-tego. Zerknęła na Lysette, która pokazała jej uniesione kciuki. Alice zamarła, bo nagle dostrzegła maleńki kawałek tajskiego zielonego curry, które jadła na kolację w sobotę, przyklejony do rękawa jej kaszmirowego swetra. Gdyby Tash nie była w takim okropnym nastroju, Alice pożyczyłaby od niej jakiś mały komplet Ferragamo. Wszystko to wina tego cholernego kamerzysty, może nie? Powoli pchnęła drzwi do gabinetu Jennifer. Zbyt powoli. Weszła tak cicho, że Tommy zwyczajnie tego nie zauważył. I co miała teraz zrobić? Odchrząknąć? Wyjść i pojawić się w bardziej hałaśliwy sposób? Stała w progu i przestępowała z nogi na nogę, zupełnie jak jakaś zwariowana fanka.

Było już jednak za późno - Tommy podniósł wzrok, chociaż nie powiedział ani słowa. W tej sytuacji Alice musiała coś zrobić.

- Cześć, jestem Alice Lewis - odezwała się. - Jennifer zasugerowała, żebyśmy się poznali...

Boże, zabrzmiało to niczym wstęp do randki w ciemno... Skrzywiła się. Cóż, nie ulegało wątpliwości, że Tommy nigdy by się z nią nie umówił...

- Hmm... - Tommy zmierzył ją obojętnym spojrzeniem i wrócił do lektury scenariusza, który trzymał w ręku.

Zdeprymowana, już miała wypaść na korytarz i rzucić się do ucieczki, ale w tej samej chwili usłyszała za sobą zdecydowane kroki Jennifer.

- Wydawało mi się, że mówiłam ci, byś przedstawiła się Tommy'emu, Alice - powiedziała Jennifer, zamykając za sobą drzwi.

Alice znalazła się w pułapce.

- Już to zrobiłam. - Przeniosła wzrok na Tommy'ego z nadzieją, że wystąpi w jej obronie, lecz nic takiego nie nastąpiło.

Tommy martwym wzrokiem wpatrywał się w plamę po zielonym tajskim curry. Cholerny ćpun, pomyślała Alice, niespodziewanie dla samej siebie wracając do rzeczywistości. Przypomniała sobie ostatni artykuł o Tommym, który czytała jeszcze przed wyjazdem z Londynu. W dodatku był naprawdę niski. Pieprzony karzełek...

- Alice, przyszło mi do głowy, że powinnaś być obecna podczas naszej rozmowy i razem z nami omówić najlepsze sposoby ponownego wypromowania Tommy'ego w Europie. Mam wrażenie, że w rezultacie niedawnych wydarzeń jego wizerunek w krajach europejskich mocno ucierpiał. Musimy się tym zająć i jak najszybciej naprawić' sytuację, bo już za miesiąc wchodzi na ekrany nowy film Tommy'ego.

Po lunchu Alice z trudem odnalazła drogę do swojego biurka. Gdyby nie obecność wielkiego plakatu z Tommym na ścianie działowej, resztę dnia najprawdopodobniej spędziłaby w damskiej toalecie. Zacisnęła dłonie na ramionach obrotowego krzesła, błagając je, by się nie ruszało. Tylko się nie kręć, powtarzała bezgłośnie. Problem polegał na tym, że krzesło ani drgnęło, natomiast jej kręciło się w głowie. A może to wirowały myśli? Spotkanie poszło tak dobrze, że Jennifer uznała, iż powinni kontynuować rozmowę przy lunchu. W drodze do restauracji Alice zajęła się zeskrobywaniem z rękawa resztek sobotniej kolacji i robieniem sobie wyrzutów, że nie umyła włosów po siłowni. Skóra głowy zaczynała ją swędzić, a utrwalona lakierem fryzura przypominała twardy hełm. Okazało się, że lunch mają zjeść w niezwykle eleganckim barze sushi. Alice poczuła się tak, jakby w tajemniczy sposób znalazła się na ceremonii rozdania Oscarów, ponieważ w każdym kącie baru

siedziały wielkie gwiazdy. Kelner błyskawicznie przyniósł im sake w śmiesznych pudełeczkach. Picie z takiego naczynia samo w sobie było dość trudne, a już w sytuacji, gdy człowiekowi drżą ręce, bo co chwilę trąca stopą but najpopularniejszego aktora w mieście, okazało się prawie niemożliwe.

Alice bała się poruszyć. Tommy milczał. Dopiero po paru pudełeczkach sake wyobraziła sobie, że Tommy jest właścicielem małego sklepu spożywczego w Chelsea Green i wydusiła z siebie kilka słów. Szczerze mówiąc, po czwartym pudełeczku rozgadała się do tego stopnia, że trudno było jej przerwać. Udzieliła Tommy'emu i Jennifer całej masy informacji na temat mechanizmów działania brytyjskiej prasy brukowej, o których wiedziała bardzo niewiele, lecz to, co powiedziała, w zupełności wystarczyło. Zanim podano im sashimi, zwierzyła się swoim rozmówcom z wielu innych rzeczy, między innymi ze swojego smutku po rozstaniu z ukochanym, a także z tego, iż Jamie porzucił ją w sposób absolutnie bezceremonialny. Była przekonana, że świetnie wypadła w czasie rozmowy i czuła, że może sobie pogratulować. Była równie świetna jak Pamela Anderson w *Żyćcie*, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Mimo że popadła w stan głębokiego upojenia alkoholowego, potrafiła pozostać profesjonalistką, a przy tym umiejętnie prowadzić dowcipną rozmowę. Dopiero kiedy wychodzili z restauracji i ktoś poprosił Tommy'ego o autograf, przypomniała sobie, że ten facet wcale nie jest sklepikarzem z Chelsea Green i podskoczyła na półtora metra, gdy pocałował ją w policzek na pożegnanie.

Teraz, powoli trzeźwiejąc w arktycznej temperaturze biura i otwierając swoją pocztę elektroniczną, kuliła się z zażenowania. Nawet nie warto myśleć o wstydzie jutrzejszego poranka, pomyślała, czując, jak myszka zaczyna żyć własnym życiem pod jej drżącymi palcami. Czy naprawdę powiedziała Jennifer, że w swojej dawnej pracy stale pracowała nad wizerunkami wielkich sław? A Tommy? Tommy był o wiele bardziej sympatyczny, niż się spodziewała - przez cały lunch traktował ją miło i z ogromnym szacunkiem.

Po paru minutach przypomniała sobie, co było właściwym

powodem jego zachowania. Otóż ona, Alice, orzekła, że jest już za stary, aby grać naćpanego nastolatka. Dodała też, że niezależnie od tego, co Tommy sobie wyobraża, wcale nie jest przyjemnie skończyć jako tłusty stary pijak z chorym sercem, powinien więc wziąć się w garść i dziękować losowi za to, co ma. Podejrzała, że w czasie rozmowy z Tommym do głosu doszły jej nauczycielskie geny. Matka uczyła gimnastyki, a ojciec muzyki i być może właśnie dlatego w chwilach wymuszonej nadużyciem alkoholu szczerości Alice stawała się zdecydowaną, dominującą osobą o wyraźnych skłonnościach do udzielania innym wskazówek nieznośnym sprzeciwu głosem. Na szczęście w Tommym jej ton i słowa wzbudziły zachwyty i uległość. Zamiast splunąć i zaproponować, żeby się od niego odpieprzyła, napełnił swoją szklankę wodą mineralną i zdecydował, że ta dziewczyna zostanie jego nowym mistrzem duchowym. Tak czy inaczej, Alice miała teraz potworny ból głowy i raz po raz obiecywała sobie, że nigdy więcej nie tknie sake.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła po zakończeniu pracy, było wyjście z domu. Leżała na kanapie i oddawała się oglądaniu idiotycznego talk-show, kiedy zadzwoniła Tash.

- Skarbie, czuję się strasznie winna i podła z powodu moich porannych grymasów - oświadczyła energicznie. - Chciałabym cię przeprosić, więc postanowiłam zabrać cię na obrzydliwie dobrą i obfitą kolację.

Alice chciała powiedzieć, że obrzydliwie obfita kolacja może jej odrobinę zaszkodzić po obrzydliwie obfitym lunchu i morzu sake, ale Tash przerwała już połączenie. Alice czknęła głośno i zwinęła się w kłębek na kanapie w oczekiwaniu na tajfun energii imieniem Tash, który miał lada chwila wtargnąć do domu.

- Pamiętasz, co mówiłaś o pozytywnym seksie i tak dalej? - zapytała Tash, kiedy pędziły w dół La Cienga w kierunku restauracji Drai.

- Dosyć mgliście - odparła Alice, usiłując choć na chwilę wydobyć się z przesiąkniętego sake stanu zamroczenia. - Wy-

daje mi się, że miałam do tej sprawy przesadnie patriotyczne podejście...

- Nie szkodzi. Widzisz, zaprosiłam na lunch takiego jednego Charliego... Szalenie przystojny, naprawdę. Wygląda jak Brad Pitt w wietrzny dzień.

- Dlaczego sądzisz, że chciałby się ze mną umówić? - zapytała Alice podejrzliwie.

- Ma świetną prezencję i bardzo dobrą pracę, ale jakoś nie może sobie znaleźć dziewczyny. Niesamowite, co? - Tash roześmiała się i odrzuciła włosy do tyłu.

- Nie jestem pewna... Chyba wiesz, że mężczyźni, którzy nie mogą znaleźć sobie dziewczyny, najczęściej mają jakąś bardzo poważną wadę charakteru, zwłaszcza jeżeli są bogaci i przystojni...

- Jesteś niesprawiedliwa, Alice. Niektórzy mężczyźni po prostu mają z tym pewne problemy i...

- W tym mieście? - Alice zakrztusiła się wiatrem. - Nie mogłabyś podnieść trochę dachu?

- Nie. Lubię czuć wiatr we włosach. Wyjaśnij mi lepiej, co masz na myśli, mówiąc: „W tym mieście”? - Tash sprawiała wrażenie trochę urażonej.

- To, że jeżeli przystojnego, bogatego mężczyznę na pięć minut zostawisz w supermarkecie, wszystkie kręcące się w pobliżu kobiety natychmiast zaczną węszyć i zaglądać do jego koszyka, aby sprawdzić, czy nie kupił maści na grzybicę stóp lub czegoś w tym rodzaju. Jeśli nie kupił niczego kompromitującego, natychmiast starają się zrobić wszystko, żeby zaciągnąć go do łóżka...

- To chyba nie zbrodnia, że kobiety są tu bardziej bezpośrednie i zdecydowane, Alice. Nie wszystkie możemy być nieśmiałymi angielskimi różyczkami. - Tash zahamowała z piskiem opon i podała kluczyki ochroniarzowi.

- Wiem. Chcę tylko powiedzieć, że ten cały Charlie na pewno nie jest siódmym cudem świata, bo gdyby był, już dawno zostałby złapany - mruknęła łagodnie Alice. - Ale oczywiście jestem otwarta i niczego nie zakładam z góry, w po-

rządku? - dodała, gdy znalazły się w rajsko chłodnym, klimatyzowanym holu restauracji Drai.

- To absolutnie, cholernie cudownie! - Tash z entuzjazmem cmoknęła ją w policzek i za rękę poprowadziła do stolika.

- Tylko nie narób mi wstydu... - mruknęła Alice, przypominając sobie wiele okazji z okresu szkolnej młodości, kiedy to Tash na imprezach umiejętnym stosowaniem nacisku psychicznego zmuszała aktualnych ukochanych przyjaciółki, żeby z nią zatańczyli.

Tak, Tash potrafiła być potwornie niedelikatna, ale teraz było już za późno na tego rodzaju rozważania.

- To jest Alice, moja niezamężna przyjaciółka z Londynu. Alice, oto Charlie.

O, Boże... Alice uśmiechnęła się sztywno i odwróciła wzrok. Usiłowała nie brać pod uwagę faktu, że facet do złudzenia przypominał Brada Pitta, miał tylko nieco ciemniejszą cerę. Nawet całkiem przystojny, pomyślała. Natychmiast zaczęła sobie wyobrażać, co jest z nim nie w porządku. Może w nosie rosną mu długie włosy? Nie, to raczej nie był ten problem. Jakież kłopoty z cuchnącym potem albo czymś w tym rodzaju? Śmierdzące stopy? Nie, skóra jego butów nie wyglądała na przepoconą. Wszystko wskazywało na to, że w przypadku Charliego brak dziewczyny nie wynika z przyczyn wad fizycznych, w każdym razie na pewno nie takich, które można dostrzec bez rozebrania go. Pośpiesznie zepchnęła w głąb wyobraźni wizerunek nagiego Charliego i skoncentrowała się na tym, aby nie zapomnieć, jak ma na imię każda z osób siedzących przy stole.

Zadanie dokładniejszego zbadania natury Charliego musiała odłożyć na później, ponieważ posadzono ją obok producenta płyt, którego ulubionych zespołów i solistów, ku swemu wielkiemu zażenowaniu, w ogóle nie znała.

- Ulcer? - Producent się nie poddawał. - Morphine?

Alice znowu potrząsnęła głową. Obawiała się, że przy kolejnym takim gościu ani chybi odpadnie jej głowa.

- Bardzo mi przykro, ale sęk w tym, że prawie nigdy nie słucham muzyki pop - spróbowała załagodzić sytuację. - Wolę Radio 4...

Producent zmarszczył brwi, nawet nie siląc się na zrozumienie.

- W każdym razie tak było, kiedy mieszkałam w Anglii. - Alice się zaśmiała. - Można powiedzieć, że właściwie nie słyszałam o Beatlesach...

Patrzył na nią bez śladu rozbawienia.

- Nie słyszałaś o najpopularniejszym zespole świata? - zapytał poważnie, wyraźnie zatroskany.

- Oczywiście, że słyszałam, w przeciwnym razie nie wspomniałabym o nich, prawda? Chciałam tylko zademonstrować, jak niewiele wiem o muzyce...

Alice była wyczerpana. Czy właśnie to mieli na myśli ci wszyscy, którzy utrzymywali, że Amerykanie po prostu nie wiedzą, na czym polega ironia? Miała nadzieję, że rozmowa z Charliem okaże się mniej męcząca.

- Więc kłamałaś? - Producent płyt podjął wyzwanie.

Alice poszukała ukojenia nerwów w butelce.

Przez pozostałą część kolacji przepłynęła na fali wina Chardonnay, do którego zjadła trzy pasemka makaronu tagliatelle. Na kolacji zjawilo się wielu przyjaciół Tash, pragnących przywitać Alice w Los Angeles. Nie było to zbyt szczęśliwe rozwiązanie, ponieważ Alice była obecna ciałem, lecz nie duchem. Przez cały wieczór musiała wysłuchiwać irytujących pytań i komentarzy w rodzaju: „Podobno mieszkasz w Londynie, tak? Znasz może moją przyjaciółkę Elizabeth?” albo „Jasne, byłem w Anglii, ale naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego królowa wybudowała zamek w Windsorze, tak blisko lotniska Heathrow”, i szczerze mówiąc, nie była już w stanie wymyślać właściwych odpowiedzi.

Dziewczyny były piękne i w zdecydowanej większości wyposażone w sztuczne biusty, natomiast mężczyźni w błyskawicznym tempie tracili zainteresowanie przyjaciółką Tash i odwracali się w innym kierunku. Alicę usiłowała uważnie obserwować Charliego, ale jakoś nie mogła się na tym sku-



pić. Odnosiła zresztą wrażenie, że Charlie staje się coraz mniej podobny do Brada Pitta, a coraz bardziej do alpinisty, który pokonał szczególnie ciężkie podejście na Mount Everest. Nadal uważała, że jest piękny, ale zaczęła się zastanawiać, czy jej postrzeganie Charliego nie wynika z upojenia chardonnay.

- Jeżeli obsadzisz ją w swoim następnym filmie, to przysięgam, że utnę ci jaja. - Latynoska piękność i jej ukochany najwyraźniej przeżywali drobny kryzys.

- To, że ma reputację dziwki, która rzuca się na wszystko, co przypomina kutasa, nie znaczy jeszcze, że nie jest świetną aktorką, Marcie...

Marcie nie wyglądała na przekonaną.

- Och, przepraszam bardzo! - warknęła. - Wydawało mi się, że świetne aktorki szlifują swoje talenty w Akademii Miliarda albo przynajmniej na jakichś pieprzonych warsztatach gry na Uniwersytecie Kalifornijskim! Tak się dziwnie składa, że ta kurwa została odkryta dopiero wtedy, gdy usiadła na twarzy szefa studio!

- Jesteś zwyczajnie zazdrosna, skarbie! Uspokój się, nie poszedłbym z nią do łóżka, nawet gdyby mi zapłaciła. - Mężczyzna uspokajająco położył rękę na policzku Marcie, która natychmiast ugryzła go w palec.

Drobny kryzys, co? Boże, nawet zwykłe kłótnie w tym mieście brzmiały po prostu cudownie! Alice wyobraziła sobie podobne nieporozumienie w barze Sług and Lettuce na Fulham Broadway.

- Znowu pieprzyłeś się z tą Lorraine z księgowości?
- Jaką znowu Lorraine z księgowości?
- Tą, która włożyła wypychaną bardotkę na gwiazdkowe przyjęcie. Nie udawaj, że nie wiesz, o kim mówię.
- Och, z tą Lorraine...
- Taaak, z tą Lorraine!
- Nie, co za bzdury! Zresztą jej ojciec jest dżudoką i ma czarny pas...

Alice przestała słuchać, ale czuła, że i tak bardzo poszerzyła swoje horyzonty. I nic nie szkodzi, że najwyraźniej już nikt nie

miał ochoty z nią rozmawiać. Usiadła wygodnie i zanim się połapała, co się dzieje, Tash szturchała ją w ramię i podnosiła jej twarz ze środka talerza zimnego tagliatelle.

- Bardzo mi przykro, to wszystko przez tę zmianę czasu - powiedziała Tash do swoich wstających od stołu przyjaciół. - Wszystko w porządku, Alice? Nie wyglądasz najlepiej. Zaraz zawiozę cię do domu...

Alice zapamiętała jeszcze, że po powrocie do domu Tash poinformowała ją, iż jej skóra ucierpi, jeżeli nie zmyje z niej makijażu, oraz żeby rano wstała wcześniej i przed pracą poszła do siłowni.

scandalous

## Rozdział 13

- Chwileczkę, potrzebny mi pierwszy asystent, ale już! Natasha? Co się dzieje? Nie możemy przecież stracić całego dnia!

Reżyser, który wyglądał jak uciekinier z planu filmu *Apokalipsa*, ubrany w panterkę khaki, z wszechobecnym kundlem u nogi, stał z rękami opartymi na biodrach i czekał, aż Tash wreszcie weźmie się do roboty, za którą słono się jej płaci i przestanie co chwilę wydzwaniać z komórki oraz robić słodkie oczy do operatora.

- Skarbie, zrób coś! - powiedział z pewnym zniecierpliwieniem. - Bardzo proszę...

- Tak jest, załatwione! Baz, nie spuszczaaj oka z monitora! Gdzie jest ten cholerny goniec?!

Przypominało to niekończącą się zabawę w chowanego. Tash na pięć minut przekazała obowiązki swemu zastępcy, ukryła się za fragmentem scenografii, który w następnej scenie miał wylecieć w powietrze, i wybrała numer Alice.

- Słuchaj, Charlie zadzwonił do mnie dziś rano - oświadczyła z satysfakcją. - Wydaje mi się, że naprawdę wpadłaś mu w oko.

Alice w skupieniu kiwała głową i udawała, że rezerwuje limuzynę dla podstarzałego gwiazdora rocka.

- Tak, oczywiście - odparła. - Serdecznie dziękuję.

Ciekawe, że niektórzy ludzie do perfekcji opanowali sztukę udawania, iż odbywają ważną rozmowę w sprawach zawodo-

wych, gdy ięli szef kręci się w pobliżu, podczas gdy inni, czyli Alice, nawet w trakcie rozmowy z urzędem skarbowym sprawiają wrażenie, jakby gawędzili z najlepszą przyjaciółką o ostatniej robieranej randce... Niezależnie od tego, jaka była przyczyna tego zjawiska, Alice była z niego głęboko niezadowolona. Zastanawiała się, czy ktoś organizuje kursy, na których można się nauczyć cennej umiejętności udawania. Sprawa była tym bardziej pilna, że Jennifer wpatrywała się w nią twardym wzrokiem, gotowa natychmiast rozpocząć wykład o niedozwolonym korzystaniu z telefonu w sprawach prywatnych w godzinach pracy.

- Charlie to ten kelner, tak? - zapytała szeptem.

- Nie, Charlie to łowca talentów. Nie udawaj, że zapomniałaś. - Tash musiała błyskawicznie rzucić się na ziemię, ponieważ fragment eksplodującej scenografii o mało nie pozabawił jej głowy.

- Nie zapomniałam, ale przecież wiesz, że wczoraj wieczorem nie byłam w najlepszej formie. Czy to ten podobny do Roba Lowe? - Alice zawiesiła głos. - Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyście jak najszybciej przysłali mi fakturę za tę usługę - dodała szybko na widok Jennifer, która właśnie pojawiła się obok faksu.

- Nie do Roba Lowe, tylko do Brada Pitta, nie pamiętasz? Zastanawiałam się, czy nie dać mu twojego numeru telefonu. Co o tym myślisz?

- Co ja... Cześć, Bob... Tak, znakomite jedzenie... 310 551 7298... Czy Rob i Marcie zawsze się tak kłóca, Tash? Wiesz co, może lepiej będzie, jeżeli jednak poczekaasz, aż Charlie poprosi o mój numer telefonu... Słuchaj, muszę kończyć, zadzwonię do ciebie później. - Alice odłożyła słuchawkę.

Poprzedniego wieczoru nie miałyby nic przeciwko temu, by wymienić się numerami telefonu z Charliem, ale teraz jej myśli zaprzętało zupełnie co innego. Kiedy rano zjawiła się w pracy nieco sfatygowana, a dokładniej mówiąc ledwo żywa, znalazła na biurku małe jasnyniebieskie pudełko. Otworzyła je ostrożnie, niepewna, jakie pole rażenia może mieć bomba wielkości sporej paczki papierosów. Tymczasem wewnątrz, na

posłaniu z płatków magnolii, leżała tylko zgnieciona kartka papieru. Wyjęła ją i rozprostowała.

„Przywiodła mnie tutaj twoja anielska uroda i nadzieja, że miłość rozwinie się kwiatami.

Alice, niedługo się spotkamy”.

Drżąc ze zmęczenia po wczorajszym, hm, zbyt skwapliwym poprawianiu sobie nastroju albo, co bardziej prawdopodobne, z wrażenia, objęła dłońmi kubek z gorącą kawą i zaczęła się zastanawiać. Kto mógł przysłać jej coś takiego? Anielska uroda, kwiaty, przewidywane spotkanie... Niby nic nadzwyczajnego, ale ta osoba, która znała jej imię, zdobywała się na wyjątkowo romantyczne gesty...

W czasie lunchu opowiedziała o wszystkim Lysette.

- Przecież to może być ktoś, kto przypadkiem usłyszał twoje imię - zasugerowała Lysette.

- To prawda. - Alice pogładziła nieco zmęczoną kartkę papieru. - Ale ja właściwie nigdzie nie chodzę, więc niby gdzie miałyby je usłyszeć? To raczej nie jest ktoś z baru ze zdrową żywnością, w którym zymiotowałam do doniczki...

- Hmm... - Lysette popadła w zamyślenie. - Czy doszliśmy do wniosku, że to ten sam facet, który przysłał ci fiołki?

- Ponieważ nigdy w życiu nie miałam ani jednego tajemniczego wielbiciela, pomyślałam, że nagle podbiłam serca dwóch, jest chyba trochę karkołomy... Nie wykluczam jednak podstępu...

- Jak to podstępu? - Lysette wepchnęła do ust duży kawałek chickenburgera.

- Cóż, Tash bardzo się stara podbudować moją pewność siebie. Niewykluczone, że to zamierzona taktyka.

Alice sama nie wierzyła w tę teorię. Gdyby to Tash była nadawcą przesyłek, dzwoniłaby co pięć minut z pytaniem, czy Alice nie dostała ostatnio Jakiejś interesującej paczuszki". We wspaniałym ciele Tash nie było miejsca nawet na odrobinę tajemniczości.

- Wczorajem zapytam Tash i jutro ci powiem - obiecała Alice, widząc, że Lysette jest pod wielkim wrażeniem ro-

mantycznej atmosfery, otaczającej jej nową koleżankę, a może planuje już nawet, w co się ubrać na ślub. - Musimy wracać. Jennifer kazała mi przyjść do gabinetu punktualnie o drugiej. Myślę, że chce mnie wyrzucić po niegodnym zachowaniu w czasie wczorajszego lunchu...

- Nie ma mowy. Tommy naprawdę cię polubił. Od czasów, kiedy spała z Julią Roberts, nie widziałam, żeby tak często się uśmiechał.

Fale uderzały o brzeg, wyłaniając się z gęstej ciemności. Chociaż na zewnątrz płonęło ognisko, które miało ogrzewać taras, powietrze było jeszcze dość ostre. Zmarznięta Alice wciągnęła sweter przez głowę. Chciała opowiedzieć Tash o otrzymanym liściku, ale przyjaciółka zaprzętnięta była zupełnie inną sprawą. Alice z trudem udało się zamówić coś do jedzenia, ponieważ Tash bez chwili przerwy mówiła o Charlie. Zanim kelner przyniósł im drugie danie, podzieliła się z Alice informacją, że umówiła z nią Charliego na sobotni wieczór. Alice zakrztusiła się kawałkiem ryby i daremnie próbowała spokojnie podziwiać plażę w Malibu.

- Ale ja nie mam jeszcze ochoty umawiać się na randki, Tash...

- Powinnaś jak najszybciej wrócić do normalnego życia, moja droga. - Tash doszła do wniosku, że Alice z jakiegoś powodu odgrywa nieśmiałą angielską różyczkę, choć w głębi duszy marzy o rozrywkowym sobotnim wieczorze.

Tymczasem Alice ani w ząb nie mogła sobie przypomnieć, jak wygląda Charlie. Po głowie tłukła się jej myśl, że jest podobny do Brada Pitta, lecz w gruncie rzeczy nie miała wielkich złudzeń. Żeby chociaż zapamiętała, jakie ma oczy i włosy... Cóż, nic z tego, połączone opary sake i wina położyły kres wszelkim nadziejom. Cholera jasna... Jaki dziwak, mało dziwak, jaki zboczeniec mógł zachwycić się dziewczyną, która większość wieczoru spędziła z twarzą w talerzu?! To był najbardziej niepokojący aspekt całej sprawy...

- Może poszłabyś z nami, Tash, razem ze swoim kamerzystą... - wysunęła nieśmiałą propozycję.

- Mój facet jest reżyserem zdjęć, nie kamerzystą, ale nieważne. - Charliemu bardzo zależało, żeby umówić się z tobą, nie ze mną i moim przyjacielem. Nie przejmuj się, Charlie ma świadomość, że trochę wyszłaś z wprawy, i wcale mu to nie przeszkadza. - Tash ze zblazowaną miną machnęła nabitą na widelec krewetką.

Alice zepchnęła rybę na brzeg talerza i bezradnie pokręciła głową.

- Jemu to nie przeszkadza, tak? A co ze mną? Nie mam nic do powiedzenia? Nie jestem sierotą z przytułku do wzięcia, Tash!

Lecz Tash w ogóle nie zwróciła uwagi na jej słowa. Pracowicie oskubywała z ciasta pozostałe krewetki, obliczając w myśli, ile minut musi następnego dnia spędzić w siłowni, żeby spalić kalorie zawarte w czekoladowym torcie, który miała ochotę zamówić na deser.

- I co myślisz o Malibu? - zapytała po długiej chwili milczenia.

Dopiero kiedy w poczuciu wielkiej winy zjadły tort do ostatniego okruszka, Alice ośmieliła się wyjąć z torebki dowody rzeczowe A i B. Fiołki były teraz zgniecioną masą, z której tu i ówdzie wystawały uschnięte płatki i brązowawe listki, natomiast do bładniebieskiego pudełeczka przyczepiły się włosy ze szczotki.

- Pamiętasz te kwiaty, które dostałam parę dni temu? - Alice położyła na stole dowód A, wpatrując się w Tash, która zmarszczyła brwi, starając się odgadnąć, co właściwie ma przed sobą. - Sądzę, że ta sama osoba przysłała mi też wiersz...

No, wreszcie to powiedziała. Tash wyglądała na zupełnie zbitą z tropu i po raz pierwszy od bardzo dawna chyba zabrakło jej słów. Alice czekała, lekko dotykając małego pudełeczka.

- To są kwiaty? - zapytała w końcu Tash z powątpiewaniem.

Alice kiwnęła głową.

- No cóż, są teraz trochę pogniecione, ale kiedy je dostałam, były naprawdę śliczne. Przydeptałaś im łodyżki i chyba

dlatego nie żyły zbyt długo... Nie miały szans, bo przecież kwiatki pobierają wodę i zawarte w niej składniki odżywcze właśnie przez łodygi...

Dlaczego tak się denerwowała? Chodziło przecież tylko o dwie skromne pamiątki, nie ukradła klejnotów koronnych i nie kładła ich teraz na stole, wśród resztek krewetek i okruszków czekoladowego ciasta, na miłość boską...

- Rozumiem... - Tash powoli przyzwyczajała się do widoku kwiatków. - A co jest w tym... - Zawahała się, czy może nazwać to pudełkiem, ale jakiego innego słowa mogłaby użyć? - Co jest w tym pudełku? - dokończyła szybko.

- Wiersz - odparła Alice, nie zauważając obrzydzenia, malującego się na twarzy przyjaciółki.

Powoli otworzyła skromne, śliczne jej zdaniem pudełeczko i wyjęła ze środka kartkę.

- Proszę, oto on - powiedziała.

Tash przez chwilę wpatrywała się w kartkę, nie mogła jednak odczytać słów, ponieważ papier był mocno pognieciony. Po kilkunastu sekundach zdecydowała się ostrożnie ująć go końcami palców.

- Śmiało, Tash, to wcale nie jest tak kruche, na jakie wygląda - zachęciła ją Alice.

- Ale przecież nie wiemy, kto to miał w rękach i co z tym robił, prawda? - odrzekła Tash, mrużąc powieki. - „Przywiodła mnie tutaj twoja anielska uroda i nadzieja, że miłość rozwinie się kwiatami, Alice, niedługo się spotkamy"... Och... - Tash powiedziała to takim tonem, jakby ktoś przed chwilą poinformował ją, że właśnie pochłonęła pięćset kalorii. - To zupełnie niesamowite... Dobrze się czujesz, kochanie?

- Świetnie, dlaczego pytasz? - Alice miała szczerą nadzieję, że Tash pomoże jej odgadnąć, kim jest tajemniczy wielbiciel.

- Bo to jakaś okropna sprawa. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Okropna sprawa? - powtórzyła ze zdumieniem Alice, która nie widziała bynajmniej nic okropnego w kwiatkach i w wierszu. - Dlaczego?



- Cóż, nie ulega wątpliwości, że ten facet jest nienormalny. Alice roześmiała się głośno.
  - Dlatego, że mu się podobam? Serdeczne dzięki, Tash.
  - Och, nie o to mi chodzi. Uważam tylko, że normalni ludzie tak się nie zachowują. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby zaprosił cię na kolację, zadzwonił, no, sama wiesz, ale on przysłał te... te zwiędłe kwiaty i zwariowany list. To chyba dość dziwaczne zachowanie, nawet jak na twoje standardy, Alice.
  - Ależ Tash, kwiaty wcale nie były zwiędłe, kiedy je dostałam! Były sliczne...
  - Dlaczego nie zamówił ich w kwaciarni wysyłkowej, przez Internet albo telefonicznie, jak robią to wszyscy normalni ludzie?
  - Może dlatego, że o wiele bardziej romantycznie jest wybrać kwiaty osobiście, nie zlecając tego żadnej firmie. W ten sposób okazujesz drugiemu człowiekowi, że naprawdę o nim myślisz. - Alice nie zamierzała pozwolić, aby Tash sprowadziła całą sprawę do wybryku dziwaka, który upatrzył sobie nową ofiarę do swoich podejrzanych załotów.
  - Jasne, równie romantycznie jest nie mieć pojęcia, kim jest ten facet. Nie sądzisz, że gdyby był choćby w przybliżeniu atrakcyjny fizycznie i towarzysko, to miałby odwagę stanąć przed tobą i się przedstawić? Wygląda na to, że to gość bez jaj.
  - Istnieje długa i całkiem miła tradycja tajemniczych wielbicieli, Tash. Nigdy nie słyszałaś o kimś takim jak Cyrano de Bergerac?
  - Jasne, że słyszałam. Przy okazji przypomnij sobie, jakiej wielkości miał nos.
- Alice zrozumiała, że w tej chwili nie zdoła przekonać Tash, pomyślała jednak, iż przyjdzie czas, gdy przyjaciółka zrozumie swój błąd. Anielska uroda... To nie był produkt zbrozonego czy choćby podstępного umysłu, o nie. Alice nie miała co do tego cienia wątpliwości.

## Rozdział 14

- Jacko, czy masz coś przeciwko temu, żebym wieczorem pożyczyl od ciebie samochód? - wydyszał Paddy, wpadając do domu. - Umówiłem się na kolację z dziewczyną, którą poznałem w kawiarni...

Był spocony jak ruda mysz, bo na dworze panował dziki upał, a taksówkarz nie chciał wjechać głębiej w wąziutkie uliczki Manhattan Beach, biegnące w górę i w dół ostrych zboczy, w rezultacie czego Patrick musiał pokonać ostatnie trzy kilometry biegiem.

- Nie, wychodzę wieczorem z tą masażystką. - Jack siedział przy basenie wyłożonym kaflami w kolorze morskim i przeglądał listę stu najseksowniej szych kobiet, zamieszczoną w magazynie „FHM”.

Przesiadywanie nad basenem było jego ulubionym zajęciem od czasu przybycia do Los Angeles. Na początku dostał rolę zбочzonego dentysty w filmie *Dni naszego życia*, lecz w gruncie rzeczy wolał być wygrzewającym się na słońcu leniwcem, niż zgłaszać się na kolejne przesłuchania. Poza tym dysponował sporymi funduszami i powoli nabierał przekonania, że chyba lepiej nadaje się na producenta niż na aktora.

- Podrzucę cię - dodał.

Paddy ściągnął koszulkę i padł na trawę.

- Chryste, ależ jestem bez formy... Jak to się stało, że wyrobiłeś sobie taką klatę, Jacko?

- Zużyłem na to w siłowni całą energię, jakiej nie wyko-

rzysiałem na uprawianie seksu. Mam chyba naturalną skłonność do dbania o dobrą sylwetkę...

- Stąd masażystka, prawda? - Paddy zakasłał i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni wymiętoszoną paczkę papierosów.

- Jasne - zgodził się Jack. - Ale bez samochodu na pewno jej nie poderwę.

Jack doszedł do wniosku, że masażystka jest trochę podobna do Kate Moss w rozmiarze 38, czyli całkiem niczego sobie. Skoro miał na oku tak atrakcyjną dziewczynę, to może stać go na odrobinę wielkoduszości...

- Wiesz, właściwie to mógłbyś podwieźć nas do restauracji, a potem wziąć samochód, przyjechać o 23.30 i zabrać nas do domu - zaproponował. - Zawsze mogę jej powiedzieć, że jesteś moim kierowcą.

- W porządku. - Paddy uścisnął dłoń Jacka, nie zauważając, że w ten sposób sam będzie musiał rozstać się ze swoją dziewczyną sporo przed północą.

- Czy twoja randka oznacza, że wreszcie zdobyłeś punkty u panienki, o którą ci od początku chodziło? - zapytał Jack, zastanawiając się, czy jednak masażystka bardziej nie przypomina ładnej hippiski z serialu *Przyjaciele*, która z całą pewnością nosiła rozmiar 42.

- Alice? Nie, przecież ci mówiłem, że nie jestem nią zainteresowany w ten sposób.

Nie podobało mu się, że Jack robi taką kwestię z tej historii z Alice.

- I wysłałeś jej własnoręcznie zerwane kwiaty właśnie dlatego, że nie jesteś nią w ten sposób zainteresowany? - Jack rzucił gazetę na trawę.

Przyszło mu do głowy, że może powinien spotkać się z tą Alice i wyniuchać, co się właściwie dzieje.

- Kiedy wpadłem do niej, nie było jej w domu, więc pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli zostawię jej kartkę. Zresztą, gdybym się zjawił bez uprzedzenia, dziewczyna mogłaby się wystraszyć, bo wygląda na trochę nieśmiałą... - Patrick powoli pogłaskał się po karku.

- Przejdźmy do rzeczy - starasz się ją złapać, czy nie? -

Jack wyraźnie nie rozumiał, co jest grane, problem polegał jednak na tym, że Paddy miał podobne odczucia.

- Naprawdę nie wiem. Gdyby mi się nie podobała, nie przyjechałbym tutaj, prawda? Z drugiej strony ona jest zupełnie inna niż wszystkie dziewczyny, jakie znam, Jacko. Myślę, że ty nawet nie zwróciłyś na nią uwagi, ale jest w niej coś, co przykuło moją... I teraz nie mogę przestać o niej myśleć... Szczerze mówiąc, przeszkadza mi to jak wrzód na dupie.

- Wygląda to poważnie - Jack spojrzął na Paddy'ego, który w roztargnieniu targał sobie włosy.

Niemożliwe, żeby wynikło z tego coś poważnego, pomyślał Patrick.

- Ach, daj spokój - westchnął. - Dziewczyna jest w porządku, i tyle... Dzisiaj znowu próbowałem zastać ją w domu, ale także bez skutku...

- Znowu? Chcesz powiedzieć, że byłeś tam już wcześniej i nadal jej nie poderwałeś? - Jack zaśmiał się i wyjął papierosa z paczki Paddy'ego, który zanurzył rękę w chłodnej wodzie w basenie. - Cóż, wszystko wskazuje na to, że twoje dni złotego młodzieńca są policzone! Z kim umówiłeś się na wieczór?

Patrick otworzył przymknięte oczy i palcami drugiej dłoni przecesał wilgotne od potu włosy.

- Isabelle. Wygląda trochę jak Ipenema - wysoka, opalona i śliczna. - Uśmiechnął się.

Gdzie podziała się ta Alice, do diabła? Czy ona w ogóle nie chodzi do barów jak normalni ludzie? Chryste, co za tajemnicza dziewczyna!

Tash podpięła włosy Alice spinką ze sztucznymi brylancikami.

- No, proszę bardzo - powiedziała. - Wyglądasz olśniewająco. Facet oszaleje z zachwytu na twój widok...

Cofnęła się o krok i z przechyloną na bok głową dłuższą chwilę podziwiała swoje dzieło. Alice miała na sobie turkusowy obcisły spodniom od Versace, cały w zalotne biedronki, a na nogach czółenka na płaskim obcasie. Fryzura przywo-

dziła na myśl miotłę, która przegrała walkę ze sztormem dzie-  
sięć w skali Beauforta.

- Wyglądam jak naćpana Maria Antonina - jęknęła Alice.  
- Nie mogłabyś tego trochę przygłodzić?

Jeśli o nią chodziło, to przywdzianie znoszonych butów sportowych firmy Puma oraz džinsów zakrawało na dużą przesadę. Kiedy Charlie zobaczy ją w tym stroju, natychmiast dojdzie do wniosku, że gotowa jest zrobić wszystko, byle tylko zaciągnąć go do łóżka, a przecież to nieprawda, w każdym razie nie w odniesieniu do faceta, którego jedyną rzucającą się w oczy cechą były rozwiane włosy i opalenizna. Opalenizna wyszła z mody w epoce potopu, prawda? Alice przypomniała sobie dodatki towarzyszące zwykle opaleniznie - białe sportowe skarpetki, kabriolety ze składanym dachem, tenis przed śniadaniem, stoper, żeby wiedzieć, kiedy odwrócić się na brzuch, by plecy za bardzo się nie przypiekły... Wszystkie te atrybuty opalenizny budziły w Alice głębokie obrzydzenie. Sprawiały, że miała ochotę uciec z krzykiem do bezpiecznego Chelsea i do mężczyzn, którzy nie myją się zbyt często. Zgoda, nie przypominają wypachnionych dandysów, są za to prawdziwymi mężczyznami, a nie sklepowymi manekinami.

- Tash, to cudowna zabawa, ale mam mnóstwo spraw do załatwienia w związku z kampanią Tommy'ego Kelly i powinienam posiedzieć parę godzin w pracy...

Dwa razy przećwiczyła tę kwestię przed lustrem, korzystając z tego, że Tash pobiegła do kuchni po kostkę lodu, którą postanowiła przyłożyć do krostki na szyi Alice. W głębi duszy Alice zdawała sobie jednak sprawę, że wszelkie protesty nie mają sensu. Charlie zadzwonił rano, żeby sprawdzić, czy Alice nie ma uczulenia na jakiś rodzaj żywności, ponieważ czuł się w obowiązku poinformować o tym obsługę restauracji. Krótko mówiąc, było już za późno na powstrzymanie biegu wydarzeń...

- Proszę... Przyciśnij to na chwilę do skóry, a zaczerwienienie zniknie... - wysapała Tash.

Akurat. Zanim rozległ się dzwonek, kostka zdążyła się już rozpuścić i krople wody utworzyły mały strumyczek, spły-

wający po szyi Alice, między jej piersiami aż po pępek. W miejscu, gdzie znajdowała się krostka, pojawiło się kilka innych. Cóż, jeżeli powiem mu, że to zaraźliwe, może przynajmniej nie pocałuje mnie pod koniec wieczoru, pomyślała Alice, w złocistych pantofelkach zmierzając ku drzwiom.

- Cześć, Charlie, bardzo się cieszę, że cię widzę! - zawołała Tash, która pierwsza dopadła drzwi i teraz całowała powietrze w okolicy policzka Charliego.

Alice stała z tyłu i czuła się jak czternastoletnia bohaterka amerykańskiego sitcomu, czekająca na chłopaka, który ma zabrać ją na bal z okazji ukończenia szkoły.

Tyle tylko, że jej doświadczenia z tego właśnie okresu były zupełnie odmienne. Zwykle jeden z kolegów z klasy mówił: „Słuchaj, wpadłaś w oko mojemu kumplowi, co ty na to?”, po czym następowało zaproszenie na dyskotekę i krótka obmacywanka w szatni lub na zewnątrz, jeżeli chłopak był bardzo napalony. Potem przychodził poniedziałek, a wraz z nim uczucie zawodu i zażenowania, kiedy wspomniany kumpel kolegi udawał, że nigdy nie dotknął Alice spoconymi łapami, co tam, nie dotknął, nigdy jej nawet nie widział.

- Alice, miło mi, że znowu się spotykamy - wyrecytował Charlie, wyłaniając się z ramion Tash i potrząsając jej dłonią.

O, Boże, najwyraźniej postanowił być oficjalny... Trudno będzie to znieść. Tash, która nadal grała rolę opiekuńczej mamusi z serialu, zapytała, dokąd się wybierają i tak dalej. Alice zmierzyła Charliego szybkim spojrzeniem. Wzrost: 180 cm (do przyjęcia, chociaż nie idealnie), włosy: brązowe, prawdopodobnie ułożone za pomocą pianki lub żelu (efekt wątpliwy), oczy: mogą być, zęby: mnóstwo (z dość skromnego doświadczenia Alice wynikało, że całowanie się z mężczyznami o bogatym uzębieniu przywołuje w jej wyobraźni niepokojące skojarzenia z Kenem Doddem), strój: płócienne spodnie, prawdopodobnie od Armaniego, bliżej nieokreślona koszula oraz sznurowane półbuty. Z tego wszystkiego wynikało, że Alice została umówiona na randkę z Kenem. Może Barbie wdała się w romans z Action Manem i Ken usiłuje się na niej odegrać...

- Bawcie się dobrze! - Tash pomachała im z progu.

Gdyby Tash miała zawiązany w pasie fartuszek i chusteczkę do nosa w rękę, Alice mogłaby przysiąc, że w jakiś tajemniczy sposób trafiła na plan zdjęciowy *Szczęśliwych dni*.

Nie trzeba chyba dodawać, że Ken miał kabriolet z podnoszonym dachem. Kiedy gnali autostradą w kierunku Beverly Hills, Alice pożegnała się ze sporą liczbą spinek do włosów, które porwał wiatr. Żałowała, że Charlie nie stara się rozmawiać z nią w trochę bardziej bezpośredni sposób, ale cóż mogła na to poradzić...

- Twoja praca jest na pewno bardzo stymulująca, prawda? - zapytał, ani na ułamek sekundy nie przenosząc na nią wzroku, chociaż na drodze nie było żadnych samochodów.

Coś mi mówi, że ten facet ani na krok nie odstępował od zasad dobrego wychowania, pomyślała Alice, wyławiając z włosów kolczyki z brylancikami. Dobrze, że wiatr wysuszył wilgotną plamę na turkusowym spodniem.

- Tak, oczywiście, zdarzają się interesujące chwile. Co prawda, z wykształcenia jestem modystką, ale ta praca też jest ciekawa...

Nie miała zielonego pojęcia, dlaczego skłamała. Po prostu była to pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy, a czuła, że musi jakoś ubarwić i ożywić tę randkę.

- Rozumiem... - Charlie wyglądał na nieco zagubionego. - Więc czym się właściwie zajmujesz? Jesteś specjalistką od mody czy coś takiego?

Nadal pędzili przed siebie z szybkością trochę ponad stu kilometrów na godzinę. Charlie sprawiał wrażenie człowieka, który umie rozmawiać na każdy temat, więc postanowiła dać mu drugą szansę. Niestety, wiele wskazywało na to, że Charlieemu chwilowo zabrakło zapału do konwersacji.

- A ty jesteś łowcą talentów, tak? To także musi być wyjątkowo stymulujące...

Zrozumiała, że musi wziąć na siebie trud podtrzymywania rozmowy. Cóż, w końcu to Charlie zapłacił za kolację, w każdym razie taką miała nadzieję, ponieważ Tash powiedziała jej, że jadą do najdroższej i najbardziej ekskluzywnej restauracji

w mieście. W odpowiedzi na *jej* uwagę Charlie wyrecytował listę sławnych nazwisk, których Alice nigdy dotąd nie słyszała, i uraczył ją kilkoma opowieściami o budżetach oraz problemach z castingiem. Uśmiechała się uprzejmie i kątem oka obserwowała profil Charliego. Wspaniały nos, bez dwóch zdań. Ładne, kształtne wargi o zdecydowanym zarysie i miłym wyrazie, wcale nie obleśnym. Całkiem przyjemne. A uszy? Czyste? Lekko przechyliła głowę, żeby sprawdzić. Tak jest, czyściuteńkie. Więc dlaczego nie, Alice? Czemu nie? Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Charlie był zwyczajnie zbyt przystojny. I zbyt nudny, cholernie nudny! Nie wspominając już o tym, że zbyt czysty... Charlie był panem Idealnie Bezpiecznym, i tyle.

Alice, ubrana we frywolny spodnium od Versace, miała ochotę na odrobinę rozwiązłości. Cały tydzień tkwiła za biurkiem i teraz dopadła ją jedna z tych burz hormonalnych, które wybuchają w niemożliwych do przewidzenia chwilach i sprawiają, że kobieta ślini się na widok każdego faceta, od montera od telewizji kablowej po prowadzącego najczęściej oglądany talk-show. Każdego z wyjątkiem tego, który siedzi obok niej w samochodzie...

Charlie poprowadził ją bocznymi alejkami do naprawdę pięknej restauracji. Nie zastosowano tu tak trywialnego rozwiązania architektonicznego, jakim jest sufit - otwarta przestrzeń nad głowami odsłaniała jasne od gwiazd wieczorne niebo, na środku dziedzińca zaś cicho szumiała wdzięczna fontanna. Klientela lokalu była niewątpliwie elitarna i chociaż Alice nigdy nie słyszała o tej restauracji, Charlie poinformował ją z dumą, że stolik trzeba tu rezerwować z półrocznym wyprzedzeniem.

- No, no, chyba ty także odwiedziłeś tę wróżkę w Venice! - zachichotała.

- Słucham? - W pięknych oczach Charliego odmalował się całkowity brak zrozumienia.

- No, bo skąd już sześć miesięcy temu wiedziałeś, że będziesz chciał właśnie tu zaprosić mnie dziś na kolację? - zapytała lekko.



- Och, nie wiedziałem o tym. Najpierw zamówiłem stół, a potem znalazłem dziewczyną - wyjaśnił Charlie poważnie.

- To bardzo romantyczne, Charlie! - Alice się roześmiała. - Bardzo ci dziękuję.

Miała nadzieję, że kącki ust Charliego odchyłą się w kierunku północnym, ale nic z tego. Kelner przyniósł im butelkę szampana, którą też najwyraźniej wstawiono do wiaderka z lodem sześć miesięcy temu. Nie należy przejmować się zbyt towarzystwem, w jakim się przebywa, filozoficznie pomyślała Alice. W końcu była w pięknej restauracji pod gwiazdami, na świeżym powietrzu, popijała drogiego szampana i niech ją szlag trafi, jeżeli nie będzie się tym cieszyła. Musi tylko upić Charliego, który po paru kieliszkach na pewno stanie się znacznie bardziej seksowny. Wychyliła pucharek z lekkim koktajlem i poprosiła Charliego, by nalał jej samego szampana.

Gdyby nie była absolutnie przekonana, że Charlie jest najnudniejszym i najbardziej praworządnym obywatelem Hollywood, mogłaby nabrać podejrzeń, że ten wzór cnót stara się ją upić. Ale sama odrzuciła je jako całkowicie bezdurne. Charlie otworzył przed nią drzwiczki samochodu, zapytał, przy którym stoliku chciałyby usiąść, i zwierzył się, że jego matka cierpi na rwę kulszową. Był równie niegroźny jak cały miot puszystych kociąt, bawiących się kłębkami wełny. Poczucie absolutnego bezpieczeństwa sprawiło, że kiedy zabrała się do pierwszego dania, na które podano zupę z białych małży, miała już pewne trudności ze skupieniem wzroku na jednym punkcie.

Potem nastąpiła seria dań, przerywanych kolejnymi kieliszkami szampana. Ogólnie rzecz biorąc, kolacja nie była zbyt przyjemnym doświadczeniem. Alice i Charlie z wyraźnym trudem podtrzymywali co chwilę zamierającą rozmowę o budżetach filmowych i pracy agenta, którą zaczęli jeszcze w samochodzie. Alice od czasu do czasu rzucała jakiś żart lub dowcipną uwagę, których Charlie po prostu nie zauważał. Ukrywała wtedy swoją wesołość w następnym kieliszku czegoś, co miała pod ręką. Gdy wychodzili, okazało się, że Alice

trzeba zanieść do samochodu. No, może nie dosłownie zanieść... Tak czy inaczej, całym ciężarem opierała się na ramieniu Charliego, zostawiając ślady nowego, trwałego błyszczyka do ust na rękawie jego koszuli. Charlie natomiast wbił sobie do głowy, że jest dosyć trzeźwy, aby usiąść za kierownicą. Alice nie była dosyć trzeźwa, żeby określić, czy Charlie ma rację i zdecydowanie zbyt pijana, by protestować. Poza tym, wyglądało na to, że będzie to jedyna niebezpieczna rzecz, jaką Charlie robi tego wieczoru, na ulicy było mało samochodów i jeszcze mniej pieszych, więc Alice poddała się biegowi wydarzeń.

- Och, Charlie, przecież ja tu nie mieszkam! - powiedziała, kiedy przyhamowali na podjeździe domu wyglądającego na willę Aarona Spellinga.

Brama otworzyła się z dyskretnym szmerem i Charlie pomknął podjazdem w stronę domu. Może jednak nie wypił za dużo, pomyślała Alice, lecz zaraz wzruszyła ramionami. Nieee, przecież niemożliwe, żeby sama, bez pomocy Charliego, wypijała trzy butelki szampana... Samochód stanął.

- Może miałabyś ochotę popływać? - Charlie odwrócił się do niej, unosząc brwi.

Gdyby z taką propozycją wystąpił jakikolwiek inny mężczyzna, Alice bez chwili wahania zrzuciłaby majtki i skoczyła do wody, ale Charlie był po prostu zbyt gładki i uprzejmy.

- Nie, bardzo dziękuję. Mogłabym utonąć - wyjaśniła.
- Mam koło ratunkowe - rzekł bez śladu poczucia humoru.
- No, to może popatrzę sobie chwilę na twój basen, a potem zawieziesz mnie do domu, dobrze?

Zdaniem Alice było oczywiste, że jedyną rzeczą, jakiej rozmiar przyjdzie jej ocenić, będzie basen Charliego. Czy była odrobinę zawiedziona? Nie, skądże znowu, tyle że on chyba rzeczywiście miał ładne oczy... A ten dom... Nie miałyby nic przeciwko temu, by spędzić cały dzień nad basenem, w turbanie, ze szklaneczką mrożonej herbaty w ręku.

- Doskonale - odparł Charlie.

Zatrzasnął drzwiczki samochodu i ruszył przodem w kierunku domu. A więc nie był zainteresowany... Ale dlaczego?

Czyżby w tym spodniemie od Versace wyglądała na hippiskę czy kogoś w tym rodzaju? A mówiła Tash, że powinna zawiązać sobie w pasie rozpinany sweter, aby zatuszować nadmierne wypukłości.

- Uroczy dom, Charlie. - Podbiegła, żeby dotrzymać mu kroku.

- Miło, że ci się podoba. Zrobić kawy? - zapytał, otwierając drzwi.

No i co teraz? Czy chodziło mu po prostu o kawę, czy też o kawę z podtekstem, z prawie niezauważalnym uniesieniem lewego kącika ust i łagodnym wygięciem zadbanej, starannie wydepilowanej brwi? Alice nie mogła się do końca zorientować, ponieważ Charlie wyprzedzał ją o dobre parę kroków. Chyba zależało mu, żeby dopaść do drzwi przed nią i zatrzasnąć je tuż przed jej nosem. Wtedy przez całą noc błąkałaby się po ogrodzie, aż wreszcie koło siódmej rano znaleźliby ją ochroniarze i wyprowadzili za bramę... Może powinna była uważniej słuchać opowieści o dolegliwościach jego matki... Pewnie uznał, że ona jest mało interesującą egoistką... Prawdopodobnie nie byłby pierwszą osobą, która przypisała jej te cechy...

- Czy twoja mama czuje się już lepiej, Charlie? - zapytała, dochodząc do wniosku, że jeżeli nawet ona sama nie czuje nic do Charliego, to powinna przynajmniej pozostawić mu anielską wizję swego charakteru.

- Moja mama nie żyje. - Charlie otworzył drzwi i wkroczył do chłodnego, wykładanego dębową boazerią holu.

Alice przystanęła w progu, przerażona własnym brakiem taktu i pewna, że Charlie zaraz wyprosi ją z domu. Nie wiedziała już nawet, o czyjej rwie kulszowej rozmawiali...

- Zamierzasz wejść czy nie, Alice? - zainteresował się Charlie.

Jego oczy lśniły. Jak to się stało, że w jednej chwili przestał być nudny jak kanapka z jajkiem na twardo i stał się fascynujący niczym chrupiąca bagietka z serem Brie oraz pomidorami? Nieprawdopodobne...

- Wchodzę - oświadczyła Alice, potykając się na schodku

za progiem i gubiąc kolejną spinkę ze sztucznymi brylancikami.

- Muszę załatwić kilka telefonów - powiedział. - Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza...

Uśmiechnął się do niej, ukazując idealnie białe i w ogóle pod każdym względem doskonałe zęby. Jednak był przystojny... Co tu kryć, kojarzył się jej teraz z pyszną kanapką z szynką parmeńską i suszonymi na słońcu oliwkami. Do diabła, więc może jednak zdołała go upić i to dzięki temu stał się taki cholernie atrakcyjny... Jego lekko potargana czupryna bez wątpienia zaczęła przesłaniać w jej wyobraźni jasne loczki Jamiego, a opalone na przyjemny brąz, porośnięte jaśniejszymi włoskami ramiona robiły wyjątkowo apetyczne wrażenie.

- Wcale mi to nie przeszkadza. Usiądę sobie wygodnie gdzieś tutaj, o... - Machnęła ręką i trafiła w... W szkic Picassa? Nie, niemożliwe... Ależ tak, w Picassa! O, cholera jasna!

- Rozgość się w pokoju obok, dobrze? Nie zajmie mi to dużo czasu. - Otworzył drzwi do pomieszczenia, które również dobrze można by nazwać „komnatą grzechu”.

Były tu ciemnobordowe welwetowe kanapy, tkaniny, które kiedyś niewątpliwie zdobiły ściany arabskich haremów, i rozkosznie miękkie, puszyste dywany. Alice z wdzięcznością, lecz całkowicie bez wdzięku opadła na szmaragdowy fotel, odchyliła głowę do tyłu i otworzyła oczy.

- Achhhhh! - krzyknęła przerażona.

Na sekundę zupełnie wytrzeźwiała. Z góry patrzyły na nią podejrzliwie jej własne oczy, osadzone w jej własnej twarzy. Parsknęła nerwowym śmiechem. Lustrzany sufit, no, tak... W gruncie rzeczy sufit pokryty był warstwą srebra, lecz Alice nie wiedziała nawet, że podobne ekstrawagancje są możliwe, uznała więc, że jest to zwyczajne lustro. Charlie wszedł do pokoju, tyle że teraz wyglądał jak bohater jednej z komedii Noela Cowarda. Ubrany był w jedwabny szlafrok.

- Charlie! - Usiłowała się wyprostować, ale fotel został zaprojektowany w taki sposób, aby można było na nim spoczy-

wać w pozycji półleżącej, ewentualnie robić coś jeszcze innego, coś, na co nie miała w tej chwili najmniejszej ochoty.

Przelotny pocałunek na pożegnanie w chłodnym powiewie wiatru nad basenem to jedna sprawa, ale żeby pozwolić się obmacywać i Bóg wie, co jeszcze, w tym... Rozejrzała się szybko i z przerażeniem zauważyła kilka erotycznych rycin (jedna z nich przedstawiała osła) na przeciwległej ścianie. Krótko mówiąc, nie zamierzała dać się obmacywać w tym wyuzdanym burdelu. Podciągnęła kolana pod brodę, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że nie jest to specjalnie obronna pozycja, więc zerwała się na równe nogi i rzuciła się w kierunku jednego ze znajdujących się w pokoju dzieł sztuki.

- Przepiękne! - oznajmiła z zapałem, wskazując skrzywiony w korkociąg kawałek metalu, budzący bardzo odległe skojarzenia z postacią ludzką. - Czy to Henry Moore?

- Nie, to wczesna Beth Derbyshire. - Charlie skinął głową i udrapował swoje spowite w jedwab...

Spowite w jedwab co? Do diabła, Alice nie chciała myśleć o tym, co kryje się pod szlafrokiem Charliego, chociaż jej umysł uparcie wracał do tych z obrzydzeniem odpychanych wizji. Nie chciała o tym myśleć, ale jednocześnie nie mogła przestać o tym myśleć. Idźcie precz, poleciła swoim myślom. Już, natychmiast. Mimo tych wysiłków Charlie, osioł, jedwabny szlafrok i zbyt wygodny fotel, przeznaczony do wykonywania określonych czynności, wszystkie te obrazy łączyły się w jej biednej głowie w jeden, bardzo niepokojący obraz. W wielkim pośpiechu odwróciła się i przysiadła na najmniej wygodnym i najbardziej surowym meblu w pokoju - na "małym drewnianym taborecie. Całkowicie bezpieczny mebel. Równie dobrze mogłaby siedzieć teraz na lekcji religii w jakimś żeńskim zakonie. Otarła krople potu z górnej wargi i odetchnęła z ulgą. Charlie siedział na kanapie w odległości co najmniej trzech metrów i wszystko znowu było jak należy.

- Podoba ci się? - Charlie wskazał niewinny drewniany taborecik, na którym siedziała.

- Bardzo - odparła Alice. - Wyjątkowo solidny...

Zakołysała się na taborecie, jakby chciała zademonstrować, jak bardzo jest solidny, lecz niezbyt mocno, by przypadkiem nie spaść i nie wylądować na kolanach Charliego.

- To tradycyjny purytański stołek porodowy.

Uśmiechał się, ale był to nowy uśmiech i Charlie też był nowy. Nowy Charlie obserwował Alice lubieżnym wzrokiem i w ogóle nie kojarzył się już z puszystymi kociećkami oraz rwą kulszową.

- Jest nie tylko solidny, może mieć także zdumiewająco wiele zastosowań - dodał z uśmiechem.

Mało brakowało, by zaczęła natychmiast wrzeszczeć, wzywając na pomoc przedstawicieli policji z Los Angeles. Zrobiłaby to, gdyby nie doszła do wniosku, że powinna przede wszystkim usiąść gdzie indziej. Przesiadła się na inne krzesło i wzięła głęboki oddech, lecz nagle Charlie zbił ją z tropu.

- Zaprosiłem gości, mam nadzieję, że będziesz zadowolona - oświadczył, pochylając się i badając wzrokiem biodro Alice.

A więc to jej biodra zniechęciły go do niej... Jakie to szczęście, że nie zamierzała się tym przejmować. Była wolną kobietą, musiała tylko pokręcić się trochę po pokoju do chwili pojawienia się jego przyjaciół, potem zaś, kiedy oni będą rechotać po którymś z kolei dowcipie na temat baseballu, wstanie i jak gdyby nigdy nic zamówi sobie taksówkę. Doskonale. Co tam, możliwe, że nawet pójdzie popływać z Charliem i jego znajomymi. Było bardzo gorąco i teraz, kiedy seks w basenie przestał stanowić zagrożenie, z przyjemnością zanurzyłaby się w chłodnej wodzie.

- To moja dawna przyjaciółka - rzekł Charlie, który właśnie przystąpił do udzielania Alice informacji co do zdobywanych pokój dzieł sztuki.

Nic dziwnego, że w końcu się poddał, bo Alice zadała co najmniej siedem pytań na temat każdego obrazu, zdjęcia i szkicu na ścianach. Ta fotografia była ostatnia. Alice nie była już w stanie wymyślić następnych pytań, nie miała też nic więcej do powiedzenia. Dawna przyjaciółka... Nieźle. Oto temat, w którym można zatopić zęby, jednocześnie dowodząc,

że nie ma się żadnych oczekiwań co do własnej pozycji w życiu i sercu Charliego. Mogła podkreślić, że chce zostać jego przyjaciółką, ale nie kochanką.

- Bardzo ładna - oświadczyła, chociaż nie była pewna, w której części fotografii znajduje się twarz dziewczyny, policzek, czy choćby...

- Ona zrobiła zdjęcie, ale to ja na nim jestem. - Charlie podszedł bardzo, bardzo blisko, zdecydowanie za blisko, ujął wskazujący palec Alice i przejechał nim po kształcie, który wcześniej wzięła za nos i usta w cieniu, teraz jednak z przerażeniem uświadomiła sobie, że jest to coś innego... - Tak czy inaczej, cieszę się, że fotografia ci się podoba - dodał z uśmiechem.

Wyszarpnęła palec z jego dłoni, zupełnie jakby dotykając zdjęcia, dotykała prawdziwej, żywej i ciepłej części ciała Charliego. O, Boże...

Dzyyyyy! Dzwonek uratował ją dosłownie w ostatniej chwili. Charlie zniknął w holu, natomiast Alice pomknęła z powrotem na stołek porodowy i zamarła, czekając, aż pokój napełni się mężczyznami w baseballówkach i z puszkami piwa w ręku.

- To jest... Przepraszam bardzo, ale zapomniałem, jak masz na imię... - Charlie zwrócił się do stojącej po jego lewej ręce ciemnowłosej piękności.

- Chakira, a to jest Courtney - odezwała się brunetka zachrypniętym od papierosów głosem, biorąc za rękę swoją nie mniej ładną jasnowłosą koleżankę.

Obie podeszły do kanapy i usiadły, zakładając nogę na nogę i odstawiając cieniutkie paski podwiązek.

- Coś do picia, dziewczęta? - zagadnął pogodnie Charlie, idąc w stronę barku. - Och, najlepiej napijmy się szampana, przecież jest sobota...

Uśmiechnął się szeroko i wyjął z lodówki oszronioną butelkę i cztery schłodzone kieliszki. Alice szukała na twarzach pięknych dziewcząt oznak zadowolenia, ale one bez słowa wzięły kieliszki od Charliego i nawet nie podziękowały. Ach, naprawdę, te kobiety z Kalifornii... Były strasznie zepsute.

Alice postanowiła sprawić Charliemu przyjemność i zademonstrować radość i wdzięczność.

- Bardzo dziękuję, Charlie! O, masz nawet schłodzone kieliszki, coś takiego! Cudownie!

Dziewczyny patrzyły na nią takim wzrokiem, jakby podejrzewały, że wypija już co najmniej butelkę szampana. Szczerze mówiąc, nie wyglądały na przyjaciółki czy choćby znajome Charliego - nie żartowały, nie wymieniały zabawnych uwag... Co tu dużo mówić, były dosyć ponure...

- Chakira i Courtney... - powiedziała Alice i pochyliła się lekko do przodu, pragnąc lepiej przyjrzeć się ich twarzom. - Jakie ładne imiona...

Nie miała zamiaru zniżyć się do tak marnego poziomu wychowania, jaki reprezentowały dziewczyny. Zmobilizowała cały zapas swego uroku i przystąpiła do działania.

- Czym się zajmujecie? - zapytała uprzejmie.

- Co z nią? - zwróciła się do Charliego dziewczyna imieniem Courtney. - Spadła z nieba, czy co?

W oczach Charliego na moment zabłyśła najprawdziwsza panika, jednak zaraz uśmiechnął się szeroko.

- Może przespacerowałybyście się po ogrodzie, dziewczęta, dobrze? - zaproponował. - Alice i ja zamienimy parę słów i wtedy was tu zaprosimy.

Podał im kieliszki, a one wstały, posłusznie, choć dość niechętnie, i ruszyły w kierunku drzwi. Charlie powiedział coś do nich szeptem i cicho zamknął za nimi drzwi.

- Co za dziwne dziewczyny! - zauważyła Alice, czujnie obserwując Charliego, który zmierzał w jej stronę. - Od dawna je znasz?

- Można powiedzieć, że od bardzo niedawna - odrzekł z uroczym uśmiechem. - Słabo je znam, ale wydają się całkiem miłe...

Mimo idiotycznego jedwabnego szlafroka znowu wyglądał sympatycznie. Alice zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie znajduje się we wczesnym stadium schizofrenii i ani na chwilę nie spuszczała z niego oka. Charlie był modelowo zbudowany, bardzo szczupły, muskularny we właściwych miej-



scach. I jeżeli jeszcze zdjęcie na ścianie oddawało prawdziwy stan rzeczy, to rzeczywiście...

- Może przeniosłabyś się na jakieś wygodniejsze miejsce, Alice - powiedział powoli.

Zamknęła oczy i doszła do wniosku, że jego głos brzmi całkiem zmysłowo. Przesiadła się na miękkie krzesło i nadal obserwowała go z bezpiecznej odległości. Prawdę mówiąc, przypominał męskich modeli z czasopisma „Athena”, których zdjęciami niektóre dziewczyny ozdabiały ściany swoich sypialni. Doprawdy przyjemnie było na niego patrzeć i to stanowiło jego podstawową zaletę, ponieważ nie miał zbyt wiele do powiedzenia.

Stanął tuż obok i wbił wzrok w jej prawe udo.

- Czy te biedronki na twoim spodniem coś znaczą? - zapytał z wyraźnym zaciekawieniem.

- Raczej nie - odparła uczciwie.

- Ale są śliczne... Myślałem, że może mają być symbolem płodności czy coś w tym rodzaju... Podobno biedronki są bez przerwy napalone... - Idealne w kształcie wargi znalazły się obok jej ucha.

- Biedronki są napalone? Popatrz, popatrz, kto by pomyślał! - Wybuchnęła tak głośnym śmiechem, że Charlie musiał się trochę cofnąć.

Noga drgała jej nerwowo.

- Bardzo napalone... - wyszeptał.

Zamknęła oczy. Ach, ten jego głos, taki seksowny... Tym razem postanowiła nie podnosić powiek. Miała wrażenie, że zaraz zaśnie. Charlie ujął jej dłoń i pogłodził pieszczotliwie. Wokół przegubu poczuła jakieś miłe ciepło. Potem wzięła jej drugą rękę... To samo uczucie... Mmmm... Chyba naprawdę zasypiała... Woda po goleniu, której używał, pachniała ciepło i miło, skórą i j akby drewnem.

- Możesz już otworzyć oczy... - dobiegł ją szept Charliego.

Nie miała ochoty wracać do świata, było jej zbyt przyjemnie.

- Alice...

Najwyraźniej Charlie nie zamierzał się łatwo poddać. Otworzyła oczy.

- Tak? - odezwała się, nie mogąc skupić wzroku na jednym punkcie.

- Zaraz wracam, dobrze?

Charlie wstał i wyszedł z pokoju. I po co otwierała oczy? Tyle wysiłku na nic? Spróbowała zrobić sobie masaż powiek. Boże, była bardziej zmęczona, niż sądziła... Jej ręce nawet nie drgnęły, wydawały się zbyt ociężałe. W ogóle nie mogła ich podnieść z oparcia krzesła. Spróbowała raz jeszcze, ale pozostały tam, gdzie były. Otworzyła oczy i zerknęła na prawą dłoń.

- Och, jej! - pisnęła cienko i przeniosła wzrok na lewą rękę. - Och, jej! - powtórzyła rozpaczliwie.

Nic dziwnego, że ręce nie chciały drgnąć, ponieważ były po prostu przywiązane do krzesła. Nie, nie przywiązane, ale przytwierdzone kajdankami. Przekręciła głowę, żeby sprawdzić, gdzie podział się Charlie, ale wysoki podgłówek krzesła zawęził jej pole widzenia i mogła patrzeć tylko na powiększone do plakatowych rozmiarów genitalia Charliego, umieszczone na ścianie bezpośrednio przed nią.

- Och, jej...

Nie mogąc zapanować nad paniką, szarpnęła ręce ku sobie. Bez skutku. Obejrzała kajdanki z nadzieją, że może okażą się gadzetem ze sklepu ze śmiesznymi przedmiotami i natychmiast się otworzą, ale nie. Nic z tego. Nie ma lekko. Dobrze chociaż, że były wygodne - obszyte futerkiem, chyba norkami, jeśli się nie myliła. Sama też czuła się jak norka, schwyta-na w pułapkę po to tylko, by dostarczyć rozrywki komuś bogatemu i zepsutemu. Kurwa mać, co robić?

- Ach, Alice, jak to dobrze, że jesteś. - Charlie z szerokim uśmiechem wrócił do pokoju, prowadząc jeszcze trochę nadąsane Courtney i Chakirę.

- Oczywiście, że jestem! - oświadczyła z oburzeniem. - Niby gdzie mogłabym się podziać?!

Może jeżeli uśmiechnie się ciepło do jednej z dziewczyn, ta pośpieszy jej z pomocą. Potrzebowała teraz sojuszników, im więcej, tym lepiej. Uśmiechnęła się do Chakiry, która wyglądała na trochę bardziej sympatyczną niż Courtney, ale po-

dobnie jak jej koleżanka wydawała się tylko odrobinę łagodniejsza od rottweilera. Charlie natychmiast odwrócił się do Chakiry i mrugnął do niej. Chakira z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy przewróciła oczami i podeszła do krzesła, na którym siedziała Alice. Uklękła i położyła sobie na kolanach jej lewą stopę, a potem zdjęła z niej niewygodny pantofel i włożyła sobie do ust duży palec u nogi uwięzionej na krześle dziewczyny.

- Co, do diabła?! - Alice gwałtownie wyszarpnęła stopę z rąk Chakiry.

Kierowała nią głównie myśl, że po dobrych ośmiu godzinach w za małym bucie jej noga cuchnie potem aż pod niebo, była jednak także całkowicie zagubiona i przerażona, bo nie miała zielonego pojęcia, co właściwie się tutaj dzieje. Wszystko byłoby w największym porządku, gdyby na jej miejscu siedziała Kim Basinger, a na miejscu Charliego napalony do nieprzytomności Mickey Rourke. Cała ta scena w niczym nie przypominała życia - równie dobrze mogła pochodzić z jakiegoś erotycznego filmu, który wydaje się nieszkodliwy, kiedy ogląda się go na wideo... Ale gdy ktoś zaczyna ssać duży palec u twojej nogi z takim zapałem, jakby miał w ustach pysznego lizaka, to rzeczywistość przybiera zupełnie inne oblicze...

- Przepraszam cię bardzo, ale na twoim miejscu nie robiłabym tego! - wykrztusiła Alice. - Chodzi mi o to, że...

Już miała z iście angielską uprzejmością przeprosić za niezbyt świeży aromat swoich stóp, kiedy nagle poczuła, że dłonie Chakiry usiłują zsunąć spodniem z jej ramion.

- Ej! - wrzasnęła i w tej samej chwili poczuła, że za jej plecami stoi Courtney i pokrywa pocałunkami jej kark.

Kurwa mać!

- Charlie, czy mógłbyś zdjąć mi to z rąk i odwieźć mnie do domu? Tash na pewno na mnie czeka i niepokoi się, że tak długo nie wracam. - Skłamała, będąc w pełni świadoma, że im dłużej zostanie u Charliego, tym szczęśliwsza będzie Tash.

Charlie prawdopodobnie również zdawał sobie z tego sprawę, bo zupełnie niewzruszony uwagą Alice nadal siedział na-

przeciwno, spod zmrużonych powiek z rozkoszą przyglądając się trzem kobietom.

- Słuchaj, Charlie, powiedz im, żeby się ode mnie odczepiły! - krzyknęła i wymierzyła Chakirze kopniaka w brzuch z całą wściekłością, jaka w niej wezbrała.

W odpowiedzi Chakira spokojnie usiadła na jej nodze. W tym samym czasie Cournty sprawnie wyłuskiwała Alice spod turkusowego spodniumu. Nagle Charlie strzelił palcami.

- W porządku, dziewczęta, dajmy Alice trochę odetchnąć - polecił. - Zobaczmy, co potraficie zrobić bez niej...

Obie jak na komendę zaczęły się nawzajem rozbierać i ścisnąć na dywanie przed kominkiem.

Alice mocno zacisnęła powieki i znowu usiłowała przypomnieć sobie tablicę pierwiastków chemicznych. Miedź - K. Nie, skądże, K to potas, nie miedź. Cholera, jaki jest symbol miedzi? A żelaza? Może In? Zmarszczyła brwi i zaczęła nucić w myślach jakąś melodię, a wszystko po to, żeby zagłuszyć jęki, dobiegające z okolic dywanu i od czasu do czasu z kanapy, na której spoczywał Charlie. Obrzydliwość. Magnez - Mg. Tak jest, to łatwe...

Jęki wreszcie ustały i wycieńczona Alice odpłynęła w sen. Nie była pewna, co się z nią działo, ale gdy się obudziła, ujrzała przed sobą ogolonego, wyświeżonego i ubranego w garnitur od Ralpa Laurena Charliego, który stał przed nią, popijając filiżankę earl greya. Odkryła, że znowu ma pełną władzę nad rękami. Jedno ramięczko od biustonosza odpięło się i zwiisało gdzieś w okolicy pasa, ale poza tym chyba nic się nie stało. Czy miniona noc naprawdę miała miejsce? Z niedowierzaniem pokręciła głową. Usiłowała przypomnieć sobie, co się wydarzyło, ponieważ doskonale wiedziała, że przecież sama, i to w kajdankach, nie pokonała dwóch prostytutek, ale nic nie pamiętała. Muszę zupełnie zrezygnować z alkoholu, pomyślała, bo przestaję się kontrolować... Podniosła wzrok i zobaczyła na ścianie dużą, oprawioną fotografię, przedstawiającą nieco nieprzytomnie uśmiechniętą twarz jakiejś dziewczyny. Och, nie! Zaraz, chwileczkę... To wcale nie była uśmiechnięta twarz! O, nie!!!

- Dzień dobry - przemówił Charlie. - Chciałabyś może, żebym ci coś podał?

Telefon do adwokata, miała ochotę odpowiedzieć, ale nie zrobiła tego. Charlie wyglądał tak świeżo i niewinnie... Może padła tylko ofiarą wyjątkowo zmysłowego snu, wywołanego kontaktem ze sztuką o tematyce erotycznej... Jeżeli tak, to był to wyjątkowo twórczy sen, zupełnie odmienny od jej zwykłych marzeń o jednym numerku z byłym chłopakiem...

- Jestem ci winien przeprosiny za ubiegłą noc, Alice - rzekł Charlie takim tonem, jakby przeproszał za drobny nieakt - na przykład, że podał do wołownicy białe wino zamiast czerwonego. - Wydawało mi się, że umiem odgadnąć, jakie kobiety pozytywnie reagują na tego rodzaju rzeczy, lecz tym razem popełniłem błąd...

- Chyba tak - przytaknęła skwapliwie, obdarzając go zażenowanym uśmiechem.

Co dało mu podstawy do przypuszczenia, że właśnie ona jest tego typu dziewczyną, na miłość boską?! Nie powinna była wkładać tego spodniemu od Versace...

- To się nie powtórzy, obiecuję. - Położył rękę na sercu z takim przejęciem, jakby składał przysięgę na wierność ojczyźnie.

Trochę się uspokoiła. Niemożliwe, żeby był z gruntu zły i zdeprawowany, przecież Tash zna go od wielu lat. Może w LA takie rozrywki są czymś całkowicie normalnym, może to ona jest pokręconą dziwaczką...

- Przynieść ci coś? - zapytał bez cienia lubieźności.

Odetchnęła z ulgą.

- Nie, nie... - odparła. - Bardzo dziękuję, Może tylko... Może mógłbyś odwieźć mnie do domu? Mam całe góry prasowania, wszystko na jutro.

Patrick obudził się zaplątany w białą satynową pościel Izzy, w sypialni z widokiem na ocean. Uniósł ociężałą głowę z poduszki i rozejrzył się dookoła. Ani śladu po Izzy. Wciągnął bokserki i postanowił, że dzisiaj się wykapie. Musiał przecież kiedyś pokonać ponury strach, że każdy akwen wodny jest

równie zimny jak stalowoszare morze przy brzegach Cork, gdzie pływał jako dziecko.

- Izzy! - zawołał, wysuwając głowę na korytarz, ale nikt mu nie odpowiedział.

Najprawdopodobniej Izzy tkwiła w jakimś innym pomieszczeniu, zwinięta w pozycji lotosu. Prawie przez cały wieczór opowiadała, jaki wspaniały jest jej instruktor jogi kundalini, i namawiała Patricka, aby w najbliższym czasie zjedli z nim kolację. Ale on raczej nie miał na to ochoty. Poza tym teraz musiał stawić czoło wściekłości Jacka. Wczoraj z takim skupieniem słuchał opowieści Izzy o zajęciach gimnastycznych na golasa, że zupełnie zapomniał o swojej roli szofera.

Na palcach przeniknął obok łazienki i już prawie minął otwarte drzwi, kiedy nagle kątem oka dostrzegł naga jak ją Pan Bóg stworzył Izzy, która depilowała sobie przed lustrem brwi. Wspomnienie atletycznego maratonu z ubiegłego wieczoru powinno kazać mu natychmiast przyspieszyć kroku i zniknąć z pola rażenia Izzy, lecz stało się inaczej. Odwrócił się i uśmiechnął.

- Dzień dobry... - wybąkał.

Dobry Boże, jeżeli joga kundalini wywierała taki wpływ na wszystkie dziewczyny...

- Cześć! - Entuzjastyczny uśmiech Izzy był szerszy niż jej biodra. - Widziałeś prysznic?

W jednej chwili wciągnęła Paddy'ego do łazienki, gdzie kabina prysznicowa odgradzona była zasłoną z żywego bambusa, a okno wychodziło na plażę.

- Moja łazienka to po prostu marzenie ekshibcjonisty! - zaświergotała. Jej prężne od ćwiczeń jogi ciało wzbudzało w Patricku pełen wzruszenia zachwyty. - Chcesz spróbować?

Czy miał jakiś wybór? Koszula już zjechała z jego grzbietu, a palce Izzy, uzbrojone w pomalowane pistacjowym lakierem pazurki, sprawnie rozpięły jego pasek.

Dwie godziny później, wyczerpany, włożył na nos okulary przeciwsłoneczne i pomknął w kierunku Santa Monica tak szybko, jak pozwalał na to silnik starego volva. Włączył magnetofon i przejrzał kasyety. Beach Boys, Bon Jovi... Boże, nie

ulegało wątpliwości, że od czasu przybycia do LA muzyczny gust przyjaciela poważnie podupadł. Zatrzymał się przy budce telefonicznej w jakiejś bardzo zakurzonej i zaniedbanej dzielnicy, i zadzwonił do Jacka. Telefon nie odpowiadał. Wszystko wskazywało na to, że Jacka nie ma w domu. Albo nie życzy sobie rozmawiać z Paddym.

- Jack, to ja. Słuchaj, strasznie cię przepraszam, wczoraj wieczorem zupełnie o tobie zapomniałem. Oczywiście zwrócę ci koszt taksówki. Teraz podjadę tylko do Alice i sprawdzę, czy już wstała, bo jestem niedaleko, a potem zaraz wracam do domu. Masz u mnie duże piwo.

Powiesił słuchawkę i pobiegł z powrotem do volva, pełen obaw, że ktoś zdejmie mu felgi. Mijając bar U Noego poczuł nieodparcie cudowny zapach świeżych bajgli, więc zaparkował i wbiegł do środka po niezbędne dla podtrzymania życia pożywienie. Określenie „wbiegł” było w tym wypadku przesadą, ponieważ wszedł do baru, lekko kulejąc, i zamówił opiekanego bajgla z makiem i marmoladą. Zjadł go w samochodzie i ruszył w dół Main Street ku domowi Tash. Dom robił wrażenie pogrążonego w głębokim śnie. Na schodkach spokojnie siedział cierpliwy kot. Patrick słusznie przyjął założenie, że mieszkanki domu odzyskują siły po męczącej nocy. Sam był tak znużony, że wręcz marzył o tym, aby teraz znaleźć się w cieniście pokoju za opuszczonymi żaluzjami, może z kojąco senną Alice u boku.

Dokładnie wiedział, co zrobi, kiedy ją zobaczy - otworzy drzwiczki samochodu, wysiadzie i pójdzie za nią. Po paru minutach zawoła: „Wiesz, zwykle nie zatrzymuję nieznajomych kobiet na ulicy, ale wydaje mi się, że jesteś nie tylko piękną dziewczyną, lecz w dodatku Angielką. Mam rację?”. No, tak... W przypadku większości dziewczyn mógłby liczyć na mrowany sukces, ale Alice była inna i wymagała odmiennego podejścia. Wolałby nie mieć tyle czasu na zastanawianie się nad całą sprawą, bo głowa mu już od tego pękała. W końcu nie był nawet pewny, czy ją w ogóle pozna, chyba że znowu będzie ubrana w tę okropną kiecę w pasy. Jego kurtka nadal pachniała paczuli Izzy. Izzy, o, to jest kobieta, która potrafi się świetnie

ubrać. I rozebrać... Odwrócił się i poszperał na tylnym siedzeniu w poszukiwaniu świeżej koszuli lub swetra, ale znalazł tylko puste torebki po chipsach i mnóstwo kaset. Nagle przypomniał sobie tę dziwną rzecz, którą Alice zrobiła z kostkami lodu tego wieczoru, gdy zobaczył ją pierwszy raz. Co to właściwie było, na miłość boską?

Zaczynał mieć dosyć własnego dziwactwa. Gdyby czekał na inną kobietę pod teatrem lub restauracją, zabawiałby się przywoływaniem z pamięci niuansów, które decydowały o jej urodzie i uroku - wyrazu twarzy, opadających na plecy loków i tak dalej. Tymczasem w tym przypadku ciągle wracał do roz-targnionego uśmiechu, jaki mu rzuciła, kiedy tamtego wieczoru zauważyła jego wlepione w siebie spojrzenie. Chyba pomyślała, że on po prostu gapi się w przestrzeń... Nie znał żadnej dziewczyny, która by nie pomyślała, że patrzy na nią z zachwytem i próbuje zaczepić wzrokiem, żadnej z wyjątkiem Alice. Alice nigdy nie doszłaby do podobnego wniosku. Taka naiwna kobieta nie powinna sama błąkać się po świecie, uśmiechnął się do siebie Patrick. Nie ulega wątpliwości, że potrzebuje kogoś, kto się nią zaopiekuje.

Właśnie zamierzał zapisać na pudełku papierosów nowy wiersz, kiedy zauważył, że drzwi wejściowe uchyliły się i kot wśliznął się do środka. Aha, ktoś wstał... Cekał, podekscytowany i pełen nadziei, lecz przez następne pół godziny nie działo się zupełnie nic. Zrozumiał, że jeżeli posiedzi ciut dłużej w samochodzie Jacka przed domem Tash, straci mieszkanie. Co za los, pomyślał, przekładając nogę nad murem ogrodu, aby sprawdzić, czy istnieje jakakolwiek szansa na pojawienie się Alice. Zeskoczył na ziemię i wyrwał z za grubego pnia dębu w ogrodzie. Właśnie w tej chwili zobaczył Tash w koszuli nocnej z wątkami na głowie i w maseczce na twarzy, wyglądającą przez otwarte okno. Na jego widok z jej gardła wyrwał się przesywający okrzyk. Patrick walnął się w nogę, przeskakując z powrotem, i rzucił się do samochodu. Kurwa mać! Wiedział, że nie wygląda szczególnie atrakcyjnie, ale Tash w wątkach, wrzeszcząca na całe gardło, też nie była zachwycająca.



Włożył kluczyk do stacyjki i już miał go przekręcić, gdy nagle przed domem zaparkowało otwarte bmw, z którego wytoczyła się Alice. Tak, Alice, lecz nie ta Alice, jaką zapamiętał. Ta Alice, Alice z LA, do złudzenia przypominała jakąś modelkę, która spadła z wybiegu podczas pokazu w Mediolanie i drogę do domu pokonała pieszo, zatrzymując się tylko na partyjkę bilardu oraz whisky. Mój Boże, co za kobieta! Gdzie się podziała tamta dziewczyna z pubu? Nie miał jednak czasu na roztrząsanie tej kwestii. Ledwo wysiadła z samochodu, ledwo u jej boku pojawił się mężczyzna, który chyba rościł sobie do niej jakieś prawa, kiedy na ścieżkę w ogrodzie wypadła Tash, celując wyciągniętym palcem w Paddy'ego i głośno krzycząc, oczywiście na niego.

- Wezwałam policję! Znam takich jak ty! No, jasne, uciekaj, tchórze, uciekaj, ty zbrojeńcu!

Patrick nie wysłuchał tej tyrady do końca. Włączył silnik i dał nogę, zostawiając za sobą chmurę kurzu. Nie da się ukryć, że Amerykanki są bardzo bezpośrednie, pomyślał. Serce tłukło się w nim jak szalone.

- Co się dzieje? - zapytała Alice, patrząc za znikającym za rogami volvem.

- To ten twój maniak! Przyłapałam go, kiedy próbował ściągnąć twoją bieliznę ze sznura w ogrodzie!

Alice z pewnym trudem stłumiła parsknięcie. Nadal była niezbyt trzeźwa po wypitym poprzedniego wieczoru szampanie i wizja zbrojeńca w samochodzie będącym symbolem zrównoważenia oraz rozsądku klasy średniej wydała jej się nad wyraz zabawna. W ostatniej chwili zerknęła na twarze Tash i Charliego, na których malowała się kamienna powaga. A jakże... Natychmiast udała wybuch hysterii na myśl o zdeprawowanym wariacie, który uparł się, by prześladować ją, Bogu ducha winną dziewczynę. Charlie i Tash troskliwie wprowadzili ją do domu.

- Myślę, że powinnaś zapisać się na kurs samoobrony - oświadczył Charlie z przejęciem.

Tego tylko brakowało! Nie był przecież jej matką, umówił

się z nią tylko na jedną randkę, wprawdzie nietypową, ale tylko jedną, więc kto, do diabła, dał mu prawo do troszczenia się o nią? I czy przypadkiem sadomasochiści nie należeli do tych ludzi, przed którymi ostrzegała małą Alice jej mama, codziennie powtarzając, aby nie przyjmowała cukierków od obcych? Być może matka Alice nie miała pojęcia, kim właściwie są sadomasochiści, ale gdyby miała okazję zobaczyć trochę świata poza granicami Norwich, na pewno powiedziałaaby córce, że nie wolno, po prostu nie wolno kontaktować się z takimi podejrzаныmi osobnikami. Kurczę blade, przecież to wszystko jest tragicomiczne, pomyślała Alice. Kto jak kto, ale żeby zbroczony Charlie wymądrzał się, że powinnam poznać techniki samoobrony?! Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale jakoś się powstrzymała. Zaczęła się zastanawiać, kim jest ten tajemniczy mężczyzna, ale natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że w ogóle o tym myśli.

- Naturalnie! - przytaknęła Tash. - I nie powinnaś wychodzić sama, tylko ze mną albo z Charliem...

Alice nie miała siły się spierać. Znowu bolała ją głowa i zrobiłaby wszystko, żeby się położyć. Gdy się podniosła, natychmiast poczuła zawroty głowy.

- Czuję się trochę słabo i chyba pójść do siebie - powiedziała.

- Oczywiście, pozwól, że ci pomogę. - Charlie odprowadził ją do drzwi, po czym wszedł za nią do pokoju. - A więc to jest twoje łóżko? - Odwrócił się i rzucił jej lubieżne spojrzenie. - Chodź do mnie, skarbie...

Położył się na łóżku i wyciągnął do niej ramiona. Alice cofnęła się w kierunku szafy. Co najmniej siedemnaście jednostek alkoholu, spożytych ubiegłego wieczoru, nie przyprawiło jej o tak ostre objawy kaca, jak dźwięk głosu Charliego, zwracającego się do niej per „skarbie”.

- Powinnam wziąć prysznic - powiedziała z próżną nadzieją, że perspektywa nieświeżo pachnących pach zniechęci Charliego do marzeń o obściskiwaniu jej niemytego ciała.

- To da się załatwić, kochanie... - Pieszczotliwe słowa

płynęły z ust Charliego z niepokojącą łatwością. - Chciałabyś, żebym cię namydlił?

Uch, co za pomysł! Zbladła i zaczęła cofać się ku wyjściu.

- Może innym razem - rzekła śmiało, otwierając drzwi. - Boli mnie głowa.

Charlie patrzył na nią z takim zachwytem, jakby nie mógł usłyszeć nic miłszego. Najwyraźniej uwielbiał dostawać kosa, bo wtedy zakazany owoc wydawał się jeszcze słodszy.

- Do zobaczenia, cukiereczku...

Wziął Alice za rękę i przejechał językiem po jej dłoni. Bynajmniej nie ukrywał przekonania, że ta wyrafinowana pieszczota powinna doprowadzić ją do stanu maksymalnego podniecenia. Kiedy się odwrócił, Alice z oburzeniem wywaliła język i zadrzała, przerażona myślą, co mogło ją spotkać.

- Gdzie się schowałeś, Jacko? - Paddy przeszedł przez dom i stanął na brzegu basenu.

Cisza. Otworzył drzwi łazienki - cisza. Zauważył jednak, że obok siarkowego mydła leży jasnorożowa maszynka do golenia. Aha... Zawrócił z uśmiechem do pokoju Jacka i mocno zapukał do drzwi. Najwyższy czas wyciągnąć Jacko z jego nory.

- Jest tu kto?! - zawołał.

Cisza.

- Daj spokój, Jacko, wiem, że tu jesteś!

- Przepraszam, ale Jacques'a nie ma w domu. Jest w drogerii, to znaczy w drugstorze... Zużyliśmy wszystkie prezerwatywy, jakie tu były i Jacques poszedł po nowy zapas...

W progu sypialni Patricka stała drobniutka kobietka, otulona jego własnym szlafrokiem. Czyżby coś umknęło jego uwadze?

- Jestem Beatrice. - Wyciągnęła małą dłoń i odrzuciła długie ciemne włosy na jedno ramię.

- Patrick. Miło mi cię poznać.

Paddy miał nadzieję, że dziewczyna przejdzie do sypialni Jacka albo zamknie się w łazience, żeby umyć swoje idealnie czyste włosy, ale nie zrobiła tego. Nadal stała w drzwiach po-

koju Paddy'ego i uśmiechała się do niego jak dobra wróżka z bajki.

- Jesteś Francuzką, prawda? - zapytał, kiedy hipnotyczne spojrzenie Beatrice zaczęło mu trochę przeszkadzać.

- Tak, z Lyonu - oznajmiła pogodnie. - Ale teraz mieszkam tutaj.

- Jasne, Los Angeles to wspaniałe miejsce... - Przez cały czas się zastanawiał, jak się przedrzeć do upragnionego łóżka, ale poza zaatakowaniem Beatrice bykiem, w stylu najlepszych tradycji rugby, żaden sposób nie przychodził mu do głowy.

- Ach, widzę, że już się poznaliście. - W drugim końcu korytarza ukazał się Jack w górze od pidżamy i w dżinsach, z wielkim opakowaniem prezerwatyw w ręku.

Uroczą Beatrice wreszcie zwolniła miejsce, zajmując nowe, u boku Jacka. Oboje z nieukrywanym zachwytem szacowali wzrokiem okazałą paczkę kondomów, w której zamknięta była obietnica wielu godzin seksu i pieszczot. Paddy wykorzystał przerwę w rozmowie na wypad do swego pokoju.

- O, tak... - wymamrotał, ledwo żywy po nocy spędzonej w objęciach Izzy i fatalnej w skutkach wyprawie do Alice. - Właśnie tego mi trzeba - małej drzemki...

Ściągnął koszulkę przez głowę, lecz w chwili, gdy miał rzucić się na tapczan, zauważył, że przeistoczył on się w madejowe łóżko do masażu. Stalowe nogi. Biały plastik. Natomiast tapczan stał w rogu, złożony na pół i oparty o ścianę, tuż obok całej zgrzewki usuwającego cellulitis olejku do masażu.

- Przepraszam, stary, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej! - krzyknął Jack pomiędzy jękami zachwytu. - Beatrice wprowadza się do nas i przewieźliśmy już trochę jej rzeczy. Nie masz nic przeciwko spaniu na kanapie, prawda?

Alice spała jak dziecko, tyle że jednak przyśnił jej się Zboczony Charlie, który wysmarował ją smołą i wytarzał w pierzu. Ocknęła się o czwartej po południu i kiedy otworzyła oczy, jej wzrok padł na siedzącą w nogach łóżka Tash. Przyjaciółka trzymała w ręku kubeczek z parującym płynem o zapachu rumianku i obserwowała ją z pełnym troski niepokojem.

- Alice, czy czujesz się na siłach porozmawiać z policjantem, który chciałby zamienić z tobą kilka słów? - zapytała.

Z policjantem? Czyżby zrobiła coś złego? Wysiłała pamięć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Może nie oddała kasetę wideo do wypożyczalni? Albo nie wręczyła kierowcy taksówki wystarczająco wysokiego napiwku? O co chodzi? Wypiła parę łyków herbatki rumiankowej i trochę się uspokoiła. Ależ oczywiście, olśniło ją nagle. Policja chce ją przesłuchać w sprawie Zboczonego Charliego, nic innego...

Tash wzięła Alice za rękę z taką miną, jakby była pielęgniarką opiekującą się zdiecinniałą staruszką.

- Wszczęli śledztwo w sprawie tego maniaka - powiedziała kojącym tonem.

scandalous

## Rozdział 15

Alice weszła do pokoju i zastała Tash, wygodnie usadowioną na kanapie, oglądającą końcówkę chyba potwornie nudnego filmu drogi.

- Mam mięśnie, popatrz. - Alice podciągnęła rękaw koszulki i napięła muskuł. - Instruktor od kick boxingu uważa, że moja sylwetka jest w naturalny sposób dynamiczna. Niedługo będę miała ramiona jak Elle Macpherson!

Zamarkowała na próbę kilka ciosów w kierunku telewizora.

- Hej, zejdź z wizji, bo stanowisz zagrożenie dla geniuszu mojego reżysera zdjęć - zaprotestowała Tash, machając ręką, aby przegonić ją sprzed ekranu.

- Naprawdę? - Alice usiadła na ramieniu kanapy i utkwiała wzrok w ekranie. - Czyżbyście się w końcu dogadali? - zapytała z nadzieją w głosie.

Liczyła, że zajęta swoim fotografem przestanie się wreszcie troszczyć przez całą dobę o jej bezpieczeństwo. Nie miała nic przeciwko zajęciom z kick boxingu czy nawet oglądaniu co wieczór filmów z serii *Psychologiczne metody uprzedzenia ataku wroga* zamiast *Melrose Place*, ale bardzo nie podobało jej się to, że nie może się nigdzie ruszyć sama. Na zajęcia z kick boxingu jeździła taksówką zamawianą w firmie, która gwarantowała pasażerom całkowite bezpieczeństwo, w ten sam sposób wracała do domu i coraz częściej miała wrażenie, że bez uzbrojonej eskorty nie może wychylić nosa nawet za

róg ulicy, do piekarni, gdzie sprzedawano znakomite babeczki z jagodami.

- Myślę, że jeżeli przeniknę jego genialną twórczość, wkrótce zdołam trafić do zmysłowej strony jego natury - oświadczyła Tash, zatrzymując film na klatce przedstawiającej beznadziejnie ponurą drogę przez pustynię.

- Boże, jak to cudownie spotkać tak błyskotliwego mężczyznę i mieć z nim wspólne przeżycia intelektualne... - Alice westchnęła z lekką zazdrością, usiłując odgadnąć symboliczną wymowę samotnego głazu na środku pustynnej drogi.

- Jasne, ale wydaje mi się, że wczoraj przytapałam go na gapieniu się na moje cycki, co jest wielkim krokiem do przodu. - Tash się roześmiała i wyłączyła telewizor. - Za dwadzieścia minut musimy wyjść. Jesteś pewna, że Lysette będzie zadowolona z mojej obecności? Nie muszę przecież pilnować cię u niej w domu, mogłabym po prostu podrzucić cię i przyjechać później...

- Nie bądź śmieszna. Lysette bardzo chce cię poznać. Tyle o tobie słyszała, że już nie może się doczekać.

Chociaż Lysette marzyła o tym, aby w najbliższej przyszłości poślubić lorda lub księcia, w gruncie rzeczy twardo stała na ziemi i doskonale wiedziała, kto liczy się w świecie. Właśnie dlatego jej przyjęcia przypominały sesje zdjęciowe do najnowszego numeru „National Enquirer”. Gromadziła w jednym pokoju aktorki po kilku załamaniach nerwowych, mężczyzn do wzięcia oraz autorów kolumn towarzyskich i nigdy nie traktowała poważnie dietetycznych wymagań gości, którzy jak ognia unikali drożdży, alkoholu i sodu. W rezultacie wszyscy wracali do domu napaleni i pijani do granic możliwości i szczęśliwi jak szczypiorek na wiosnę, no i naturalnie przez wiele tygodni z entuzjazmem reklamowali imprezy u Lysette. Dzisiejszy wieczór nie stanowił wyjątku.

Alice i Lysette urządowały w ciasnej kuchni, obficie podlewając czerwonym winem sos do makaronu i pakując przerażające ilości masła do wszystkiego, co nawinęło się pod rękę.

- Próbowałam kupić jakiś ciekawy sos, ale mi się nie uda-

ło. Podobno w Nowym Jorku są zupełnie niezwykle delikatesy, w których można dostać setki sosów, puree z grochu i pastę marmite - wyznała Lysette.

- Po co ci puree z grochu? - zapytała Alice, krzywiąc się na samą myśl o czymś takim.

- Przecież to tradycyjny angielski przysmak. Mam tam mieszkać, więc muszę wiedzieć, jak ugotować podstawowe dania. - Lysette wymieszała kalifornijską sałatę z sosem pomarańczowym i pociągnęła łyk wina. - Robię doskonałe steki i zapiekankę z nerek, z takimi małymi listkami z ciasta na wierzchu, wiesz?

Alice się uśmiechnęła. Popatrzyła na Lysette w lekkiej sukiencie w kolorze fioletowego bzu, na tle półki z pamiątkową porcelaną, wśród której znajdowały się takie cudeńka, jak talerz wyprodukowany z okazji srebrnego jubileuszu królowej Elżbiety II oraz kubek z podobiznami księcia Walii i księżnej Diany. Pomyślała, że jakoś nie bardzo może wyobrazić sobie Lysette w tweedowym kostiumie, na spacerze w towarzystwie ukochanego labradora, za to bez męża, który znowu został na obiedzie w klubie. Trudno było się spodziewać, aby wymarzony arystokrata sprostął jej wymaganiom. Alice zdrżała na myśl o tym, jaki los może spotkać przyjaciółkę. Jeżeli Lysette kiedyś rzeczywiście dotrze do Londynu i znajdzie się w towarzystwie dobrze urodzonych osób, zostanie osaczona i rozszarpana jak bezbronna lisiczka przez sforę myśliwskich psów. Zdecydowała, że w żadnym razie nie może na to pozwolić. Nie, Lysette powinna poznać kogoś trochę mniej przywiązanego do tradycji, jakiegoś bardziej otwartego i tolerancyjnie nastawionego do świata przedstawiciela arystokracji...

- Lysette, czy ten twój Anglik koniecznie musi mieć zamek, czy też zadowolisz się jakąkolwiek kupą rodowych gruzów? - zapytała, tknięta głęboko inspirującą myślą.

- Och, co tam zamek! Wystarczy mi tarcza herbowa nad wejściem i świadomość, że właścicielem tego czegoś jest moja bratnia dusza. Nie zamierzam wybrzydzać. Dlaczego pytasz?

- Bez specjalnego powodu, po prostu coś mi przyszło do



głowy. Powiedz lepiej, co mam zrobić z moim tajemniczym wielbicielem.

- Ach, biedak... Nadal nie mogę uwierzyć, że Tash poszczyła na niego policję. - Lysette pokręciła głową i zajęła się nalewaniem do ośmiu miseczek zupy z rukwi. - Moim zdaniem to słodki facet. Mogłabyś zanieść to do pokoju? - Wręczyła Alice łyżki i ruszyła przodem do jadalni.

- Natasha mówiła mi, że przyczepił się do ciebie jakiś zboczeniec - odezwała się siedząca obok Alice dziewczyna, piękna aktorka, podobno związana z gwiazdorem filmowym.

- Zboczeniec to za ostre określenie - odparła Alice. - Sądzę, że on mógł mnie z kimś pomylić i stąd to całe zamieszanie...

Dam głowę, że wziął cię za kogoś innego, pomyślała Izzy, mierząc Alice wzrokiem, od zbyt obfitych bioder po myszate, zupełnie nieciekawe włosy. Izzy od dawna starała się ze wszystkich sił zasłużyć na osobistego zboczeńca. Posunęła się nawet do regularnego odwiedzania internetowych kafejek w nadziei, że jakiś wariat zwróci na nią uwagę i zacznie ją śledzić, ale na razie zabiegi te nie przyniosły rezultatu. Ciekawe, co takiego miała w sobie ta pod każdym względem przeciętna dziewczyna, oczywiście nie wspominając o tragicznym guście...

Izzy wygładziła na kolanach szyfonową suknię i pociągnęła kolejny łyk wina. Jej dietetyk ją zamorduje... Już czuła, jak w różnych częściach ciała robią się obrzęki po takiej ilości drożdży, ale co tam... Poddała się uczuciu całkowitej beztroski, chyba głównie dlatego, że była bardzo zadowolona po nocy, jaką spędziła z tym młodym Irlandczykiem. Wyobraziła sobie, że Patrick jest zapomnianym przez wszystkich synem JFK i że kiedy za niego wyjdzie, klan Kennedych odkryje jego tożsamość i przygarnie go do rodzinnego łona, a ona, świeżo poślubiona żona odnalezionego Kennedy'ego, zostanie wraz z mężem zaproszona do posiadłości na Martha's Vineyard i zrobi wielką karierę aktorską. Hmmm... Czuła, że tak właśnie będzie. Może powinna częściej zaglądać do butelki?

- Lysette powiedziała mi, że jesteś aktorką. - Alice dołała

śmietany do zupy Izzy. - Jeszcze nigdy nie spotkałam prawdziwej aktorki, takiej, która pracowałaby w swoim zawodzie. Przeważnie znam takie, które występują w jakiejś pantomimie lub sztuce raz na rok, a potem żyją z zasiłku dla bezrobotnych. Grasz w telewizji?

Przy stole zapadła nagle śmiertelna cisza. Kim jest ta dziewczyna, na miłość boską? Czyżby nie znała podstawowej zasady etykiety LA? W LA nikt nie pracuje dla telewizji, a w każdym razie nikt się do tego nie przyznaje. Pieniądze za występy w telewizji przydają się na opłaty za college dziecka, zwłaszcza kiedy gra się w serialu, który codziennie ukazuje się na ekranie, ale nikt nie ośmieliłby się wyjawić tej strasznej prawdy nikomu z wyjątkiem własnego agenta.

Alice nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy goście niespodziewanie przeistoczyli się w nieme, sztywne figury z łyżkami przyklejonymi do warg. Dopiero po paru chwilach wpadła na rozwiązanie, które wydało jej się najbardziej prawdopodobne.

- Och, wszystko w porządku, tę zupę podaje się na zimno - powiedziała pośpiesznie. - Ale jeżeli komuś to przeszkadza, Lysette na pewno podgrzeje ją w mikrofalówce - dodała ochoczo.

Żadnej reakcji. Łyżki nadal wisały w powietrzu, aż do chwili, gdy Tash przejęła kontrolę nad sytuacją, jak zwykle zresztą.

- Alice dopiero niedawno przyjechała do Los Angeles. Mieszka w Londynie...

Wyjaśnienie Tash od razu ociepliło atmosferę. Wszyscy się uśmiechnęli i znowu zaczęli rozmawiać. Wszyscy poza Izzy, która ani na chwilę nie zdjęła ciężkiego spojrzenia z Alice.

Lysette dyskretnie zaciągnęła Alice do kuchni.

- Wiem, że popełniłam jakiś nietakt, Lysette, ale co takiego właściwie zrobiłam?

Lysette zapamiętała potrząsała butelką z sosem na bazie octu balsamicznego.

- W tym mieście nie wolno wspominać o telewizji - powiedziała. - To taki lokalny snobizm.

Alice w dalszym ciągu nie miała pojęcia, o co chodzi, lecz nagle przypomniała sobie, że chciała o coś zapytać przyjaciółkę.

- Skąd znasz Izzy, Lysette?

- Mieszka razem z moją siostrą w Malibu. Jest aktorką. Czasami, kiedy ma szczęście, dają jej małą rolę w jakimś serialu. Trochę zwariowana, ale zabawna.

Gdy Lysette podała deser, Izzy była już ledwo przytomna, prawdopodobnie za sprawą nadmiernej ilości zawartych w jedzeniu i napojach konserwantów i środków aromatyzujących. Usiadła obok redaktora kolumny towarzyskiej w „LA Times” i zaczęła mu opowiadać, że potajemnie spotyka się z przedstawicielem rodziny Kennedych. Błagała, żeby nikomu o tym nie mówił, jednocześnie wsuwając rękę między jego uda i szczerząc zęby jak dzika kotka. Przez głowę Alice przemknęła myśl, że może jest to trik, którego Izzy nauczyła się w szkole aktorskiej. Nie wiedziała, że właśnie ta poza pojawia się co najmniej siedemdziesiąt razy dziennie w ogólnokrajowym programie telewizyjnym, gdzie Izzy w swojej ostatniej roli reklamuje pożywienie dla kotów, grając zadowolonego kociačka.

Miejsce po drugiej ręce Alice pozostawało puste. Serwetka była starannie złożona, a kieliszek nienapełniony, lecz nic nie wskazywało, by gospodyni niepokoiliła się nieobecnością jednego z gości. Alice nachyliła się w stronę Lysette, zajętej łagodzeniem drobnego konfliktu między Tash i dziewczyną, która upierała się, że chce wyjść za milionera i codziennie po południu czekać na niego z herbatą i ciasteczkami.

- I co, zamierzasz pozwolić, żeby cię utrzymywał?! - Tash jęknęła, potem zaś przybrała pseudoaustralijski akcent, aby wygłosić wykład o prawach kobiet w oparciu o filozofię Germanie Greer.

- Nie rozumiem, co w tym złego... - wymamrotała dziewczyna, pochylając głowę nad miseczką z zupą.

- To, że jest to przykład samoupokorzenia i wstecznicstwa! - ryknęła Tash.

- Kto ma tutaj siedzieć? - zapytała Alice Lysette.

Nie chciała się przyznać, że bardzo potrzebowała zamienić parę słów z jakąś przyjazną duszą, zwłaszcza teraz, kiedy Izzy obrzucała ją pełnymi nienawiści spojrzeniami i znacząco milczała.

- Niedługo przyjdzie - odpowiedziała Lysette.

Wszystko to było bardzo tajemnicze. Alice zaczęła się bawić sztuczkami i co jakiś czas dorzucała uwagi w umiarkowanym tonie do dyskusji, którą przejęta duchem feminizmu Tash prowadziła z amatorką spokojnej egzystencji u boku milionera. Właśnie wtedy do pokoju niedbałym krokiem wszedł Tommy Kelly. Lysette zerwała się z miejsca, żeby go przywitać.

- Ach, jak dobrze, że udało ci się przyjść! - zawołała i już zamierzała przedstawić Tommy'emu pozostałych gości, gdy nagle zza stołu podniosła się Izzy.

- Tommy, dawno cię nie widziałam! Pamiętasz mnie? Poznaliśmy się na parapetowie u Umy Thurman. Usiądź obok mnie, dobrze?

Tu rzuciła wściekłe spojrzenie Alice, dając jej do zrozumienia, że powinna natychmiast przesadzić swój zdecydowanie-zbyt-tłusty-jak-na-to-miasto-tyłek na inne krzesło. Tommy uśmiechnął się mętnie, zupełnie tak samo jak do Alice przy pierwszym spotkaniu. Alice siedziała ze spuszczoną głową. Wprawdzie całkiem miło wspominała lunch z Tommym i swój wkład w rozwiązywanie jego problemów z nowym wizerunkiem, lecz nie chciała narażać się na upokorzenie. Tommy poszedł za Lysette do kuchni, pozostawiając resztę gości w stanie oszołomienia. Nieczęsto się zdarzało, aby jedna z prawdziwych gwiazd zstąpiła z hollywoodzkiego firmamentu i zdecydowała się spożyć posiłek w towarzystwie zwykłych śmiertelników. Walka, jaka rozpętała się o to, aby znaleźć się jak najbliżej miejsca, gdzie Tommy usadzi swój obleczony w skórzane spodnie tyłek, zasługiwałaby na osobną opowieść. Nawet przyszła szczęśliwa żona milionera wygłosiła teorię, że do serca mężczyzny najłatwiej trafić przez żołądek i zaproponowała Tommy'emu własnoręcznie przygotowany makrobiotyczny posiłek.

Alice odsunęła się i usiadła na kanapie, aby uniknąć zamie-

szania, które rozpętało się wokół Tommy'ego. Oparła głowę na poduszce ozdobionej ręcznie wyhaftowanym napisem „Dom Anglika jest jego twierdzą” i popadła w zamyślenie. Nigdy nie czuła się osamotniona, kiedy była sama, ale teraz, w pokoju pełnym ludzi, którzy mieli mnóstwo do powiedzenia sobie nawzajem, ale nie jej, nagle zaczęła myśleć o Jamie. Zabrała wszystkie potrzebne rzeczy z pokoju w Londynie i zostawiła te, które przypominały jej byłego ukochanego - jego koszulę do gry w rugby, pachnącą Eau Sauvage Diora, muszle zebrane na wakacjach w Grecji oraz opakowanie pierwszej prezerwatywy, jaką użyli. I choć dobrowolnie pozbawiła się tych pamiątek miłości, to nie mogła zapomnieć o Jamie. Myślała teraz o tym, że nawet przed rozbieranym incydem w domu Charliego nie mogła się zmusić, by obdarzyć go prawdziwą sympatią. Boże, a jeżeli już nigdy nie pozna człowieka, który jej się spodoba? Może Jamie był jej jedyną bratnią duszą... Na szczęście właśnie wtedy przypomniała sobie list i kwiaty, które dostała. Ciekawe, kim był jej tajemniczy wielbiciel... Ostatnia myśl sprawiła, że uśmiechnęła się lekko i zaczęła wyciągać nitki z haftu na poduszce, aż fosa zaniku zniknęła bez śladu. Wtedy pośpiesznie wcisnęła poszarpane nici w zagłębienie pod oparciem kanapy i przytuliła do siebie poduszkę.

- O czym myślisz? - usłyszała nagle głos Tommy'ego.

Jego włosy ufarbowane były na czerń z granatowym połyskiem, a skóra wydawała się cudownie jasna i świetlista. Przypomniała sobie jego plakatowe zdjęcie z gazety „Just Seventeen”, w które obłożyła książkę do chemii dla klasy piątej, ale wspomnienie to nie wzbudziło w niej najmniejszego podniecenia. Po lunchu z Tommym i JenniferAjice zdała sobie sprawę, że jej dawny idol jest zupełnie standardowym samcem, który chętnie prześpi się z każdą istotą, byle można było zdjąć z niej spódniczkę. Tommy z całą pewnością nie był w jej typie, natomiast sprawiał wrażenie doskonałego materiału na kumpla czy wręcz przyjaciela.

- Och, o niczym ważnym - odparła, podkładając sobie poduszkę pod kark. - O takich tam zwyczajnych rzeczach...

- A jakie rzeczy są dla ciebie zwyczajne, Alice Lewis?

Dziwne, że zapamiętał, jak się nazywa... Uśmiechnęła się. No, proszę bardzo... Żaden sławny aktor nie był przecież zobowiązany do pamiętania imienia i nazwiska swojego nowego rzecznika, prawda? Zwłaszcza gdy w podblizu znajdowały się tak wybitnie piękne kobiety jak Izzy, Tash i Lysette.

- Myślałam o muszelkach i przerwywach - odpowiedziała uczciwie.

- Mój psychoanalityk oszalałby ze szczęścia.

Chwilę milczał, a potem zaczął jej opowiadać o swoich problemach z alkoholem i narkotykami. Zwierzył się, że kiedy był nastolatkiem, jego rodzice często się kłócili, a wtedy on zamykał się w swoim pokoju i grał na gitarze. Alice miała ochotę powiedzieć, że jeżeli tego rodzaju przeżycia wymagają interwencji psychoanalityka, to w jej przypadku należałoby prosić o poradę samego Freuda. W dzieciństwie była przekonana, że wszyscy rodzice wyrzucają krzesła przez okno i wygają sobie nawzajem wałkami do ciasta. W Norfolk takie zachowania bynajmniej nie odbiegały od normy. „Lucy, dlaczego twój tatuś ma nogę w gipsie? Och, mamusia przejechała mu po stopie samochodem, bo przez całą noc siedział w pubie...”. Niemniej spjrzała na Tommy'ego ze współczuciem i kiwnęła głową.

- Może poczułbyś *sią* lepiej, gdybyś miał jakieś hobby, kung fu, czy coś takiego. To znacznie przyjemniejsze niż chodzenie do psychoanalityka. I tańsze. Ja chodzę na świetne zajęcia z kick boxingu. - Roześmiała się, a Tommy obrzucił ją pełnym podziwu wzrokiem.

- Jesteś niesamowita, Alice, wiesz?

Dokładnie w tym momencie w pokoju zapadła cisza. Pozostałe dziewczyny uświadomiły sobie, że gwiazdor, o którego uwagę walczyły jak lwice, nie zdradza najmniejszego zainteresowania ich towarzystwem. Sławny Tommy Kelly siedział na kanapie, wpatrując się w tę dziewczynę z Londynu takim wzrokiem, jakby miała rozpuścić się we mgle, gdyby przestał na nią patrzeć.

- Zupełnie popieprzyło mu się w głowie od prochów -

mruknęła Izzy do autora rubryki towarzyskiej. - Jakie to smutne... Błagam, nie wspominaj o tym, że chodzę z Tommym, dobrze? Gdyby się ludzie dowiedzieli, że coś łączy mnie z takim pokręconym nieudacznikiem, moja kariera mogłaby bardzo ucierpieć...

Dziennikarz roześmiał się głośno.

- Naprawdę łączy cię coś z Tommym?

- Jasne. - Izzy nie mogła teraz oderwać wzroku od gwiazdora.

- A co z synem Kennedy'ego?

- Właśnie z jego powodu nie chcę, aby ktokolwiek poznał prawdę o mnie i o Tommym.

Dziennikarz nie miał cienia wątpliwości, że Izzy zmyśla, ale zdążył już przywyknąć do ludzi, którzy tworzą sobie drugi, całkowicie nieprawdziwy życiorys. W tym mieście były ich tłumy. Zresztą znacznie bardziej interesowało go, co dzieje się między tą dziwaczną, mało atrakcyjną dziewczyną, siedzącą na kanapie, a Tommym, miejscowym Casanovą. Izzy również dostrzegła wyraz twarzy Tommy'ego i przysięgła sobie, że raz na zawsze zrobi porządek z tą żalostną Angielką. Jezu Chryste, czy ona nigdy nie słyszała o gimnastyce wyszczuplającej?!

## Rozdział 16

Czwarty lipca. Tego sobotniego poranka słońce zerkało na Los Angeles przez warstwę mlecznej mgiełki, która spowijała także czubki palm rosnących przy Venice Beach. Równie dobrze mógłby to być początek zimowego dnia. Powietrze wibrowało nie tylko łopotem flag, ale także obietnicą cudownego przedpołudnia. Właściciele sklepików i kawiarni od Manhattan Beach po Santa Monica zamówili więcej niż zwykle lodów i coca-coli. Zwierzęta zdawały się wyczuwać, na co się zanoszą. Psy z całej siły naprężyły smycze, a koty już teraz wyszukiwały cienistych miejsc, w których mogłyby się później schronić. Entuzjaści jazdy na rolkach wystartowali wyjątkowo wcześnie i ich odsłonięte kolana oraz brzuchy już teraz szukały ciepła słabych promieni słońca.

Jedynymi osobami, które nawet nie przeczuwały, jaki dzień je czeka, byli Paddy oraz Alice. Nie pochodzili ze Stanów, więc nie mieli pojęcia, jak wyglądają obchody Czwartego Lipca. Nie potrafili rozpoznać zapachu obietnicy, którym przesiąknięte było powietrze, ale nawet gdyby umieli to zrobić, nie wpłynęłoby to na zmianę ich samopoczucia. Może trochę chętniej wyskoczyliby z łóżka, może Alice nałożyłaby na wargi odrobinę błyszczky, lecz świadomość święta na pewno nie wstrząsnęłaby ich światem.

Alice umyła się żelem pod prysznic o zapachu czekolady, który poprzedniego dnia kupiła w Melrose, i ubrała się w obszyte koronką białe kolarki, koszulkę i przetarty lawendowy



sweter. Był weekend, uznała więc, że zasługuje na trochę wygody i przyjemności. Na ten dzień wybrała luksus w postaci nieco dziwacznego stroju i intensywnie czekoladowego zapachu ciała. Tash pojechała do Big Sur z grupą znajomych z planu filmowego i teraz prawdopodobnie wysyłała sygnały emocjonalno-intelektualne w kierunku swojego reżysera zdjęć. W tej sytuacji Alice mogła pozwolić sobie na to, aby wyjść z domu. Była wolna. Wprawdzie obiecała Tash, że jeżeli zechce wyjść, zadzwoni po Lysette lub Tommy'ego, ale co właściwie mogło jej się stać? Nic jej nie groziło, na miłość boską. Mogłaby nawet zafundować sobie małe wagary - nie iść na kick boxing, tylko wybrać się na targ kwiatowy. Z ogromnym zadowoleniem zauważyła, że jej nogi nie trzęsą się już w legginsach niczym galareta, lecz zdradzają tendencję do przemieszczania się w tym samym kierunku, co reszta ciała. Odkrycie, że nogi prowadzą, a nie ciągną się z tyłu, sprawiło jej wielką satysfakcję.

Paddy dopiero zaczynał przyzwyczajać się do swego nowego łóżka. Postanowił dać Jackowi dość swobody, aby mógł cieszyć się masażem w wykonaniu Beatrice, kiedy tylko zechce. Po wielokrotnym przejrzeniu ogłoszeń „Do wynajęcia” w „LA Times”, natrafił w końcu na dość drogie, ale bardzo wygodne i proste mieszkanie, w którym zdecydował się spędzić następne dwa tygodnie. Większość mieszkań, jakie obejrzał, wyposażona była w ohydne wykładziny i pokojówki, bez których Paddy mógł się doskonale obejść. Poza tym naprawdę lubił mieć trochę przestrzeni należącej wyłącznie do niego. Ostatnio zauważył u siebie instynkt domatora. Niezależnie od tego, gdzie był i jak interesująco zapowiadała się impreza, na którą został zaproszony, coraz częściej miał ochotę budzić się w swoim własnym mieszkaniu z widokiem na sklep perfumeryjno-chemiczny Love na zboczach Hollywood Hills.

Dzielnica, w której zamieszkał, należała do najstarszych w mieście. Okna wszystkich mieszkań w jego domu wychodziły na cieniste podwórko, zaaranżowane przez właściciela zgodnie z najnowszymi tendencjami feng-shui. W małym sta-

wiku pływały japońskie rybki, które musiały wyobrazić sobie, że stale niesie je fala przyływu, ponieważ pełen inwencji gospodarz w kilku miejscach ustawił miniaturowe młyny wodne. Pokój Patricka był nieskazitelnie biały, a całe umeblowanie składało się z dużej ławki do ćwiczeń i materaca. Wcześniej mieszkał w nim architekt, który najprawdopodobniej zdzierał skórę z ufnych i naiwnych kalifornijskich bogaczy, narzucając im swoją formę minimalizmu. Wszystko razem bardzo przypadło Paddy'emu do gustu.

W nieosłoniętym oknie widać było zawleczone chmurami niebo. Wielki napis HOLLYWOOD prawie zupełnie zniknął za mgłą i Paddy poczuł nagle, że wiele dałby za odrobinę zieleni - trawnik, pole, może las. W takie dni jak ten tęsknił za Irlandią. Włożył rozpinaną granatową bluzę i szorty, i postanowił zjeść śniadanie poza domem. Miał ochotę na posiłek bardziej cielesny niż duchowy, a tylko taki oferowała jego kuchnia. Zdecydowanie wolał kiełbaski i smażone jajka. Amerykański bekon bardzo różnił się od europejskiego, co Paddy odkrył dopiero niedawno. Wyglądał jak gumiate, wąskie paseczki jasnoróżowej substancji bliżej nieznanego pochodzenia. Patrick doszedł do wniosku, że pojedzie do Santa Monica, zostawi samochód gdzieś przy Main Street, pójdzie pod dom Alice i zorientuje się, czy już wstała, zaraz jednak przyszło mu do głowy, że raczej nie może liczyć na sukces. Tak czy inaczej, musi podjąć dziś jakieś kroki w sprawie Alice.

Przestał widywać się z Izzy i innymi dziewczynami, które sporadycznie podrywał w różnych kawiarniach i barach, ponieważ był nimi najzwyczajniej znudzony. Od przyjazdu do Los Angeles kilka razy widział Alice i okazje te pozostawiły fascynujące, choć jednocześnie drażniące sprzeczne obrazy w jego pamięci. Była bezwstydną imprezowiczką w dwuznacznym spodniem w biedronki i w szpilkach, zaczerwienioną i zlaną potem wielbicielek sportu w dresie, usiłującą poprzez kick boxing wywalczyć sobie równe prawa w świecie zdominowanym przez mężczyzn, wreszcie potarganą, zaspaną kobietą-dzieckiem w kusej koszulce nocnej, która w sobotnie południe wychodzi po pocztę przed drzwi domu. Wszystko to

było wysoce frustrujące. Chciał rozgryźć Alice, bo wtedy mógłby raz na zawsze wyrzucić ją z pamięci. Jacko wmawiał mu, że najwyraźniej jest zakochany, ale Paddy wiedział przecież, czym jest miłość. Miłość to nieopisane szczęście, które odczuwa się w towarzystwie ukochanej kobiety, tymczasem bliskość Alice budziła w nim zupełnie inne wrażenia. Czuł mdłości i strach, krótko mówiąc, przypominało to początek jakiejś okropnej choroby.

Alice spokojnie zmierzała w kierunku Main Street, głośno kłapiąc espadrylami. Na ramieniu niosła wiklinowy koszyk, większy od tych, z jakimi kobiety z Prowansji wybierają się na targ. Na dnie koszyka spoczywał samotny pleśniejący ziemniak. Po drodze wstąpiła do baru U Noaha, w którym podawano znakomite bajgle.

- Nie, nie, nie! Musi pani złożyć zamówienie tak, jak trzeba! - instruował właściciel jakąś nieszczęsną kobietę, która przyjechała z San Francisco specjalnie po to, żeby uczcić Czwartego Lipca tutejszymi bajglami. - Jeżeli nie, może pani wyjść!

Mieszkanca beztroskiego San Francisco nie miała zielonego pojęcia, o co mu chodzi i z przerażeniem w oczach jeszcze raz powtórzyła - jeden ze śmietankowym serem, nieopiekany, dziękuję bardzo. Właściciel, znany jako lokalny nazista od bajgli, wreszcie się uspokoił. Alice wielokrotnie się zastanawiała, ile osób z czystego strachu rezygnuje ze swoich ulubionych opiekanych bajgli cebulowych z kaparami. Zdecydowała, że dzisiaj zaryzykuje i zamówi opiekanego bajgla z ziarnem sezamowym i śmietankowym serem. Nawet właściciel baru U Noaha nie może chyba oczekiwać, że wszyscy codziennie będą dostosowywać się do miejscowych gustów.

- Wynocha, wynocha mi stąd! - wrzeszczał tymczasem Noah na czerwonego z zażenowania mężczyznę. - Zabroniłem ci wstępu do mojego lokalu na cały rok, a minęły dopiero cztery miesiące. Wróć za osiem, to cię obsłużę!

Biedny wygnaniec warknął coś pod nosem i wycofał się do znacznie gorszych delikatesów U Jacka w dole ulicy.

Alice usiadła przy oknie, przez które mogła obserwować ruch na Main Street. Sobota to jedyny dzień tygodnia, kiedy trudno się było zorientować, kto pracuje w świecie filmu, a kto nie. W pozostałe dni wszyscy ludzie filmu czytali „Variety”, z nadzieją szukając w gazecie choćby najmniejszej wzmianki o swoich najnowszych osiągnięciach.

- Ciekawe, po co dali tę rolę Demi Moore? - mamrotali z niezadowolaniem, kiedy było już jasne, że nie zasłużyli na uwagę dziennikarzy.

Jednak dziś, w sobotę, mieszkańcy LA mogli pozwolić sobie na większe zróżnicowanie. Czytali rozmaite pisma, od „Forbesa” po „Vogue”, z czego jasno wynikało, czy interesują się biznesem filmowym ze względu na władzę, pieniądze, czy po prostu chodzi im o staroświecki seks. Alice wyjęła z koszyka podniszczoną powieść Jane Austen i zachwycała się cudownym smakiem, jaki nadało jej śniadaniu najzwyczajniejsze pod słońcem opiekanie oraz kilka ziarenek sezamu.

Gdyby właśnie wtedy podniosła wzrok, zauważyłaby przechodzącego za oknem Patricka Wilde, który po półgodzinnym oczekiwaniu na nią pod domem Tash postanowił zrobić sobie przerwę śniadaniową. Wzgardziwszy sokiem pomarańczowym i nektarami z innych owoców z lodówki w barze U Noaha, wybrał się na poszukiwanie coli w sklepie alkoholowym obok. Kiedy zanurzył się do pasa w chłodni, aby wyłowić z dna ostatnią puszkę coli o nieobniżonej zawartości cukru oraz kofeiny, która utkwiała między dawno zapomnianymi puszkami piwa imbirowego, Alice minęła sklep i skierowała się ku Venice Beach.

Robiło się coraz cieplej. Alice zdjęła wełniany sweter i wrzuciła go do koszyka. Widok zmierzających w stronę plaży tłumów w obowiązkowych kostiumach z lycry wzbudził w niej lekkie zażenowanie z powodu własnych błędnych, nieopalonych kończyn i rozciągniętych legginsów. Może powinna była zostawić manifestowanie silnej osobowości na inny dzień, kiedy wychodziła w towarzystwie Tash, która z radością zrobiłaby awanturę każdemu, kto by się ośmielił kpić ze starych ciuchów jej przyjaciółki, ale nieważne... Podciągnęła

legginsy, żeby wyglądały na poddane mutacji bermudy i poszła dalej. Idąc wzdłuż Venice Beach, między entuzjastami pompowania mięśni, raperami, rowerzystami i wrotkarzami, doznała zaskakującego uczucia całkowitej wolności. Po raz pierwszy od przybycia do Los Angeles miała to wszystko tylko dla siebie. Nie było przy niej Tash ani Lysette, gotowych pełnić rolę przewodniczek, nie miała nawet szczegółowej mapy z zaznaczoną trasą od taksówki do drzwi. Wiedziała, że może się zgubić, ale nic ją to nie obchodziło. Spojrzała w ocienione palmowymi liśćmi okna apartamentów i obiecała sobie, że swój pierwszy milion wyda na mieszkanie właśnie tu, nie gdzie indziej. A może powinna iść dalej, aż do Malibu?

Paddy popijał colę i zastanawiał się, czy nie powinien już wrócić na czaty pod domem Alice, gdy nagle ujrzał nadchodzącą z przeciwnej strony nienagannie umalowaną Izzy. Szła na zajęcia z tańca spinningowego, o czym Patrick naturalnie nie wiedział. Pośpiesznie ukrył się za limuzyną, wiozącą znanego polityka na spotkanie z pewną aktorką i obserwował, jak Izzy przebiega przez ulicę, machając do zauważonej przed chwilą koleżanki. Widok Izzy budził w nim uczucie absolutnej pustki. Ani śladu wzruszenia na wspomnienie nocy, które z nią spędził, kompletnie nic. Pociągnął duży łyk coli, wrzucił opróżnioną puszkę do kosza na śmieci i ruszył w kierunku targu ze zdrową żywnością, gdzie chodził między straganami dość długo, aby nabrać pewności, że Izzy na pewno poci się już na treningowym rowerku.

Słońce powoli zakreślało łuk na przesłoniętym palmami bezchmurnym niebie i nawet Paddy'emu, z jego marnym, typowo irlandzkim krążeniem, zrobiło się na tyle ciepło, że w końcu zrzucił granatowy sweter i zawiązał sobie w pasie, przystając na chwilę obok kosza z mizernie wyglądającą marchewką z organicznej uprawy, sprzedawaną przez wydzielającą indywidualny, organiczny zapach kobietę. Potem poszedł w kierunku ananasów z Orange County i wtedy ujrzał przed sobą zupełnie niezwykły widok. W jego stronę szła dziewczyna, która wyglądała na skrzyżowanie szmacianej lalki i model-

ki z trzeciej strony czasopisma dla kobiet. Miała na sobie postrzępioną koszulkę bez rękawów, obwisłe krótkie legginsy, twarz przesłaniał słomiany kapelusz wielkości młyńskiego koła. Jej ramię było zaczerwienione od rączki kosza większego niż ona sama, a jednak wyglądała pięknie. Na dodatek Patrick nie miał cienia wątpliwości, że jest to Alice.

Alice doszła do wniosku, że jedynym sposobem na napętnienie tego przeklętego kosza jest nabycie największego i najcięższego owocu, jaki można znaleźć w tym mieście. Chciała też kupić parę słoneczników, aby przybliżyć wspomnienie swoich londyńskich dzieci-kwiatów, o których bardzo często myślała. Ciekawe, czy w Londynie ostatnio padało i czy nie miały za mało wilgoci... Może już wyrosły na najpiękniejsze kwiaty w mieście? Szukała wzrokiem słoneczników, ale stragany z kwiatami znajdowały się po drugiej stronie, więc kierując się nieodgadnionym odruchem, podeszła prosto do stoiska z arbuзами. Zdaniem Patricka, musiało to być niezwykle poetyckie skojarzenie.

Kiedy położyła drobne dłonie na olbrzymim owocu, Patrick przygryzł dolną wargę. Czuł się tak, jakby pozwolono mu przeżyć Boże Narodzenie w środku lipca. Miał ochotę zerwać opakowanie z tego cudownego prezentu, który ofiarował mu los, lecz zarazem był świadomy, że ta wyjątkowa chwila zaraz przeminie. Szczerze mówiąc, był też trochę zdenerwowany. Usiłował sobie przypomnieć, ile alkoholu skonsumował ubiegłego wieczoru, bo czuł się bardzo nieswojo. Zaraz, zaraz, przecież nie wypił ani kieliszka... Ogarnęło go przerażenie. Chwila, kiedy zatwardziały uwodziciel uświadamia sobie, że stoi na progu zupełnie nowego okresu życia, nigdy nie jest przyjemna. Podobnie czuje się chyba samobójca, który przywiązuje sobie cegły do nóg i skacze z Putney Bridge.

Przeistoczył się nagle w owcę w wilczej skórce. Podeszedł do następnego straganu i kupił dwie czerwone pomarańcze, tylko po to, aby zbliżyć się do tej niezwykłej postaci w dziwnym stroju.

Nie mógł oderwać wzroku od Alice, która właśnie pakowała do kosza dwa wielkie arbuzy. Ciężkie owoce mogły

w każdej chwili wypaść przez przegniłe dno i potoczyć się po chodniku, jak w scenie z wierszyka dla dzieci.

- Siedemdziesiąt trzy centy - powiedziała sprzedawczynie.

Patrick bezskutecznie szukał drobnych w kieszeniach. Znalazł kartę kredytową i telefoniczną, ale ani jednej monety.

- Bardzo przepraszam, nie wziąłem pieniędzy... - wymamrotał. - Zaraz odłożę te pomarańcze...

Mimo to nadal grzebał w kieszeniach, nie wiedząc, gdzie odłożyć owoce i nie chcąc tracić Alice z pola widzenia. Nagle dziewczyna odwróciła się, uniosła rondo kapelusza i spojrzała na Patricka, który wydał jej się dziwnie znajomy.

- Mam trzy centy, może się na coś przydadzą - zaproponowała.

Usłyszała głos Paddy'ego i z miejsca poczuła do niego sympatię. Uwielbiała irlandzki akcent, podobnie jak szkocki, ale to, co dotarło do jej uszu, było szczytem sublimacji. Kiedy zerknęła spod kapelusza, Patrick wypuścił pomarańcze z rąk, po prostu rzucił je między gruszki. Uśmiechnęła się. Zrobiło jej się dziwnie przyjemnie, że wywarła na nim takie wrażenie. Ciekawe, dlaczego nie odpowiadał... Przez głowę przebiegła jej myśl, że może nie dosłyszał, albo oniemiał na widok jej intensywnie piegowanej twarzy. Wyjęła z portmonetki trzy centy i podała mu na otwartej dłoni.

- Proszę bardzo...

Jeszcze ułamek sekundy, i ręka Paddy'ego zaczęłaby się trząść, a wtedy z pewnością wzięłaby go za pijaka i uciekła. Na szczęście w tym momencie ich oczy się spotkały, zupełnie jak w melodramacie i coś między nimi zaiskrzyło, również jak w melodramacie.

- Dziękuję. - Wziął trzy centy i wręczył je serdecznie znużonej tym idiotą i jego dziewczyną sprzedawczynie, która postanowiła spisać pozostałe siedemdziesiąt centów na straty i zajęła się obsługiwaniem młodej kobiety z dzieckiem.

- To bardzo miło z twojej strony. - Patrick chwycił obie pomarańcze w jedną dłoń, a drugą wyciągnął, by ucisnąć rękę Alice. Powoli zaczynał odzyskiwać panowanie nad sobą. - Patrick Wilde...

Uśmiechnął się i zanurzył dłoń w kieszeni, tym razem szukając paczki marlboro lights. Z całą pewnością nie była to najlepsza chwila na walkę z nałogiem.

- Alice. Alice Lewis. Pomyślałam sobie, że może jesteś tu od niedawna. Wiem, jak to jest, kiedy się jeszcze nie ma wprawdy w przeliczaniu waluty i tak dalej...

Nawet w obecności tego niezwykle przystojnego nieznanego nie zdołała oprzeć się pokusie udawania, że przebywa w Los Angeles dłużej niż ktoś inny. Miała dosyć bycia „nową”, pragnęła zrobić na nim wrażenie wytrawnej podróżniczki. Wtedy zauważyła jego zawiązany w pasie sweter i drżącą dłoń, którą starał się zapalić papierosa na wietrze, i nagle to, czy jest „nowa”, czy nie, straciło wszelkie znaczenie. Ten facet nie był kimś, kogo wprawiłyby w podziw takie gierki.

- Papierosa? - zapytał, zaciągając się z całej siły i podsuwając jej paczkę.

- Nie, dziękuję.

Alice była odrobinę rozbawiona jego zdenerwowaniem. To miłe, że jakiś mężczyzna drży na jej widok, zresztą, nie jakiś, ale właśnie ten... Dzięki Bogu, że czuła się dziś trochę pewniejsza siebie niż zwykle, w przeciwnym razie nigdy nie ośmieliłaby się spojrzeć na niego spod ronda kapelusza i zaproponować mu pomoc... Uśmiechnęła się lekko i wtedy nagle pomyślała z żalem, że może jego przerażenie budzi jej zastanawiający strój.

- A więc ty także mieszkasz tu od niedawna, tak? - Patrick uśmiechnął się zza obłoku dymu.

Nie odpowiedziała uśmiechem, ponieważ jej przyjazne nastawienie do nieznanego zniknęło bez śladu. Znalazł się, kpiarz jeden... Wszyscy przystojni mężczyźni są tacy sami, nie przegapią żadnej okazji, żeby człowieka wyśmiać...

- Nie, mieszkam tu na stałe - odparła sztywno.

Uznała, że zmiana rozmowy na bardziej formalną pomoże jej uniknąć pytań, którymi mógłby ją zasypać. Na przykład o kod pocztowy Los Angeles...

- Rozumiem... - rzekł powoli, zaskoczony jej tonem, lecz



nadal zdecydowany zatrzymać ją przy sobie. - Może pokażabyś mi jakieś miejsce, gdzie można zjeść smaczne śniadanie? - zasugerował.

Twarz Alice rozpogodziła się w jednej chwili. Znała tylko bar U Noaha oraz Kafejkę z Omletami, jeśli nie liczyć tamtego baru, gdzie z tragicznym skutkiem skosztowała koktajl z trawy, ale nic nie szkodzi...

- Najlepsza będzie Kafejka z Omletami - oświadczyła.

Dumnie wyprowadziła Patricka na Main Street, przechyłona na jedną stronę pod ciężarem tkwiących w koszu arbuźów, co upodobało ją do dzwonnika z Notre-Dame.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Amerykanie usiłują zastąpić trzy posiłki i kilka przekąsek jednym ogromnym śniadaniem - powiedział Paddy, zanurzając naleśnik z mąki razowej w kwaśnej śmietanie, którą pomylił z majonezem.

Nie mógł uwierzyć, że z jego ust wydobywają się tak idiotyczne uwagi. Słodki Jezu, wszystko wskazywało na to, że za jednym zamachem stracił głowę, serce i spory zasób słownictwa...

- To chyba dlatego, że trochę się pośpieszyłeś i jesteś już przy podwieczorku - odparła Alice, spostrzegając jego błąd. - To śmietana, nie majonez...

Sama zrobiła to samo dokładnie tydzień temu.

- Co robisz w Los Angeles? - zapytała po chwili.

Teraz, kiedy nie zasłaniał dolnej połowy twarzy dłonią, zauważyła, że ma wyjątkowo kształtne wargi, atrakcyjnie wygięte i skore do uśmiechu.

- Jestem reżyserem teatralnym.

Nie była pewna, co oznacza to uniesienie kącików warg. Może było tylko sposobem na wzbudzenie zachwytu w jej sercu...

- Co reżyserujesz?

- Różne rzeczy, takie tam, wiesz...

Alice nie wiedziała, więc pytająco uniosła brwi.

- Głównie tragedie z okresu panowania Stuartów. Tłumy obleśnych biskupów i mnóstwo kazirodczych związków.

Ach, te jego wargi... Tym razem skrzywiły się lekko w iro-  
nicznym uśmiešku... Mało brakowało, a upuściłaby widelec  
z odrobiną jajecznicy. Patrick wypowiadał słowa w tak sek-  
sowny sposób, że powoli traciła głowę. Co nie znaczy, że mu  
uwierzyła.

- I wystawiasz sztukę w Los Angeles? - zagadnęła, sta-  
rając się wyciągnąć z niego więcej informacji.

Znała takich mężczyzn. Słowa przychodziły im z łatwością,  
kobiety podawały im serca na dłoni... Gdyby miała określić,  
w jaki sposób ten tutaj lubi spędzać sobotnie przedpołudnia,  
powiedziałaaby, że z całą pewnością nie na rozmowie z niezbyt  
mądrą i ładną Angielką w Santa Monica. Oczami wyobraźni  
ujrzała opalone na ciemny brąz kobiece ciało i krople syropu  
klonowego, spadające na coś zupełnie innego niż naleśnik...

- Nie, właściwie to nie.

Ha, oto potwierdzenie jej podejrzeń.

- Przyjechałem tu, żeby się z kimś spotkać...

Dlaczego ją okłamuję, pomyślał. Może powinienem wyja-  
wić wszystko, od początku do końca? Nie, to było zbyt przera-  
żające.

- Zatrzymałem się u przyjaciela, ale parę dni temu wpro-  
wadziła się tam jego dziewczyna, więc pomyślałem, że trzeba  
zostawić ich samych. Wynająłem dom na wzgórzach.

Czuł, że musi od razu powiedzieć Alice, iż mieszkał u przy-  
jaciela, nie przyjaciółki. W innej sytuacji do końca trzymałby  
dziewczynę w napięciu, ale jej nie mógł tego zrobić. Alice  
była zbyt otwarta i łagodna, aby podsuwać jej kartę zazdrości,  
choćby chyba nie brakowało jej zdecydowania. Tak, nie miał  
cienia wątpliwości, że wycofałaby się, gdyby tylko przyszło  
jej do głowy, że ma z kimś rywalizować. Nie był pewien, dla-  
czego, bo przecież była inteligentna i piękna. Boże, była po  
prostu w porządku... Miała prosty nos z siedmioma, nie,  
ośmioma piegami na grzbiecie... Pewnego dnia policzę je, po-  
myślał. Odgarnę włosy z jej twarzy i policzę.

- A ty? - zapytał, odkładając nóż i widelec, i sięgając po  
filiżankę z kawą oraz następnego papierosa. - Spędziłaś tu  
wiele lat, prawda?

W głowie Alice zabrzmiały triumfalne fanfary. Wiele lat, cha, cha...

- Nie, przyjechałam tu niedawno i mieszkam z bardzo energiczną przyjaciółką, która zapisała mnie na całe mnóstwo zajęć, od aerobiku po perwersyjny seks z tubylcami...

Natychmiast pożałowała, że to powiedziała. Zawsze musiało jej się wymknąć o jedno słowo za dużo... Zresztą, dlaczego w ogóle opowiada takie rzeczy obcemu facetowi, jasne, że bardzo atrakcyjnemu, ale jednak obcemu... Cóż, Alice, chodzi o to, że on jest aż zbyt seksowny, prawda? Nie powiesz chyba, że wolałabyś teraz być w domu i robić surówkę z białej kapusty, co?

Zielone oczy Paddy'ego wyczekująco wpatrywały się w jej twarz. Uwielbiał tego rodzaju szczegóły.

- Naprawdę? - odezwał się z rozbawieniem. - Czy trzeba być tubylcem, żeby znaleźć się na liście ochotników? - zapytał, nie potrafiąc oprzeć się pokusie.

Przestań być takim niepoprawnym podrywaczem, skarcił się natychmiast.

Alice udała, że nie rozumie, chociaż jej policzki natychmiast przybrały kolor mięszu dojrzałego arbuza.

- Pracuję w agencji public relations - oświadczyła. - Zajmujemy się przede wszystkim promocją aktorów.

Starała się mówić zblazowanym tonem, lecz przychodziło jej to z trudem, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że nadal nie pamiętała, gdzie znajduje się dyżurny faks.

- Ciekawa praca?

Dlaczego tak uważnie się w nią wpatrywał? I jak to możliwe, że dwa słowa o zupełnie obojętnym zabarwieniu brzmią w jego ustach jak romantyczne wyznanie? Zacerwieniła się jeszcze mocniej. Nawet gdyby nic nie powiedział, i tak uznałaby to za szalenie romantyczne...

- Sam wiesz, jacy są aktorzy. - Nonszalancko machnęła ręką i zdołała przetrzucić naleśnik ze swego talerza na sąsiedni stół, przy którym sławny bokser spożywał późne śniadanie w towarzystwie swojej kochanki.

Paddy jednym ruchem uprzętnął naleśnik ze stołu i błyska-

wicznie wyprowadził Alice na ulicę. Wszystko razem zajęło mu najwyżej dwie sekundy.

- Lepiej uważać, bo facet spierze nas na kwaśne jabłko, skarbie - parszknął śmiechem.

Alice miała wielką ochotę wrócić do domu i zacząć poranek jeszcze raz. Nieśmiały i trochę zagubiony chłopak z zawiązanym w pasie granatowym swetrem i bez centa w kieszeni okazał się czarującym uwodzicielem, który na pewno miał na oku wiele ciekawszych zajęć niż spacer z Alice Lewis. Może gdyby ubrała się w beżowy komplet z kaszmiru, czułaby się szczęśliwsza i więcej warta... Co w nią wstąpiło, że włożyła te nieszczęsne białe majtasy do kolan, na miłość boską?! I dlaczego nie mogła wydusić z siebie choćby jednego rozsądnego słowa?! Musi uciec, nie ma innego wyjścia.

- Strasznie cię przepraszam, ale właśnie sobie przypomniałam, że za dziesięć minut muszę być u przyjaciółki, która zaprosiła mnie na lunch. Bardzo mi było miło cię poznać... - Kurczę, ugryzła się w policzek. - Naprawdę miło...

Cudownie, wygenerowała monolog, który zasługiwał na nagrodę Pulitzera, albo i coś lepszego... Chłopak wyglądał na odrobinę urażonego, ale bynajmniej nie zaskoczonego. Pomyślała z goryczą, że na plaży na pewno czeka na niego jakaś śliczna aktorka, której trzeba posmarować chude, wystające łopatki olejkami o zapachu tropikalnych kwiatów.

- Mnie także było bardzo miło, Alice. - Patrick pocałował ją w policzek. - Dziękuję.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, czując na plecach jego wzrok. Miała wrażenie, że była uwiązana do gumki, której drugi koniec trzymał w ręku Patrick Wilde. Nie miała ochoty oddalać się od niego nawet na krok, lecz duma, ten najgorszy z grzechów śmiertelnych, nie pozwoliła wrócić i zapytać, czy nie chciałby zjeść kawałka arbuza. A wszystko układało się już tak dobrze...

## *Rozdział 17*

- Dlaczego zrobiłaś coś tak bezsensownego, Alice? - denerwowała się w poniedziałkowy rano Lysette. - W dodatku to był Irlandczyk, czyli prawie Anglik!

Lysette z ciężkim westchnieniem oparła się o klawiaturę komputera.

Alice czuła się słusznie zawstydzona. Nadal nie mogła pojąć, jak to się właściwie stało, że bez wahania przerwała najromantyczniejszą chwilę swego życia tylko dlatego, że miała na sobie nieodpowiednie portki.

- Przecież gdyby chciał, mógłby dać mi swój numer telefonu, prawda? - broniła się słabo. - Albo przynajmniej poprosić o mój...

Znała swoje argumenty na pamięć. W końcu powtarzała je przez całą noc. Lysette osunęła się jeszcze niżej.

- Czy wszyscy Brytyjczycy są tacy odporni na podrywanie? - jęknęła bezradnie. - Facet zaprasza cię na śniadanie, a ty uciekasz, tak? Ale jednocześnie spodziewasz się, że będzie błagał o twój numer telefonu... Czegoś tu nie rozumiem, jak Boga kocham...

Lecz Alice wiedziała, że Patrick nie chciał, by do niego zadzwoniła, podobnie jak ona nie miała ochoty spotykać się z Charliem. Był cudowny i właśnie dlatego na pewno w ogóle nie brał pod uwagę bliższej znajomości z nią. Zaproszenie na śniadanie było tylko formą podziękowania za tamte nieszczerne trzy centy, niczym więcej.

Nagle zrobiło jej się niedobrze, nie mogła tylko pojąć dlaczego. Nie chodziło o Paddy'ego, była o tym głęboko przekonana. Na myśl o Paddym od razu zaczynała się denerwować, ale to uczucie było zupełnie inne. O co chodzi? I nagle zrozumiała. Mój Boże, Charlie... Nadal był w pobliżu, zupełnie jak nieprzyjemny zapach, a ona na śmierć zapomniała, że w następną środę miała wybrać się z nim do restauracji L'Orangerie. Czekał dwa tygodnie na rezerwację stolika. Uświadomiła sobie, że będzie musiała coś z tym zrobić.

- Co mam powiedzieć Charliemu, kiedy zadzwoni wieczorem, żeby potwierdzić randkę? - zapytała żałośnie.

- Mówiłam ci już, że dopóki Charlie nie dorośnie i nie pojmie, iż nie wszystkie kobiety lubią być przywiązane do mebli, po prostu nie zasługuje na żadne wyjaśnienia - odburknęła Lysette.

Tego rodzaju rzeczy zdarzały się w Los Angeles tak często, że czuła się już nimi znudzona. Poza tym, nie była w stanie zrozumieć, czemu Alice zavraca sobie głowę Charliem, skoro ma pod ręką Europejczyka.

- Ale przecież nie mogę mu odmówić! On chce mnie zabrać do L'Orangerie!

- Więc powiedz, że źle się czujesz. To tylko pieprzona restauracja, na miłość boską! - Lysette także chciałyby zostać zaproszona do L'Orangerie, ale nie mogła znieść myśli, że Alice prześpi się z Charliem wyłącznie z wdzięczności. Dlatego nie dodała, że kolacja w L'Orangerie jest w tym mieście równoznaczna z odniesieniem ogromnego sukcesu, bo wtedy Alice na pewno nie zdecydowałaby się odmówić Charlie'emu... - Mam lepszy pomysł - oświadczyła nagle. - Powiedz, że z nim pójdziesz. Wymyśliłam pewien plan...

Poprzedniego dnia Paddy z uczuciem wielkiego rozczarowania obserwował, jak Alice odchodzi w kierunku domu. Był zaskoczony, że po prostu zostawiła go, by pójść na jakiś tam lunch, ale ponieważ sam nie należał do osób dobrze zorganizowanych, doskonale rozumiał, że mogła zapomnieć o wcześniejszym umówionym spotkaniu.

Dopiero kiedy Jack wytknął mu słaby punkt jego planu, dotarło do niego, jak bardzo jest roztargniony.

- Nie chodzi o to, że nie myślisz perspektywicznie, stary - Jack się roześmiał, patrząc, jak Paddy spaceruje nad brzegiem basenu, odpalając jednego papierosa od drugiego. - Sęk w tym, że teraz nie możesz do niej zadzwonić, bo po prostu nie masz jej numeru...

- Oczywiście, że mam jej numer. - Paddy się oburzył. - Podali mi go w informacji telefonicznej.

- Ale nie możesz do niej zadzwonić, prawda? - powtórzył Jack z naciskiem i tak powoli, jakby mówił do dziecka. - Przecież ona nie podała ci swojego numeru, tak?

- O, kurwa mać! - Paddy wreszcie zrozumiał. - Rzeczywiście! Alice jest pewna, że spotkaliśmy się przypadkowo, więc skąd niby mógłbym wiedzieć, gdzie mieszka... A niech to... Nie mogę nawet poczekać na nią pod domem, bo jej kumpelka zobaczy mnie i wszystko spieprzy!

Paddy miał wrażenie, że sytuacja zupełnie wymyka się spod kontroli. Nie mógł pójść za Alice do pracy i obserwować ją z daleka, lecz nie ulegało wątpliwości, że musi podjąć jakieś działania, zanim dziewczyna się zorientuje, iż to on przysyła jej kwiaty i wiersze. Sięgnął do kieszeni. W ciągu ubiegłych kilku dni wypalił więcej papierosów niż przez cały okres prób ostatniej tragedii z okresu jakobińskiego.

- Więc co mam zrobić? - zapytał, tym razem całkowicie zagubiony i zdezorientowany.

Jack wzruszył ramionami. Szczerze mówiąc, widok cierpiącego z miłości Paddy'ego sprawiał mu pewną przyjemność. Nigdy dotąd nie widział przyjaciela w takim stanie i teraz, obserwując go, nie mógł się oprzeć refleksji, jak zaskakujące potrafi być życie. Zakochany Paddy Wilde... Niesamowite. Nie przypuszczał, że tego dożyje.

- Pathick, skahbie, wyglądasz na sthasznie zesthesowanego - zauważyła ubrana tylko w bikini Beatrice, która przed chwilą wyłoniła się z domu i usiadła Jackowi na kolanach. - Masz takie napięte mięśnie na kahku... Może zhiobić ci masaż, biedaku?

- Nie, Beatrice, bardzo dziękuję. Nie masz przypadkiem gauloisów? Te pety są dla mnie za słabe.

Pałace słońce Wenezueli stało w zenicie, kiedy Gibbo zamotał do przardzewiałych drzwi Simona. W jednej dłoni trzymał puszkę piwa, w drugiej rzadko tu docierającą pocztę.

- Są jakieś listy do ciebie, stary - oświadczył, rzucając dwie koperty w kierunku Simona. - Chyba od tych twoich kociazków, co? Masz ochotę na śniadanko?

Chwiejnym krokiem podszedł do piecyka gazowego i w skupieniu przyjrzał się podejrzenie wyglądającym kiełbaskom, które leżały na niewielkim blacie, ledwo widoczne pod grubą warstwą much. Simon zasłonił twarz poduszką, broniąc się przed słonecznym blaskiem, który wreszcie rozjaśnił mroczne pomieszczenie.

- Tak, chętnie coś przekaszę - wymamrotał. - Muszę się wzmocnić na wypadek, gdybyśmy utknęli na pustyni w Meksyku, bo przecież tam nie ma nic oprócz kaktusów...

Przechylił się przez krawędź łóżka i wyciągnął koperty z zasnutego pajęczynami kąta.

- Zastanawiałem się trochę nad tym, co powinniśmy zrobić - oznajmił Gibbo, spluwając na olej, aby sprawdzić, czy jest już wystarczająco gorący. - Kiedy dostarczymy tę przesyłkę do Mexico City, będziemy musieli szybko się stamtąd zmywać, prawda?

- Prawda - przytaknął Simon.

- No, właśnie, pojawia się jednak pytanie, dokąd. Co powiesz na Bejrut?

- Bejrut? Dlaczego mielibyśmy się tam pchać, na miłość boską? - Simon usiadł na łóżku i wyjął z pierwszej koperty pocztówkę z kiczowatym zdjęciem morza i palm.

Ciekawe, kto ma taki zły gust, pomyślał.

- Bo Bejrut to ostatnie miejsce, gdzie mogliby nas szukać. Nie twierdzę, że będziemy mieli kłopoty, nic z tych rzeczy, ale chyba nie zaszkodzi, jeżeli przez jakiś czas przestaniemy paradować głównymi ulicami wielkich miast. Tak na wszelki wy-



padek, żeby mieć pewność, że faktycznie pozbyliśmy się Donatella i pozostałych idiotów.

- Naprawdę zamierzasz wrócić do Melbourne i zacząć pracować u ojca? - Simon pociągnął łyk piwa z puszki Gibba. - Blee, co za ohyda! Zupełnie odgazowane!

- Otworzyłem je wczoraj wieczorem - przyznał się Gibbo, przewracając skwierzące na patelni kiełbaski. - Tak, właśnie taki mam zamiar. Czuję, że praca księgowego to coś dla mnie. A ty nie chcesz wrócić do domu i cieszyć się łatwym życiem?

- Nie, w żadnym razie. Nawet perspektywa dłuższego ukrywania się przed bandą zidiociałych kryminalistów wydaje mi się ciekawsza. Chyba mam we krwi skłonność do przygód...

- Wobec tego Bejrut powinien ci się bardzo spodobać. Miałem kumpla, który pracował tam w banku. Mówił mi, że tamtejsze dziewczyny to prawdziwe tygrysy.

- Przykro mi cię rozczarować, Gibbo, ale wygląda na to, że jednak nie pojedziemy do Bejrutu. - Simon pomachał nad głową pocztówką z palmami. - Moja kuzynka Alice mieszka teraz w Los Angeles. Co powiesz na wyprawę prosto do Hollywood?

Gibbo wbił zęby w za gorącą kiełbasę.

- Los Angeles? To całkiem niezły pomysł. Tak, wydaje mi się, że pobyt w Kalifornii dobrze nam zrobi.

## Rozdział 18

Alice pokroiła kanapki z żółtym serem i marynowanymi warzywami w malutkie trójkąci i zapakowała je w barwną folię, która wyglądała o wiele bardziej atrakcyjnie niż zwykła angielska przezroczysta folia do przechowywania żywności. Potem napełniła termos rozpuszczalną kawą z mlekiem i wyciągnęła zza talerzy dwie paczuski chipsów Ranchers. Nie były to najlepsze chipsy na piknik - angielskie serowo-cebulowe Walkersy smakowały znacznie lepiej - ale Ameryka nie miała do zaoferowania nic lepszego. Wszystkie tutejsze chipsy były odtłuszczone i przez to trochę pozbawione smaku.

- Na pewno nie dasz się skusić? - zawołała do Tash, która przed sekundą wyszła z wanny po długiej, blisko godzinnej kąpieli.

Natychmiast też wykorzystała okazję i wpadła do łazienki, żeby umyć zęby.

- Na pewno. Mogę tam sobie po prostu posiedzieć, to nie będzie żadne formalne przyjęcie.

Tuż za progiem łazienki wpadła na Tash, ubraną w cudowną, powiewną sukienkę, prosto z reklamy romantycznych perfum Yardleya.

- Chcesz sobie po prostu posiedzieć w tej... W tym arcydziele? - Alice zachłysnęła się z zachwytem.

- Szczerze mówiąc, nigdzie się nie wybieram. Możliwe, że mój reżyser zdjęć wpadnie na chwilę i...

- Kiedy? - pisała Alice.

Nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy reżysera zdjęć, który wprowadził zamieszanie w uczuciowe życie jej przyjaciółki. Wprost konała z ciekawości, jak wygląda ten legendarny przystojniak, który potrafi dokonywać cudów za pomocą obiektywu.

- Czy doszło do czegoś między wami? - zapytała.

- Nie - odparła Tash. - Ale wczoraj wieczorem wypiliśmy po lampce wina w Chateau Marmont i obiecał, że dziś wpadnie, żeby pokazać mi, jakich używa filtrów. Poza tym, okazało się, że nie jest zainteresowany związkiem z żadną kobietą. Mówi, że bardzo mnie lubi i ceni, lecz czuje się poślubiony sztuce...

Z piersi stojącej pod ścianą Alice wyrwało się głębokie, nabożne westchnienie.

- Boże, jakie to niezwykle... Tak czy inaczej, liczy się fakt, że jest tobą wystarczająco zainteresowany, by pokazać ci, jakich używa tych, no, jak im tam... Filtrów. Ważne, że lubi przebywać w twoim towarzystwie, prawda? Na pewno dzięki temu czujesz się wyjątkową kobietą, co?

- Jasne! - Tash była tak szczęśliwa, że prawie unosiła się nad ziemią. - Ach, Alice, powinnaś zobaczyć jego ramiona! Kiedy podwija rękawy, widać, że są muskularne i wspaniale owłosione... Boże, wydaje mi się, że naprawdę mogłabym się w nim zakochać...

Tash stanęła przy oknie i zapatrzyła się na ogród. Alice spostrzegła, że sukienka jej przyjaciółki jest wyjątkowo powiewna i przejrzysta.

- Tash, gdybyś chciała pożyczyć moje majtki czy coś takiego... - zaczęła niepewnie.

Nie była przekonana, czy kalifornijskie słońce sprzyja noszeniu tego rodzaju stroju. Gdyby ktoś chciał obejrzeć sobie blizny po operacjach plastycznych, jakim poddała się Tash, mógłby to zrobić bez najmniejszego trudu. Lecz Tash rozeźmiała się pobłaźliwie, jakby Alice była naiwnym dzieckiem.

- Ależ, kochanie, o to właśnie chodzi...

- W porządku... Jeżeli tak ma być, to... Cóż, życzę ci

szczęścia. - Szybko pocałowała Tash w policzek, słysząc zatrzymujący się pod domem samochód.

Lysette nacisnęła klakson i Alice podbiegła do okna, aby poinformować ją, że zaraz wyjdzie. Ostatnio Alice albo wychodziła pod eskortą, albo przebywała w domu, bezpiecznie zamknięta.

- Tash, mogłabyś mi pomóc z tym alarmem? - zawołała. - Nie potrafię go wyłączyć...

Problem polegał na tym, że nigdy nie mogła przypomnieć sobie kodu. Nie była pewna, czy są to dwie cyfry oznaczające jej wiek, czy dzień, w którym rzucił ją Jamie. Tash podeszła do drzwi i sprawnie zastukała w magiczne klawisze.

- Zastanawiam się, czy nie posadzić kilku krzaków róż w ogrodzie - powiedziała do Alice, która zawróciła do kuchni po kanapki. - Nie wydaje ci się, że wyglądałyby tu bardzo romantycznie? Mój facet zamierzał zabrać mnie na plażę i zrobić mi parę zdjęć, ale myślę, że kiedy zobaczy tę sukienkę, ze strachu przed aresztowaniem nie wyjdzie ze mną z domu. Albo może dostanie ataku serca... Oby, bo wtedy będzie musiał tu zostać i rzucić się na mnie, prawda?

Lysette naciskała klakson raz po raz i zaniepokojeni sąsiedzi zaczęli wyglądać na ulicę.

- Świetny pomysł - rzuciła Alice. - Może zasadziłybyśmy czerwone róże, co?

Musiała jeszcze wystukać swój własny dwucyfrowy kod. Zaczekała, aż Tash odwróci się tyłem i szybko wbiła cyfry oznaczające jej wiek. 26, jakie to smutne... Na szczęście trafiła.

- Nie mam pojęcia, dlaczego zawsze zamykasz te drzwi - powiedziała. - Przecież nasz dyżurny zboczeniec nie dał znaku życia od ubiegłego tygodnia.

Wobec braku nowych romantycznych przesyłek przestała już nawet traktować randkę z Charliem jako coś, czego należy za wszelką cenę uniknąć, a to oznaczało, że jest bliska desperacji. Weekend, który zamierzała spędzić z Lysette w Coronado, miał ją uwolnić od wszelkich myśli o mężczyznach i przywrócić harmonię w jej życiu.

- Cześć, skarbie - rzekła Tash. - Baw się dobrze.

Już od dawna, dokładnie chyba od dnia, kiedy wyprawiła Alice na randkę z Charliem, nie wyglądała na tak zadowoloną, że może się jej pozbyć.

- Mam nadzieję, że za sprawą tego pełnego namiętności weekendu trochę się ode mnie odczepisz - roześmiała się Alice.

- Nie licz na to, kochanie. Zapewnienie ci bezpieczeństwa to moja misja życiowa. - Tash również parsknęła śmiechem, wypychając przyjaciółkę za drzwi.

- Do zobaczenia jutro wieczorem! - zawołała Alice już z podjazdu.

Wsiadła do samochodu i zaczęła namawiać Lysette, aby czekała za rogiem na przybycie reżysera zdjęć. Miała naprawdę wielką ochotę go zobaczyć.

- Chętnie bym to zrobiła, skarbie, ale wolałabym przed wieczorem dotrzeć do San Diego, więc musimy się pośpieszyć.

Ruszyły.

- Możesz być didżejem - zaproponowała Lysette. - Taśmy są pod siedzeniem.

Alice pogrzebała chwilę wśród kaset i wybrała nagrania Elli Fitzgerald śpiewającej utwory Gershwin. Obie z entuzjazmem akompaniowały Elli, gnając drogą wzdłuż wybrzeża. To dopiero jest życie, pomyślała Alice. Oparła nogi na desce rozdzielczej i utkwiała wzrok w przeszklonym dachu. Postanowiła, że nie będzie dłużej żyła w strachu przed zbrojencem. Jeżeli zechce wyjść po gazety w niedzielny ranek, to zrobi to, i już. Jest wolnym człowiekiem, prawda? Podniosła rękę i poczuła, jak silny prąd powietrza uderza o jej palce.

Lysette z uśmiechem podśpiewywała pod nosem *My Baby Just Cares For Me*. Palmy i domy przemykały za oknem, a szerokie ulice Los Angeles ustąpiły miejsca wijącej się nadbrzeżnej drodze. Jechały w milczeniu, zrelaksowane i zadowolone, tylko od czasu do czasu nucąc jakąś melodię.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Alice.

- Do wspaniałego hotelu. Możemy udawać, że nie mamy żadnych, ale to żadnych zmartwień, przez cały dzień będziemy

się wylegiwać na słońcu, a potem zamówimy sobie masaż nad basenem. To dokładnie to, czego nam trzeba po całym tygodniu pod baczny okiem Jennifer.

- Fantastycznie! - Alice umościła się wygodnie na fotelu i zapadła w lekką drzemkę w popołudniowym cieple.

Po mniej więcej godzinie jazdy z wielkim trudem namówiła Lysette, żeby zatrzymały się w zatoczce przy trasie i zjadły kanapki oraz chipsy.

- Nie możemy ich zjeść w czasie jazdy? - narzekała Lysette. - Jeżeli przystaniemy, na pewno zaraz zaatakuje nas jakiś bandzior...

- Nie, nic z tego, nie będziemy jeść w drodze, nie o to chodzi - zaprotestowała gorąco Alice i postanowiła zastosować perswazję taktyczną. - To angielska tradycja. Jemy kanapki z lekko podwiniętymi brzegami i wkładamy do środka chipsy. Popijamy kawą. Kierowca dostaje mały termosowy kubeczek z uszkiem, a pasażer lub pasażerowie ten drugi, bez uszka.

- Alice, te kanapki są ohydne... - wykrztusiła Lysette.

- Tak powinno być - odparła Alice z dumą, wycierając cieknącą po palcach margarynę.

Lysette przełknęła trójkącik testowego chleba z chipsami wyłącznie dzięki temu, że wmówiła sobie, iż jest to swoiste przygotowanie do wycieczki do Hampton Court, na którą pewnego dnia wybierze się z angielskim mężem i dziećmi.

Słońce chyliło się ku linii horyzontu, kiedy przejechały przez most prowadzący do Coronado. W dole widziały zakotwiczone w porcie na noc jachty i amatorów opalania, którzy zwijali ręczniki i powoli opuszczali plażę. Alice zwróciła uwagę na piękny karmelowy odcień domów przy ulicach Cataliny oraz intensywną, nasyconą zieleń roślinności. Wydawało się, że cała okolica przesiąknięta jest atmosferą bliskiego Meksyku, a wieczór wibruje innym życiem. Doszła do wniosku, że na pewno działa tu latynoska magia. W końcu zatrzymały się przed najbardziej imponującym hotelem, jaki kiedykolwiek widziały.

- To tutaj filmowali niektóre sceny z *Mężczyźni wolą blondynki* - rzekła Lysette, z podziwem wpatrując się w ozdobio-

ny wieżyczkami kamienny gmach. - Mieszkała tu Marilyn Monroe, wyobrazasz sobie? Masz pojęcie, ile ten hotel ma lat?

W kierunku parkingu dostojnie sunęły limuzyny większe niż sypialnia Alice. Dziewczyny zostawiły swój wóz w miejscu zarezerwowanym dla Agi Khana i weszły do środka.

- Nasz najtańszy pokój? - powtórzyła recepcjonistka, patrząc zza opartych na grzbiecie cudownie zoperowanego nosa okularów na błyszczące od potu i czerwone od upału twarze dziewcząt. - Najtańszy jest apartament Laguna, ale podobno w nim straszy...

Nie musiała mówić nic więcej. Dziewczyny bez wahania położyły na kontuarze karty kredytowe. Duch? Wspaniale!

Wzięły swoje podniszczone torby i kręconymi schodkami wdrapały się na wieżyczkę. Pokój był mroczny od cieni mahoniowych mebli, a łóżko wielkie jak parostatek. Chwilę poskakały na materacu i wyjęły specjalne stroje weekendowe - Alice czarną sukienkę-halkę, którą kupiła za dwa dolary na wyprzedazy, Lysette zdecydowanie droższą, choć podobną kreację od Dolce & Gabbana. Na cześć Marilyn umyły się żelem pod prysznic z linii zapachowej Chanel No 5 i przybrały sukienki różnobarwnymi piórkami. Potem zeszły na dół, trochę pijane po kilku porto z cytryną, powiewając boa z piór i poprawiając odrobinę rozmazany makijaż. Turystom siedzącym na obfitych kanapach w luksusowym holu wydawało się przez chwilę, że oni także wypili za dużo.

- Hank, chyba to nie jest Jack Lemmon i Tony Curtis, co?

Szkoda było marnować taki efekt na zwykłych wycieczkowiczów w koszulkach polo i chroniących od słońca czapkach, ale co tam, raz się żyje... Dziewczyny skierowały się do baru, zamówiły dwa podwójne martini, ledwo poruszając oblepionymi wiśniowym błyszczkiem wargami i przysiadły na barowych stołkach, podobne do rajskich ptaków.

Alice czuła się naprawdę szczęśliwa i zachwycająco piękna. Zostawiła za sobą LA i wszystkie troski. Miała ochotę uściskać Lysette za to, że ją tutaj przywiozła. Rozejrzała się dookoła. Klienci żywo przypominali pensjonariuszy luksusowego domu starców, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

- Myślisz, że wszyscy mężczyźni, których znamy, będą tak właśnie wyglądać, kiedy skończą osiemdziesiątkę? - zapytała.

- Oczywiście - odparła Lysette. - Choć mój mąż będzie o wiele bardziej dystyngowany. Będzie miał kręcone siwe włosy, jak inni Anglicy w podeszłym wieku.

Alice zmarszczyła brwi i wysiliła umysł.

- Kręcone siwe włosy?

- No, takie białe loki... - Lysette sięgnęła po leżący na ławie ołówek i kartkę, i szybko naszkicowała swój ideał.

- Ach, chodzi ci o sędziowską perukę! - Alice roześmiała się. - Ale sędzia wcale nie musi być lordem, Lysette.

- Myślałam, że wszyscy lordowie noszą takie fryzury. - Lysette była wyraźnie zdezorientowana.

- Nie, lordowie nie mają takich włosów, w każdym razie niekoniecznie. Musisz wyjść za mojego kuzyna Simona, wiesz? On na pewno nie zostanie sędzią, nie po tych wszystkich mandatach za nieprawidłowe parkowanie i oskarżeniach o posiadanie narkotyków, za to bez wątpienia będzie idealnym lordem.

- Ciągłe ci powtarzam, żebyś tylko leciutko popchnęła go w moim kierunku. Resztą zajmę się sama.

- A właśnie, zaprosiłam Simona do Los Angeles. Tyle że najprawdopodobniej dostanie moją pocztówkę za jakieś sześć miesięcy...

- Dlaczego? - zapytała Lysette, w podnieceniu wypychając do ust garść ryżowych krakersów.

- Bo tkwi na jakimś dzikim odludziu, gdzieś w Wenezueli, przecież ci mówiłam. Zresztą, gdyby rzeczywiście przyjechał, musiałby zatrzymać się u Tash, a Tash i Simon nie darzą się zbyt wielką sympatią.

- Znają się? - Lysette się zaniepokoiła.

- Kiedy Tash miała czternaście lat, a Simon kończył Eton, zaprosił ją na szkolny bal. Właśnie wtedy Tash przytępała go na całowaniu się za szopą z łodziami z chłopakiem z drużyny krykietowej. Wściekła się, bo całe wielkanocne ferie zmarnowała na sycie spódniczki mini w stylu Madonny.

- Rozumiem ją. - Lysette westchnęła współczująco. -



Mam nadzieję, że twój kuzyn etap fascynacji chłopcami ma już za sobą...

- Na pewno - pocieszyła ją Alice. - Za jego łóżkiem zawsze można było znaleźć więcej egzemplarzy „Penthouse'a” niż „Vulcana”. Naprawdę bardzo bym chciała, żebyście się poznali. Simon na pewno by ci się spodobał.

Na twarzy Lysette pojawił się rozmarzony uśmiech. Właśnie wyobrażała sobie wiadomość o swoich zaręczynach z lordem Simonem, zamieszczoną w odpowiedniej rubryce „Timesa”, kiedy nagle Alice z cichym syknięciem wciągnęła powietrze.

- O mój Boże! - wykrztusiła.

- Co się stało? - Lysette się odwróciła, żeby sprawdzić, co wywarło tak straszne wrażenie na przyjaciółce.

- To on - powiedziała Alice bardzo cicho.

- Kto, twój kuzyn Simon? - Lysette potoczyła wzrokiem po barze.

Tak jest, to musiał być on. Siedział w rogu z zupełnie przeciętnie wyglądającą kobietą. Lysette usiłowała przyjrzeć się jego twarzy. Odwrócił się. Cóż, żadna rewelacja... Spodziewała się, że będzie bardziej podobny do Alice, o delikatnych, ładnych rysach, z kręconymi jasnymi włosami, ale nie, najwidoczniej odziedziczył wygląd po innych przodkach. Szczerze mówiąc, był raczej niski i... I niezbyt przystojny. Nieważne, może był dziko inteligentny i błyskotliwie dowcipny.

- Idzie w tę stronę - zauważyła Lysette, lecz Alice chyba w ogóle jej nie usłyszała.

Martwym wzrokiem wpatrywała się w siedzącą przy stoliku dziewczynę, która rzucała im wściekłe spojrzenia.

- Nie do wiary... - wymamrotała Alice, biała jak prześcieradło. - Skąd oni się tutaj wzięli, do cholery...

- Co ci jest, Alice? - Lysette się zaniepokoiła. - Nie podobna ci się tego dziewczyna, czy co?

- Idzie do nas, wyobrażasz sobie coś takiego? - Alice mówiła takim głosem, jakby znajdowała się pod wodą, a słowa z trudem wydobywały się z jej ust.

- Przecież to twój kuzyn...

- To nie mój kuzyn, tylko Jamie, Lysette. Jamie.

Alice z ogromnym trudem utrzymała się na wysokim stołku, ponieważ już od paru chwil mocno kręciło jej się w głowie. Jamie podszedł i stanął naprzeciwko niej.

- Tak mi się wydawało, że to ty, Alice - odezwał się z uśmiechem. - Jak się masz, staruszko?

Jamie był niższy, niż pamiętała, mówił cienkim, trochę piskliwym głosem, a w górnej części czoła dostrzegła wyraźne zakola. Czyżby tysiąc? W wieku dwudziestu ośmiu lat?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła zimno i obojętnie.

Jimmy po prostu tego nie zauważył.

- Hezza i ja przyjechaliśmy tu na tygodniowe wakacje. Co się stało, wygrałaś wycieczkę w konkursie producenta płatków kukurydzianych, czy coś w tym rodzaju? - Zachichotał głupawo.

Mój Boże, on naprawdę tak myślał! Sądził, że Alice mogła znaleźć się w Kalifornii wyłącznie dzięki łutowi szczęścia. Zarozumiały drań!

- Nie, pracuję w Los Angeles. Wpadłam tu tylko na weekend.

Ha, to powinno dać mu do myślenia! Niech ma nauczkę! Niech wreszcie do niego dotrze, co zrobił, rzucając Alice z samego rana, zaraz po cudownym stosunku, i uciekając z Helen, która nosi fałszywki firmowane metką Gucciego...

- Coś takiego! - Jamie się zdumiał. - Nieźle sobie radzisz, Ally-bongo. Może moglibyśmy się u ciebie zatrzymać, co? W przyszłym tygodniu chcemy zaliczyć Los Angeles...

Machnął ręką w stronę Hezzy, która z rozdrażnieniem raz po raz okręcała bransoletkę zegarka wokół przegubu dłoni. Alice postanowiła do końca nasycić się swoją wielką chwilą. Odrzuciła do tyłu włosy i lekko odęła wargi.

- Z przyjemnością bym was przenocowała, ale mój chłopak nie byłby tym zachwycony. Nie ma zaufania do ludzi prosto z ulicy. Boi się, że mogliby sprzedać plotki o nim jakiemuś brukowcowi, albo zrobić coś równie wulgarnego. Oczywiście ty nie jesteś wulgarny, Jamie, ale trudno też powiedzieć, aby można było ci ufać, prawda?

Uśmiechnęła się słodko i podciągnęła trochę spódniczkę na złość Hezzie, która miała kostki nóg szerokie jak butelka po mleku. Alice dostrzegła to dopiero teraz i poczuła ogromną satysfakcję.

- Och, cóż... Przyznaję, że może wtedy nie zachowałem się najlepiej, staruszek, ale...

Alice leniwym ruchem potarła udo i rzuciła Jamiemu wy-czekujące spojrzenie. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Hmm... Ten twój chłopak... Czym się zajmuje, skoro boi się, że historie o nim mogą się pojawić w brukowcach?

Jamie był wyraźnie zbity z tropu. Jeszcze chwila i rozplynie się w powietrzu jak zły sen.

- Jest gwiazdorem filmowym.

Nie chciała kłamać, ale wiedziała, że aby trafić do Jamiego, należy zachowywać się jak słoń w składzie porcelany.

- Powiedziałałabym ci, jak się nazywa, ale podejrzewam, że faktycznie mógłbyś sprzedać wiadomość o naszym związku dziennikarzom. - Uśmiechnęła się złośliwie i pociągnęła łyk martini. - Kto się raz sparzył...

Ach, oto i klusko wata Hezza... Przeciska się między stoli-kami, podobna do wieśniaczki, która zamierza nakarmić kury. Dlaczego, dlaczego, na miłość boską, dostrzegamy prawdę w całym blasku dopiero po długim cierpieniu? Może Alice czułaby się lepiej, gdyby parę miesięcy temu odkryła, że He-len Caudwell ma grube nogi w kostkach i nie potrafi się do-brze ubrać? Ale nie, świadomość niedociągnięć rywalki byłaby wtedy tylko dodatkową obrazą. Natomiast jeśli chodzi o Jamiego, to nieszczęsny facet był przecież kompletnym idiotą. Co za głupek! Czy Alice naprawdę kochała tego gapo-watego ignorantą, który najwyraźniej marzył tylko o tym, żeby związać się z kobietą idealnie podobną do własnej mamusi? Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej? Czyżby miłość była nie tylko ślepa, ale i głucha, tępa i totalnie niedorozwinięta?!

- Bardzo się cieszę, że się spotkaliśmy, Jamie. Przepraszam cię, ale mamy bardziej interesujące zajęcia. Ciao!

Z tymi słowami pocałowała Jamiego w usta, zerkając na Hez-

zę, która łapała powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Po-  
tem uśmiechnęła się i odeszła razem z Lysette, lekko kołysząc  
biodrami.

Dziewczyny opuściły hotel, zanosząc się śmiechem, i posta-  
nowiły zjeść kolację gdzieś w mieście.

- Jeżeli zostaniemy tutaj, stracimy apetyt, przyglądając się  
Jamiemu i Hezzie. Przysięgam, że ona wygląda zupełnie jak  
jego matka, nawet te kolczyki z perłami ma takie same!

Alice nadal nie mogła dojść do siebie po szoku. Ręce jej  
drżały.

- Więc wystarczy, że Jamie zamorduje ojca, a doskonale  
wpasuje się w rolę Edypa. Muszę przyznać, że w tym wypad-  
ku zupełnie zapomniałaś o dobrym guście, kochanie. Boże,  
w porównaniu z tym facetem Zboczony Charlie to prawdziwy  
superman. - Lysette wzięła Alice pod ramię, prowadząc ją uli-  
cami Cataliny do małej restauracji, na którą wcześniej zwró-  
ciły uwagę. - W tym barze kłębią się tłumy amatorów zdrowej  
żywności, ale słyszałam, że właściciel sam kręci lody. Chcesz  
spróbować?

- Jasne, dlaczego nie? Naprawdę uważasz, że Jamie jest  
taki okropny? - zapytała Alice, chociaż w gruncie rzeczy wca-  
le nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

- Moim zdaniem to pieprzony wilkołak. - Lysette nie wi-  
działa powodu, aby ukrywać prawdę.

- Boże, jaka szkoda, że nie znałam cię dwa lata temu... Od  
razu powiedziałybyś mi, co o nim myślisz, prawda?

- Oczywiście, bez chwili wahania. Naprawdę prasowałam  
mu koszulę? - W głosie Lysette brzmiało takie niedowierza-  
nie, jakby przed chwilą ktoś ją poinformował, że bajka o Czer-  
wonym Kapturku jest najprawdziwszą historią.

Po prostu nie mieściło jej się w głowie, że Alice mogła wy-  
kazać się tak monstrialną naiwnością.

- Tak. - Alice nie była nawet specjalnie zażenowana.

Osoba, która pociła się i parzyła sobie palce, aby rozpraso-  
wać wszystkie załamania na kołnierzykach koszul Jamiego,  
z całą pewnością nie była tą samą, która teraz lekkim krokiem  
maszerowała wysadzanymi palmami ulicami Coronado.

- Z miłością jest chyba podobnie jak z bólem - rzekła. - Szybko się zapomina, czym to pachnie. Gdybyś pamiętała, nigdy nie wpuściłabyś się w taki kanał powtórnie. Nie biegałabyś na bosaka, bo bałabyś się poranić stopy, nie podejmowałabyś się za trudnej pracy, i tak dalej. I z całą pewnością nigdy, przenigdy nie zakochałabyś się w nowym facecie. Tak czy inaczej, mogę teraz złożyć uroczystą przysięgę, że nie cierpię już z powodu Jamiego i jego marnych włosków. A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze? - zapytała Alice, przystając przed wystawą sklepu z pięknymi meksykańskimi ponczami i dywanikami.

- No, co takiego? - Lysette się uśmiechnęła.

- To, że chyba jestem gotowa zakochać się powtórnie. Och, oczywiście nie w Charliem i nie w nikim znajomym, i jeszcze nie w tej chwili, ale może już niedługo, kto wie...

- Cudownie, naprawdę doskonale. - Lysette odciągnęła Alice od wystawy i popchnęła ją w stronę restauracji Dziki Owies. - A teraz może jednak przekąsiłybyśmy jakieś małe co nieco?

Nad ostrygami w sosie marynarskim Alice spróbowała wyciągnąć z Lysette, co piękność z amerykańskiego Południa robi w Los Angeles.

- Chyba to samo co ty. - Lysette podważyła skorupkę i ze smakiem wypita kremowy sok. - Chciałam znaleźć się jak najdalej od pewnego mężczyzny i jeśli nawet Hollywood nie wydawało mi się krańcem świata, to na pewno było wystarczająco daleko od Wirginii Zachodniej. No i mimo całego mojego narzekania trochę mi się tu podoba...

- Ale czy ten nieustający chaos i zamęt, i wszyscy ci bezbrzeżnie próżni mężczyźni nie wywołują w tobie uczucia przygnębienia?

- Nie, skądże znowu. Mężczyźni są wspaniali właśnie dlatego, że zawsze okazują się tacy okropni, więc nie potrzeba żadnej wymówki, aby ich rzucić. Można ich śmiało wykorzystać i zostawić.

- A kiedy spotkasz swojego Anglika, to po prostu wyjdiesz za niego, wyjedziesz z Los Angeles i już, tak?

- Jasne! Miałam już do czynienia z Anglikami w Hollywood, więc można powiedzieć, że nabywam praktyki, chociaż byli to aktorzy, którzy przyjechali tu, bo wyznają kalifornijski system wartości. Mnie natomiast zależy na takich, którzy wolą polowanie od opalania się i uwodzą kobiety, posługując się poezją. Chciałabym poznać kogoś w rodzaju twojego tajemniczego wielbiiciela. Mówię ci, że to niemożliwe, aby on pochodził z Kalifornii, ale ty nie chcesz mi uwierzyć...

Alice zamyśliła się na chwilę.

- Naprawdę uważasz, że mój tajemniczy wielbiiciel nie jest zwyčajnym pomyłecem? - zapytała ostrożnie.

- Jak to, pomyłecem? Moim zdaniem to cudowny facet. Możesz zaufać mojej intuicji, naprawdę. Założę się, że jest mężczyzną twoich marzeń.

- Dokładnie tak samo myślałam o Jamiem i tylko popatrz, co mnie spotkało. - Alice z westchnieniem machnęła ręką.

Dziwne, ale coraz częściej myślała o mężczyźnie, który jako jedyny (w każdym razie jedyny do tej pory) uznał, że warto do niej pisać i zabiegać o jej względy.

- Grasz na pianinie? - szepnęła Lysette do Alice, pochylając się nad stołem.

Wróciły do hotelowego baru i postanowiły wypić jeszcze po lampce koniaku na dobranoc. Hezza i Jamie obściskiwali się w swoim kącie, ku zgorszeniu dziewięćdziesięcioletnich klientów, lecz na pewno nie Alice.

- Tylko *Boże, chroń królową* i *Panie Janie* - odpowiedziała z żalem Alice.

Lysette chwilę milczała, a potem przywołała kelnera i szepnęła mu coś do ucha. Zanim Alice zdążyła domyślić się, o co chodzi, Lysette już ciągnęła ją za rękę w stronę stojącego w rogu pianina, którego pokrywę podnosił właśnie kelner.

- Wobec tego lepiej zaśpiewaj ze mną - poradziła życzliwie Lysette.

Wspomnienie długich lat tortur w szkolnym chórze przykuło Alice do podłogi. Jej ciało za żadne skarby świata nie chciało zbliżyć się do źródła upokorzenia. W szkole panna

Buli waliła wszystkich po głowach pałeczką, demonstrując w ten sposób kompletną muzyczną głuchotę swoich uczniów i Alice nie była w stanie o tym zapomnieć. Nawet gdyby jakimś cudownym zrządzeniem losu opanował ją duch Kiri Te Kanawa, nie zamierzała pokazywać krtani obcym, a już na pewno nie Jamiemu, który kiedyś miał znacznie łatwiejszy dostęp do jej migdałków, niż na to zasługiwał.

Ale Lysette pociągnęła ją mocniej i Alice nie zdążyła schronić się w toalecie, bo muzyczny kelner już zaczął grać na pianinie melodię *Ty i ja mamy anioła stróża*. Była to piosenka, którą Alice dość mętnie pamiętała z filmu *High Society*, w czasie projekcji była jednak tak przejęta losem biednej Grace Kelly, cierpiącej z powodu legendarnego cuchnącego oddechu Binga Crosby'ego, że w ogóle nie zwróciła uwagi na słowa. A teraz miała to zaśpiewać, na miłość boską... Początkowo próbowała cichutko nucić melodię, lecz Lysette, która przysiadła na brzegu skrzyni pianina, z uporem kopała ją w kostkę.

- Dalekooo, wysoookooo, wooolnaaa jaak ptaak, daaaaję ciii...

Alice już po paru sekundach zdała sobie sprawę, że miauczy jak marcujący kot. Zamilkła, a Lysette nie protestowała, ponieważ właśnie się przekonała, że twierdzenie przyjaciółki, iż słoń nadepnął jej na ucho, bynajmniej nie wynika z kokieterii. Lysette śpiewała więc dalej, natomiast Alice usiadła wygodnie i obserwowała, jak cudowny głos Piękności z Południa oczarowuje zgromadzonych w barze staruszków, a jej seksapil zupełnie wytrąca Jamiego z równowagi. Alice pożałowała nagle, że nie ma żadnego talentu, daru, którym mogłaby sprawiać przyjemność innym. Cóż, piekła niezłe ciasta, ale przecież to nie było nic wielkiego... Zapach Chanel No 5 trochę ją usypiał i dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Boczny korytarzem przeszła do głównej klatki schodowej, zostawiając Lysette na pastwę coraz liczniejszej publiczności, zachwyconej jej wykonaniem piosenek Edith Piaf.

Następnego dnia rano Alice obudziła się trochę rozcieszona brakiem jakichkolwiek oznak życia ze strony ducha. Przewróciła się na bok, spodziewając się, że na drugiej połowie

szerokiego łóża zobaczy zwiniętą w kłębek Lysette, ale przyjaciółki nie było. Pióra z boa Alice ułożyły się w ścieżkę na podłodze, a jedno z nich tkwiło tuż pod jej nosem. Kichnęła głośno. Skoro Lysette nie ma, to trudno. Wcześniej czy później na pewno się pojawi. Wzięła prysznic, zmywając z siebie resztki Chanel No 5 i starając się nie myśleć o duchu. Nie zaciągnęła zasłony, ponieważ bała się, że coś może się za nią ukryć, drzwi do łazienki też pozostały uchylone. W ten sposób wytrąciła element zaskoczenia z rąk wszystkich nadprzyrodzonych istot, które mogłyby mieć ochotę ją straszyć. Nagle drzwi sypialni otworzyły się szeroko i Alice zyskała widok na pokój i znajdujący się za nim korytarz, natomiast Lysette i jej kelner ujrzeli Alice w całej okazałości.

Kiedy zdołała w końcu osłonić nagość łazienkowym dywanikiem i przypudrować twarz zielonym pudrem, który miał zamaskować zalewający ją rumieniec, z godnością opuściła łazienkę i usiadła na łóżku, aby się dowiedzieć, gdzie Lysette spędziła ubiegłą noc. Lysette poleciła kelnerowi, by wrócił do baru i tam na nią zaczekał. Wyglądała jak piosenkarka wodewilowa po ekshumacji - rozmazana szminka w okolicy ust, siateczkowe pończochy, które sprawiały wrażenie, jakby z trudem przetrwały zamieszki wywołane przez hiszpańskich rybaków, protestujących przeciwko regulacjom narzuconym im przez Unię Europejską. Tylko gęste, błyszczące włosy, tworzące miękki hełm na głowie, nadal były równie piękne jak poprzedniego wieczoru.

- Całą noc byłem z kelnerem na plaży. Mężczyźni, którzy grają na instrumentach klawiszowych, są po prostu niezrównani, skarbie. Nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiliby zrobić tymi swoimi ruchliwymi palcami... - Lysette uśmiechnęła się marzycielsko.

- Świetnie śpiewałaś wczoraj wieczorem - powiedziała Alice, wciągając stare dzinsy.

- Och, zawsze oglądałam dużo musicali. Słyszałam jednak, że w Anglii śpiewaczki są uważane za wulgarne, a w żadnym razie nie chciałabym narazić się na krytykę ze strony arystokracji...



- Tak było wiele lat temu, Lysette, dziś książęta co chwilę żenią się z dziewczętami występującymi w kabaretach.

- No tak, zupełnie zapomniałam o Dianie. - Lysette zmarszczyła brwi. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, jeżeli te kilka godzin do lunchu spędzę z kelnerem, co? Szkoła zmarnować taki wspaniały talent muzyczny, słowo daję!

Naturalnie, Alice nie miała nic przeciwko temu. W tej samej chwili zdała sobie jednak sprawę, że najprawdopodobniej jest jedyną znaną sobie osobą (poza Jennifer, swoją szefową), która nie ma nawet symbolicznego mężczyzny. Lysette do śniadania kochała się na plaży z facetem o cudownych palcach, Tash uwodziła reżysera zdjęć w swoim nowym różanym ogrodzie i zaczynała nowy, eskcytujący romans, a Trinny planowała, w jaki sposób wtłoczyć pięćset najbliższych przyjaciół i znajomych, w większości modelek o wzroście ponad 180 cm, do wiejskiego kościółka zaprojektowanego dla miejscowej kongregacji, składającej się z dwudziestu raczej niskich osób.

Włożyła swoje nieco cuchnące buty sportowe firmy Puma i ruszyła na plażę. Zamierzała wybrać się na samotny spacer brzegiem morza, kiedy ujrzała Lysette i jej kelnera, którzy skwapliwie wykorzystywali schronienie, jakie zapewniała im wyciągnięta na piasek mała łódka. W tej sytuacji zawróciła pośpiesznie, zamierzając przejść się po mieście, lecz nagle jej wzrok padł na samochód Lysette, zaparkowany w pełnym słońcu, na miejscu Agi Khana. Nie prowadziła od ostatniego Bożego Narodzenia, a w Los Angeles bała się nawet dotknąć kierownicy, drżąc na samą myśl o tym, co mogłoby grozić niewinnym pieszym, no i naturalnie jej samej. Z drugiej strony, jak, do diabła, miała przejąć kontrolę nad swoim życiem, skoro nawet nie potrafiła jeździć samochodem? Natychmiast przyszła jej na myśl metafora, która przypominała wers kiepskiego wiersza lub tytuł powieści Huntera S. Thompsona - Nauka Jazdy Samochodem w Los Angeles... Bez dalszego wahania pobiegła do pokoju, chwyciła okulary przeciwsłoneczne i kluczyki do wozu Lysette, po czym pognęła z powrotem do symbolu swego przeznaczenia.

Gdy otworzyła drzwiczki, zaatakował ją odór rozgrzanych w słońcu plastikowych siedzeń. Rozpostarła sweter na siedzeniu kierowcy i ostrożnie wsunęła się na miejsce, dmuchając na gorącą kierownicę. Włożyła kluczyk do stacyjki, a wtedy pas zapiął się automatycznie, tak jak dzieje się to we wszystkich amerykańskich samochodach. Zupełnie jakby ludzie nie powinni pamiętać, że wyjeżdżając na drogę, patrzą śmierci prosto w oczy... Alice pomyślała, że ona w żadnym razie o tym nie zapomni. Za nic nie mogła zrozumieć dziwacznej logiki, zgodnie z którą społeczeństwa posługujące się tym samym językiem i oglądające te same programy telewizyjne mają jeździć po dwóch różnych stronach drogi. W tej chwili musiała się z nią jednak pogodzić, ponieważ taka była rzeczywistość. W ślimaczym tempie opuściła miejsce parkingowe Agi Khana i ruszyła przed siebie. Serce waliło jej jak oszalałe, mokre od potu dłonie ślizgały się na kierownicy. Po co ona to robi, na miłość boską?!

W ciągu pół godziny o mały włos nie rozjechała wszystkich zwierząt w okolicy oraz kilku wojennych weteranów. Zakładała, że ci starsi mężczyźni byli weteranami, ponieważ ich prawie rozsypujące się ciała w niezwykle żwawy i sprężysty sposób reagowały na straszne doświadczenia, jakie spotkały ich z jej rąk.

- Ty pieprzona wariatko! - ryczeli z głębi swych pomarszczonych gardeł. - Spierdalaj z drogi!

Lecz Alice mknęła dalej. Powoli zaczęła nawet radzić sobie ze skrzyżowaniami, kiedy niespodziewanie tuż przed nią wychynęło jakieś nieszczęsne rondo, umieszczone tam przez bogów chyba wyłącznie po to, aby ją wykończyć. Cholera jasna! Rozpoczęła objazd we właściwym kierunku, zgodnie z zasadami obowiązującymi w tym dziwnym kraju, lecz długie lata przemieszczania się lewą stroną najwyraźniej pozostawiły na niej swe piętno. Nie mogła jechać prawą stroną, było to całkowicie przeciwne jej naturze, tak samo jak nie mogłaby pierwsza zadzwonić do mężczyzny. Zdawała sobie sprawę, że w Ameryce właśnie tak należy postępować, lecz nie potrafiła zmusić się do zakręcenia kierownicą w drugą stronę. Nie po-

trafiła, dopóki nie dostrzegła policjanta, bo wtedy rozpaczliwie zjechała na prawą, nieomal zmiatając z drogi motor i jakiś samochód. Rozbłyły niebieskie światła, lecz Alice rzuciła stróżowi prawa uśmiech mówiący: „Przepraszam, jestem kobietą”, który, o dziwo, odniósł zamierzony skutek. Policjant spojrział na nią surowo znad dużych wąsów, ale dał jej spokój. Alice docisnęła gaz do dechy, zjechała na lewą stronę i poczuła się nieprawdopodobnie szczęśliwa.

scandalous

## Rozdział 19

Po dwóch godzinach oczekiwania na Alice w pełnym słońcu Patrick poddał się i poszedł spotkać się z Jackiem w barze koktajlowym na Santa Monica Boulevard.

- To po prostu nie do wiary - narzekał, popijając koktajl bananowy. - Posyłam jej kwiaty i inne rzeczy, a jej nigdy nie ma w domu. Gdybyś miał wielbiciela, to chyba od czasu do czasu wystawiłbyś głowę przez okno, żeby sprawdzić, kto to taki, co? Tymczasem ona spokojnie wyjeżdża sobie na weekend...

Jack się roześmiał. Widok Paddy'ego cierpiącego z powodu niespełnionej miłości sprawiał mu sporą przyjemność. Taka sytuacja była prawdziwą rzadkością i z pewnością już wkrótce pozostanie tylko wspomnieniem.

- Wygląda na to, że nie jest zainteresowana - podkreślił Paddy'ego. - Zresztą sam mówiłeś, że widziałeś ją z jakimś facetem w szpanerskim samochodzie...

Paddy ze smutkiem kiwnął głową.

- Ale ona nie jest dziewczyną, której imponowałyby szpanerskie wozy i jachty!

Patrick mówił tonem małego chłopca, który ani rusz nie może pojąć, dlaczego nie wolno mu zjeść całego pudełka słodyczy na raz. Nerwowym ruchem przeczesał palcami gęste czarne włosy.

I właśnie dlatego wszystkie pieprzone baby lecą na niego jak głupie, pomyślał Jack, który całymi latami starał się od-

gadnąć, dlaczego ten w sumie niepozorny Irlandczyk pod koniec wieczoru zawsze może przebierać w interesujących propozycjach. Chodzi o ten wdzięk zagubionego chłopczyka, właśnie w tym kryje się sekret jego powodzenia.

Patrick zauważył nagle zmierzającą w ich kierunku Izzy. Spędził z nią trzy noce i uznał, że to najzupełniej wystarczy. Poza tym siedział już w LA dłużej niż przewidywany tydzień i wcale nie był bliższy zwycięstwa. Tego ranka otrzymał pocztą listę castingową do obsady sztuki *A Chaste Maid in Cheapside* i uświadomił sobie, że wkrótce będzie musiał wracać. Nie miał czasu na pielęgnowanie znajomości z innymi dziewczynami. Chciał zdobyć Alice i tyle.

- Cześć, kochanie. - Izzy postawiła na stole koktajl z odtłuszczonego mleka i przysunęła sobie krzesło. - Muszę cię o coś poprosić - gdyby ktoś pytał cię o nasz związek, to powiedz, że ma on charakter czysto platoniczny, dobrze?

I z błagalnym wyrazem twarzy pogłaskała go po kolanie.

Jack milczał. Mieszkał w LA od ponad roku, ale ciągle nie przezwyciężył jeszcze strachu przed tymi dziwnymi istotami posiadającymi w dużej mierze sztuczne ciała i posługującymi się pseudonaukowymi terminami z dziedziny psychologii. Szczerze mówiąc, one także nie wykazywały zainteresowania jego osobą. Wystarczyło jednak, aby zamieszkał u niego Paddy Wilde, a już życie Jacka zaczęło upodabniać się do teledysku piosenki Beach Boys. Zerknął na zegarek. Jeszcze dwie godziny i będzie mógł wygodnie ułożyć się na kozetce u swojej prywatnej psychoterapeutki, Beatrice...

- Więc może byłoby najlepiej, gdybyśmy rzeczywiście przenieśli nasz związek na platformę platoniczną - zaproponował Paddy, który nagle ujrzał światło w tunelu. - W ten sposób ty nie sprawisz zawodu temu młodemu człowiekowi, a ja nie będę musiał kłamać.

Miał nadzieję, że mu się uda, ale nic z tego. Nie zdawał sobie sprawy, że świat nie zna rzeczy równie wielkiej jak ego aktorki.

- Nie chodzi o żadnego młodego człowieka, tylko o prasę. Sęk w tym, że widuję się z innym, z pewnym sławnym akto-

rem. Gdyby się o nas dowiedział, wpadłby w furję. Ale jeżeli utrzymamy to w tajemnicy, możemy się nadal spotykać.

Biedaczka, robiła wszystko, żeby jak najskuteczniej oszukać samą siebie, lecz Paddy nie mógł o tym wiedzieć. Poza tym miała nogi stąd aż do Malibu. Och, co tam, noc z Izzy nie przyniesie mu pocieszenia, ale i tak będzie lepsza niż siedzenie w domu, oglądanie *Czułych słówek* w telewizji kablowej i snucie marzeń o Alice.

Alice wróciła do domu o północy i zastała Tash oraz jej fotografa leżących na kanapie i śledzących akcję *Ostatniego tanga w Paryżu*. Usiłowała niepostrzeżenie przemknąć do swojego pokoju, ale Tash wyrwała się na moment z gorących ramion ukochanego i dostrzegła swoją torbę, znikającą za drzwiami.

- Alice, już wróciłaś! Wejdz i poznaj Alana.

Alana? Kim jest Alan, na Boga? Alice odwróciła się powoli i spojrzała na obficie owłosione kończyny, spoczywające na kanapie.

- Spędziłaś przyjemny weekend? - zapytała Tash, która najwyraźniej bardzo chciała się pochwalić swoją nową zdobyczą.

- Tak, cudowny. - Alice nie miała cienia wątpliwości, że Alan chętnie by ją zamordował za to, że przerwała jego sesję z Tash. Uśmiechnęła się słodko. - Bardzo się cieszę, że mogłam cię poznać. Jestem potwornie zmęczona, więc chyba powinienam się już położyć...

Z tymi słowami zaczęła się cofać w kiemniku swojej sypialni.

- Skręciliśmy ciekawy kawałek taśmy, chodź i popatrz. - Tash zapaliła lampę i leżący na kanapie facet stał się nagle w pełni widoczny.

Skręcili ciekawy kawałek taśmy... Alice starała się dokładnie przyjrzeć fotografowi Tash, co było raczej trudne, ponieważ nie należał do rozmownych. Głowę miał spuszczoną i był całkowicie pochłonięty oglądaniem własnych paznokci. Tash przewinęła filmowe arcydzieło tego weekendu.

- Spójrz na to zdjęcie! Widzisz, jakie mi zrobił doskonałe ujęcie?

Zdjęcie robiło wrażenie próbnej fotki do subtelnego porno-sa, lecz Alice i tak przyjrzała mu się tylko przelotnie, ponieważ nie spuszczała wzroku z ukochanego Tash. Był bardzo przystojny i... I niewątpliwie żonaty. Skrzywiła się lekko. Tak to już jest z żonatymi mężczyznami, można rozpoznać ich na odległość. Ciekawe, jak ten fakt pasuje do feministycznej teorii siostrzanych więzów wszystkich kobiet, którą wyznawała Tash. Szybko doszła do wniosku, że nie jest to najlepsza chwila na tego rodzaju pytania. Lepiej będzie zostawić je na następny dzień.

Alice zjadła połowę ołówka, w rezultacie czego miała teraz odpryski żółtej farby dookoła ust i kawałki drewna między zębami. Kiedy podniosła wzrok, Tommy nadal się na nią gapił. Początkowo myślała, że może to sobie wyobraża, albo że Tommy jest jeszcze naćpany po jakiejś imprezie, ale on w końcu mrugnął do niej znacząco. Zrobił to, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Szybko odwróciła wzrok, lecz i tak nie uniknęła karcącego i krytycznego spojrzenia Jennifer. Zarząd firmy celebrował właśnie spotkanie w celu omówienia najskuteczniejszych sposobów wypromowania najlepszych talentów. Dyrektorzy mieli jakiś tajemniczy pomysł i dlatego zaprosili Tommy'ego wraz z jego agentem, a także najbogatszego producenta oraz najpopularniejszego reżysera w stratosferze. Alice protokołowała zebranie.

- Jest to tak wspaniały pomysł, że dostają gęziej skórki - oświadczył dyrektor z długimi włosami zebranymi w ogonek, który rozmawiał z Alice przed przyjęciem jej do pracy, lecz najwidoczniej zdążył już o tym zapomnieć i teraz w ogóle jej nie poznał.

- Mój klient jest bardzo zadowolony, że zaprosiliście go na to spotkanie, ale sądzę, że musimy pomyśleć o podwojeniu jego gaży - odezwał się agent Tommy'ego.

Z doświadczenia wiedział, że Tommy nigdy nie zabiera głosu podczas negocjacji.

- Notujesz to wszystko, Alice? - Jennifer odwróciła się do Alice.

Alice, która właśnie zajęła się ogryzaniem paznokci, skinęła głową i resztką ołówka pośpiesznie nabazgrała coś na kartce. Od samego rana zastanawiała się, jak to możliwe, że Tash, osoba bardzo inteligentna i obdarzona wielką intuicją, nie zauważyła, iż mężczyzna, z którym sypia, ma na palcu opalanej dłoni jasny pasek po obrączce.

- O kwotach porozmawiamy później. W tej chwili chciałbym się upewnić, czy wszyscy uczestnicy naszej dyskusji zgadzają się zachować dyskrecję na czas negocjacji, aby pod żadnym pozorem nie zwrócić uwagi przedstawicieli mediów na omawiany tu projekt...

Alice zdekoncentrowała się w połowie pierwszego zdania i teraz starała się odgadnąć, co mógł powiedzieć dyrektor z ogonkiem. Dzięki Bogu, zawsze mogła zapisać na kartce punkt „Inne kwestie”, zresztą spotkanie szczęśliwie dobiegało już chyba końca.

Kiedy wychodzili z sali, Alice została z tyłu. Strzepnęła kawałki farby ze spódniczki i popadła w zamyślenie. Ciekawe, czy Jennifer zauważy, że protokół ze spotkania nigdy nie pojawi się na jej biurku...

- Alice, chodź tu na sekundę. - Tommy nagle chwycił ją za łokieć i wciągnął do mniejszej sali konferencyjnej. - Masz trochę czasu?

- Ja... Muszę przepisać protokół i... - Alice była odrobinę zdenerwowana, ponieważ Tommy nadal wpatrywał się w nią ze skupieniem.

Żeby tylko Jennifer nie pomyślała, że ona spoufała się z klientami...

- Nie zajmę ci dużo czasu. Proszę cię, Alice, naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Tommy był bardziej niż kiedykolwiek przedtem podobny do członka rodziny Adamsów. Śmiesznie droga koszula wisiała na nim jak na strachu na wróble, co tylko potwierdzało podejrzenia Alice, iż Tommy od kilku dni prawie nic nie jadł. Natychmiast zmiękła.



- Zaczekaj chwilę, zaraz wrócę.

Pobiegła do siebie, rzuciła notatki na biurko i wyjęła z torby plastikowe pudełko.

- Proszę bardzo. - Położyła na wieczku pudełka dwa kawałki piernika. Ostatnio prawie w ogóle nie jadała ciasta, a teraz, gdy raz na zawsze przegoniła ducha Jamiego, nawet nie miała na nie ochoty. - O co chodzi?

Oboje usiedli na brzegu dużego stołu. Tommy bawił się paskiem od zegarka.

- Widzisz, Alice, przez kilka ostatnich dni dużo myślałem.

Ułamała mały kawałek ciasta i wepchnęła go sobie do ust. Zanosiło się na dłuższą sesję. Skinęła głową, sygnalizując, że chłonie każde słowo.

- Nie da się ukryć, że stałaś się kimś w rodzaju mojej mentorki. - Tommy podejrzliwie spojrzął na ciasto. - Bardzo przejąłem się tym, co powiedziałaś o hobby i tak dalej... To było coś, słowo daję...

- Poczęstuj się. - Podsunęła Tommy'emu piernik.

Wziął kawałek i zaczął się nim bawić.

- Tak czy inaczej, uważam, że miałaś rację. Ograniczyłem alkohol i nie tknąłem narkotyków od... - Zerknął na zegarek i uśmiechnął się z dumą. - Od trzydziestu sześciu godzin.

- Wspaniale, Tommy! Naprawdę cudownie! - Alice przełknęła ciasto i poklepała aktora po ramieniu. - Czy hobby też sobie znalazłeś?

- Można to tak określić, chociaż może powiesz, że to coś dla mięczaków.

- Nie, skądże znowu! Zbierałam kiedyś znaczki, wyobrazasz sobie? To jest dopiero hobby dla mięczaków! - Alice zaśmiała się zachęcająco, widząc, że Tommy zaczyna nerwowo skubać swoje włosy. - Och, Tommy, nie rób tego, przecież to musi strasznie boleć... - Chwyciła go za rękę i przytrzymała.

- Zacząłem chodzić do kościoła. - Tommy patrzył na nią z takim blaskiem w oczach, z taką nadzieją, że nie ulegało wątpliwości, iż mówi poważnie.

Masz ci los! Alice, która do tej pory czerpała pewną satys-

fakcję z roli duchowej mistrzyni Tommy'ego, nagle oczyma wyobraźni ujrzała, jak jej praca, pensja oraz perspektywa zakupu samochodu i mieszkania znikają w gęstej mgle. Gdyby kiedykolwiek się wydało, że zachęciła Tommy'ego do szukania Boga, skreślono by ją raz na zawsze. A ci wszyscy nawiedzeni po prostu nie potrafią trzymać buzi na kłódkę... Alice już widziała te' tytuły na pierwszych stronach brukowców: „Dzień, w którym ujrzałem Światło - jedyny i niepowtarzalny wywiad z byłym aktorem Tommym Kelly, obecnie świeżo nominowanym biskupem Beverly Hills”...

Zadrzała i lekko pogłaskała Tommy'ego po dłoń.

- Doskonale, Tommy. Bardzo się cieszę, ale czy mogę ci coś poradzić?

Tommy z zachwytem skinał głową.

- Zachowajmy to na razie w tajemnicy, bo przecież w końcu sprawa dotyczy ciebie i Boga, prawda? Powinieneś poznać Go trochę lepiej, zanim rozgłosisz to światu. - Miała nadzieję, że Bóg wybaczy jej, iż pozbawiła go tak sławnego nawróceńca.

- Tak jak wtedy, kiedy chodziłem z Sandrą Bullock?

- Właśnie. - Uśmiechnęła się mądrze i odetchnęła z ulgą.

Dopiero gdy sięgnęła po plastikowe pudełko i wstała, aby wrócić do siebie, spostrzegła Jennifer, która stała w progu i przyglądała się jej bardzo uważnie.

Izzy włożyła boksyerskie rękawice i zaczęła z całej siły walić w worek treningowy.

- Raz, dwa, hak, sierpowy! - dyszała, sprężyście podskakując na lekko ugiętych kolanach.

Paddy siedział na ławce w pobliżu i obserwował, jak długie mięśnie jej ud napinają się i rozluźniają. Izzy miała naprawdę wspaniałe nogi, lecz w tej chwili Patrick postrzegał je tak, jak fotograf-homoseksualista postrzega ciało supermodelki. Widzi i docenia jego urodę, lecz podziw ten jest uczuciem platonicznym. Paddy marzył teraz tylko o jednej kobiecie, inne właściwie go nie interesowały.

Izzy schyliła się i chwyciła skakankę.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, skąd pochodzą twoi rodzice - odezwała się.

Okręciła sznur wokół przegubów dłoni i spojrzała na Paddy'ego, który zgodził się towarzyszyć jej do „Boxercise” w siłowni na Main Street wyłącznie dlatego, żeby nie tracić z oka domu Alice, no i może ud Izzy.

- Przecież wiesz, że są Irlandczykami - odrzekł. - Mama i tata przez większą część roku mieszkają w Dublinie, ale mają też dom w Cork.

- Jesteś podobny do taty? - Izzy okazywała niespotykane zainteresowanie życiem Paddy'ego, nie jego ciałem.

- Właściwie to nie wiem... Chyba raczej do mamy. Tata ma rude włosy, które odziedziczyły po nim moje siostry. - Podniósł z podłogi bokserską rękawicę i zaczął skubać przetartą czerwoną skórę. Ani śladu Alice, zresztą stąd nie miał nawet widoku na Main Street. - Skończyłaś już? - zapytał.

- Tak, muszę tylko wziąć prysznic. Więc w gruncie rzeczy nie można wykluczyć, że twoim ojcem był kto inny, prawda? Twoja matka jest piękna, co? - Izzy przechyliła głowę na bok i bacznie przypatrywała się Patrickowi, usiłując dostrzec, czy ma typowe dla Kennedych opadające powieki.

- Teraz nie jest już najmłodsza, ale kiedyś była pięknocią, to prawda. - Nie miał zielonego pojęcia, co Izzy chodzi po głowie, lecz uznał, że im prędzej ucieknie, tym lepiej. Chyba jej szare komórki nie doznały trwałego uszkodzenia po jednym treningu bokserskim, ale z drugiej strony, kto wie... - Idź wziąć prysznic, dobrze? Za dziesięć minut czekam na ciebie przed siłownią.

Patrick prawie wepchnął ją do kabiny prysznicowej, ale jej wcale to nie przeszkadzało. Teraz była już prawie pewna, kim był jego prawdziwy ojciec, więc mógł popychać ją, ile dusza zapagnie. Wiedziała, dlaczego podoba się Paddy'emu - w końcu jego ojciec też miał słabość do jasnowłosych aktorek... Nie da się uciec przed genami. Wzięła prysznic, nucała i ćwiczyła mięśnie miednicy. Postanowiła, że dziś w nocy przejdzie w łóżku samą siebie.

W tym samym czasie Paddy tkwił w recepcji siłowni

i usiłował znaleźć piszący długopis. Po wielu nieudanych próbach wybrał sprawne narzędzie do pisania od instruktora techniki Pilates, który właśnie demonstrował marny stan mięśni klatek piersiowych swoich podopiecznych, polecając im przytrzymać ołówek pod biustem. Paddy urwał połowę kartki z grafikami zajęć aerobikowych i zapisał parę słów na odwrocie. Następnie oddał długopis opiekunowi zwracających się teraz w kierunku południowym biustów i pędem pognął w górę ulicy, gdzie mieszkała Alice. Był środek dnia, więc spodziewał się, że obie dziewczyny tkwią za swoimi biurkami/kamerami. Zerknął na podjazd, żeby sprawdzić, czy nie ma tam samochodu i przeskoczył przez mur. Tym razem przecisnął się przez bardzo wąskie przejście prowadzące do ogrodu na tyłach domu i w efekcie podrapał sobie łokieć o cegły.

- Jezus, Maria, Józef... - wymamrotał, kiedy o mały włos nie zaklinował się obok rynny. - Co ja wyprawiam...

Dokładnie w tym momencie przypomniał sobie piegi Alice i śmiech, jakim reagowała na jego dowcipy. Odetchnął głęboko i ruszył w stronę nowego ogrodu różanego Tash. Umocował kartę na kolcu szczególnie pięknego krzewu, pocałował go na szczęście i pocałował z powrotem do Izzy, która przyglądała się swoim odrostom w lusterku, nie zdradzając ani odrobiny zniecierpliwienia.

Tash wróciła do domu z pracy i z rozmachem rzuciła torbę na kanapę.

- Z trudem chodzę - jęknęła z satysfakcją. - Reżyser zdjęć jest wspianiałym kochankiem, słowo daję...

Osunęła się na fotel i uśmiechnęła w sposób typowy dla wczesnej fazy zakochania.

- Jest bardzo przystojny - powiedziała Alice, zastanawiając się, jak by tu sprowadzić rozmowę na temat żonatych mężczyzn.

Tash była zdumiona, że Alice nie okazuje żadnego zdenerwowania randką w restauracji UOrangerie. Ona pierwszy raz poszła tam na randkę w ciemno z radcą prawnym przedstawicieli establishmentu rozrywkowego i parę godzin wcześniej

przeprowadziła dokładną depilację woskiem całego **ciała**, a następnie namaściła je kilkoma balsamami jednocześnie, tymczasem Alice spokojnie siedziała przed telewizorem, w którym leciał talk-show Oprah Winfrey, i lizała loda w wafelku.

- Kochanie, nie chcę cię poganiać, ale czy nie powinnaś zacząć się szykować? - zapytała.

Tash miała wyrzuty sumienia, ponieważ w ostatnich dniach wyraźnie zaniedbała przyjaciółkę z powodu swego ukochanego.

- Za chwilę wezmę prysznic - odparła Alice, przeżuając wafłowy rozek. - Charlie przyjedzie dopiero o ósmej.

- Cieszę się, że nie jesteś spięta przed randką z Charliem. Jego nowym klientem został Mel Gibson, wiesz? Musimy koniecznie zaprosić Charliego na kolację...

Oczywiście, Alice nie miała pojęcia, kim są starzy i nowi klienci Charliego, i prawdę mówiąc, nie była tym specjalnie zainteresowana. Niewykluczone, że Charlie wspominał jej o Melu Gibsonie, ale najwyraźniej zrobił to w chwili, gdy była pochłonięta myślami o mężczyznach, z którymi miała problemy - o Jamiem, Tommym oraz tajemniczym wielbiciele. Teraz mogła dopisać do tej listy Paddy'ego, postanowiła jednak zacząć z wnioskami dotyczącymi tego ostatniego do zakończenia sprawy z Charliem. Tak czy inaczej, ostatnio jakoś częściej spacerowała po Main Street... Wystarczyło, żeby Tash kichnęła i Alice już wybiegała z domu pod pretekstem dokonania zakupu większej ilości chusteczek higienicznych i żółtych cukierków na kaszel. A kiedy już znalazła się na Main Street, nieodmiennie kierowała się ku barowi z omletami, żeby przez okno popatrzeć sobie na stolik, przy którym niedawno siedziała z Paddym. Niestety, nie miała żadnego pomysłu, w jaki sposób znowu spotkać się z Paddym. Myślała o tym, jak uciekła, prawie się z nim nie żegnając, zastanawiała się, co mogło się wydarzyć, gdyby zachowała się inaczej, żałowała własnej głupoty i musiała głośno śpiewać, żeby zagłuszyć te uczucia.

Tash weszła do łazienki i nie ulegało wątpliwości, że **nie** opuści jej przez następną godzinę, ponieważ wieczorem

miał wpaść reżyser zdjęć. Alice doszła do wniosku, że nieuniknioną rozmowę o stanie cywilnym ukochanego Tash musi odłożyć na następny dzień. Przy okazji wyzna jej, że rzuciła Charliego.

- A, zapomniałam ci powiedzieć, że Izzy zaprosiła nas na jutro na kolację. - Tash uderzyła się w czoło otwartą dłonią. - Możesz pójść?

- Jasne. Jesteś pewna, że mnie też zaprosiła? - Alice nie bardzo umiała sobie wyobrazić, dlaczego przerażająca Izzy miałyby to zrobić.

Może dla rozrywki? Żeby się z nią podrażnić? Było absolutnie oczywiste, że Izzy nienawidzi Alice. Od pierwszej chwili uznała ją za smętną angielską sztywniaczkę, która nie umie i nie jest w stanie przyciągać męskich spojrzeń. I chyba miała rację...

Charlie zjawił się punktualnie o ósmej. Ciekawe, czy wszyscy sadomasochiści są tak porządni i dobrze zorganizowani... Prawdopodobnie tak, bo przecież wystarczy jedna wpadka, jeden błąd i obiekt pożądania znika we mgle. Alice żałowała, że trochę się spóźnił, ponieważ nie zdążyła wykonać całej serii ćwiczeń mięśni twarzy.

- Jesteśmy gotowi? - zapytały zęby Charliego.

- Oczywiście - odparła, biorąc do ręki torebkę i usiłując strząsnąć z pupy dłoń Charliego.

Mój Boże, już się zaczyna...

- Charlie, jest coś, o co chciałam cię zapytać. - Obdarzyła go słodkim uśmiechem, którego on w ogóle nie zauważył, gdyż właśnie z przejściem przyglądał brwi, patrząc w lusterko nad kierownicą.

Podejrzewała, że Charlie żeluje brwi wazeliną, ale nie mogła wykluczyć, iż ich połysk i śliska gładkość są bezpośrednią pochodną określonych cech jego charakteru.

- Wal śmiało - powiedział, nie odrywając wzroku od swego odbicia.

Alice nie zdołała pokonać straszliwej pokusy - wywaliła język i pomachała dłońmi, wetknąwszy sobie kciuki do uszu. Mężczyzna w ferrari, które zatrzymało się tuż obok nich na

światłach, ze zdumienia o mało nie wypuścił telefonu komórkowego z ręki, natomiast Charlie niczego nie zauważył. Charlie w ogóle nie był zbyt bystry, co tu dużo mówić.

- Wiesz, nigdy nie byłam w barze Havana Club - rzekła, utrzymując się w nurcie cukierkowej słodyczy. - Podobno to świetne miejsce na przedkonsumpcyjne przyjemności...

Aliteracja z literą „p”, to powinno wzbudzić jego zainteresowanie. Niestety, nic z tego. Zaskoczony spojrzął na nią niepewnie.

- Przed... Przed co?

Boże, Boże, skąd przyszło jej do głowy, żeby popisywać się przed nim bogactwem słownictwa?

- Przedkonsumpcyjne, no wiesz, przed posiłkiem...

Nie słuchał, więc zdecydowała się zaatakować wprost.

- Zabierz mnie do Havana Club, Charlie.

Proszę bardzo, odebrał wiadomość i, co ważniejsze, zrozumiał, w czym rzecz. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Jasne, skarbie. Trzeba było wcześniej mi powiedzieć, że masz ochotę szybciotko possać coś o falicznym kształcie.

Miała wielką ochotę znowu wywalić język, ale Charlie nadal na nią patrzył. Zaczął też kręcić kierownicą w przeciwnym kierunku, co chyba oznaczało, że teraz pojedą do Havana Club, gdzie Alice zamierzała zrealizować pierwszy punkt planu.

Chłopak z hotelowej obsługi wskoczył do samochodu, a Alice znowu zapomniała wysiąść. Odwróciła się i rzuciła mu uśmiech, lecz on wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby miał przed sobą talerz siekanej wątróbki.

- Cześć - powiedziała z uśmiechem.

Żadnej zmiany wyrazu twarzy, nadal wątróbka. Na szczęście w tej chwili Charlie otworzył drzwi od jej strony i dopiero teraz uświadomiła sobie, że powinna znaleźć się na chodniku.

- Już, już. - Roześmiała się, nie zwracając uwagi na bynajmniej nierozbawionego młodzieńca.

Wysiadła i pozwoliła zaprowadzić się do baru. Rozejrzała się dookoła z demonstracyjnym podziwem. Trinny zdradziła

jej kiedyś, że nic nie pochlebia mężczyźnie bardziej niż manifestacja zachwytu wobec jego klubu lub penisa.

- OCH, JAK TU PIĘKNIE! - wyrecytowała starannie, żeby Charlie właściwie zrozumiał każde jej słowo.

Potem odwróciła się w jedną i drugą stronę, gapiąc się na lśniący sufit i odzianą w równie błyszczące stroje klientelę.

- To nie jest Havana Club - oświadczył Charlie, z zaskakującą jak na niego szybkością ujął Alice za łokieć i lekko popchnął do windy.

Windziarz potrząsnął dłonią Charliego i drugiego mężczyzny, który razem z żoną wszedł z nimi do kabiny. Naturalnie, ani mu było w głowie przywitać się z Alice czy żoną tamtego, na kobiety nawet nie spojrzął. Alice miała ochotę boleśnie kopnąć go w kostkę, ale Charlie wyprowadził ją z windy, zanim zdążyła rozważyć konsekwencje takiego czynu.

Sala baru pełna była twarzy, wśród których nie dostrzegła ani jednej kobiecej. Para podróżująca z nimi windą najwyraźniej udała się wyżej, do jakiegoś przyjemniejszego lokalu. Powietrze w Havana Club przesiąknięte było dymem z papierosów. W kącie znajdował się mały sklepik z wszelkiego rodzaju wyrobami tytoniowymi. O Boże, dobrowolnie wlażłam do jaskini frustratów, którzy rekompensują sobie własne niedostatki seksualne wielkimi cygarami, pomyślała. Przy stoliku po prawej stronie siedział Arnold Schwarzenegger z pękatym cygarem w ustach. No, jeżeli to miejsce nie natchnie ją wystarczającą porcją nienawiści do Charliego, aby doprowadzić plan do końca, to nic tego nie dokona. Charlie podprowadził ją do dużej sofy, na której już siedziało kilku amatorów cygar w szarych garniturach, z wąsami i wyrazem totalnego znudzenia na twarzach. Wszyscy oni z całkowitą obojętnością zmierzili wzrokiem biust Alice.

- Mogę państwu coś podać? - Jak spod ziemi wyrosła przy nich młoda kobieta, oczywiście w roli służebnej.

Tu kobiety mogły być wyłącznie kelnerkami i pomywaczkami, jakżeby inaczej... Jamie umarłoby z zachwytu nad tym miejscem, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Oto było idealne miejsce pochówku ducha największego i najbardziej



zażartego wroga kobiet, jakiego znała. No, dobrze, pomyślała, biorąc głęboki oddech i przywołując z pamięci widok obrośniętych futerkiem wdzięków Charliego, skoro zdecydowałam się to zrobić, powinnam doprowadzić rzecz do końca. Aby zrealizować plan, potrzebna jej była tylko duża szklanka słynnego koktajlu z zielonej trawy, ale była pewna, że whisky spełni rolę równie dobrze i skutecznie.

- Poproszę jacka danielsa. - Uśmiechnęła się czarująco. - Bez lodu.

Mężczyźni spojrzeli na nią z czymś, co u istot ludzkich na ogół uważało się za zdumienie, lecz u androidów mogło oznaczać cokolwiek.

- Kochany, czy mógłbyś zafundować mi duże, tłuste cygaro, żebym miała więcej siły na później? - zapytała.

Rola, w którą tak gładko weszła, zaczęła jej się nawet podobać. Odpięła najwyższy guzik bluzki i mrugnęła do Charliego. Mężczyźni kopcili cygara, wypuszczając kłęby dymu, zupełnie jak Tomcio Lokomotywka z filmów dla dzieci. Cóż, chyba minęłam się z powołaniem, pomyślała. W doskonałym nastroju założyła nogę na nogę, a la Sharon Stone, ukazując co prawda nie dokładnie to, co chcieliby zobaczyć, ale zawsze coś, czyli całkiem przyjemne majtki z czarnej koronki. Nawet najbardziej znudzona życiem pani domu z głębokiej amerykańskiej prowincji na pewno nie grałaby uwodzicielki z większą radością i satysfakcją...

Tymczasem Charlie salwował się ucieczką w kierunku sklepiu tytoniowego. Och, to naprawdę zabawne, pomyślała, wstając. Zobaczmy, co się tam dzieje. Lekkim krokiem przeszła obok Arniego, zatrzymała się przy ladzie i wbiła sztuczny paznokiec w pośladek Charliego, który podskoczył na pół metra w górę, o mały włos nie wytrącając cygara Monte Cristo z ręki stojącego obok mężczyzny.

- Ostrożnie, skarbie - powiedziała, z uśmiechem ciasno przywierając do boku Charliego. - Pokaż mi, co tu mają...

Charlie uznał chyba, że ktoś za pomocą magii zmienił Alice, dziewczynę w stylu słodkiej Julie Andrews, w Lucinę Lovelace czy inną gwiazdę filmów porno, i jękając się z eks-

cytacji, zaczął wymieniać nazwy wystawionych cygar. Alice otwierała jedną szufladkę po drugiej, wachała cygara i odrzucała kolejne propozycje.

- Chce. spróbować najmocniejszego, najbardziej aromatycznego tytoniu - zwróciła się do sprzedawcy i obdarzyła go zalotnym uśmiechem.

Mężczyzna wyjął cygaro wielkości batonika Mars i podał je, ale nie Alice, lecz Charliemu.

- Mam nadzieję, że pani będzie zadowolona - rzekł z powagą.

Alice chciała zaszutować i trzasnąć obcasami, lecz właśnie w tej chwili dostrzegła trzycyfrową cenę na etykiecie cygara. Cholera jasna! Tyle pieniędzy za parę żdziebełek wysuszonej słońcem rośliny! Miała tę uwagę na końcu języka, ale powstrzymała się i udała, że nie widzi zielonych banknotów, które Charlie wymienił na cygaro dla niej. Jestem kosztowną dziewczyną, pomyślała z zadowoleniem. I dobrze, najwyższy czas zacząć nowe życie. Przez wiele lat zamawiałam najtańsze pizze z każdego menu, lecz teraz zamierzam wybierać te z czterema gatunkami serów i anchois. I będę się tym cieszyć.

Kiedy wróciła na sofę, wszyscy mężczyźni rzucili się, aby podać jej ogień. Krew panów ogrzała się do temperatury pokojowej, ponieważ zdali sobie sprawę, że mają do czynienia z kobietą, którą mogą zrozumieć. Nie z żywą, oddychającą i myślącą istotą, lecz z karykaturą z filmów, które sami produkowali. Ciekawe, do jakiego stopnia można być łatwowiernym, zastanawiała się, wsuwając dłoń między uda Charliego i patrząc, jak wszyscy faceci zaczynają się nerwowo kręcić. Plan był prosty, ale powinna przyłożyć się do jego wykonania, inaczej będzie musiała później sprostować seksualnym oczekiwaniom Charliego. Myśl o futerku Charliego, Alice, przykazała sobie surowo, wychylając następną szklaneczkę jacka danielsa i dławiąc się dymem.

- To nie jest skręt, skarbie, nie zaciągaj się - powiedział jeden z manekinów, pochylając się z uśmiechem wskazującym, że oto obudził się w nim duch dowcipu na miarę Oscara Wilde'a.

Alice dmuchnęła mu chmurą błękitnego dymu prosto w twarz, a on cofnął się, wyraźnie zaskoczony, i zakasłał. Widziała, jak policzki pozostałych nadymają się z podziwu. Zastanawiali się teraz, kim jest ta dziewczyna z klasą i jajami.

Na szczęście żołądek Alice przystąpił do akcji. Mieszanka dymu z cygara oraz oparów whisky kołysała nią jak wysoka fala podczas przeprawy promem przez kanał. Musiała się pośpieszyć, ponieważ Charlie już drugi raz zerkał na zegarek. Lada chwila powie, że powinni się zbierać. Zdawała sobie sprawę, że po dotarciu do UOrangerie będzie ugotowana. W uszach dzwoniły jej instrukcje Lysette - musi dokonać dzieła w Havana Club, nigdzie indziej. Zauważyła leżące na stoliku menu i sięgnęła po nie.

- Poproszę deser „Czekoladowa ekstaza” - zamówiła to-nem dziewczyny gangstera, podświadomie rozciągając sylaby.

Cygara miały w sobie coś, co sprawiało, że odbywała w wyobraźni wyprawę do świata barów z okresu prohibicji i Ala Capone.

- Nie mogłam oprzeć się pokusie, kochanie - powiedziała do Charliego, widząc wyraz irytacji, który przemknął po jego twarzy.

Grupa manekinów już miała zaproponować Alice rolę w filmie, gdy w polu widzenia pojawił się czekoladowy biszkopt z czekoladowym kremem. Potem ogromny deser zaczął na ich oczach znikać w ustach tej niezwykłej kobiety, która nie tylko paliła i piła jak marynarz, ale także jadła jak smok, co stawiało ją w całkowitym przeciwieństwie do innych znanych im istot płci żeńskiej. Po paru chwilach, licząc od pochłonięcia monstrualnej porcji czekolady, Alice wyrzygała wszystko, co do grama, i to w spektakularny sposób. Whisky i deser prosto na zaprojektowany przez Armaniego garnitur Charliego. Mało brakowało, a byłaby wpadła, gdyż z najwyższym trudem stłumiła wybuch śmiechu. Alkohol pozbawił ją wszelkiej nieśmiałości, poza tym była z siebie bardzo zadowolona, ponieważ wszystko poszło zgodnie z planem. *Arrivederci*, UOrangerie. *Au revoir*, Charles. Żegnaj, żegnaj...

Spodziewała się, że rozjuszony do nieprzytomności Charlie

wepchnie ją do taksówki, wyprawi do Santa Monica, wyczyści garnitur od Armaniego i natychmiast wyrzuci ją z serca oraz pamięci, lecz nic takiego się nie stało. W tym miejscu plan zawiódł, co było nieco dziwne. Charlie z zimną krwią zniósł oskarżycielskie spojrzenia kelnerki i windziarza, wytarł marynarkę wilgotną ściereczką, umieścił Alice w samochodzie, zawiózł na Fourth Street i tam oddał w troskliwe ręce Tash. Wprawdzie nie wyraził gotowości czuwania przy wezglówiu Alice i ocierania jej gorącego czoła do godzin rannych, ale jednak zachował się jak wysokogatunkowy dżentelmen, całkowicie zbijając Alice z tropu. Myślała, że uda jej się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, to znaczy pozbyć się Charliego i paru kilogramów, lecz tu czekał ją zawód.

Najbardziej przykry był jednak widok Tash, która miała oczy czerwone jak królik i kuliła się na kanapie, otulona miękkim szlafrokiem. W obecności Charliego ze wszystkich sił usiłowała zachowywać się normalnie, lecz kiedy zamknęła za nim drzwi, od razu zaczęła płakać.

- Stało się coś strasznego, Alice! - wyszlochała, kryjąc twarz w kupce pogniecionych i wyraźnie zużytych chusteczek higienicznych. - On jest żonaty!

Alice w napięciu czekała na resztę strasznej wiadomości, ale nic więcej nie nastąpiło. O, mój Boże, Tash naprawdę nie wiedziała... Alice była już zupełnie trzeźwa i pozbierana, ponieważ Charlie wiózł ją samochodem z opuszczonym dachem i cały alkohol szybko wywietrzył jej z głowy. Wyjęła świeżą chusteczkę z pudełka i wymieniła ją na używaną, którą Tash rozpaczliwie ścisnęła w dłoni.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że o tym nie wiedziałaś? - zapytała niepewnie.

Nowa fala szlochów i gwałtowne kręcenie głową.

- Wyznał ci to dzisiaj wieczorem? - Alice otarła łzy z policzków Tash i nagle poczuła się tak, jakby miała co najmniej sto lat.

Jak to się właściwie stało, że przestała opowiadać innym o swoich problemach, za to zaczęła wysłuchiwać zwierzeń przyjaciół i znajomych, i usiłowała je rozwiązywać?

- Jego żona przyjechała po niego na plan... -jęknęła Tash i znowu zalała się łzami. - Z dziećmi!

Tash płakała rozpaczliwie, ramiona dygotały jej jak w ataku febry.

- Och, kochanie, tak mi przykro... - Alice objęła Tash i przytuliła ją do siebie.

- W dodatku ten cholerny zboczeniec znowu tu był... - wykrztusiła Tash. - I podeptał moje róże. Lepiej sprawdź, czy nie ściągnął twojego biustonosza albo majtek...

scandalous

## Rozdział 20

Tash odmówiła pójścia na kolację u Izzy i ogłosiła dzień żałoby osobistej. Rano pojechała na plan błada z wściekłości, a tuż przed wyjściem z domu włożyła najbardziej prowokacyjne majtki ze swojej kolekcji. Alice czuła, że reżyser zdjęć wkrótce gorzko pożałuje, iż jest żonaty. Nie ulegało wątpliwości, że Tash nałożyła na powieki odpowiedni krem, ponieważ gdy wychodziła, pod jej oczami nie było śladu zaczerwienienia, na które zwykle przy takich okazjach cierpiała Alice.

- Zaproś kogoś na moje miejsce! - krzyknęła już sprzed domu. - I jeżeli masz ochotę, to zajrzyj do śmietnika - wrzuciłam tam kolejny list od twojego obrzydliwego zbrojeńca.

Z jakiegoś powodu, którym najprawdopodobniej był brak własnego mężczyzny, Alice o mało nic podskoczyła radośnie na tę wieść. Potem schyliła się i dłuższą chwilę grzebała wśród zużytych wacików kosmetycznych i higienicznych chusteczek. Niestety, kartka z listem do niej do złudzenia przypominała zgniecioną chusteczkę, więc poszukiwania nie były łatwe. Wreszcie jednak znalazła ją, rozprostowała, wygładziła i położyła na blacie w kuchni.

„Alicjo! Wsuń łagodną dłońią  
Dziewicinną tę bajeczkę  
Tam, gdzie Dzieciństwa sny związałaś:  
Pod Pamięci wstążeczkę.

Jak pielgrzym niesie z obcych krain  
Zwiędłych kwiatów wiązeczkę"\*.

Alice lekko zmarszczyła brwi. Natychmiast rozpoznała fragment wiersza, pochodzącego z *Alicji w Krainie Czarów*. Doskonale znała tę książkę, ponieważ czytali ją jej wszyscy, od dziadków po nianie, i to wielokrotnie. *Alicja w Krainie Czarów* należała do obowiązkowych lektur okresu dzieciństwa. Ale dlaczego cytował ją tajemniczy wielbiciel? Przeczytała fragment jeszcze raz. Przyszło jej do głowy, że właściwie jest to smutne przesłanie od kogoś, kto jakoby stara się ją uwieść. Może miało oznaczać, że powinna zapomnieć o całej tej historii i przestać się nad nią zastanawiać? Typowe, pomyślała z żalem. Jedyiny namiętny, tajemniczy wielbiciel w moim życiu postanowił zrezygnować z dalszej walki.

Alice nie mogła wiedzieć, że chociaż Paddy kilka sezonów wcześniej wystawił *Alicję w Krainie Czarów* w londyńskim teatrze „Barbican”, zapisany na kartce fragment był jedynym, jaki zdołał sobie przypomnieć w ciągu piętnastu sekund, podczas których musiał skomponować list i napisać go jeszcze ciepłym długopisem w siłowni na Main Street. Podbiegła do wychodzącego na ogród okna i wyjrzała, z nadzieją, że uda jej się przyłapać tajemniczego wielbiciela na kolejnym gorącym uczynku. Dlaczego tylko Tash ma takie cholerne szczęście? Facet był wielbicielem Alice, lecz ona nigdy go nie widziała. Cholera jasna, na pewno spóźni się do pracy! Chwyliła torbę i wypadła z domu, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Na szczęście Alice nie miała czasu na rozważania dotyczące prześladowającego ją pecha w życiu uczuciowym. Do przerwy na lunch musiała wykończyć dwa projekty, a po południu spotkać się z Jennifer oraz Tommym. Biegała po biurze, machając rękami i wydając ciche jęki. Nie znalazła nawet chwili, by opowiedzieć Lysette, jak przebiegł ostatni wieczór. Właściwie tyl-

\* *Przygody Alicji w Krainie Czarów*, Hubert, Warszawa 2001, przekład Macieja Słomczyńskiego.

ko od czasu do czasu przypominała sobie o istnieniu Charliego. W odpowiedzi na pytające spojrzenia Lysette i gesty naśladujące odruch wymiotny zdołała tylko podnieść oba kciuki w górę, sygnalizując pełne powodzenie akcji. Tak jest, wszystko ułożyło się zgodnie z planem, co do joty. Lysette uśmiechnęła się i wróciła do własnych zajęć.

- Jesteśmy więc co do tego całkowicie zgodni, prawda? Dzięki Alice mamy prawie dokładnie opracowany pozaekranowy wizerunek Tommy'ego. - Jennifer zerknęła znacząco na Alice, która udała, że tego nie widzi. - Musimy tylko mądrze wybrać kilka następnych filmów, w których wystąpi Tommy, i ponownie wypromować go na rynku europejskim. Oczywiście wszystkie te plany zależą od tego, czy uda nam się utrzymać Tommy'ego z dala od dziennikarzy, ponieważ zbytne wyeksponowanie jego postaci na tym etapie unicestwiłoby nasze nadzieje związane z drugim projektem, być może najważniejszym w dotychczasowej karierze Tommy'ego.

Alice westchnęła głośno. Zamknięcie buzi Tommy'emu było najlepszym pomysłem, z jakim tego ranka wystąpiła Jennifer. Tommy powinien milczeć przynajmniej do chwili, kiedy Alice porozmawia z nim o pozytywnych stronach ateizmu. Szefowie agencji zgodnie pokiwali głowami, wyrażając pełną akceptację dla planu Jennifer i pracownicy zapisali ostatnie szczegóły. Tommy Kelly był ich klejnotem koronnym, więc wszyscy bardzo się o niego troszczyli.

- Alice, nie mieliśmy pojęcia, że odegrałaś tak dużą rolę w opracowywaniu tych planów - odezwał się jeden z szefów. - Chętnie poznałbym twój punkt widzenia w kwestii dalszego rozwoju kariery Tommy'ego...

Alice rozejrzała się w panice, ponieważ jej punkt widzenia nie był zbyt jasno sprecyzowany. W brzuchu jej burczało, zupełnie jakby zamknęła tam jakieś rozwścieczone zwierzę i prawie zaczynała żałować, że nie wybrała się z Charliem do L'Orangerie, zwłaszcza że podawano tam podobno niezrównaną *foie gras*. Postukała ołówkiem o blat stołu, usiłując zagłuszyć burczenie w brzuchu i przywołać wizerunek energicznej, bystrej Alice.



- Wydaje mi się, że dobrym wyborem byłyby niezły dramat kostiumowy - powiedziała i natychmiast tego pożałowała.

Zdała sobie sprawę, że Tommy mógłby zagrać jedynie ponurego ducha w *Wyznaniach angielskiego entuzjasty opium* lub innym kostiumowym filmie o podobnej tematyce. Gdyby ustawić go pod światło, słońce przebiłoby się przez niego równie łatwo jak przez folię. Tommy w najmniejszym stopniu nie przypominał seksownie nadąsanego i tryskającego zdrowiem oraz energią młodego człowieka, którego zdjęcie zdobiło okładkę pakietu przygotowywanego na użytek środków masowego przekazu. Było już jednak za późno na wycofanie się z rzuconego pomysłu, chociaż Alice zrobiło się słabo na myśl o chudym jak szczapa Tommym w welwetowych pantalonach.

- Ależ to naprawdę genialny projekt! - Wiceprezes agencji wyraźnie się zachwyił.

Inne głosy natychmiast mu przytaknęły. Wspaniale! Fantastyczny pomysł! Jennifer zdobyła się na niechętny uśmiech. Przed pojawieniem się Alice sama pełniła obowiązki rzeczniczka Tommy'ego. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ta Angielka będzie w stanie cokolwiek wymyślić, tymczasem sprytna dziewczyna zwyczajnie ukradła jej sprzed nosa najlepszego klienta i prawdopodobnie poszła z nim do łóżka...

Alice poczerwieniała. W pełnym podziwu chórze zabrakło tylko jednego głosu i teraz wszyscy odwrócili się w stronę Tommy'ego, żeby sprawdzić jego reakcję. Gdyby z oburzeniem wałnął pięścią w stół, Alice w ciągu sekundy przestałaby być ósmym cudem świata.

- Tak, chyba mógłbym spróbować czegoś takiego. - Tommy już wyobrażał sobie, jak przytula biuściaste piękności i w myśli dokonywał szybkiego przeglądu listy Najseksowniejszych Brytyjskich Piersi, oczywiście wybierając właścicielkę tych z pierwszego miejsca.

Alice czytała w jego myślach, a raczej w spodniach, jak w otwartej księdze.

- Poza tym, taka rola mogłaby stworzyć szansę na znalezienie idealnej partnerki dla Tommy'ego, co byłoby niezwykle

ważne ze względów promocyjnych - dodała. - Dziewczyna i kariera za jednym podejściem...

Boże, gdzie oni znaleźli tę Alice? I czy nie mogliby dać jej podwyżki? Chociaż z drugiej strony taniej jest pogadać, niż podnieść pensję... Tak czy inaczej, liczą się dobre intencje. Gdy rozgorzała dyskusja, kogo powinien zagrać Tommy - zblazowanego drania czy idealnego rycerza - Alice nagle przypomniała sobie, że nie ma z kim pójść na kolację do Izzy, a wolałaby przecież uciąć sobie głowę, niż zjawić się tam sama. I wtedy, nie zastanawiając się nad tym, co robi, zapytała gwiazdora, czy nie chciałby towarzyszyć jej wieczorem. Tommy, ku jej zaskoczeniu, zgodził się bez chwili wahania.

W gruncie rzeczy był nawet wdzięczny za zaproszenie. Przez ostatnie dwa dni starał się znaleźć jakiś punkt styczny między tym, co wyczytał w piśmie „Chrześcijaństwo dzisiaj”, a tym, co działo się w jego bokserkach za każdym razem, gdy pomyślał o jakiejś kobiecie.

- Alice, bardzo chciałbym porozmawiać z tobą dzisiaj wieczorem - powiedział. - Oczywiście, że mogę pójść na kolację. Będę na ciebie czekał pod kinem w Santa Monica o siódmej, dobrze?

Skinęła głową i pogalopowała do swego biurka, by nie dać Jennifer żadnych więcej powodów do pełnych wściekłości spojrzeń.

Alice umyła się pod prysznicem żelem waniliowym (odkryła, że nic nie dekoncentruje ludzi bardziej niż osoba pachnąca jedzeniem) i z przyjemnością pomyślała o tym, że wieczorem będzie mogła wesprzeć się, dosłownie i w przenośni, na ramieniu Tommy'ego. To powinno dać Izzy do myślenia i nauczyć ją, że nie wolno nie doceniać Brytyjczyków. Alice doskonale wiedziała, że jakiegokolwiek zaangażowanie uczuciowe między nią i Tommym jest równie prawdopodobne, jak między Eltonem Johnem i Margaret Thatcher, ale Izzy nie miała o tym zielonego pojęcia. Może Alice mimo wszystko spędzi miły wieczór... Stanęła przed lustrem i zaczęła nakładać makijaż. Jasna jak alabaster cera i śmiesznie czerwone wargi,

rzęsy ciemne i podwinięte, włosy zaczesane w kok na czubku głowy, z loczkami opadającymi przy uszach, w stylu malowideł prerafaelitów. Posypała fryzurę płatkami sztucznych kwiatów i znowu zdecydowała się na czarną sukienkę-koszulkę, tym razem z sandałami na korkowych podszewkach monsturalnej grubości.

Ciekawe, co ty na to, Izzy, skarbie, pomyślała. Po latach odgrywania grzecznej dziewczynki u boku nudnego jak flaki z olejem Jamiego, w końcu odkryła buntowniczą stronę swojej natury. Może jednak miała zadatki na aktorkę...

Tommy obiecał, że będzie prowadził, ponieważ, jak się zarzekał, ostatnio pił wyłącznie sok żurawinowy. Kiedy Alice zjawiła się w barze, siedział w otoczeniu dziewcząt, które wyraźnie nie zamierzały rozstać się ze swym idolem. Zapytał, czego Alice się napije, i dopiero gdy odmówiła, wykonał magiczny gest, po którym jego wielbicielki rozpierzchły się na cztery strony baru.

- Miałaś świetny pomysł z tym filmem kostiumowym, Alice - oświadczył. - Może ta laseczka z *Dumy i uprzedzenia* dałaby się namówić na rolę, co?

Alice bezradnie wzruszyła ramionami. Naprawdę nie miała pojęcia, która aktorka zechciałaby partnerować Tommy'emu...

- Zasadniczo nie zamierzam nikogo podrywać, ale chyba mogę sobie popatrzeć, prawda? - rzekł Tommy, dumnie pociągając łyk wody mineralnej.

- Posłuchaj, Tommy... Cieszę się, że mamy okazję o tym porozmawiać... Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nie ma nic złego w tym, iż towarzystwo kobiet i zabawa sprawiają ci przyjemność. Chodzi tylko o to, żebyś skoncentrował się na najważniejszych zasadach chrześcijaństwa, to znaczy na obdarzaniu miłością bliźniego i nieczynieniu innym tego, co tobie niemiłe.

- Jasne, Alice, masz zupełną rację, ale dla mnie najbardziej liczy się samodyscyplina, dlatego uważam, że jeżeli uda mi się przewyciężyć pokusy cielesne, to nie zboczę z właściwej ścieżki. Zastanawiałem się też nad tym, co mówiłaś o zachowaniu tajemnicy, przynajmniej na razie, i tak dalej, i doszed-

łem do wniosku, że może jednak powinienem powiedzieć o swoim nawróceniu całemu światu. I szerzyć Słowo...

Oczy Tommy'ego lśniły maniackim blaskiem i Alice uświadomiła sobie, że nieszczęsny młody człowiek ma osobowość skłoną do uzależnień. Wystarczyło, że odstawił narkotyki i już musiał zastąpić je czymś innym. Kiedy Tommy poszedł do toalety, przewyciężyła wyrzuty sumienia, zamówiła wódkę i dołała trochę do jego wody mineralnej, tłumacząc sobie, że lepszy znany diabeł niż nieznaną chrześcijanin.

Zanim wyruszyli do Izzy, Alice jeszcze dwukrotnie wzbogaciła wodę mineralną Tommy'ego alkoholem i w rezultacie sama poczuła się znacznie lepiej. Miała nadzieję, że wkrótce Tommy powróci do normalnego stanu. Rozluźniła się do tego stopnia, że zaczęła przemyśliwać, czy nie powiedzieć Tommy'emu o otrzymanym poprzedniego dnia liście od tajemniczego wielbiciela i nie poprosić go o męską radę, ale Tommy prowadził tak szybko, iż po paru minutach znaleźli się przed domem Izzy i o mały włos nie wjechali do basenu.

Alice trochę się denerwowała, jak Izzy zareaguje na jej pojawienie się bez Tash, ale zupełnie niepotrzebnie, bo Izzy po prostu nie wiedziała, kim jest Alice. Może wzięła ją za transwestytę, którego Tommy zatrudnił w charakterze ochroniarza, lub jeszcze kogoś innego.

- Tommy, kochanie! - Oplotła aktora idealnie zadbanym ciałem i wciągnęła go do swojej jaskini, prawie zamykając Alice drzwi przed nosem.

Trzeba przyznać, że Izzy wyglądała oszałamiająco. Miała na sobie szerokie, powiewne spodnie i kamizelkę, a jej ramiona były cudownie umięśnione i szczupłe, w przeciwieństwie do krągłych i miękkich ramion Alice. Opalenizna Izzy dawała wrażenie zdrowia i wigoru, długie, jeszcze wilgotne po kąpieli włosy spływały do połowy pleców. W swoim idiotycznym makijażu i koszulce Alice czuła się przy niej jak Czerwony Kapturek. Dobrze chociaż, że nie liczyłam dziś na spotkanie mężczyzny moich marzeń, pomyślała.

Pchnęła drzwi i mimo stwarzanych przez Izzy utrudnień weszła do środka. Z kuchni dobiegały ożywione głosy, ale po-

nieważ nie została formalnie zaproszona, nie zamierzała się przedstawiać. Tommy, ściśle rzecz biorąc, leżał na kanapie, przygnieciony ciałem Izzy, która objęła go mocno i niebezpiecznie zbliżyła wargi do jego warg. Celem tych wszystkich zabiegów było, aby cały świat, a przynajmniej zgromadzeni goście, uznał ich za czułych kochanków. Dom Izzy był imponujący - duży, przestrzenny i jasny, na ścianach wisały niewątpliwie kosmicznie drogie dzieła sztuki.

Alice wyszła do ogrodu położonego wysoko na zboczu wzgórza, z którego roztaczał się piękny, zapierający dech w piersiach widok na morze. Na piaszczystych klifach rosły ogromne kaktusy i potężne aloesy. Alice ułożyła się w rozpiętym między dwiema palmami hamaku i wystawiła twarz na działanie promieni zachodzącego słońca. Zaczęła już zapadać w przyjemną drzemkę, kołysana dalekim szumem fal, gdy nagle usłyszała jakieś kroki. Postanowiła udawać, że śpi, licząc, że nie zwróci na siebie uwagi, ale daremnie. Jej szminka była tak intensywnie czerwona, że każdy ratownik z plaży w Malibu mógłby wziąć ją za racę alarmową.

- Zastanawialiśmy się, gdzie się podziałaś, Alice. Chodź się czegoś napić, Izzy zrobiła niesamowity poncz. - Tommy przesłonił ostatnie promienie słońca i pomógł jej wygramolić się z hamaka. - Koniecznie musisz poznać siostrę Lysette, Fifi. Jest po prostu cudowna...

Alice weszła do kuchni w ślad za Tommym. Wiedziała, że gdyby nie obecność gwiazdora, mogłaby przestać cały wieczór w kącie, daremnie czekając, aż ktoś się do niej odezwie. Na szczęście Tommy otoczył ją swoim splendorem i wszyscy zachodzili w głowę, czy jest jego dziewczyną, czy też może adoptowaną i cofniętą w rozwoju siostrą, o której czytali w „National Enquirer”. Alice prawie słyszała szum obracających się w ich głowach kółek. Teraz czekał ją najgorszy koszmar - kuchnia pełna aktorek, które wyglądały jak bohaterki *Czarownica z Eastwick*, blondynka, brunetka i ruda. W Los Angeles słowo „aktorka” było jednoznaczne z takimi określeniami, jak „nieziemskie piękno” i „nieprawdopodobny seksapil”.

Alice poznała tę prawdę, kiedy rozważała zapisanie się na

siłownię przy Main Street. „Och, tam chodzą same aktorki”, powiedziała wtedy Tash, ale czy Alice usłuchała tego ostrzeżenia? Akurat! Poszła na zajęcia prowadzone przez instruktora metody Alexandra (usiłowała wtedy urosnąć o pięć centymetrów) w czarnych legginsach z dziurą na tyłku i w szkolnych tenisówkach, pewna, że wygląda jak Audrey Hepburn w filmie *Zabawna buzia*. Szybko spostrzegła, jak bardzo się myliła. *Mais non, cherie* - nic z tego, kochanie. Miała wrażenie, że znalazła się na castingu do kolejnego odcinka serialu *Słoneczny patrol* i postanowiła, że raczej rozciągnie swoje ciało na łożu tortur z londyńskiego Tower, niż wróci na zajęcia w siłowni przy Main Street. Kuchnia pełna aktorek... Koszmar, koszmar...

Stały wdzięcznie upozowane, grzechocząc lodem w szklanceczkach z drinkami, wszystkie ze wzrokiem utkwionym w krocze Tommy'ego. Alice zaczęła się zastanawiać, która z nich jest siostrą Lysette, kiedy do kuchni weszła bardzo wysoka dziewczyna o gładkich, prostych włosach i białej jak mleko skórze, podobna do Umy Thurman w *Pulp Fiction* i od razu wszystko stało się jasne. Dziewczyna uśmiechnęła się ciepło i jej uśmiech był jak promień słońca, ogrzewający polarne lodowce.

- Jesteś Alice, prawda? - Wyciągnęła rękę i obrzuciła strój Alice nieco zdumionym, lecz przyjaznym spojrzeniem. - Lysette uważa cię za najcudowniejszą osobę świata, oczywiście po Królowej Matce. Bardzo się cieszę, że wreszcie cię poznałam. I jeszcze przyprowadziłaś ze sobą Tommy'ego...

Fifi ucałowała Tommy'ego w oba policzki. Sople lodowe w kuchni zabiłyby ją wzrokiem, gdyby tylko mogły.

- A teraz opowiedzcie mi wszystko o tej sławnej kampanii, którą planujecie, chyba że wolicie zatrzymać szczegóły w sekrecie...

Sople lodowe bombardowały ją strasznymi spojrzeniami pomiędzy zmrużonych powiek. Boże, mam nadzieję, że Izzy zaprosiła jeszcze innych mężczyzn, pomyślała Alice, w przeciwnym razie Tommy może nie przeżyć tej nocy, biedactwo. Wąłta klatka piersiowa Tommy'ego wyglądała jeszcze słabiej

i niepozorniej niż zwykle, lecz gwiazdor sprawiał wrażenie dość zadowolonego, że może zamienić parę słów z siostrą Lysette.

W tej chwili ruda wiedźma z Eastwick zaprzęga Alice do roboty, zlecając jej pokrojenie awokado.

- Na drobniotkie kawałeczki, bo wtedy organizm szybciej spala kalorie - rzuciła, ze wzrokiem wbitym w dość niepozorne pośladki Tommy'ego, ani na chwilę nie przestając grzechotać kostkami lodu w szklance.

Alice poczuła się jak stara ciotka. Można by podejrzewać, że te baby nigdy nie widziały mężczyzny, pomyślała. I nagle, właśnie wtedy, jej własna twarz przybrała taki wyraz, jakby to ona nigdy nie widziała mężczyzny. Do pokoju obok kuchni wkroczył Patrick, którego apetycznie opalone ciało osłaniał tylko zawiązany w pasie ręcznik. Alice z wrażenia posiekała własny palec na drobniotkie kawałeczki, oczywiście razem z awokado. Co on tutaj robi, na Boga?! Włosy Paddy'ego były mokre, po jego nagiej piersi ściekały strumyczki wody. Śmiał się głośno. Alice dyskretnie wyjrzała zza zwiniętych w kok włosów rudej. Ciekawe, czy Patrick ją pozna...

- Patricku, kochanie, znowu nie zakręciłeś mojego szamponu. - Izzy pojawiła się za plecami Paddy'ego i już miała go wyminąć, kiedy nagle zauważyła wyraz kompletnego osłupienia na twarzy Alice.

Izzy nie była w stanie zmarnować takiej okazji, więc od tyłu objęła Patricka w pasie i delikatnie wbiła zęby w jego pokryte piegami ramię, ani na sekundę nie spuszczać wzroku z Alice.

- Następnym razem będziesz miał kłopoty, skarbie... - mruknęła zmysłowo i powoli wsunęła dłoń pod cienki ręcznik.

Paddy skrzywił się lekko.

- Hej, wcale mi nie zależy, żeby te biedne dziewczyny kazały mnie aresztować za obrazę moralności - powiedział ostrzegawczo, roześmiał się pogodnie i spokojnie odsunął rękę Izzy.

Potem odwrócił się i zobaczył Alice.

Alice z palcami zielonymi od miąższu awokado. Alice, któ-

rażą naprawdę trudno było poznać pod makijażem gejszy, Alice, która nie mogła oderwać od niego oczu... Miała wrażenie, że Patrick mocno się zaczerwienił, lecz zaraz uświadomiła sobie, że to jej własny rumieniec rzuca łunę na całą kuchnię. Izzy gwałtownie zdjęła drugą rękę z ramienia Paddy'ego. Jej zdaniem Patrick o trzy sekundy za długo przyglądał się temu dziwacznemu stworzeniu. Gwałtownym szarpnięciem odwróciła go ku sobie i, korzystając z elementu zaskoczenia, zawlokła z powrotem do sypialni, zazdrosna i zaborcza niczym prehistoryczna samica.

- Muszę pokazać ci coś przed przybyciem reszty gości - rzuciła twardo.

Paddy był zbyt wstrząśnięty widokiem Alice, żeby protestować.

Aha, więc ja nie jestem gościem, pomyślała Alice, znowu przepełniona niemiłym uczuciem, że wszyscy patrzą na nią jak na porcję siekanej wątróbki. Usiłowała wrócić do krojenia awokado, ale odkryła, że palcami zmiażdżyła owoc na zieloną miazgę. Nic dziwnego, że Izzy przyglądała się jej jak wariatce.

Została w kuchni do chwili, aż pokroiła wszystkie warzywa, jakie nadawały się do pokrojenia. Zgryzła kilkanaście kostek lodu, ale nadal nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś zdzielił ją w tył głowy zamrożonym dorszem. Wszystkie jej podejrzenia okazały się słuszne. Patrick zaprosił ją na śniadanie z czystej litości i z tego samego powodu wysłuchał jej wyurzeń na temat Anglii i planów założenia ogrodu z organiczną hodowlą warzyw w Sussex. Filantropia, nic więcej... Czuła się tak zażenowana, upokorzona i zgnębiona, że z radością umarłaby gwałtowną śmiercią. Na domiar złego Patrick tkwił teraz w sypialni tej Afrodyty z Zachodniego Wybrzeża... Umyła ręce i wbiła wzrok w widoczny za oknem ocean. Nie mogła rywalizować z Izzy, choćby nie wiem jak chciała. Izzy miała wspaniałe nogi, wspaniały dom, wspaniały widok z okien... Nikt nie mógł wątpić, że Izzy była ulubienicą losu. Alice usiadła na kanapie obok Tommy'ego, który rozmawiał z wianuszkami skupionych u swoich stóp wielbicielek, i wcale się nie zdziwiła, że nikt nawet na nią nie spojrzął.



- Tommy, byłeś po prostu cudowny w *Człowieku-słoniu* - zachwycała się rudowłosa, której biust co chwilę wzbierał westchnieniami. - Nie jestem w stanie pojąć, jak to zrobiłeś... Zagrałeś tę rolę w tak zmysłowy sposób... Och, to było niesamowite!

Blondynka i brunetka znieruchomiały, natomiast Tommy, zadowolony, uśmiechnął się, lecz bez przesady. Dawno już przywykł, że znajduje się w centrum zainteresowania większości kobiet.

- Granie takich outsiderów jest całkiem zabawne - oświadczył.

- Masz absolutną rację - włączyła się blondynka, która najwyraźniej doszła do wniosku, że teraz nadeszła jej wielka chwila. - Grałam kochankę rosyjskiego agenta w ostatnim Bondzie. Bardzo wymagająca rola, już od początku czułam, że stanowi spełnienie moich marzeń i ambicji...

Alice odwróciła się do siostry Lysette.

- Strasznie przepraszam, ale zapomniałam, jak masz na imię... - zaczęła niepewnie, starając się nie słuchać tokujących aktorek.

- Fifi. Słyszałam, że moja siostra zatrudniła cię do pomocy przy łowieniu męża z arystokratycznej rodziny.

- Tak, to prawda. Napisałam nawet do mojego kuzyna Simona, który w tej chwili przebywa w Brazylii, i zaprosiłam go tutaj, lecz Simon jest zupełnie nieprzewidywalny, więc nie wiadomo, kiedy się odezwie. Szczerze mówiąc, na tym polega największy problem, bo Simon chyba nigdy się nie ustakuje i nie osiadzie na zamku jak przyzwoity lord. Ma za dużo środków halucynogennych we krwi. Lysette mogłaby się nigdy nie doczekać względnie normalnego życia u jego boku.

Pan i pani Benedictus. Lord i lady Kirkheaton. Brzmiało to wspaniale, lecz mocno wątpliwe, żeby coś z tego wyszło. Alice gorączkowo usiłowała przypomnieć sobie, czy zna jakichś innych arystokratów.

Mniej więcej pół godziny później Izzy i Paddy opuścili sypialnię, oboje wyraźnie potargani. Paddy czuł się fatalnie, ponieważ doskonale wiedział, że chociaż przez ostatnie trzydzie-

ści minut starał się wyjaśnić Izzy, iż nie ma zamiaru sprzedawać rodzinnych tajemnic magazynowi „People”, wszyscy i tak są przekonani, że uprawiał z nią szalony seks.

Alice z uporem odwracała głowę, nie chcąc spojrzeć mu w oczy. Chwila, kiedy oboje powinni się przywitać, dawno minęła i teraz mogli już tylko do końca wieczoru ignorować się nawzajem lub wdać się w skomplikowane wyjaśnienia, że to dziwne, ale się nie poznali, doprawdy nie wiadomo dlaczego. Alice kurczowo ścisnęła szklaneczkę z whisky, zupełnie jakby była to tratwa ratunkowa, a Paddy palił jednego papierosa za drugim. Oboje mówili zbyt cicho, śmiali się zbyt głośno z zupełnie niezabawnych dowcipów i drżeli na całym ciele.

Fili, jak zawsze trochę pozbawiona wycucia, postanowiła wreszcie przedstawić gościom Izzy Tommy'ego i Alice.

- Słuchajcie, to są Alice i Tommy - oświadczyła. - A to Jenny, Rachel, Scarlet i Izzy, które już na pewno znacie, oraz Peter, przyjaciel Izzy.

- Zdążyliśmy się zorientować, że to jej przyjaciel - prychnęła Rachel.

Izzy uśmiechnęła się, niezwykle zadowolona, że ktoś przypomniał światu o jej wyjątkowej umiejętności uwodzenia mężczyzn. Czuła, że Tommy uważa ją za nimfomankę i nie miała nic przeciwko temu. Podciągnęła spódniczkę jeszcze odrobinę wyżej.

- Nazywam się Patrick, nie Peter - sprostował nerwowo Paddy.

Nie usłyszał go nikt z wyjątkiem Alice, ponieważ pozostali goście zajęli się już ważniejszymi tematami.

- Na pewno wiecie, że Alice ma swojego własnego zбочeńca, prawda? - odezwała się Izzy ze złośliwym uśmiechem.

Wszyscy odwrócili się i zmierzili Alice takim wzrokiem, jakby była cuchnącą substancją, która oblepiła im bosc stopy.

- Opowiedz nam o tym, Alice - zachęciła Izzy nieszczerze, konając z pragnienia, aby znaleźć jakiś słaby punkt w jej historii.

Izzy była zdania, że skoro jej nie udało się przyciągnąć uwagi zбочeńca, to ktoś taki jak Alice nie miał na to naj-

mniejszych szans. Alice niepewnie poprawiła się na kanapie. Czuła, że wyjaśnianie temu zblazowanemu audytorium różnicy między zbrodźcą a tajemniczym wielbicielem i tak nie miałyoby sensu. Nieświadomie wyjęła palcami kostkę lodu ze szklanki i zaczęła z chrzęstem kruszyć ją w zębach.

- Cóż, on po prostu przysyła liściki i takie tam... - większość obecnych osób rozwinęłaby to zdanie w sensacyjny epizod, lecz w ustach Alice zabrzmiało ono jak ostatnie nudziarstwo. - Poza tym Tash któregoś dnia zauważyła go w ogrodzie, ale zanim zdążyła umalować się i wybiec z domu, on już zniknął...

Niewinny dowcip Alice pozostał niezauważony i niedoceniony. Wszyscy wpatrywali się w nią dziwnym wzrokiem. Ta dziewczyna złapała sobie zbrodźcę? Z takim ciałem? Nie do wiary!

Tylko Paddy, który siedział w kącie i chłonał widok Alice kruszącej zębami kostki lodu, uśmiechnął się na myśl o specyficznej mentalności mieszkańców Los Angeles, zgodnie z którą należało najpierw nałożyć makijaż, a dopiero potem ścigać zbrodźcę. Uważnie słuchał każdego słowa Alice, lecz ona nie zwróciła na to uwagi. Może zresztą zauważyła, ale uznała, że tak jej się tylko wydaje. Kiedy wreszcie wystarczająco ubawili się sprawą Alice i zmienili temat rozmowy, Izzy odwróciła się do swojej ofiary i rzuciła jej wyjątkowo paskudny uśmiech.

- Skąd ci się wziął ten trik z gryzieniem kostek lodu? - zapytała. - Siesz je jak penis, tyle że efekt musi być odwrotny - kompletne ochłodzenie. Oczywiście, byłoby trochę inaczej, gdybyś miała lepsze wargi...

Alice ze złości podkuliła palce u nóg. Co sobie ta dumna krowa wyobraża? Niestety, zanim wymyśliła dowcipną odpowiedź na temat kolagenu, Izzy pobiegła do kuchni, żeby przynieść jedzenie.

Okazało się, że jest to głównie pasta z awokado, którą przygotowała Alice, oraz kilka ryżowych ciasteczek. Alice przypomniała sobie, że kiedy wszystkie jej koleżanki w szkole przechodziły przez wstępne stadium anoreksji, pochłaniały takie

ilości ryżowych ciasteczek, aż cała podłoga w świetlicy zasłana była białymi okruchami. Włożyła sobie na talerz trochę zielonej pasty i pokrojonych w patyczki marchewek. Inni goście z entuzjazmem rzucili się na ryżowe ciasteczka, natomiast faceci topili głód w piwie. Konwersacja toczyła się głównie wokół tego, kto się z kim pieprzy, a prowadziły ją w zasadzie wyłącznie kobiety.

Paddy gorączkowo usiłował się połapać, czy Alice sypia z Tommym, lecz naturalnie robił to w bardzo dyskretny i okrężny sposób.

- Pochodzisz z Kalifornii, Tommy, prawda? - zwrócił się do gwiazdora. - Wobec tego na pewno jesteś wielkim wielbicielem Franka Lloyda Wrighta...

- Czy to ten, który gra na gitarze basowej w zespole Grateful Dead? - zapytał Tommy, w napadzie wyjątkowego skupienia wrywając sobie włosy z zewnętrznej strony dłoni.

- Nie, Wright był architektem. Wydawało mi się, że wszystkie gwiazdy filmu mieszkają w zaprojektowanych przez niego domach. - Paddy uśmiechnął się z ulgą.

Przyszło mu do głowy, że Alice chyba jednak nie sypia z Tommym.

- Architekt, tak? - zainteresował się Tommy. - Wiesz, najbardziej podoba mi się architektura kościelna. Moim zdaniem kościoły są zdumiewającym symbolem ludzkiej duszy, nie?

- Na pewno masz rację, chociaż ja nigdy nie myślałem o tym w ten sposób... - odparł Paddy. - Obawiam się, że nie jestem szczególnie zainteresowany kościołami.

- Rozumiem. Ja jestem. Powinieneś kiedyś zastanowić się nad kościołami, to naprawdę niezłe.

Nie, Alice z całą pewnością nie sypiała z Tommym, teraz nie miał już co do tego cienia wątpliwości.

Alice usłyszała, że Tommy kieruje rozmowę na temat religii i szybko pobiegła do kuchni, żeby dolać wódki do jego soku żurawinowego.

- Proszę bardzo, Tommy. - Podała mu szklankę, a on uśmiechnął się serdecznie.

Ten uśmiech natychmiast zwrócił uwagę Izzy, która, co

prawda, nie znała takich uczuć jak serdeczność czy czułość, lecz potrafiła rozpoznać ich objawy, ponieważ regularnie oglądała serial *Melrose Place*.

- Och, dajcie już spokój - zaprotestowała. - Nie chcemy dłużej słuchać wykładu o budynkach, to strasznie niemodne. Tommy, czy sądzisz, że Pokolenie X ustąpiło miejsca Nowemu Purytanizmowi? - zapytała, lecz Tommy właśnie wypił zaprawiony wódką sok żurawinowy i zdradzał znacznie większe zainteresowanie jej żywiołowym erotyzmem niż rozmową na tematy poruszane w felietonach „New Yorkera”.

Hormony Tommy'ego oraz Izzy rozpoczęły własną grę, natomiast Alice i Paddy w dalszym ciągu udawali, że wcale się nie znają. Alice usiłowała nie patrzeć na niego, lecz nie do końca jej się to udawało, a on za każdym razem przyłapywał ją na ostrożnym zerkaniu. Była absolutnie pewna, że jakiś duży kawałek rukwi utkwiał jej między zębami, bo z jakiego innego powodu Paddy miałby wpatrywać się w nią z uporem, skoro mógł obserwować nogi Izzy, jej szyję, piersi lub inną erogenną strefę, na której niewątpliwie zamierzał skupić się po przyjęciu, oczywiście jeżeli Tommy nie wykorzysta sprzyjającej sytuacji jako pierwszy. Wyobraziła sobie Paddy'ego w łóżku z Izzy i zrobiło jej się trochę niedobrze. Dwoje najpiękniejszych ludzi na świecie, splecionych w miłosnym uścisku... Nie musiałyby mnie nawet dotykać, pomyślała, wystarczyłoby mi, że słyszę jego głos, szepczący mi do ucha pieszczotliwe słowa...

Udała się do toalety, żeby umyć zęby, ponieważ był to stu-procentowy sposób na powstrzymanie się od zjedzenia deseru, Tommy zaś przystąpił do akcji zaklepywania sobie łóżka na noc.

- To prawda, że spałem z wszystkimi aktorkami pracującymi dla wytwórni Paramount i Disneya, oczywiście nie licząc Myszki Minnie. - Uśmiechnął się szeroko.

Obecne aktorki zachichotały i otrzepały piórka jak wróbelki na drucie, wyrażając w ten sposób nadzieję, że wkrótce one także dołączą do tej uprzywilejowanej grupy.

Alice włożyła jogurt naturalny do miseczek, a Izzy pokroiła

mango na malutkie cząstki. W pokoju dużo mówiła o tym, że Alice musi pomóc jej przygotowywać deser, jeżeli można tak nazwać kwaśny jogurt z odrobiną mango, natomiast kiedy znalazły się w kuchni, nie odezwała się ani słowem. Obserwowała tylko Alice uważnie, szczególnie wtedy, gdy sądziła, że ta nie patrzy, i po paru chwilach zaczęła rzucać nader pomocne uwagi.

- Powinnaś poprosić pedikiurzystkę, żeby wycięła ci te odciski - poradziła na dobry początek. - W Wielkiej Brytanii może nie przejmujecie się takimi drobiazgami, ale my przywiązujemy dużą wagę do higieny stóp...

Wyobraźnia Alice natychmiast podsunęła jej przerażający obraz Paddy'ego, z zapalem ssącego idealnie zadbanej wielki palec u nogi Izzy. Uśmiechnęła się i zaniemówiła. Nie potrafiła wymyślić riposty równie zjadliwej i podłej jak odzywki Izzy, zdawała sobie również sprawę, że dowcipna odpowiedź i tak pozostałaby niezrozumiana. Na szczęście zaraz potem nadarzyła się doskonała okazja doprowadzenia Izzy do stanu wrzenia.

- Pieprzysz się z Tommym, tak? - zagadnęła Izzy, wypatrując ciemnych włosów na górnej wardze Alice.

Cóż za urocza subtelność, pomyślała Alice, czerwieniąc się gwałtownie i bardzo po angielsku.

- Potwierdzenie lub zaprzeczenie byłoby poważną niedyskrecją, nie sądzisz? - odparła, poruszając jedną powieką i równocześnie mrugając drugą.

Proszę bardzo, ty suko. Ciekawe, co na to powiesz.

Ton głosu Izzy uległ nagłej zmianie. Schowała złośliwość do kieszeni i stała się słodsza niż trzy kieliszki likieru naraz.

- Założę się, że jest po prostu cudowny - zaszcebiotała. - Mężczyzna z takim doświadczeniem...

Alice wypróbowała świeże poczucie wyższości jak nigdy wcześniej nieużywany i zupełnie niespodziewanie odkryty miesiąc.

- Ujmijmy to w ten sposób - nie mam powodów do narzekania.

Oczywiście że nie miała, lecz gdyby rzeczywiście była ko-

chanką Tommy'ego, z pewnością nie miałyby się też czym zachwycać, żeby wspomnieć chociażby o chuderlawej klatce piersiowej aktora oraz nieprzyjemnym nawyku nieregularnego zmieniania bielizny. W tej sytuacji nie musiała jednak na nic się skarżyć, więc jej odpowiedź nie była kłamstwem.

Tak czy inaczej, Izzy wpadła w furję. Nie dość, że ta angielska łajza znalazła sobie zboczeńca, to jeszcze udało jej się dokonać tego, o co sama bezskutecznie zabiegała od paru lat, to znaczy zaciągnąć Tommy'ego Kelly do łóżka! Była tak wściekła, że najchętniej rozbiłaby na głowie Alice słoik marynowanych buraczków, naturalnie gdyby miała go pod ręką. Już zamierzała przystąpić do poszukiwań wspomnianego narzędzia zbrodni, gdy nagle zaświtał jej w głowie pewien plan. Zmierzyła Alice bacznym spojrzeniem.

- Rozmawiałas już z Patrickiem? - zapytała. - Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że jesteście spokrewnieni, bo przecież Anglia jest taka mała...

Nie spuszczała wzroku z twarzy Alice. Spodziewała się, że dostrzeże jakieś podejrzone drgnienie.

- On pochodzi z Irlandii, a to nie to samo - odrzekła Alice, która trochę się pogubiła pod ostrym jak brzytwa spojrzeniem Izzy.

Tak jest, Izzy w końcu zapędziła ją w kozi róg. Teraz już wiedziała, że Alice i Paddy poznali się wcześniej.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała szybko.

Alice roześmiała się niepewnie.

- Och, akcent potrafi zdradzić każdego...

- Patrick przez cały wieczór w ogóle się nie odzywał.

Kurwa mać! Alice wstrzymała oddech. Nagle uświadomiła sobie, że Izzy kłamie jak z nut - Patrick odzywał się, i to wiele razy, obaj z Tommym gadali przecież jak starzy kumple. Pośpiesznie wróciła do swego narożnika, ale było już za późno. Izzy patrzyła na nią wzrokiem kota, który nazarł się śmietanki, żeby łatwiej strawić uśmierconego wcześniej kanarka.

- Patrick jest najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miałam - powiedziała, oblizując sok mango z czubka palca i chłodno przyglądając się rywalce.

Alice znowu poczuła się dokładnie tak, jak po wypiciu niesławnego koktajlu z trawy. Miała ochotę poszukać schronienia w toalecie, ale zamiast tego utkwiała wzrok we własnych stopach. Czego się ta suka spodziewa, pomyślała. Że powiem, iż bardzo się cieszę, albo zapytam, czy mogłabym go kiedyś wypożyczyć? Nie, to nie do wytrzymania! Ale mimo wielkiego wzburzenia nie zdobyła się na odpowiednią ripostę. Chrząknęła tylko wieloznacznie i jeszcze bardziej spuściła głowę.

- Ostrzegam na wypadek, gdybyś pomyślała, że nie zamierzam go pilnować - ciągnęła Izzy. - Nikomu nie wolno ruszać Paddy'ego. Nikomu, powtarzam.

Popatrz, popatrz, Alice umierała ze strachu! Miała wielką chęć rozgnieść połówkę awokado na nosie Izzy, ale uznała, że nie byłoby to dobre rozwiązanie. Postanowiła wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy - dlaczego niby Paddy, mogąc mieć Izzy, miałby pragnąć kogoś innego? Doszła do wniosku, że kłótnia z Izzy nie ma sensu i zrobiła to, co umiała robić najlepiej - wzięła talerzyki i zaniósła je do pokoju.

- Czas na deser - oznajmiła.

No cóż, szczerze mówiąc, to w życiu jest właśnie tak - są kobiety stworzone, by zostać czymś deserem, kobiety o skórze białej jak śmietanka i sulkach słodkich jak maliny i są też takie, które deser podają, i nie ma co roztrząsać, czy jest to sprawiedliwe, czy nie. Alice nie miała żadnych wątpliwości, że należy do tej drugiej kategorii.

W jadalni Izzy usiadła Paddy'emu na kolanach i przez następne czterdzieści pięć minut karmiła go kawałkami mango. Paddy, o dziwo, wydawał się jednak bardziej zainteresowany przeglądaniem leżących na stoliku do kawy książek i czasopism, chociaż Alice nigdy by nie przypuszczała, że może go ciekawić dzieło w rodzaju „Fryzury ludzi bogatych, wpływowych i sławnych”. Dobrze chociaż, że Tommy na chwilę zapomniał o swojej manii religijnej i przystąpił do gry w rozbiernego pokera z lokalnymi czarownicami. Alice pomyślała, że powinna być wdzięczna losowi za drobne dary.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt nie próbował nawiązać



z nią rozmowy. Zastanawiała się, czy została zaproszona na kolację, czy też może po to, by szanowne towarzystwo mogło ją upokorzyć i rzucić na kolana. Gdyby tylko była tu Tash albo jakakolwiek inna osoba spoza świata filmu... Alice miała wrażenie, że może źle skreśliła z Pacific Palisades i przypadkiem trafiła do haremu bogatego szejka. Wzięła swojego drinka i wyszła do ogrodu. Hamak poruszał się, łagodnie kołysany wieczornym wiatrem, a powietrze przesycone było zapachem dzikiego jaśminu, pnącego się po stromej ścianie klifu.

Cała ta sprawa z facetami była po prostu beznadziejna. Posłużyła się Charliem, żeby zapomnieć o Jamie, potem pojawienie się Paddy'ego skłoniło ją do rzucenia Charliego, natomiast teraz okazało się, że Paddy jest zaangażowany w związek z jedną z najatrakcyjniejszych kobiet po tej stronie plaży Manhattan. Alice czuła zdecydowane podobieństwo między własną sytuacją a sytuacją swojej imienniczki, która zawędrowała do Krainy Czarów i musiała dać sobie radę ze wszystkimi tymi cholernymi białymi królikami i kotami. W tym scenariuszu Izzy mogła śmiało wziąć na siebie rolę Królowej Kier, wrzeszczącej: „Ściąć jej głowę!”. Prześladowający Alice zboczeniec z pewnością wiedział, co robi, kiedy porównał ją z tamtą Alicją. Żałowała, że nie wie, kim on jest, lecz z drugiej strony może faktycznie lepiej, żeby jego tożsamość pozostała tajemnicą. Może biedny facet rzeczywiście ma nos jak Cyrano de Bergerac lub coś w tym rodzaju... Chociaż właściwie to bez znaczenia... Miałyby przynajmniej kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.

- Cześć.

Nie odwróciła głowy. Nadal się huśtała, pewna, że to Tommy zjawił się obok niej.

- Cześć - mruknęła, nie odrywając wzroku od morza.

- Nie wiem, dlaczego wcześniej się z tobą nie przywitałem, chyba sądziłem, że to nie możesz być ty. Potem odkryłem, że to jednak ty, ale wtedy było już za późno...

Alice drgnęła nerwowo. O, mój Boże, to wcale nie Tommy! O mały włos nie wypadła z hamaka prosto na trawnik. Chwy-

ciła się obszytych płótnem lin po bokach i jakoś udało jej się odzyskać równowagę.

- Nic nie szkodzi - odparła krótko.

Cholerna Izzy na pewno przysłała go tu tylko po to, żeby skłonił ją do powiedzenia czegoś, czego później będzie żałowała. No i oczywiście po to, żeby mieć czym rozśmieszać swoich gości...

- Miałem nadzieję, że cię jeszcze zobaczę...

Akurat, spróbuj nabrać kogoś innego, wstrętny kłamczuchu!

- Naprawdę miło wspominał Czwartego Lipca - ciągnął Paddy.

Usiadła w hamaku, usiłując wyglądać na całkowicie rozluźnioną, co było dość trudne, ponieważ jej żołądek wykonywał karkołomne skoki. Odwróciła się i ujrzała twarz Patricka, oddaloną zaledwie o parę centymetrów od swojej. Postawiła jedną nieelegancką i niezadbaną stopę na ziemi i usiadła w hamaku.

- Izzy nie będzie cię szukać? - zapytała, aby powstrzymać go przed jakimś nierozważnym krokiem.

Nie odpowiedział, patrzył tylko, jak Alice kołysze się i udaje, że powietrze wcale nie pachnie kwiatami, a szum fal nie budzi w jej ciele różnych pragnień i tęsknot.

- Czy mógłbym cię pocałować?

Stop. Przewinąć do tyłu. Jak to się stało, że znalazłam się w tej sytuacji, pomyślała spanikowana. Uparcie wpatrywała się w wysoką palmę o strzępiastych, podobnych do wielkich piór liściach. Kręciło jej się w głowie. Paddy położył gorącą dłoń na jej nagim ramieniu. Jak łatwo byłoby powiedzieć tak...

- Mam taką teorię...

Patrick pochylił się nad nią. Zaraz, zaraz, jaką teorię? Otworzyła szeroko oczy i w tej samej chwili usłyszała ostry, wysoki głos Izzy, dobiegający z domu.

- Robisz wszystko, co ona ci każe? - zapytała ze złością, wyplątując włosy pomiędzy lin hamaka, a pomiędzy włosów różę.

Paddy wstał, zaskoczony, lecz uśmiechnięty. Alice minęła go i wbiegła do salonu przez francuskie okno.

- Tommy, nie czuję się zbyt dobrze, może odwiózłbyś mnie do domu... - powiedziała bez tchu.

Tommy siedział na kanapie i pozował do zdjęcia. Miał na sobie jedynie szare skarpetki oraz zegarek Rolex na przegubie prawej ręki.

scandalous

## Rozdział 21

Następnego dnia rano Alice przysłała do pracy ze ściśniętym w małą kuleczkę żołądkiem. Usiłowała wymyślić, co powinna zrobić w sprawie Tommy'ego, ale przed oczami stale miała twarz Paddy'ego, co nie ułatwiało zadania. Skup się, Alice. Tommy, Tommy, Tommy. Boże, ten chłopak był po prostu niepoprawny! Siedział tam nagi jak go Pan Bóg stworzył, z diabelskim uśmiechem na ustach. A ona miała przeistoczyć go w męski odpowiednik Julie Andrews srebrnego ekranu, najlepiej bez skazy religijnej. Beznadziejna sytuacja! Gdyby Alice była kobietą o lwim sercu, mogłaby zadzwonić do Izzy, poprosić o telefon tej rudej i spróbować wydrzeć jej film, ale... Właśnie, ale... Znowu wracamy do Paddy'ego. Niewykluczone, że nadal jest u Izzy i może nawet odebrałby telefon. Tego by nie zniosła, w żadnym razie. Czy on naprawdę chciał ją pocałować?

- Och, idź precz, idź precz... - wymamrotała Alice i spróbowała ponownie skoncentrować się na skandalu, który lada chwila mógł wybuchnąć z potworną siłą.

Następne kilka dni upłynęło w tak gorączkowej atmosferze, że rzadko miała chwile, aby usiąść i złapać oddech. Rano wyczłogiwała się z łóżka, czując się tak, jakby poprzedniego wieczoru wypijała sama co najmniej cztery butelki czerwonego wina. Wody, wody... Gnała do kuchni, napełniała szklankę wodą z kranu i piła bez pamięci.

Tego ranka wszystko wskazywało na to, że Tash zdemate-

rializowała się w cudowny sposób - do połowy zjedzone jajko na miękko stało na stole, jeden pantofel leżał na podłodze, lecz jej samej nie było nigdzie w polu widzenia. Alice podeszła do okna, żeby sprawdzić, czy samochód stoi na swoim miejscu, lecz nie, samochód także zniknął. Zdjęcia do filmu, przy którym pracowała, dobiegły już końca i teraz ekipa spędzała całe dnie i noce w studio montażowym. Najwyraźniej dzisiaj Tash zaczęła dzień pracy wyjątkowo wcześniej. Dobrze chociaż, że kiedy praca przy filmie się skończy, Tash raz na zawsze pozbędzie się nieszczęsnego żonatego reżysera zdjęć, który na pewno wywiezie swoje dzieci do Maine albo do innego pięknego stanu, aby zagłuszyć dręczące go wyrzuty sumienia. Alice nie miała wątpliwości, że tak właśnie będzie. Widziała wystarczająco dużo filmów o nawiązujących romans żonatych mężczyznach, dokładnie poznała kolejność zdarzeń. Nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego tak życiowo mądra i doświadczona Tash nie przejrzała faceta pierwszego dnia. Cóż, może rzadziej oglądała telewizję...

Miała właśnie iść do łazienki, gdzie zamierzała zmoczyć swoją fryzurę w stylu naćpanej muzy prerafaelitów, kiedy nagle kątem oka dostrzegła przemykającą za oknem postać. Ktoś wypadł zza pojemników na śmieci i wybiegł na ulicę, lecz stało się to tak szybko, że nie była do końca pewna, czy rzeczywiście widziała coś więcej niż cień drzewa. Odwróciła się twarzą do okna i zmrużyła powieki, ale nikogo tam nie było. Może powinna się śmiertelnie przestraszyć? Ale niby dlaczego? Przemknęło jej przez myśl, czy nie zadzwonić do Tash, lecz szybko z tego zrezygnowała, bo wiedziała, że przyjaciółka każe jej natychmiast zadzwonić na policję i przez miesiąc nie wypuści jej z domu bez eskorty. Alice za bardzo ceniła sobie wolność, aby popełnić taki błąd.

Podniosła leżący pod stołem pantofel na szpilce i obciągnęła koszulkę tyle, ile się dało, starając się zakryć pupę. Wprawdzie mieszkańcy Santa Monica słynęli z wyjątkowo liberalnego podejścia do życia, ale Alice nie chciała nikogo przyprawić o atak serca. Uważała, że o tej nieludzkiej godzinie nawet Hugh Hefner wolałby nie oglądać jej tyłka.

Otworzyła drzwi i z pantoflem Tash w ręku wyszła na ganek. Za pojemnikami na śmieci przebiegł kot. Alice zrobiła jeszcze jeden krok po wyziębionych przez noc ceglach i z przerażeniem odskoczyła do tyłu. Wlazła prosto w pudełko czekoladek. Cholera jasna! Powoli i z pewnym trudem oderwała od podłoża lewą stopę, oblepioną zmiażdżonymi kawałkami czekolady. Tuż obok jej dużego palca, przygnieciona mięsotwym przysmakiem, leżała kartka. Alice oparła się plecami o ścianę i usiłowała podnieść kawałek papieru, ale nic z tego. Tyłek prawie odpadał jej z zimna. Schyliła się, cały czas stojąc na jednej nodze i odlepiła kartkę od umazanej czekoladą cegły.

Najdroższa Alice,

Myślę, że przyda ci się coś pożywne, tylko proszę, zostaw dla mnie te z karmelowym nadzieniem. Chyba nadszedł czas, żebyśmy poznali się oficjalnie. Będę na ciebie czekał dziś o szóstej wieczorem, przy fontannie w Różanym Ogrodzie. Poznam cię, nie musisz się martwić.

Jaxx

Umysł Alice pędził szybciej niż concorde. Boże, co za Jaxx, pomyślała w pierwszej chwili, nie mogę spotkać się z kimś, kto nosi takie imię... Prawdopodobnie ma na głowie stetsona i jeździ konno, albo jest magnatem naftowym z Dallas, bogatym jak jasna cholera, ale niezbyt romantycznym. Potem uświadomiła sobie, że Jaxx oznacza coś zupełnie innego - Ja i dwa x, czyli dwa pocałunki. Hmm, nie wiadomo, co o tym myśleć... Zaraz, zaraz... Będzie na nią czekał w Różanym Ogrodzie? Różany Ogród, a jeśli się nie myli, to trochę zaniedbana knajpka w Venice Beach, ze stolikami z formiki i takimi starymi butelkami do keczupu, produkowanymi na Tajwanie. Z drugiej strony, Różany Ogród budził romantyczne skojarzenia, brzmiało to jak nazwa miejsca majowych schadzek z poematu Chaucera lub coś w tym rodzaju. I nagle w jej głowie zaskoczyły odpowiednie kółka - dzisiaj, o szóstej wieczorem... Dobry Boże, nawet jeżeli tam nie pójdzie (może

lepiej nie, może on rzeczywiście jest zbrojcem o wielkim nosie, wszyscy jej to powtarzali!), to i tak powinna mieć nogi jak jedwab i gładkie włosy, albo odwrotnie.

Na jednej nodze doszła do łazienki i chusteczką higieniczną szybko usunęła ze stopy czekoladową maź, która zdążyła już trochę stwardnieć i teraz przypominała obuwie jaskiniowców. Potem wzięła prysznic, przez chwilę wahając się, jakiego żelu użyć. Szybko doszła do wniosku, że na pewno nie będzie to ten pachnący owocami leśnymi lub morską bryzą, o, nie. Sięgnęła po ulubiony żel Tash, ale zaraz uznała, że jest zbyt intensywnie grejpfrutowy. Żel „Gorąca namiętność” firmy Annick aż podskakiwał na półeczce, więc Alice połała się nim zmysłowo, od czubka głowy po dolinkę między piersiami, a na zakończenie namydliła nim nogi przed goleniem, co było już odrobinę mniej romantyczne.

Chwileczkę, skoro jesteśmy przy poezji, to czy nie powinna czuć się oszukana? Ten list był zdecydowanie bardziej prozaiczny niż poprzednie, pozbawiony kwiatów (jeżeli nie liczyć wzmianki o Różanym Ogrodzie) oraz słodkich odwołań do *Alicji w Krainie Czarów*, i tak dalej. Szczerze mówiąc, tajemniczy wielbiciel wspominał nawet o czymś tak przyziemnym jak głód, a przecież jedynym głodem, o jakim powinien myśleć, jest chyba głód ciała, prawda? Krótko mówiąc, facet trochę się zmienił, i to raczej na niekorzyść. Nawet gdyby wcześniej zamierzała się z nim spotkać, to teraz miała prawo do poważnych wątpliwości. Spotykać się z takim pozbawionym wyższych uczuć przeciętniakiem? Nigdy w życiu, pomyślała, wcierając w lewy pośladek balsam nawilżający z tej samej linii zapachowej co żel.

Koniec końców wyszła do pracy godzinę później niż zwykle. Sporo czasu zajęło jej zastanawianie się, czy powinna pożyczyć jakiś strój z garderoby Tash, a następnie przekonywanie samej siebie, że jest za tęga, aby zmieścić się w rzeczy przyjaciółki. Parę minut później zauważyła jednak, iż jej ubrania dziwnym trafem wydają się zbyt obszerne na randkę. Po długim wahaniu udała się do garderoby Tash. Zanim znalazła coś odpowiedniego, pomyliła puchaty żakiet ze strusich piór

z kostiumem Królowej Śniegu, a na widok własnego odbicia w lustrze podskoczyła ze strachu na metr w górę.

Ostrożnie wsunęła stopę w nogawkę spodni od kostiumu. Na razie szwy trzymały mocno. Powtórzyła ten sam eksperyment z drugą nogawką i nagle zorientowała się, że spodnie wcale nie trzaskają na pupie. Niesamowite! Bez trudu zapięła je w pasie i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że teraz nosi ten sam rozmiar co Tash. Miała ochotę wznieść toast dietetyczną colą, aby uczcić ten niezwykły fakt. Coś takiego! Najwyraźniej dzięki zajęciom z kick boxingu zrzuciła kilka kilogramów.

Wreszcie włożyła pasujący do spodni biały żakiet i wybiegła z domu do czekającej taksówki. Z nadzieją zerknęła w lusterko. Chciała wyglądać tak, jak Bianca Jagger w dniu swego ślubu, lecz to, co osiągnęła, kojarzyło się raczej ze zwiędłą lilią. Nie szkodzi. Przed wyjściem z domu zdrapała szczoteczką do zębów resztki czekolady z listu od tajemniczego wielbiciela i teraz miała go w kieszeni żakietu. Skąd wiedział, że „przyda jej się coś pożywne”? Postanowiła, że w czasie przerwy na lunch zastanowi się z Lysette nad wszelkimi niuansami i implikacjami listu. O, Boże, taksówkarz skręcił za wcześnie, pomyślała. Spóźnię się jeszcze bardziej, nic już na to nie poradzę...

Spóźniła się do pracy godzinę i dwadzieścia minut, co wcale nie było złym wynikiem, jeśli wziąć pod uwagę napotkane po drodze przeciwności. Krowa Kelly obrzuciła ją pełnym satysfakcji spojrzeniem, przez co Alice nabrała podejrzeń, że majtki odcinają jej się pod spodniami. Cholera, wieczorem albo zawiąże sobie żakiet w pasie, albo w przerwie na lunch kupi stringi i przebierze się w nie. Oczywiście i tak tam się nie wybieram, pomyślała, przypominając sobie zapach smażonego oleju, który wydobywał się z otworów wentylacyjnych za każdym razem, gdy przechodziła obok Różanego Ogrodu. Ładne mi róże, raczej kiełbaski... W windzie zdjęła żakiet, chcąc stworzyć wrażenie, że przyszła już jakiś czas temu, ale i tak nie uniknęła swego losu. Na biurku czekała na nią kartka z informacją, że ma natychmiast stawić się w gabinecie Jennifer.



- Jak tam randka z Tommym? - zapytała Lysette, unosząc brwi.

- Lepiej żebyś nie wiedziała, wierz mi. - Alice wepchnęła torbę pod biurko i jeszcze raz przeczytała kartkę, tym razem uważniej.

Napisano ją o 8.13. Teraz była 10.23.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy mi opowiesz. - Lysette zachichotała.

Alice westchnęła i bez słowa pogalopowała do gabinetu szefowej.

- Proszę - usłyszała spokojny, całkowicie opanowany głos Jennifer, gdy zapukała do drzwi.

Weszła. Naprzeciwko Jennifer siedział mocno wymęczony Tommy. Boże, Jennifer wcale nie wyglądała na wściekłą, może jeszcze nie wiedziała, co zdarzyło się ubiegłego wieczoru... Alice będzie tylko musiała namówić Lysette, żeby zadzwoniła do tej rudej, i wszystko dobrze się skończy, oczywiście, nie licząc sprawy z Paddym...

- Jak wytłumaczymy się z tego małego nietaktu? - warknęła Jennifer, w jednej sekundzie wyrwijając Alice ze świata ułudy.

- Mój ptaszek wcale nie jest mały! - pożalił się Tommy, który najwyraźniej nie rozumiał, o czym była mowa.

Jennifer rzuciła mu mroczne spojrzenie. Na stole przed nimi leżał egzemplarz „LA Times” z dużym zdjęciem na pierwszej stronie. Tommy *au naturel*, golusieńki, odziany jedynie w skarpetki od Ralphi Laurena i błyszczący rolex. Alice skrzywiła się boleśnie. Twarz Tommy'ego przypominała oblicze mumii. Pomóż mi, Tommy, miała ochotę krzyknąć, pomóż mi, na miłość boską! Niestety, nie mogła tego zrobić, ponieważ Jennifer nie spuszczała z niej wzroku. Alice wzięła gazetę w drżące dłonie. Może na świecie były kobiety-idealne szefowe, ale Jennifer z pewnością do nich nie należała. Dziewięciu na dziesięciu pracowników wołałoby raczej zmierzyć się na ringu z Mikiem Tysonem, niż przekroczyć próg gabinetu Jennifer.

Alice udała, że czyta, chociaż nie musiała tego robić, bo

przecież doskonale znała całą historię. Widok Tommy'ego siedzącego obok Izzy, również całkiem nagiej (Izzy zastanawiała się teraz prawdopodobnie, czy nie przyjąć propozycji sesji zdjęciowych dla „Penthouse'a" oraz „Playboya"), przywołał wspomnienia ubiegłego wieczoru. Zanim ruda zrobiła to zdjęcie, Alice czuła gorący oddech Paddy'ego na swoim ramieniu i jego dłoń na swojej... Nagle zrobiło jej się słabo, lecz zaraz poczuła się jeszcze gorzej, ponieważ w tekście pod fotografią Tommy'ego ujrzała własne nazwisko. „Tommy Kelly w towarzystwie swojej rzeczniczki prasowej, Brytyjki Alex Lewis...". Przeniosła wzrok na twarz Jennifer i natychmiast pożałowała, że nie znajduje się teraz w wannie pełnej piranii.

- Gdyby Tommy nie wystąpił w twojej obronie, byłabyś już bezrobotna, młoda damo.

O, Boże... Zupełnie jak w szkole, pomyślała Alice i rzuciła Tommy'emu słaby uśmiech.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż przez ciebie na rezultaty naszej kampanii promocyjnej będziemy czekać co najmniej o miesiąc dłużej - ciągnęła Jennifer. - Musimy natychmiast przystąpić do działań, które mogą zminimalizować powstałe szkody, i chyba nie muszę ci mówić, że to ty wszystkim się zajmiesz.

Alice trochę się rozluźniła. Jennifer nie zamierza się jej pozbyć, och, jak to dobrze... Przemknęło jej przez myśl, że powinna postawić Tommy'emu piwo, ale zaraz przypomniała sobie, kto rozebrał się do naga ubiegłej nocy. Przecież nie ona, prawda? Postanowiła, że dorysuje wąsy i krosty na plakatowym zdjęciu Tommy'ego. Należy mu się.

- Rozpoczynamy fazę pierwszą - przygotowujemy oświadczeń dla prasy. To powinno ci zająć co najmniej dzień i noc. Zobaczymy, jak będziesz się czuła jutro, ale sądzę, że po takiej harówce nigdy więcej nie pozwolisz Tommy'emu zachować się w tak nierozważny sposób... - Jennifer głośno postukała ołówkiem w blat biurka, dając Alice do zrozumienia, że ma natychmiast zabrać się do odprawiania pokuty.

Lecz Alice nawet nie drgnęła. Co najmniej dzień i noc... To znaczy, że dziś będzie do późna siedziała w pracy! „Co z Ró-

żanym Ogrodem?", chciała jęknąć, wiedziała jednak, że nie odniesie to żadnego skutku. O szóstej dziś wieczorem będzie sklejała fragmenty tekstów o Tommym, natomiast mężczyzna jej marzeń (być może) będzie czekał w Różanym Ogronie, z miłosnymi wyznaniem na ustach. Cholera, cholera, cholera! Chętnie udusiłaby Tommy'ego razem z jego ekshibicjonistycznymi zapędami.

Kiedy wypiła trzynastą tego ranka kawę, zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna zaangażować do pomocy kogoś, kto poszedłby do Różanego Ogrodu i wręczył list od niej tajemniczemu wielbicielowi. Dopiero po paru minutach uświadomiła sobie, że tajemniczy wielbiciel nie rozpozna przysłanej przez nią osoby i vice versa. Dobry Boże, będzie tam siedział i siedział, aż do północy, ze wzrokiem wbitym w drzwi, złąkniony widoku jej twarzy... Co za okropna historia...

- Skonam z rozpaczy! -jęknęła, uderzając się w czoło nabojem z tuszem do drukarki.

- Daj spokój, skarbie, to tylko maszyna - zauważyła Lysette, która niespodziewanie pojawiła się za plecami Alice.

Lysette spędziła cały ranek na zebraniu i teraz Alice o mało nie udusiła jej z ulgi, że wreszcie ma się do kogo odezwać.

- Lysette, potrzebuję twojej pomocy - oświadczyła, przykucając przed drukarką i podnosząc z podłogi strzępy kartek.

- Nie licz na to, że włożę rękę do tej piekielnej drukarki - powiedziała Lysette, zwracając w stronę biurka.

- Błagam cię! Chodzi o tajemniczego wielbielca!

Alice czuła, że wzmianka o tajemniczym wielbicielu na pewno przyciągnie uwagę Lysette i miała rację - przyjaciółka natychmiast położyła trzymane w ręku dokumenty na kserokopiarce i spojrzała na Alice z ciekawością.

- Gdybyś usiadła przy stoliku z książką i obserwowała wszystkich wchodzących mężczyzn, byłoby świetnie. Mogłybyśmy zgromadzić bank danych, na podstawie których na pewno udałoby się określić jego wygląd, przynajmniej z grubszą... - Alice pochyliła się nad kserokopiarką, udając, że jest bardzo zajęta, ponieważ w pobliżu przemknęła Jennifer.

- Przykro mi, Alice, bardzo chciałabym ci pomóc, ale aku-

rat dzisiaj nie mogę. Umówiłam się z facetem, którego matka mieszka w Walii...

- Matka w Walii? A co ona ma z tym wspólnego? - zapytała udręczona Alice.

- Walia sąsiaduje z Anglią, prawda?

Alice kiwnęła głową.

- No, właśnie. W każdym innym wypadku zabrałabym faceta do Różanego Ogrodu i upiekła dwie pieczenie przy jednym ogniu, ale ten jest potencjalnym materiałem na męża. Chodzi mi o tę Walię i tak dalej, sama rozumiesz...

Lysette była tak podekscytowana perspektywą złowienia teściowej zamieszkałej w Colwyn Bay, że Alice nie miała sumienia naciskać. Postanowiła jednak podsunąć Lysette dodatkową marchewkę.

- Zaprosiłam tu Simona, a on jest spokrewniony z Plantagenetami - powiedziała, czując się jak ostatnia zdrajczyni, ponieważ doskonale wiedziała, że Simon raczej nie jest potencjalnym materiałem na męża.

- Twój kuzyn Simon na pewno jest cudowny, ale nie wiem, czy mnie zechce, natomiast co do Garetha mam absolutną pewność - rzekła Lysette miłym, lecz zdecydowanym tonem.

Alice zrozumiała, że dalsze podchody nie mają sensu.

- Wiem, kochanie - westchnęła. - I wcale nie zamierzam robić ci złudnych nadziei. Nie mam zielonego pojęcia, czy Simon kiedykolwiek zechce zamieszkać na stałe w swoim zamku.

- Nie przejmuj się, skarbie, domyśliłam się tego. Tak czy inaczej, Gareth jest super. - Lysette uśmiechnęła się z rozmarzeniem i bez pośpiechu wróciła do swojego biurka.

I co ja mam teraz zrobić, pomyślała Alice. Nie mogła zwrócić się o pomoc do Tash, ponieważ Tash natychmiast zadzwoniłaby na policję i zażądała otoczenia Różanego Ogrodu kordonem oraz przeprowadzenia łowów na zbrodźcę. Cholera jasna! Nie miała innego wyjścia, jak tylko spróbować skończyć przygotowywanie informacji dla prasy przed godziną osiemnastą.

\*

Paddy spojrział na zegarek. 19.30. Zgniół kolejnego papierosa w popielniczce z napisem CINZANO. Alice nie przyjdzie. Może postąpił zbyt pochopnie, posyłając jej czekoladki w kilka godzin po spotkaniu u Lizzy, ale czuł, że musi ją znowu zobaczyć, i tyle. Dziś rano nie był nawet w stanie wydusić z siebie jakiegokolwiek poezji. Wiersze, które podsuwała mu pamięć, nie wydawały mu się wystarczająco szczere. Zastanawiał się, czy Alice domyśliła się, że to on przysłał jej czekoladki. Starał się zawrzeć w liście jak najwięcej wskazówek, między innymi sugestię, że musi być głodna, bo przecież Izzy nakarmiła ją tylko ryżowymi ciasteczkami. Pomyślał, że im szybciej wszystko stanie się jasne i oczywiste, tym lepiej. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że ktokolwiek mógłby nadać jego poczynaniom złowrogię znaczenie, ale kiedy wczoraj wieczorem wszyscy zaczęli rozmawiać o prześladowującym Alice zboczeńcu, przeżył wstrząs. Jezu Chryste, jeżeli ludzie w ten sposób osądzają dobre, staromodne zaloty, to chyba lepiej żyć w celibacie. W tej chwili przypomniał sobie twarz Alice...

Od wielu dni starał się zrozumieć, co takiego sprawiło, że czuje do niej to, co czuje. Na pewno nie chodziło o to, że nie może jej zdobyć, chociaż Jack sugerował, że właśnie tak sprawy się mają. Nie, oczywiście że nie. Miewał już kobiety, które grały wyniosłe księżniczki, i szybko się nimi nudził. W przeciwieństwie do większości mężczyzn, więcej satysfakcji czerpał z przebywania z partnerką niż ze zdobywania jej. Uważał, że cały ten wychwalany przez innych okres oczekiwania był tylko stratą cennego czasu. On wolał cieszyć się bliskością kobiety niż drzeć z niepewności, ale tym razem było inaczej. Pamiętał wszystko, co składało się na obraz Alice, który zachowała jego pamięć: jej bladą skórę, lekko zaróżowioną na policzkach pod jego spojrzeniem; gest, jakim odgarniała z czoła jeden niesforny lok; malutką zmarszczkę nad górną wargą, widoczną tylko wtedy, gdy się uśmiechała; łagodny, uspokajający rytm mowy (wczoraj długo jej słuchał, a kiedy wyszła, miał wrażenie, że w pokoju zapanowała kompletna cisza, chociaż inni nadal gadali jak najęci); marmuro-

wobiały krągłości ciała... Kształty Alice wydawały się stawić opór godzinom ćwiczeń w siłowni, ku jej rozczarowaniu i zachwytowi Paddy'ego. Boże, nie powinien myśleć o jej ciele, zwłaszcza teraz, kiedy stało się oczywiste, że nie przyjdzie... To zbyt wielka męka.

Gdzie w tej chwili jest? Może powinien ją znaleźć i wyznać wszystko jak na spowiedzi? Powiedzieć, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Nie wiedział nawet, czy rzeczywiście tak było, bo wtedy, na samym początku, nie miał jeszcze zielonego pojęcia o miłości. Może jest z tym całym Charliem, facetem, który żyje zgodnie z hasłem: „Panie, daj mi dobry samochód, to przelecę ptaki"... Tyle że w oczach Alice fakt posiadania dobrego, a nawet najlepszego samochodu, na pewno nie miał żadnego znaczenia.

Palce Alice poznaczone były zadrapaniami od papieru, a rano jeszcze biały kostium ze spodniami teraz straszyl plamami niebieskiego atramentu i smugami czarnego tuszu. W wielkiej hali nie było nikogo, telefony przestały dzwonić wiele godzin temu. Zapalona lampa na jej biurku była chyba jedynym znakiem życia w gmachu, jeżeli nie liczyć odgłosu kroków przechadzającego się korytarzem strażnika. Alice wciąż tkwiła przy biurku, z plecami zgiętymi w kabłąk. Spojrzała na zegarek. Na randkę była w tej chwili spóźniona trzy i pół godziny, i nawet gdyby zjawiła się w Różanym Ogrodzie, tajemniczy wielbiciel i tak by jej nie poznał. Poza sporniewieranym garniturem miała jeszcze worki i sine cienie pod oczami, a także, co doprawdy trudno było wyjaśnić, mnóstwo papierowych kółeczek z dziurkacza we włosach. Jeszcze raz wyciągnęła list i uważnie go przeczytała. Nie ulegało wątpliwości, że dzisiaj nie dane jej będzie zaznać większej bliskości z tajemniczym wielbicielem, zresztą może już nigdy...

Kiedy o północy wreszcie wyszła z pracy, kazała taksówkarzowi przejechać obok Różanego Ogrodu, ale bar był już zamknięty na głucho, krzesła z pomarańczowego plastiku ustawione jedno na drugim na stolikach, a na ulicy stały czarne foliowe torby ze śmieciami. Alice bezwładnie opadła na

siedzenie i prawie rozpłakała się ze zmęczenia oraz frustracji. Życie było wściekłą suką, podobnie jak jej szefowa.

Tash nie wróciła do domu od chwili swego niezwykłego porannego zniknięcia i powietrze jeszcze pachniało wymarzoną wieczorem Alice - perfumami i lakierem do włosów. Telefon migotał czerwonym światełkiem, sygnalizując jedną nagraną wiadomość. Alice wstrzymała oddech. Wiedziała, że to nie może być on, bo przecież nawet nie miał jej numeru, ale była to ostatnia nadzieja fatalnego dnia, więc uchwyciła się jej kurczowo. Czuła, że jeśli i to zawiedzie, równie dobrze mogłaby pójść do łazienki i podciąć sobie żyły.

- Alice, tu Charlie. Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. Bardzo mi przykro, że nie mogłaś wtedy pojechać ze mną do L'Orangerie, więc zarezerwowałem stolik na przyszły czwartek, na dwudziestą. Przyjadę po ciebie.

O, Boże, podaj mi brzytwę, jęknęła w myśli.

- Zarozumiały kutas! - warknęła głośno, rzuciła butem w telefon i załała się łzami.

Na podjeździe zatrzymał się samochód i parę chwil później otworzyły się drzwi wejściowe. Tash wyglądała na równie zmęczoną i zgnębiaoną jak Alice. Zmierzyła przyjaciółkę ponurym spojrzeniem i runęła na kanapę obok niej.

- Chyba to jest odpowiedni moment na wino i czekoladę - mruknęła, wyciągając butelkę czerwonego wina ze swojej małej torebki.

Nie wspominaj o czekoladzie, pomyślała Alice, której znowu łzy zakręciły się w oczach. Gdyby rano nie wlaźła w ofiarowane przez tajemniczego wielbiciela pudełko, miałyby gastronomiczną pamiątkę po nim, którą przez całą wieczność przechowywałyby na dnie szuflady. Wyjmowałyby je od czasu do czasu i rozdrapywała rany, zastanawiając się nad tym, co mogło być się wydarzyć... Albo też raz w tygodniu (albo w miesiącu) wsuwałyby do ust jedną czekoladkę i smakowała słodycz jego namiętności... To byłby o wiele bardziej namacalny dowód uczucia niż randka, na którą nie dotarła, czy pognieciony list. Tash przyniosła z kuchni dwa kieliszki oraz czekoladę Toblerone wielkości starożytnego Egiptu.

- Wydaje mi się, że to się nam należy. - Podała Alice kieliszek grzesznie drogiego czerwonego wina i połowę czekolady. - Zaraz, zaraz, czy to jest mój kostium od Versace?

Alice kiwnęła głową, zbyt zmordowana, aby bić się w piersi i obiecywać, że o świcie odda garnitur do pralni chemicznej, gdzie zostanie on doprowadzony do stanu absolutnej nieskazitelnosci.

- Nigdy go nie lubiłam - mruknęła Tash. - Mój tyłek wygląda w nim jak beczka...

- Czy celem tej orgii jest ostateczne zatopienie w mrokach niepamięci podłego reżysera zdjęć? - zapytała Alice, podnosząc kieliszek.

- Nie do końca. Wieczorem reżyser ma zabrać żonę na kolację i wyjaśnić jej, jak się sprawy mają. Boże, ja chyba po prostu nie potrafię z niego zrezygnować...

Tash rzadko sprawiała wrażenie osoby kruchej i wrażliwej, ale właśnie teraz była to jedna z tych rzadkich chwil.

- Chcesz, żeby zostawił żonę? - Alice w końcu zdobyła się na zadanie oczywistego pytania.

- Nie. To znaczy... Widzisz, on mówi, że to zrobi. Powiedziałam mu, że jeżeli się na to nie zdecyduje, nie będę się z nim więcej widywać. No, bo tylko pomyśl - jak mogłabym świadomie sypiać z żonatym facetem...

- No cóż, to ludzka rzecz - odparła Alice.

Nagle przyszło jej do głowy, że może tajemniczy wielbiciel jest żonaty i stąd cała ta niezwykła aura wokół ich dotychczasowych kontaktów.

- Tak czy inaczej, to nie moja decyzja - westchnęła Tash. - Ale on ma takie cudowne ramiona, Alice... Widziałas jego ramiona? Och, nieważne, nie mówmy już o nim. Powiedz lepiej, jak jest między tobą i Charliem.

Alice miała szczerą chęć wyznać wszystko jak na spowiedzi, lecz nie bardzo wiedziała, czy naga prawda nie urazi Tash.

- Charlie jest... Jest dosyć czepliwy - zaczęła. - Nie mogę powiedzieć, żeby to był facet dokładnie w moim typie...

Czepliwy... Oto eufemistyczne określenie człowieka, którego nie sposób się pozbyć ani do siebie zrazić... Człowieka,



który przywiązuje kobietę do krzesła... Alice przełknęła pół kieliszka wina i wetknęła sobie do ust dwa trójkąty czekolady.

- Szkoda, że Alan nie jest czepliwy w stosunku do mnie - powiedziała Tash.

- Chyba z nim zerwę, Tash - wykrztusiła Alice.

- Jasne, skoro tak uważasz, chociaż z drugiej strony Charlie to świetna partia. Mówiłam ci, że jednym z jego klientów jest Mel Gibson, prawda? - Tash poklepała Alice po kolanie.

Obie przez chwilę w milczeniu rozważały swoje prywatne nieszczęścia i pochłaniały czekoladę Toblerone.

- Jutro nie powinnyśmy w ogóle wstawać ani odsłaniać okien - odezwała się Tash. - Mogłybyśmy cały dzień odpoczywać i malować paznokcie u nóg. Pieprzyć ten świat...

- Dobry pomysł. - Alice uściśnęła dłoń Tash, potwierdzając zawarcie umowy.

A ponieważ nie wybierały się do pracy, postanowiły posiedzieć dłużej. Tash wsunęła do odtwarzacza wideo kasetę z filmem *Wściekłe psy* i obie zaczęły zarykiwać się ze śmiechu. Psychopatyczne cząstki ich duszy były przyjemnie poruszone obrazem złych do szpiku kości mężczyzn.

## Rozdział 22

Randka z Charliem znowu zbliżała się wielkimi krokami i Alice niechętnie uświadomiła sobie, że nikt poza nią samą nie zdoła wypłatać jej z tej sytuacji. Było oczywiste, że Charlie nie zniechęci się do niej, choćby nie wiadomo ile razy narzygała mu na garnitur. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że Charlie jest nią aż tak bardzo zainteresowany. Jak zwykle schowała głowę w piasek i przyjęła pozycję strusia. Na myśl o dwóch facetach - Tomnym i Charliem - robiło jej się po prostu niedobrze, natomiast o dwóch innych - Paddym i tajemniczym wielbieliu - uwielbiała myśleć. Tamtego wieczoru o mało nie pocałowała Paddy'ego. Dzięki Bogu, że tego nie zrobiła, bo spotkałoby ją wielkie upokorzenie. Swoją drogą, jak do tego doszło, że Paddy związał się z osobą pokroju Izzy? Paddy jest przystojny, mądry i dobry, Izzy piękna, natomiast Alice mądra i dobra. Nietrudno zauważyć, jaka cecha liczy się najbardziej, pomyślała, przyglądając się swemu odbiciu. Dałaby głowę, że jej nos rośnie. A może było to tylko złudzenie, głównie dlatego, że przywykła do widoku zadartych kalifornijskich nosów? Chyba ja także powinnam dać sobie zoperować nos, pomyślała, zaciskając palce na czubku wspomnianego organu, aby sprawdzić, jak by wyglądał krótszy o parę milimetrów.

- Powinnyśmy urządzić imprezę, choćby po to, żeby dowieść sobie, że nadal jesteśmy młode i pełne energii - oświadczyła Tash, która właśnie weszła do łazienki i przysiadła na

brzegu wanny, podczas gdy Alice eksperymentalnie wykonywała symulację drobnych operacji plastycznych. - Najwyższy czas, abym znalazła sobie faceta, który nie musi dzwonić do żony z usprawiedliwieniami za każdym razem, gdy zabiera mnie na kolację...

Alice zastanawiała się, jak długo Tash wytrzyma bez Alana. Nigdy nie widziała, by przyjaciółka była aż tak zafascynowana mężczyzną, nawet w szóstej klasie. Natomiast jeżeli chodzi o dowodzenie sobie, że nadal są młode i pełne energii, to cóż... Alice doskonale wiedziała, że Tash nienawidzi nieporządku, jaki zawsze zostawiają po sobie goście, zwłaszcza petów w doniczkach oraz plam po czerwonym winie na ścianach. Znadto lubiła swój dom.

- Świetny pomysł - powiedziała głośno, robiąc sobie lifting metodą mocno ściągniętego końskiego ogona.

Była pewna, że plany Tash nigdy nie wkroczą w fazę realizacji.

- Pomyślałam, że doskonałym tematem byłoby „życie w mieście lat siedemdziesiątych” - dodała Tash.

- Jasne - odparła Alice z roztargnieniem. - Mnóstwo fajerków i tak dalej...

Aż do bólu znała koszmar imprez kostiumowych w aurze lat siedemdziesiątych. Wszyscy puszczają wtedy piosenki ABBY, a dziewczyny wciskają się w spodnie, które wiele lat temu nosiły ich matki, tyle że te ostatnie wyglądały w nich jak Aniołki Charliego, natomiast ich córki sprawiają wrażenie Aniołków z Piekła Rodem, Upadłych Aniołków o za tłustych udach i obwisłych tyłkach. Nigdy więcej. Na taką imprezę Alice mogłaby włożyć jedynie pikowany, luźny kaftan i długą spódnicę. Co za szczęście, że nie będzie musiała przeżywać tych katuszy...

Jednak kiedy następnego dnia wróciła z pracy, na stoliku przy telefonie znalazła co najmniej setkę zaproszeń na papierze z pozłacanymi brzegami. Z kuchennych szafek wysypywały się shakery do koktajli oraz rurki i ozdobne pałeczki do napojów. Dziwne, ale zaplanowane przez Tash przyjęcie najwyraźniej wyszło już poza etap listy gości, sporządzonej tylko

do połowy i porzuconej pod stosem gazet... Alice miała teraz na głowie ważniejsze sprawy. Do randki z Charliem pozostał już tylko tydzień, a ona nadal nie wpadła na pomysł, jak go definitywnie rzucić.

Ostatnio raz po raz słuchała piosenki pod tytułem *Pięćdziesiąt sposobów na porzucenie kochanka*. Wsiadaj w autobus, Gus. Niezła propozycja... Alice długo i bez skutku starała się znaleźć rym do swojego imienia. Może właśnie dlatego nie potrafiła rzucić Charliego... Gdyby nazywała się Sam, wszystko byłoby o niebo łatwiejsze - przygotuj nowy plan, Sam. Wreszcie zwróciła się o pomoc do Lysette.

- Po prostu tym razem powiedz mu to bez ogródek - poradziła Lysette.

- Nie mogę. Tash uważa, że zrobiła mi wielką przysługę i że między mną i Charliem wszystko świetnie się układa...

- To tylko dowodzi, że Tash nie jest zbyt spostrzegawcza.

- No, dobrze, zrobię to w poniedziałek - jęknęła Alice, szarpiąc kolczyki. - Ale najpierw... Wygląda na to, że w tę sobotę Tash urządza imprezę. Przyjedziesz, żeby osłaniać mnie przed Straszny Szponem?

- To znaczy Zboczonym Charliem?

- A kimże innym... - Alice westchnęła.

Zamierzała włożyć największą perukę afro, jaką uda jej się znaleźć na Melrose Avenue, i obcisłe białe dzwony. Miała nadzieję, że ten kostium skutecznie odstraszy Charliego, ale na wszelki wypadek wolała mieć u swego boku Lysette z zastrzoną na końcu pałeczką do koktajli.

Nadeszła sobota. Alice i Tash zabrały się do odtwarzania w salonie atmosfery lat siedemdziesiątych. Od znajomego pracującego w rekwizytorni Paramount Pictures pożyczyły dyskotekową kulę, która ostatni raz widziała światło dzienne podczas zdjęć do *Gorączki sobotniej nocy* z Johnem Travoltą, następnie Alice poświęciła większą część przedpołudnia na przygotowywanie koreczków z żółtego sera i ananasa. Jej pokłute wykałaczkami palce do złudzenia przypominały miniaturowe sitka.

- Liczę, że goście przyniosą sami prochy, jakich **będą** chcieli użyć - rzekła Tash, wkraczając do kuchni w lśniącym topie z jednym ramiączkiem, którego widok od razu budził podejrzenia, że gdzieś w pobliżu czyha wielki idol lat siedemdziesiątych, Bryan Feny. - Jak wyglądam?

Alice zlizwała krew z palców i entuzjastycznie pokiwała głową.

- Cudnie - odparła. - Mogę pożyczyć twoje białe spodnie?

Przez twarz Tash przemknął wyraz nieukrywanego przerażenia.

- A nie wolisz czarnych króciutkich szortów? - zapytała. - Wyglądałabyś w nich bardzo seksownie...

Subtelność nie była mocną stroną Tash, ale tym razem Alice się ucieszyła, że w białych spodniach będzie wyglądała fatalnie, bo w końcu właśnie o to chodziło. Może jednak zdoła zniechęcić Charliego...

- Przejrzyjmy jeszcze na wszelki wypadek listę gości, dobrze? - poprosiła, chcąc się upewnić, że nie czekają ją żadne paskudne niespodzianki.

- Mimi, Fifi, Izzy, Tommy...

Po paru chwilach Alice doszła do wniosku, że imiona wszystkich zaproszonych po prostu muszą kończyć się na „i”. Po następnych pięćdziesięciu całkowicie się wyłączyła.

- Jordi, Suzy... I to już wszyscy. - Tash odłożyła listę i zaczęła napełniać lodem plastikowego ananasa.

Alice poszła do siebie, aby sprawdzić, czy kot nie porwał jej peruki.

O dziesiątej wieczorem dom wibrował rytmem dyskotekowych melodii i wyglądał jak scenografia do pokazu mody w stylu retro. Atmosferę tworzyły nie tylko piosenki zespołów The Wombles oraz Brotherhood of Men, czy zszywane z kawałków skóry marynarki i dzwoniaste spodnie, które w latach siedemdziesiątych były znakiem firmowym każdej londyńskiej ulicy, o, nie. To była tylko drobna część aury tego przyjęcia. Chłopcy całowali dziewczęta, te zaś wymieniały pieszczoty z innymi dziewczętami, a starannie wyrównywane linijki kokainy znikwały jedna za drugą. Satynowe spodnie lśniły

w migotliwym świetle lamp, jakaś dziewczyna śpiewała piosenkę *Halston, Gucci, Fiorucci* pod palmą w ogrodzie na tyłach domu. Na błyszczących sukniach widniały plamy po drinkach, a kolejka chętnych do uprawiania seksu w łazience ciągnęła się wzdłuż całego korytarza aż do sypialni Alice, gdzie Tommy, korzystając ze statusu gwiazdora oraz uroków intelektualnych świeżo odkrytego ateizmu, wydobywał jęki rozkoszy z gardła podobnej do Jeny Hall dziewczyny, opartej o drzwi. Alice nalała sobie kolejną porcję ponczu i postanowiła nie dotykać klamki, dopóki nie wyczyści jej antybakteryjnym środkiem czyszczącym.

Większość gości mocno ją onieśmiałała, zbliżyła się więc do grupy znajomych Tash, głównie aktorów zatrudnionych przy ostatnim filmie. Wszyscy byli bardzo mili, lecz rozmawiali przede wszystkim o swoich rolach.

- Najwięcej satysfakcji sprawiło mi szefowanie komórce wywiadu MI5 - oświadczył jeden z nich wyraźnie brytyjskim akcentem.

- Mój Boże, to musiało być fascynujące! - powiedziała Alice, zdumiona, że tamten w tak otwarty sposób mówi o swojej pracy.

Nie ulegało wątpliwości, że od czasów Bonda w brytyjskim wywiadzie zaszło mnóstwo zmian.

- Cóż, zwykle grywam czarne charaktery, więc była to pewna odmiana! - Facet roześmiał się i zaczął całować w ucho mężczyznę w wieku swego wnuka, jeśli oczywiście miał wnuki.

Alice z zadowoleniem popijała cinzano i obserwowała wszystkich z wygodnego zagłębienia kanapy, kiedy na ganku rozegrał się pierwszy dramat tego wieczoru.

- Zostawiłem ją, skarbie - gruchał kojąco miękki i niski męski głos. - Myślałem, że będziesz zadowolona...

Kobieta nie odpowiadała. Najwyraźniej nie zamierzała rozmawiać ze swoim partnerem.

- No, przestań się dąsać, kochanie - ciągnął mężczyzna. - Kocham cię, tylko dlatego to zrobiłem. Teraz możemy być razem.

Milczenie, a potem głośny odgłos uderzenia ciała o ciało. Niewątpliwie kobieta (w każdym razie Alice zakładała, że jest to istota rodzaju żeńskiego) wykonała jakiś dramatyczny gest. Po sekundzie ciszy z ganku zabrzmiały kolejne zapewnienia o miłości. Alice byłaby zachwycona, gdyby dane jej było stać się adresatką tych namiętnych zaklęć. Kim była ta niewdzięczna kusicielka, która jednocześnie uwodziła mężczyznę i karciła go ostrym policzkiem?

- Kocham cię, Tash...

Ach, więc to tak... Alan w końcu porzucił żonę. Dlaczego Tash nie była szczęśliwa, na miłość boską? Alice wtuliła się głębiej w kanapę i zapragnęła, aby ktoś pokochał ją równie mocno. Nawet Jamie, który jakoby miał być miłością jej życia, namówił kolegę, aby ten zaprosił Alice do pubu, i podczas gdy ona czekała na kieliszek białego wina przy barze, zaczął ją obmacywać. Tak wyglądał niezwykle romantyczny początek ich związku... Powinna była od razu odczytać to jako zły znak.

Alice zaczęła powoli zapadać w drzemkę na kanapie, kiedy z głośników rozległa się piosenka *Voulez-vous coucher avec moi ce soir?* Czterdzieści dziewcząt zawołało głośno: „Tak!” w odpowiedzi na to pytanie, zalotnie kołyszając biodrami i miotając włosami. Nagle zza minibarku wyłonił się Charlie.

- Masz ochotę zatańczyć, Alice, czy raczej wolisz przespać się ze mną *ce soir?* - zapytał i roześmiał się z wyraźnym zadowoleniem.

Dobrze, że przynajmniej sam się uważa za zabawnego, pomyślała Alice. Wyprostowała się i potargała perukę, dzięki czemu wyglądała na kompletną wariatkę. Zaciśnęła też uda, przez co jej cellulitis wyraźnie odznaczył się pod cienkim płótnem spodni, chwyciła marynowane cebulę ze stojącego obok talerza i zaczęła ją głośno chrupać.

- Przepraszam cię za tamten wieczór, Charlie - powiedziała. - Tak się jakoś składa, że ciągle rzygam na facetów...

Miała nadzieję, że Charlie spojrzy na nią z obrzydzeniem, ale nic z tego. Można było odnieść wrażenie, że jej słowa warły zupełnie odwrotny skutek.

- Świetnie, wobec tego nie muszę brać sobie tego do serca. Hej, czy nie powinniśmy trochę poćwiczyć przed środą? Może jeszcze raz pokazałabyś mi to swoje słynne łóżko? - Usadowił się obok Alice i objął ją.

Alice rozejrzała się rozpaczliwie. Gdzie się podziała Lysette, do diabła?! Chyba nie zaprosiły jakiegoś aktora o arystokratycznym rodowodzie, który zapałał do niej miłością od pierwszego wejrzenia i natychmiast ją porwał... Przebiegła wzrokiem po rozkołysanych biodrach i niespodziewanie ujrzała najmniejszy tyłek świata, wtłoczony w najmniejsze i najbardziej seksowne szorty. Izzy. W tej samej chwili Izzy się odwróciła, ukazując miniaturowy staniczek bikini, pod którym z trudem krył się jędrny, kalifornijski biust. Ona także zauważyła Alice, niestety. Podeszła do kanapy, chwycąc się na bardzo wysokich obcasach i stanęła przed nimi.

- Jest Tommy? - zagadnęła, nawet nie udając uprzejmości.

- Kiedy go widziałam, pieprzył się z jakąś dziewczyną pod moim pokojem - odpaliła Alice, która nie zamierzała zwracać sobie głowy problemami Izzy.

- Nie wie, że tu jestem, tak?

Było to retoryczne pytanie. W odpowiedzi Alice przybrała wyraz twarzy Myny Lisy.

- Alice i ja właśnie się tam wybieramy - rzekł Charlie. - Może pójdziesz z nami?

Jego dwuznaczna propozycja wydała się Alice obrzydliwa, lecz naturalnie łatwo było ją przewidzieć. Przez głowę przemknęła jej myśl, że rozdmuchane do monstrualnych rozmiarów ego Charliego i takie samo Izzy nigdy nie zmieściłyby się w jej łóżku. Ze znudzoną miną pochłaniała następną cebulkę, starając się nie widzieć, jak Charlie taksuje spojrzeniem nogi Izzy. Rozejrzała się po pokoju. Mimo woli szukała wzrokiem Paddy'ego. Może przyszedł tu razem z Izzy... Jeżeli tak, to popatrz tylko na niego z daleka stęsknionymi oczami i wyobrazi sobie, że w jego zielonych źrenicach kryje się miłość i czułość. Była to niezwykle przyjemna iluzja, znacznie miłsza niż świadomość bliskości Charliego.

- Depiluję je woskiem - oznajmiła Izzy, wprowadzając



Charliego w szczególności pielęgnacji skóry. - Czasami pozwalam nawet robić to moim kochankom...

- Czy to boli? - Charlie się ożywił.

- Zdarza się, że bardzo boli. - Izzy uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

Charlie obdarzył ją zachwyconym spojrzeniem. Wyraźnie mu się spodobała.

O, Boże... Alice miała ochotę jęknąć głośno, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Jeżeli Izzy gustuje w zabawach z kajdankami i maskami, to pewnie i Paddy nie stroni od tego rodzaju rozrywek... Nie zniósłabym tego, pomyślała, jedno masochistyczne doświadczenie wystarczy mi na całe życie. Podniosła się, pozostawiając Izzy i Charliego pogrążonych w rozmowie o budzącym słodki dreszczyk przekraczaniu różnych progów bólu.

- A kiedy zrywasz plaster, robisz to szybko czy powooooo-li? - dopytywał się Charlie, przymykając oczy z rozkoszy.

Prawie omdlewająca z podniecenia Izzy usiadła obok niego i położyła dłoń na jego udzie.

Alice wyszła do ogrodu i usiadła na ławce pod murem. Dobiegające tu przez otwarte okna dźwięki muzyki i wybuchy śmiechu zagłuszały szum morza, lecz powietrze przesiąknięte było zapachem wodorostów i wilgotnego piasku. Czuła też marynowaną cebulę, której najadła się w odruchu obronnym. Co za szczęście, że wreszcie pozbyła się Charliego! Gdyby jeszcze teraz zjawił się przed nią Paddy... Z drugiej strony, może i dobrze, że go nie ma, bo ona wyglądała jak nieboskie stworzenie i w dodatku cuchnęła cebulą.

- Szukałem cię. - Wyraźnie usłyszała męski głos.

Nie śmiała się poruszyć, pełna obaw, że zapewne wpakowała się w sam środek romantycznej schadzki. Czekwała na odpowiedź kobiety, której szukał. „Tu jestem, kochanie, pomóż mi zdjąć biustonosz” lub coś w tym rodzaju. Dookoła panowała jednak zupełna cisza.

- Zatonęłaś w marzeniach, co? - Ten ktoś się roześmiał.

Zaraz, zaraz, przecież ona znała ten głos... Słyszała go w innym ogrodzie, pod innym księżycem... Paddy!

- Izzy siedzi na kanapie pod oknem, w każdym razie widziałam ją tam parę minut temu - powiedziała, nie odwracając głowy.

- Czy już zawsze będziemy się spotykać w podobnych okolicznościach? - Głos zbliżał się, kroki również.

Alice najwyczejniej w świetle bała się drgnąć.

- Czy zrobiłem coś nie tak? - ciągnął Paddy, chyba trochę zraniony.

Przełożył nogę nad oparciem i usiadł obok niej, wbijając wzrok w najbliższe drzewo. Alice usiłowała obserwować go kątem oka, lecz po paru chwilach zakreśliło się jej w głowie i musiała odwrócić spojrzenie. Właśnie dlatego nie zdążyła się zorientować, czy kąciaki warg Paddy'ego są uniesione w uśmiechu i czy jego oczy lśnią niebezpiecznie. Dzięki Bogu, że na nią nie patrzy... Oparła stopy na czubkach palców, aby uda wydawały się smukłej sze, a następnie ostrożnie ściągnęła perukę na jedną stronę, usiłując uczynić z niej filtr cebulowych oparów, którymi zanieczyszczała powietrze. Dopiero po tych zabiegach ośmieliła się odezwać.

- Cześć...

Dobry początek.

- Aha, więc jednak nie do końca opuściłaś ten świat. Przyszło mi już do głowy, że jesteś bardzo ładnym acz całkowicie niematerialnym zjawiskiem, które usadowiło się wśród tych róż.

Więc jednak... Gdyby powiedział jej, że przypomina mu kłowna, który uciekł z cyrku, byłoby to szczere, ale ten kawałek o różach i ładnym zjawisku był mocno naciągany.

- Izzy znowu wpuściła cię w ten kanał, tak? Cóż, jeżeli was to bawi, to w porządku. Swoją drogą ciekawe, dlaczego nie możesz sobie tego odpuścić...

Siłą powstrzymała łzy i przechyliła głowę na bok, żeby tusz jej się nie rozmazał. Tego tylko brakowało... Paddy się roześmiał. Tak, ten pozbawiony serca drań wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego zawsze, kiedy chcę cię pocałować, zaczynamy rozmawiać o Izzy? - zapytał, porzucając romantyczny ton.

- Może dlatego, że robisz to wszystko na jej polecenie -

wymamrotała. - Pocałuj głupią Alice, skarbie, żebyśmy mieli z czego się pośmiać...

Paddy zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Kochanie...

Boże, on odwraca się w jej stronę! Teraz ujął ją pod brode! Peruka zjeżdża z czoła, już zasłania brwi, no, wreszcie spadała... Leży między nimi na ławce, zupełnie jak smutny symbol przeklętego kłowna Koko. Alice zachłysnęła się łzami, natomiast Paddy ryknął śmiechem. Trudno. Przepocone pod peruką włosy przylepiły się do głowy, z ust jechało cebulą...

Paddy zauważył wreszcie spływającą po jej policzku łzę i zaniemówił.

- Kochanie, chciałem cię pocałować, ponieważ uważam, że jesteś piękna - odezwał się po chwili. - Dostrzegłem to już przy naszym pierwszym spotkaniu.

Alice stłumiła szloch i natychmiast dostała czkawki.

- Ale Izzy... - wykrztusiła.

- Izzy to tylko rozrywka.

Chciał wyznaczyć prawdę, powiedzieć, że towarzystwo Izzy pomaga mu szybciej przeżyć dni dzielące go od chwili, gdy mimo wszystko zdobędzie Alice, ale doszedł do wniosku, że powinien poczekać z tym wszystkim, aż dziewczyna trochę się uspokoi. Najlepiej będzie, jeśli zrobi to wtedy, gdy wyjaśni sprawę jakoby prześladowającego ją zbroczeniaka.

- Och, nie wątpię, że Izzy może dostarczyć mężczyźnie mnóstwo rozrywki i przyjemności. Chodź-ze-mną-do-łóżka-a-rozerwę-cię-na-zawsze - tak można by nazwać ten rodzaj zabaw, prawda?

Alice poddała się rozpacz. Nie miała cienia nadziei, że Paddy mógłby woleć ją, nie Izzy, a ponieważ czuła się okropnie, mówiła tonem udręczonej matki, której dziecko wmawia bezczelnie, że to złota rybka stłukła wagę z epoki Ming.

- Może i wyglądam jak kapusta, ale nie jestem aż taka zielona.

O, Boże... Jaka szkoda, że nie ma już na głowie peruki i nie może ukryć się za tymi okropnymi loczkami... „Gdy mężczyzna cię uwodzi, porównaj się do zielonolistnego warzywa -

to na pewno napełni serce twojego ukochanego nieugaszoną tęsknotą...". Skąd pochodzi ten cytat? Tak czy inaczej, jest kompletnie bzdurny.

- Mmmmmhmm... - Paddy nie spuszczał wzroku z jej twarzy, miała więc te zielone oczy wyłącznie dla siebie.

O czym on myślał, na miłość boską? Obydwoje drgnęli w tej samej chwili, poruszyli się w tę samą stronę, wreszcie udało im się i ich wargi się spotkały. Alice słyszała dobiegające z domu dźwięki, czuła ciepły smak martini w jego ustach i leciutki aromat ostatniego papierosa. Przebiegła językiem po gładkich jak porcelana zębach Paddy'ego. Zdążyła już kompletnie zapomnieć, jakim wspaniałym doznaniem może być pocałunek. I prawie wyleciało jej z głowy, że okropnie pachnie cebulą... Po długiej, cudownie długiej chwili oderwali się od siebie, spojrzeli sobie w oczy i roześmiali się cicho z czystej, najprawdziwszej radości.

- Więc jednak spotkaliśmy się w różanym ogrodzie - mruknął Paddy, zrywając gałązkę z jednego z cennych krzewów Tash i wsuwając kwiat za ucho Alice.

- Dziękuję - powiedziała, chociaż kolce paskudnie ją ukłuły. - Tak się cieszę...

Paddy położył dłoń na jej karku i znowu ją pocałował. Różowy płatek oderwał się od kwiatu i opadł na dłoń Alice, spoczywając na kolanie Patricka.

- Tym razem nie pozwolę ci uciec - szepnął, prawie nie odrywając warg od jej ust. - Ale teraz muszę już iść...

Alice była zbyt nieprzytomna ze szczęścia, żeby zrozumieć ostatnie słowa. W milczeniu skinęła głową. Paddy musnął pocałunkiem jej policzek i odszedł. Minęło co najmniej pół godziny, zanim pojęła, że Patrick nie wróci.

- Gdzie on się podział, jak sądzisz? - zapytała Lysette, opróżniając trzecią filiżankę kawy.

Była czwarta nad ranem i większość gości już dawno udała się do swoich lub czyichś łóżek. Alice i Lysette powoli trzeźwiały w kuchni, wśród pustych puszek po piwie i porzuconych części garderoby.

- Chyba poszedł do toalety - mruknęła Alice. Włożyła do

ust kawałek zeschniętego cheddara i natychmiast go wyjęła. - Nie mam pojęcia. W kluczowym momencie namiętnych spotkań mężczyźni zwykle znikają. Nigdy nie wiedziałam, dokąd wtedy idą i uważałam, że nie należy o to pytać. Zresztą, najczęściej po prostu idą po prezerwatywę czy coś w tym rodzaju, prawda?

Najwyraźniej Lysette nigdy nie zetknęła się z mężczyzną, który zniknąłby w kluczowym momencie namiętnego spotkania, no, chyba że po to, aby zanurkować pod kołdrę w celu dostarczenia partnerce jeszcze przyjemniejszych doznań. Spojrzała na Alice takim wzrokiem, jakby ta znalazła świętego Graala i chwilę później podała go przebiegającemu obok maratończykowi, tylko po to, aby napił się z niego wody i rzucił w przydrożne krzaki kilometr dalej.

- Może trzeba zawiadomić policję? - odezwała się Lysette, rozpuszczając tabletkę aspiryny na języku i usiłując dojrzeć, jak przebiega ten interesujący proces.

- Nie. Myślę, że chyba powinnam w ogóle zrezygnować z mężczyzn. Nawet Charlie rzucił mnie dzisiaj jak gorący kartofel, a przecież przynajmniej jemu cierpienie powinno sprawiać przyjemność. Spójrzmy prawdzie w oczy - nie ulega wątpliwości, że jestem najmniej pociągającą dziewczyną świata, w przeciwnym razie zwyczajni, spokojni mężczyźni nie czuliby potrzeby, aby zostawiać mnie w tak okrutny sposób, nie uważasz?

- Tylko nie mów, że nie ostrzegałyśmy cię przed tutejszymi facetami. - Lysette westchnęła. - Gdybyś miała choć odrobinę rozsądku, wróciłaśbyś do siebie i poszukała sobie męża wśród rodaków.

- Paddy pochodzi z Irlandii - jęknęła Alice. - Wcale nie jest Amerykaninem...

- Tak, ale Irlandia to jednak nie Anglia, prawda? Równie dobrze mogłaby pochodzić z New Jersey. - Lysette chyba po prostu nie mogła uwierzyć, że ktoś może mieć aż tak wielkiego pecha w sprawach uczuciowych. - I nie zapominaj o swoim tajemniczym wielbicielu. Założę się, że właśnie on okaże się mężczyzną twoich marzeń...

W kuchni zapanowało milczenie. Lysette co jakiś czas zerkała spod oka na Alice, która uważnie oglądała czarny koronkowy biustonosz, pozostawiony na krześle przez jakąś szczęściarę.

- Może noszę nieodpowiednią bieliznę? - zastanawiała się głośno Alice, nagle przypomniawszy sobie podobnie seksowną część garderoby, znalezioną na antenie telewizyjnej przy Bywater Street. - Nie opowiedziałś mi jeszcze o Garethcie. - Postanowiła zmienić temat.

- Nie bardzo mam ochotę o tym rozmawiać - rzekła Lysette, połykając następną aspirynę.

Alice uniosła brwi.

- Dlaczego?

- Nie zamierzam się z nim więcej widywać. Chodzi o jego matkę - ona wcale nie jest Walijką. Gareth mnie okłamał, żeby zrobić dobre wrażenie.

Lysette popiła aspirynę wodą. Alice ze zmęczeniem potarła czoło, usiłując nie rozważać zawilości umysłu przyjaciółki.

Kiedy wreszcie odkleiła się od lepkich plam na wpół zaschniętych drinków na kuchennym stole, za oknem zaczynało już świtać. Poszła do sypialni, usiłując nie obijać się o ściany, co było naprawdę trudne z uwagi na jej zmęczenie oraz stopień upojenia alkoholowego. Otworzyła drzwi, naciskając klamkę dłońią owiniętą w bluzkę, ponieważ w ostatniej chwili przypomniała sobie, co wyprawiał tu wieczorem Tommy. Pośpiesznie zrzuciła buty, zamierzając natychmiast wskoczyć do łóżka i obudzić się dopiero na prośbę przystojnego księcia, który złoży jej uroczyste przyrzeczenie, że zostanie z nią dłużej niż pięć minut, kiedy nagle dostrzegła w półmroku zarys trzygłowego potwora, wijącego się pod jej kołdrą. Wrzasnęła przeraźliwie i znieruchomiała, porażona strachem, gdy tymczasem monstrum wychynęło spod kołdry i okazało się nie jednym, lecz trzema potworami. Wzrok osłupiałej Alice spoczął na nagich ciałach Charliego, Izzy oraz Saffron, instruktorki aerobiku z siłowni, pokrytych brązową mazią. Sądząc po stojącym na stoliku przy łóżku słoiczku, wszyscy troje byli od stóp po szyję wysmarowani nutellą.

## Rozdział 23

Paddy nie widział Izzy od czasu przyjęcia u Alice, kiedy to nagle czmychnął, bo wystraszył się, że rozwścieczona Tash wpadnie na jego trop, i nie miał najmniejszego zamiaru spotykać się z Izzy teraz.

- Powiedz jej, że umarła mi babcia i wróciłem do Londynu - poinstruował Jacka, który jedną ręką zasłaniał słuchawkę.

- To samo mówiłeś w zeszłym tygodniu. - Jack wzruszył ramionami, w końcu to nie jego sprawa. - Patrick wrócił do Anglii, Izzy... Słucham? Czy widziałem jego paszport? Nie, ale... Czy jest wystawiony na Patricka Kennedy'ego? No, nie, sądzę, że na Patricka Wilde'a, bo mój kumpel tak się nazywa...

W słuchawce rozległ się dziki jazgot. Jack skrzywił się i odsunął ją od ucha.

- Zupełnie kopnięta - skomentował, odkładając słuchawkę i sięgając po piwo. - Więc zabierasz ją do L'Orangerie, tak?

- Kogo? - zapytał z roztargnieniem Paddy.

Zastanawiał się właśnie, czy umówić się z Alice w L'Orangerie, czy może zaryzykować i pojechać do niej volvem Jacka, którego teraz używał, ponieważ jego przyjaciela woziła swoim porsche Beatrice. Ostatecznie postanowił pojechać po Alice taksówką. W ten sposób będzie mógł spokojnie wytłumaczyć, że to właśnie on przysyłał liściki, kwiaty i czekoladki. Był pewien, że Alice zrozumie jego motywy, niepokoił się tylko, jak zareaguje ta jej zwariowana przyjaciółka.

Jeżeli widziałeś kobietę w wąłkach na głowie i z maseczką

na twarzy, musisz liczyć się z bezwzględną walką. Byłeś świadkiem, że nie zawsze jest piękna jak marzenie, więc ona nie cofnie się przed niczym, aby usunąć cię ze swojego życia, a w tym wypadku z życia najlepszej przyjaciółki, która jest prawdopodobnie zbyt słodka i łagodna, by protestować. Patrick wiedział, że musi bardzo uważać. Próżność kobiety jest niezwykle delikatną rzeczą. Tak czy inaczej, najpierw umówi się z Alice. Tak, to z pewnością będzie krok we właściwym kierunku.

Od dnia przyjęcia Alice żyła w Telefonicznym Piekło. Teraz, gdy wiedziała, że Paddy zna jej adres, nie mogła przestać myśleć, że gdyby wykazał się dostateczną determinacją, zadzwoniłby do niej. I choć nie było to łatwe, to przy odpowiednim wysiłku mogłoby mu się udać. Musiały się tylko dowiedzieć, jak nazywa się Tash, co nie nastroczało większych trudności, ponieważ wszyscy mieszkańcy południowej Kalifornii znali jej przyjaciółkę, a potem po prostu wybrać właściwy numer... Tyle że Patrick nie dzwonił. Może więc w ogóle mu na niej nie zależało?

Dni mijały powoli, a potęga Telefonicznego Piekła rosła. Przed wyjściem z domu zaklejała wtyczkę telefonu taśmą, na wypadek gdyby kot próbował wyrwać ją z gniazdka. Zawracała do domu mniej więcej trzy razy, bo przecież telefon mógł zadzwonić tuż po jej wyjściu. Po powrocie niedbałym krokiem podchodziła do telefonu, żeby Tash się nie zorientowała, o co chodzi, i kątem oka sprawdzała liczbę nagranych wiadomości, potem zaś odsłuchiwała je z bijącym sercem. Niestety, żadna z nich nie pochodziła od Paddy'ego. Kiedy była w domu, sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. Alice podskakiwała nerwowo za każdym razem, gdy rozlegał się dzwonek telefonu, pędziła, żeby chwycić słuchawkę jako pierwsza, a następnie konała z rozczarowania, bo dzwonił ktoś do Tash i rozmawiał z nią przez cenne dwie godziny. W środę miała nerwy w strzępach i ogryzione do żywego ciała paznokcie, a w czwartek rano zaczęła wyrównywać sobie zębami rozdwijające się końce włosów.



- Kawa czy herbata? - warknęła ze złością stewardesa.

Była w paskudnym nastroju, ponieważ przypadło jej dziś obsługiwanie klasy ekonomicznej, czyli zwykłej trzody. Guido powiedział, że klasą biznes podróżuje gwiazdor rocka, ale nie chciał się zamienić, mimo że wspomniany gwiazdor nie miał skłonności homoseksualnych, więc Guido i tak nie mógłby go poderwać.

- Macie ciemne piwo? - zapytał Gibbo, posyłając jej uśmiech spomiędzy dredów.

- Nie. - Dziewczyna odrzuciła koński ogon na plecy i przesunęła się do następnego rzędu. - Kawa czy herbata?

- Nie powinniśmy pić, Gibbo, po przylocie musimy być absolutnie przytomni - rzekł Simon, obracając w palcach pałeczkę do koktajlu.

- Stary, gdybyś mi wcześniej powiedział, że masz wpisane w paszporcie imię Icarus, poważnie bym się zastanowił, czy prosić cię o tę przysługę. To chyba jasne, że celnicy zaatakują cię jak ostra wysypka...

- Odpieprz się, Gibbo, dobra? W gaciach mam zaszytą jakąś cholerną paczuszkę, która bez przerwy mnie łaskocze, i nie potrzebuję twoich głupich uwag. Wszystko będzie w porządku. Wiem, co robię.

- Dzwoniłeś do tej swojej kuzynki? - zainteresował się Gibbo.

Miał nadzieję, że Alice okaże się ołśniewającą panienką z Los Angeles, którą zabierze z sobą do Melbourne na pamiątkę beztroskiej młodości.

- Nie, bo wiem, że nie będzie robiła żadnych problemów. To fajna dziewczyna. Zresztą, o czym my mówimy - i tak nie polecimy do Los Angeles, dopóki nie odczepimy się od tych facetów. - Simon zasłonił sobie oczy maską i spróbował zasnąć.

Było to bardzo trudne, ponieważ w prawy pośladek uwierała go przyklejona taśmą plastikowa torebka.

- Alice, to do ciebie! - krzyknęła z kuchni Tash.

Alice nawet nie usłyszała telefonu. Była siódma trzydzieści rano, środa, więc dzwonić mogła tylko matka, nikt inny, nie

miała co do tego żadnych wątpliwości. Myła właśnie zęby, łaskocząc sobie migdałki szczoteczką, i nawet nie zdążyła wypluć pasty.

- Hhhhallo? - zagulgotała.

- Alice? Tu Patrick. Słuchaj, wiem, że dzwonię w ostatniej chwili, ale może miałabyś ochotę pójść dziś ze mną na kolację... Koło ósmej, co ty na to?

To naprawdę był Patrick! Alice wypluła pianę z pasty Colgate do najbliższej doniczki.

- Doskonały pomysł... Ehm... - Nagle zabrakło jej pomysłu na dalszy ciąg rozmowy.

- Wobec tego przyjadę po ciebie, skarbie. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. Alice stała ze wzrokiem utkwionym w aparacie i bezmyślnie przeżuwała włosie szczoteczki do zębów. Miała tyle rzeczy do przemyślenia i tak mało czasu... Wieczorem, to znaczy dzisiaj wieczorem! Za parę godzin! Może powinna była odmówić?

- Zostało mi tylko dziesięć godzin! - jęczała, nerwowo ćwicząc skłony w siadzie płaskim na podłodze przy komputerze. - Nie mam czasu, żeby założyć aparat na zęby, nie mam czasu schudnąć o kilogram, moje włosy są koloru psiej sierści... O, mój Boże... I co z Charliem?!

Była blada i osłabiona, ponieważ zrezygnowała z lunchu, pragnąc jeszcze wyszczupleć przed kolacją.

- Wydawało mi się, że Charlie stuka Izzy i twoją osobistą instruktorkę aerobiku - zauważyła Lysette, przygniatając stopy Alice do podłogi.

- Bo stuka, ale nadal chce pójść ze mną na kolację dzisiaj wieczorem. Nie potrafiłam mu odmówić.

- Uspokój się, zadzwonię do niego i powiem, że przeszłaś na katolicyzm - oświadczyła Lysette. - Tą sprawą nie musisz się już przejmować. A jednego możesz być absolutnie pewna - Paddy zaprosił cię, ponieważ podobasz mu się taka, jaka jesteś.

Lysette była głosem rozsądku, który, niestety, nawoływał na pustyni.

- Nieee, to niemożliwe. Ale wcale nie zamierzam się zako-

chiwać. Może za jakieś trzy miesiące, kiedy będę osobą, jaką chciałabym i powinnam być, kiedy nauczę się francuskiego, załatwię wszystkie bieżące sprawy i zapuszczę paznokcie... A właśnie, widziałas moje paznokcie, Lysette? - zapytała, ciężko dysząc i rytmicznie waląc głową o podłogę.

- Usiądź na chwilę - poleciła Lysette.

Alice zamknęła się i posłuchała. Spojrzała przyjaciółce w oczy, spodziewając się nieuniknionych słów wielkiej mądrości, tymczasem Lysette walnęła ją w twarz otwartą dłonią. Alice odebrało dech i znieruchomiała.

- Dlaczego? - zapytała w końcu, zdębiała ze zdumienia.

- Dlatego - odparła Lysette i wróciła do swego biurka.

Alice nie była pewna, czy jest to wystarczający powód, aby znieważać przyjaciół, ale nie miała siły się spierać. Drastyczna kuracja Lysette sprawiła zresztą, że koło piątej poczuła się o wiele lepiej.

O siódmej w sekrecie nakładała makijaż w garderobie. Powiedziała już Tash, że nie będzie więcej widywała się z Charliem, lecz nie zdobyła się jeszcze na odwagę, aby wyznać, iż zamierza spotkać się z innym mężczyzną. Dlatego teraz musiała udawać, że koleżanka z pracy zaprosiła ją na kolację, by poprawić jej humor, i nie mogła otwarcie malować się zbyt starannie, bo Tash pomyślałaby, że za jej znajomością z niejaką Patricią, z którą zamierzała wpaść do baru z kurczakami z różną, kryje się coś dziwnego. Tash miała do północy tkwić w studiu montażu, ale tuż przed siódmą wpadła do domu, zachwycona i szczęśliwa, ponieważ żona reżysera zdjęć umówiła się na wizytę u psychoanalityka, wobec czego oni mogli się wybrać do teatru.

- Więc między wami znowu jest wszystko w porządku? - zapytała Alice, boczkiem wychodząc z garderoby.

- Powiedziałam mu, że dopóki nie dostanie rozwodu, nie ma mowy o seksie, ale nadal możemy cieszyć się wspólnymi rozrywkami umysłowymi. Uważasz, że tak jest w porządku? - zapytała Tash.

- Chyba tak - mruknęła Alice. - Więc Alan wszystko jej wyznał, tak?

- Tak twierdzi, ale ona przechodzi teraz przez fazę zaprzeczenia oczywiściej prawdzie i za nic nie chce mu uwierzyć. Dlatego tak niespodziewanie umówiła się z psychoanalitykiem. Alan przyjedzie po mnie o siódmej trzydzieści.

Potem Tash zniknęła w łazience, aby umyć zęby przed rozmową intelektualną. Ponieważ w tej chwili jej pozycja moralistki mocno osłabła, Alice zaczęła zastanawiać się, czy nie powiedzieć jej o Paddym, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Przyszło jej do głowy, że czułaby się tak, jakby ugryzła rękę, która ją karmi. Nie powinnam tego robić, pomyślała, przez pomyłkę malując usta koralową szminką.

- Ubrać się jak kochanka, czy jak osoba, która liczy na szybkie oświadczyzny? - Tash stanęła w progu pokoju Alice, prezentując wieszaki z dwoma identycznymi kostiumami.

Alice wstydliwie wyłoniła się zza szafy, ukazując fluorescencyjnie koralowe wargi.

- Jak przyszła narzeczona, zdecydowanie.

Miała nadzieję, że jeżeli reżyser zdjęć oświadczy się dzisiaj wieczorem, Tash wróci do domu tak późno, że w ogóle nie zauważy nieznanego Irlandczyka, który jutro rano będzie może mył zęby w jej łazience.

- Alice, dlaczego tak długo tkwisz w garderobie, i to w bieżni? - Tash pomyślała ze współczuciem, że rozstanie z Charliem mimo wszystko mocno zabolowało przyjaciółkę, i natychmiast poczuła się winna. - Możesz pójść do teatru razem z nami, jeżeli masz ochotę... - zaproponowała.

Alice ogarnęła fala wyrzutów sumienia. Oto szlachetna Tash, gotowa na poświęcenie, byle tylko zapewnić żalostnej Alice towarzystwo, a tymczasem podła, choć rzeczywiście żalostna Alice robi szlachetną Tash w konia. Gdyby nie była tak przerażona, może rozpłakałaby się ze wzruszenia na samą myśl o Tash i Alanie, którzy przez cały wieczór z pewnością zmusziliby się do okazywania zadowolenia z jej obecności, ale na szczęście szybko przypomniała sobie o czekającej ją randce z Paddym. Z Paddym, którego pocałunki miały smak martini i którego głos stopił kabel telefoniczny, gdy jego właściciel zadzwonił do Alice, żeby się z nią umówić.

- Dziękuję za zaproszenie, Tash, jesteś naprawdę cudowna, ale Patricia przyjedzie po mnie o ósmej i jest już trochę za późno na odwołanie kolacji. Poza tym w żadnym razie nie chciałabym zepsuć wam wieczoru... - Czuła się jak Judasz.

Och, Alice, pomyślała, jesteś zupełnie bezwstydną, teraz Tash będzie miała wyrzuty sumienia. Ty wstrętna, niewdzięczna krowo! Jak możesz?! Natychmiast postanowiła, że w ramach zadośćuczynienia nie umyje się drogim żelem pod prysznic, który ostatnio kupiła sobie Tash.

- Cóż, jeżeli jesteś pewna... Słuchaj, kochanie, ta szminka będzie wyglądać fatalnie w sztucznym oświetleniu...

Alice pośpiesznie wycofała się do garderoby, gdzie nałożyła na rzęsy obowiązkowe dwie warstwy tuszu i trzecią na szczęście. Musiała odrobinę uchylić drzwi, żeby zobaczyć, czy różuje policzki we właściwych miejscach, a nie tuż pod oczami lub na wysokości kości szczękowej. Przytrzymała drzwi, żeby Tash nie mogła wpaść zniecacka w chwili, gdy ona walczyła z zapięciem pasa do podwiązek. Potem starannie umościła piersi w miseczkach biustonosza, który znalazła na kuchennym stole po pamiętnym przyjęciu. Uprała go i doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy niczym nie różni się on od rzeczy z lumpeksów, oczywiście poza ceną. Zdawała sobie sprawę, że nie byłoby ją stać nawet na małą koronkową różyczkę, przyszytą między miseczkami, nie mówiąc już o całym biustonoszu, dlatego postanowiła skorzystać z tego daru losu. Aby odpowiednio zwieńczyć dzieło, pociągnęła dekolot i dolinkę między piersiami pędzlem z pudrem brązującym, ponieważ przeczytała w jakimś magazynie, że daje to złudzenie większego biustu i znacznie poprawia wygląd dekolotu. Efekt był rzeczywiście niezły.

Za pięć ósma była gotowa do wyjścia, nie wiedziała tylko, czy Tash nadal nie pęta się po domu, bo z kuchni dobiegały jakieś odgłosy. Cóż, może po prostu zostawiła włączone radio... Uchyliła drzwi, wsunęła w szparę pół nosa i jedno oko, i ostrożnie wyjrzała. Tash nuciła chwytliwą melodię, nie ulegało więc wątpliwości, że jeszcze nie wyszła. Osiągnęła już etap perfumowania, co było dobrym znakiem. Alice bała się

myśleć, co będzie, jeżeli Alan utknie w korku na autostradzie lub złapie gumę, i po prostu się spóźni. Cholera jasna... A jeżeli jego żona zrezygnowała z wizyty u psychoanalityka i postanowiła zostać w domu, ponieważ uznała, że przygotowanie dla męża smacznego podwieczorku będzie znacznie skuteczniejszą metodą ratowania małżeństwa? Alice obgryzała paznokcie z niepokoju i miała ochotę zapytać Tash, czy jest zaniepokojona, że jej ukochany spóźnia się już... Zaraz, zaraz, ile? Alice zerknęła na zegarek. Aż dwadzieścia siedem minut, na Boga!

Trzy minuty. Paddy przyjedzie za trzy minuty, zaparkuje, zapuka do drzwi i wtedy w nieunikniony sposób na jaw wyjdzie kłamliwa natura Alice oraz niewdzięczność wobec najbliższej przyjaciółki. Doszła do wniosku, że musi stanąć przy wychodzącym na podjazd oknie, zatrzymać Paddy'ego i zawrócić go do samochodu. Trudno, niech myśli, że już nie mogła się go doczekać albo że ukrywa w domu jakąś mroczną tajemnicę (zazdrosnego kochanka lub umyślowo chorego rodzica, którego obecność mogłaby przerazić Paddy'ego genetycznymi implikacjami). Miała nadzieję, że Paddy nie ma aż tak bogatej i żywej wyobraźni jak ona.

Tash weszła do pokoju, nucąc pod nosem, w pełnym bojowym rynsztunku. Zdecydowała się na image namiętnej kochanki - bardzo wysokie obcasy, brak bielizny oraz fryzurę, która mogła wytrzymać dowolnie dużą porcję łózkowych figli plus wicherę o sile dziewięć w skali Beauforta.

- Ślicznie wyglądasz, Alice - oświadczyła Tash, mierząc wzrokiem prawie ludzki strój przyjaciółki, czyli sukienkę bez dziur, buty z normalnego sklepu, nie z pchłego targu przy Portobello, noszone długo i dużo wcześniej przez wdowę po bohaterze drugiej wojny światowej, a także wyjątkowo porządnie uczesane włosy.

Krótko mówiąc, Alice wyglądała jak inne dziewczyny, zapraszane przez młodych ludzi na kolację do L'Orangerie.

- Bardzo dobrze, że chcesz ładnie wyglądać, chociaż wybierasz się tylko do zwykłego baru - pochwaliła Tash. - To ważne, żeby nie dać się przygnębieniu, kiedy mężczyzna cię

zostawia. Przecież fakt, że nie jesteś w jego typie, wcale nie oznacza, że nikomu się nie podobasz. Tak czy inaczej, jutro zamienię parę słów z Charliem. Jestem pewna, że zrozumie swój błąd. - Tash rzuciła Alice współczujące spojrzenie, rozpylając perfumy Passion na wewnętrznej stronie ud.

- Dziękuję, ale widzisz, Tash, to nie takie proste... Właściwie to Charlie wcale mnie nie rzucił, było trochę inaczej... - Alice zająknęła się bezradnie.

Musiała wyznać Tash przynajmniej połowę prawdy, w przeciwnym razie wszystko wyjdzie na jaw... I to, że Alice poinformowała Charliego, iż wreszcie odnalazła drogę do Boga, i to, że powiedziała mu, iż pragnie skoncentrować się na studiowaniu żywotów świętych i codziennie uczestniczyć w wieczornej mszy, i być może nawet zmienić imię na Bernadetta... Co prawda, byłoby dużo prościej, gdyby mogła wyznać Tash całą prawdę o tym, jak przyłapała Charliego we własnym łóżku z dwiema dziewczynami, wysmarowanego czymś, co znacznie lepiej sprawdza się na grzance, ale nie mogła tego zrobić.

- Alice, wcale nie musisz się przede mną tłumaczyć, jestem twoją przyjaciółką, kochanie. Charlie zmięknie w moich rękach, zobaczysz... - Tash przerwała, ponieważ z podjazdu dobiegł głośny dźwięk klaksonu.

Obie odwróciły się gwałtownie, chcąc sprawdzić, kto przyjechał. Alice wstrzymała oddech.

- Taksówka, więc to na pewno Patricia - rzekła Tash i ruszyła w stronę drzwi.

Alice wyprzedziła ją sprawnie, pierwsza dopadła do wyjścia i pognała do samochodu najszybciej jak mogła, co wcale nie było proste, jeśli wziąć pod uwagę, że nowe buty już obtarły jej pięty. Była bardzo blisko, kiedy tylne drzwi otworzyły się i na zewnątrz wychyły nogi w spodniach i zdecydowanie męskich butach. Cholera jasna, zakłęła Alice pod nosem, przeskoczyła przez rabatkę z wdziękiem wyrośniętego kuca i wylądowała na stopach Paddy'ego.

- O, Boże, strasznie cię przepraszam... - powiedziała zdyszana.

Nie poprzestała na tej dziwacznej galopadzie, ponieważ w żadnym razie nie mogła dopuścić, aby Patrick wysiadł z samochodu. Obiema rękami wepchnęła go do środka, padła na miejsce obok niego i zatrzasnęła drzwi. Dopiero wtedy odwróciła się do niego.

- Cudownie, że przyjechałeś - oświadczyła miłym i całkowicie spokojnym głosem.

No, tak, pomyślała, teraz Paddy zacznie nie tylko podejrzewać, że ukrywam w domu psychicznie chorych rodziców, ale też się obawiać, że odziedziczyłam ich schizofreniczne skłonności.

- Alice, wyglądasz jakoś... Jakoś inaczej - wykrztusił, w głębi duszy odrobinę rozczarowany, że nie zaskoczyła go jakimś dzikim, ekstrawaganckim i absolutnie cudownym strojem. - Chyba dopiero przed chwilą wróciłaś z pracy, prawda?

Alice uśmiechnęła się słodko i przycisnęła twarz do szyby, sprawdzając, czy Tash jednak go nie zauważyła. Chyba nie, bo nie gnała w stronę taksówki z wałkiem do ciasta w ręku... Alice przestała dyszeć jak zmęczony pies i odetchnęła głęboko. Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Przyjaciółka, z którą mieszkam, trochę się o mnie boi - wyjaśniła w odpowiedzi na zdumione spojrzenie Paddy'ego. - Ostatnio koło domu pętał się jakiś zboczeniec, więc Tash woli mieć mnie na oku...

Paddy pobladł lekko. Ciekawe, jak zdoła wybrnąć z tej sytuacji... W swoim wcieleniu Don Juana nie raz chował się pod łóżkiem, czekając, aż zadrośni narzeczeni przeszukają szafy dziewczyn, które obdarzyły go swoimi względami, lecz ten przypadek mógł okazać się trochę trudniejszy...



## *Rozdział 24*

Alice natychmiast pojęła, dlaczego wszyscy tak zachwycali się restauracją L'Orangerie. Kelner poprowadził ich prosto na otoczony niskim murem taras, z którego wchodziło się do wielkiej oranżerii, gdzie właśnie kwitły drzewka pomarańczowe, przesycając swym zapachem powietrze. Aromat ten mieszał się z intensywnymi nutami perfum Ombre Rose, Joy oraz innych, zbyt rzadkich i drogich, aby potrafiła je rozpoznać. Na stołach leżały resztki szczypiec homarów i chrupiącej, zielonej sałaty, tu i ówdzie stały puste butelki po najlepszych winach - Clos de Mesnil i Chardonnay. Nawet grający w kącie pianista robił wszystko, aby w lokalu panowała atmosfera romantycznego rozluźnienia. Alice i Patrick weszli do sali, prowadząc lekką, nie zobowiązującą rozmowę. Pierwsze randki są takie irytujące, pomyślała Alice. Człowiek długo wyobraża sobie, że leży w łóżku ukochanej osoby, i rozmawia o tym, jak nieważne są teraz dawne związki uczuciowe oraz czy pierworodne dziecko będzie miało jej oczy, a jego nos, że potem czuje się dziwnie nieswojo, kiedy musi zaczynać wszystko od początku, opowiadać, czym zajmują się rodzice, gdzie chodził do szkoły i tak dalej.

- Jak długo zamierzasz zostać w Los Angeles? - zapytała, schylając się, żeby przejść pod jego ramieniem, kiedy przytrzymał przed nią drzwi.

- Właściwie sam nie wiem. Przyjechałem tylko na tydzień, ale jak widać, nadal tu jestem, więc zobaczymy, co będzie da-

lej... - Przerwał i podszedł do szefa sali. - Stolik dla dwóch osób, zarezerwowany na nazwisko Wilde.

Alice zadrżała. Była na randce z mężczyzną o nazwisku Wilde... Niesamowite. Życie jest po prostu wspaniałe. Poszła za Patrickiem, który zmierzał między stolikami do najcichszego i najbardziej romantycznego zakątka restauracji.

- Na pewno pomyślał, że z takim nazwiskiem musisz być gwiazdorem filmowym albo sławnym reżyserem, i dlatego dał nam najlepszy stolik. - Alice się roześmiała.

- Możliwe - uśmiechnął się.

W rzeczywistości pociągnął za kilka sznurków, a raczej zrobił to dla niego pewien producent, który od dawna starał się namówić go na pracę w Hollywood. W zamian Patrick dał słowo, że jeżeli kiedykolwiek pomyśli o reżyserowaniu filmu w Ameryce, natychmiast do niego zadzwoni. Tak czy inaczej, opłaciło się. Warto było to zrobić dla Alice o potarganych włosach i pięknej, „niewyprasowanej”, jak po zbyt długim śnie twarzy, poetycznych ciemnych kręgach pod oczami, które nadawały jej wygląd zmęczonej imprezowiczki i wargach jak małe poduszeczki. Tyle tylko, że nie miał najmniejszego pojęcia, co będzie dalej. Czy Alice zechce go przynajmniej pocałować pod koniec wieczoru? Dobry Boże, miłość do złudzenia przypomina świnkę, bo zakochany człowiek też jest spuchnięty, obolały i rozgorączkowany...

Alice popijała chłodne chardonnay i powoli jadła leciutkie puree ze słodkich ziemniaków, nie zwracając uwagi, że pod jego grubą warstwą kryją się wielkie, soczyste krewetki. Paddy opowiadał jej o Irlandii i Alice już sobie wyobrażała, jak siedzi przy kominku, przytulona do boku ukochanego mężczyzny.

- Uważam, że Bernard Shaw miał absolutną rację - Dublin to najprawdziwszy dom wariatów, ale nam się to podoba. Musisz też zobaczyć Trinity College, jest wspaniała, i zajrzeć do pubu tuż za rogiem, gdzie... - Spojrzał nagle na Alice i przerwał. - Boże, ale się rozgadałem! Nie zanudziłem cię jeszcze na śmierć? - Uśmiechnął się i zmrużył cudowne zielone oczy.

- Nie, skąd! To bardzo ciekawe... - Alice oprzytomniała,

przypominając sobie, że znajduje się w jasnej restauracyjnej sali, a nie w domu na odludnej farmie.

Ach, głos Patricka był jak miód, który spływa na nagie ciało... Nie była pewna, czy jest to wpływ wypitego wina, czy jakiegoś dziwnego celtyckiego zaklęcia, które na nią rzucił. Obdarzyła go nieco mętnym uśmiechem.

- Powinnas też obejrzeć naszą lokalną ciekawostkę...
- Kamień Blarney? - zapytała, zanim zdążyła pomyśleć.

Nie ulegało wątpliwości, że Patrick umie opowiadać.

- A widzisz, mówiłem, że cię nudzę. Czasami za dużo gadam, zwłaszcza gdy jestem trochę zdenerwowany. Nie zdarza się to zbyt często, ale jednak...

Zawiesił głos i wybuchnął śmiechem tak głośnym, że Alice miała wrażenie, iż kieliszki na stole zaraz zaczną dzwonić. Dyskretnie rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy inni goście zwrócili uwagę na to, co ona uważała za przejaw cudownej afirmacji życia, a oni mogli uznać za ogłuszający hałas. Nikt nawet nie mrugnął, wszyscy sprawiali wrażenie wypchanych, zupełnie jakby sąsiad Alice z Bywater Street wypełnił ich końskim włosiem czy czymś w tym rodzaju. Były tu starsze pary, które najwyraźniej nie miały już sobie nic do powiedzenia i czułyby się dużo szczęśliwsze w domu, w wygodnym fotelu i z dobrą książką w ręku; modne pięknotki, od stóp do głów odziane w rzeczy od Armaniego, i oczywiście bogaci mężczyźni z młodymi dziewczętami. Alice nie mogła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek do tego stopnia zależało jej na pokazaniu się w dobrym towarzystwie i w dobrej restauracji, żeby w zamian zgodziła się na pieszczoty podstarzałego lowelasa pod koniec wieczoru. Wolałaby wybrać się do baru Koo-Koo-Roo z kimś, kogo naprawdę by lubiła, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Ale dzisiejszy wieczór... Dzisiejszy wieczór był wyjątkiem.

- Jak długo Alice wytrzyma w Potwornym Mieście? - zagadnął Paddy.

- Och, kto wie... Przyjechałam tu, aby uniknąć innych potworności, ale nie jestem do końca pewna, czy pasuję do Los Angeles. Nikt mnie tu nie rozumie. - Roześmiała się.

- Dobrze wiem, o co ci chodzi. - Patrick wrzucił kostkę cukru do filiżanki z cappuccino. - Wszyscy moi tutejsi znajomi chcą wiedzieć, czy znam królową... - Spojrzał na nią i uśmiechnął się, a jego wyraźnie zaznaczające się kości policzkowe wzniosły się ku stratosferze, w każdym razie tak ona to widziała.

Musnęła palcem biały czubek bezy i zlizwała cukier, który osiadł na opuszce.

- Brakuje mi pewnych rzeczy - wyznała szczerze. - Na przykład pubów... Nie masz czasami ochoty pójść na piwo do ciasnego baru z przetartym dywanem na podłodze i z zielonymi welurowymi poduszkami na krzesłach, a potem zjeść pyszne curry? Ja tak... - Uśmiechnęła się. W głowie jej się kręciło na samą myśl o kontraście między tamtą fantazją i tą rzeczywistością, jaką w tej chwili przeżywała. - Chociaż oczywiście nigdy nie zamieniłabym wizyty w L'Orangerie na cokolwiek innego... - Szerokim gestem objęła całą salę i nagle kątem oka dostrzegła w odległym końcu sali przerażająco znajomą postać.

Postać ta, wyposażona w niezawodnie czujną antenę próżności, natychmiast się zorientowała, że jest obiektem zainteresowania ze strony kobiety i skupiła wzrok na Alice.

- Co się stało? - Paddy odwrócił się, aby zobaczyć, co tak zmroziło twarz jego towarzyszki.

- Nie, nie odwracaj się... - zaczęła Alice, lecz było już za późno.

Charlie zobaczył ich i zmierzał w ich stronę.

- Czy to twój chłopak? - zapytał Paddy.

Dopiero w tej chwili rozpoznał w Charliem faceta z bmw, który tamtego poranka przywiózł Alice do domu, oraz tego samego, który na przyjęciu u Tash niezwykle skutecznie zajął się Izzy. Może więc miał powód, aby czuć do niego wdzięczność...

- Nie! I ty też nie, więc pozwól mi to załatwić! - wybuchnęła Alice i uśmiechnęła się słabo, usiłując rozproszyć wyraz nieskrywanego niezadowolenia na ciemniejszej niż zwykle twarzy Charliego.

- Alice... - przemówił Charlie. - Co tu robisz?

I w jego oczach pojawił się błysk zazdrości, jak to się określa w romantycznych powieściach.

- Charlie! - Alice obdarzyła go anielsko niewinnym uśmiechem. - Bardzo się cieszę, że cię widzę. Poznaj mojego doradcę duchowego, ojca Patricka Wilde'a... - Wskazała Paddy'ego, który nie na darmo miał w rodzinie kilku szaleńców oraz spore zdolności aktorskie.

- Rozmawialiśmy właśnie o pewnych zawiłościach katechizmu - rzekł Paddy i wyciągnął rękę do Charliego, który najwyraźniej nie zamierzał przyjąć tego zbyt dobrze.

Skąd nieszczęsna Alice mogła wiedzieć, że Charlie od najwcześniejszych lat cierpi na syndrom odrzuconego dziecka? Wydał grube tysiące na psychoanalityków, z którymi omawiał ten słaby punkt. Niestety, przede wszystkim niestety dla Alice, te rozmowy nie rozwiązały problemu. Charlie nie zniósłby, gdyby wystawił go do wiatru sam papież, a cóż dopiero mówić o lekko zwariowanej dziewczynie z Anglii.

- Mam nadzieję, że ojciec zdaje sobie sprawę, iż siedzi przy stole z kobietą upadłą - warknął wrogo.

- W niebiosach jest więcej powodu do pokuty z powodu jednego grzesznika, który żałuje, niż... - zaczął Paddy z przekonaniem.

Charlie prychnął pogardliwie i wycofał się do swojego stoika, gdzie inna upadła kobieta, z którą najwyraźniej był umówiony, pochłaniała właśnie kawałek schłodzonego melona.

- Byłeś wspaniały! - szepnęła Alice, zachwycona występem Paddy'ego. - Nauczyłeś się takich sztuczek w szkole?

- Wydaje mi się, że to ja powinienem zadać siostrze parę pytań, siostrzo Alice - powiedział Patrick z lekkim uśmiechem. - Na początek chciałbym się dowiedzieć, co taka słodka dziewczyna jak siostra robiła z tym podstępny draniem...

- To samo co ty z Izzy - wyrzuciła z siebie Alice, zanim zdążyła się powstrzymać. Nie mogła pozbyć się wizji pięknej Izzy, a odrobinę za dużo wina i wódki rozwiązało jej język. - To znaczy... Chciałam tylko powiedzieć, że ty jesteś taki cudowny, a ona jest potworną krową...

O, cholera, teraz dopiero wpadła... Koniec randki, pomyślała, a potem zamknęła oczy i zemdląca.

Pierwsze, co zobaczyła po odzyskaniu przytomności, to była biel tak oślepiająca, że natychmiast przyszło jej do głowy, iż musiała ocknąć się zbyt blisko wybielonych i pociągniętych lakierem zębów Charliego. Zaraz jednak tuż nad nią zamajaczył jakiś zamazany kształt i coś otarło się o jej twarz. Może mucha? Machnęła ręką. Boże, ależ ogromne bydlę, niewykluczone, że Alice trafiła na najniższy poziom piekła...

- Chwileczkę, doktorze, wydaje mi się, że powoli dochodzi do siebie!

Alice szerzej otworzyła oczy i odkryła, że ogląda odcinek *Ostrego dyżuru*, tyle że z pozycji horyzontalnej. Dookoła jej głowy krążył George Clooney, a na tle śnieżnobiałych ścian widziała inne postaci w zielonych fartuchach.

- Jak się czujesz? - zagadnął głos z irlandzkim akcentem.

Ach, więc to wcale nie George Clooney, tylko Paddy... Włosy opadły mu na twarz, ponieważ nachylił się nad nią i obserwowwał ją uważnie. Chryste Panie, jaka szkoda, że wyglądam jak ostatnia szkarada, pomyślała. Nałożyłam na rzęsy tyle tuszu, że teraz muszę mieć czarne plamy pod oczami... Takie były jej pierwsze przytomne myśli. Dopiero po chwili ogarnął ją lęk.

- Co mi się stało? - zapytała Paddy'ego, który nadal tkwił tuż nad nią, w odległości zaledwie paru centymetrów od jej rozmazanych oczu i w blasku ostrych reflektorów na pewno widział, jak niewprawną ręką rozprowadziła podkład.

- Doktor przypuszcza, że jesteś uczulona na coś, co zjadłaś.

Alice wszystko już sobie przypomniała. Okłamała Charliego i oczerniła Izzy...

- Wszechmogący poraził mnie piorunem - oświadczyła.

Paddy się roześmiał.

- Ach, ty wariatko! Kiedy ostatni raz jadłaś krewetki?

Alice zmarszczyła brwi.

- Nie jadam krewetek, nie znoszę ich. Dostaję po nich wysypki.

- No, właśnie. Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy. Mogę zabrać cię do domu, bo na szczęście to nic straszного, ale wyglądało to trochę dramatycznie. Dobrze chociaż, że udało nam się nie zapłacić rachunku.

Chłodny, ostry wiatr owiewał jej twarz, kiedy oparła głowę na piersi Paddy'ego.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała.

Jej policzki zaczynały powoli odzyskiwać normalny kolor i miała wrażenie, że jest całkowicie przytomna, ale mogłaby przysiąc, że jada w kierunku wzgórz, nie Santa Monica.

- Mam w domu melatoninę, więc pomyślałem, że wstąpię po nią, żebyś spokojnie spędziła tę noc.

Wcale nie była pewna, czy chce spokojnie spędzić noc. Jeżeli nagłe omdlenie wystarczy, aby znaleźć oparcie na szerokiej piersi mężczyzny oraz nieograniczony wstęp do jego mieszkania, to chyba powinna stosować ten manewr znacznie częściej niż dotąd. Taksówkarz zatrzymał samochód pod domem.

- Zaczekać? - zapytał.

Paddy spojrzał na Alice, która powoli pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się, żebym dobrze zniosła drogę powrotną do Santa Monica - powiedziała z uśmiechem.

Paddy zapłacił za taksówkę. Wsparta na jego ramieniu, ruszyła na górę. Ramię Paddy'ego nie należało do mocarnych i co chwilę wędrowało w bok, aby donieść papieros do ust, ale Alice była zdania, że liczy się przede wszystkim intencja.

- Jesteśmy na miejscu. - Otworzył drzwi pomieszczenia, które wyglądało na artystyczną pracownię.

- Czy to mieszkanie po prostu ma tak wyglądać? - zapytała z niedowierzaniem, przesuwając palcami po ławce treningowej i z przerażeniem zerkając na udrapowaną na ścianie plastikową rurę.

- Zostało zaprojektowane przez jednego z najlepszych kalifornijskich dekoratorów wnętrz, w każdym razie tak mi powiedziano. - Paddy się roześmiał. - Właściciel nie żałował kasy. Jednak najprzyjemniejszym akcentem mieszkania jest sypialnia, chociaż niestety nie ma tu łóżka. - Wprowadził ją do nieodgrodnzonego drzwiami dużego pokoju.

Alice zamarała z przerażenia. Na podłodze leżał drakoński materac, w oknach nie było śladu zasłon czy choćby firanek. Zadygotała, przejęta lękiem, ponieważ od razu wyobraziła sobie, jak jutro rano, w pełnym blasku słońca, będą wyglądały jej dotknięte cellulitsem biodra i uda. Podeszła do jedynej w pokoju półki i przyjrzała się stojącym na niej książkom. *Architekt wnętrz, Architektura amerykańska dzisiaj...*

- To chyba nie twoje książki, prawda? - zapytała nerwowo.

W mężczyźnie, który woli światło i przestrzeń od zasłon i dywanów, było coś zdecydowanie onieśmielającego.

- Nie, moje są tutaj. - Wskazał niewielki stosik na niemal szpitalnym stalowym stoliku na kółkach.

Z zaciekawieniem zerknęła na tytuły. *Borstal Boy* Brenda na Behana, *Studium renesansowej fikcji...* Hmm... Może jednak z dwojga złego lepszy był już *Architekt wnętrz...* Czuła się trochę dziwnie, może jednak powinna była poprosić taksówkarza, żeby zaczekał... Żołądek skręcał jej się w kulkę na myśl o nieuniknionej bliskości Paddy'ego. Do tej pory raz się pocałowali, potem Paddy zostawił ją w różanym ogrodzie. Cała reszta jego miłych gestów mogła świadczyć o chęci okazania sympatii rodaczce, prawda? Alice zarumieniła się gwałtownie. Zajrzała do drugiego pokoju, ale Paddy'ego nie było.

- Znalazłem!

Odwróciła się i ujrzała idącego ku niej Patricka, który w rękę trzymał buteleczkę melatoniny. Instynkt podpowiadał jej, aby chwycić lekarstwo i rzucić się do ucieczki. Paddy zdjął koszulę, a luźne, rozwleczone spodnie ledwo trzymały mu się na biodrach, odsłaniając pępek. Przystanął w progu i zaczął podrzucać plastikową buteleczkę z takim zapałem, jakby zamierzał podjąć treningi przygotowujące do rozgrywek w Wimbledonie. Alice miała wielką ochotę ukryć się w łazience. Odkąd to zwykły pociąg fizyczny wywołuje tak dojmujące uczucie niepewności i prawie bólu, pomyślała. W przypadku Jamiego nigdy jej się to nie zdarzyło, w przypadku Charliego tak, ale z zupełnie innych przyczyn. Uczucie, którego teraz doświadczała, było dojrzałym, czystym pożądaniem. Wiele by dała, żeby nagle znaleźć się gdzie indziej.



- Jak sądzisz, powinienem dać ci melatoninę przed czy po? - zapytał, ani na chwilę nie spuszczać z niej wzroku.

Jego spojrzenie przesunęło się z jej oczu na usta, potem zaś, Boże dopomóż, na piersi i biodra. Spróbowała się rozeźmiać, ale wszystkie nerwy w jej ciele były jak sparalizowane.

- Czy to skutecznie działa? - wyszeptała z trudem.

Och, Alice, och, Alice, na miłość boską, najlepiej po prostu się zamknij... Założyła ramiona na piersi i uszczypnęła się w łokieć, aby ukarać się za własną głupotę.

- Próbujesz mi coś powiedzieć? - Paddy rozeźmiał się głośno, zaskoczony i rozbawiony jej obroną poza.

Na szczęście ta jego reakcja zdjęła z Alice zły czar. Patrick przestał być diabolicznym kochankiem, który tylko czeka, żeby ją wykorzystać, i wrócił do postaci miłego, sympatycznego Paddy'ego. Doskonale wiedziała, przy którym z nich czuje się bezpieczna, ale kiedy patrzył na nią w ten sposób, ciało i umysł płatały jej najróżniejsze figle. Paddy padł na materac, ułożył się wygodnie, opierając głowę na splecionych dłoniach, i wbił wzrok w sufit. Alice o mało się nie rozpłakała. Na pewno pomyślał, że ona go nie chce... Będzie musiała wziąć te cholerne tabletki i zamówić sobie taksówkę do Santa Monica. I już nigdy się nie zobaczą, bo przecież wyraźnie go odrzuciła...

Rozłożyła czasopismo „Tapety” i zasłoniła nim twarz. Zdjęcia przedstawiały piękne wnętrza umeblowane stylowymi, delikatnymi meblami, zupełnie jak z powieści Tołstoja. Gdyby była w odrobinę lepszym stanie, zauważyłaby, że na twarzy Paddy'ego maluje się uśmiech. Uśmiechał się, ponieważ większość znanych mu kobiet czekałaby na niego w łóżku, tylko w biustonoszu i pasie do pończoch, natomiast Alice, chociaż włożyła pas (zobaczył, że go ma, kiedy leżała na noszach w karetce pogotowia), najwyraźniej nigdy nie ośmieliłaby się odstąpić go z własnej inicjatywy. Doszedł do wniosku, że musi ożenić się z tą dziewczyną.

- Może usiądziesz obok mnie? - zaproponował, poklepując białe prześcieradło.

Alice powoli odłożyła biblię dobrego gustu. Czas przy-

stąpić do gry, pomyślała. Wcześniej postanowiła, że będzie odzywać się tylko wtedy, kiedy do głowy przyjdzie jej jakieś interesujące spostrzeżenie, ale niespodziewanie usłyszała własny głos.

- Nigdy więcej nie tknę krewetek - powiedziała, krzywiąc się lekko.

Ruszyła w kierunku łóżka, omijając wszystkie stojące na drodze sprzęty. Nie było ich wiele, więc zajęła się dotykiem ścian, których faktura wzbudziła jej głęboki podziw.

- Efekt polifilii, prawda? - odezwała się znowu, usiłując odwlec chwilę, która zbliżała się nieuchronnie.

Paddy z wielkim trudem hamował śmiech. Nie chciał przstraszyć Alice jeszcze bardziej, ale szczerze mówiąc... Czy naprawdę robił aż tak przerażające wrażenie? Niemożliwe, zwłaszcza że sam także nie był lodowato spokojny. Tak długo wyobrażał sobie ten moment... Do diabła, przecież tak naprawdę wyłącznie z tego powodu przyjechał do Stanów... Nie mógł uwierzyć, że kiedy zobaczył Alice po raz pierwszy, wcale nie pomyślał, że jest piękna. Niepokojąca, tak, lecz nie piękna... Teraz była w jego oczach najpiękniejszą kobietą od czasów... Ależ tak, od czasów Heleny Trojańskiej, szekspirowskiej Julii, albo może Audrey Hepburn. Niewykluczone zresztą, że była piękniejsza od nich wszystkich razem wziętych. Jakie uczucie ogarnie go, kiedy będzie już po wszystkim? Spokój, jak po wypełnionej misji? I co? Wróci do pracy, do życia i jego niepewności? Może. Zwykle tak to się właśnie kończyło, lecz nie wyobrażał sobie, żeby Alice mogła mu się kiedykolwiek znudzić. Przycupnęła teraz obok niego, na brzegu łóżka, zupełnie jakby bała się dotknąć rozżarzonych węgli. Kobieta skazana...

- Wcale nie musisz tego robić, Alice. - Uśmiechnął się do niej.

Nie mogła zdobyć się na to, by odwrócić się i spojrzeć na niego. Po prostu nie mogła, gdyby to zrobiła, chyba znowu by zemdląta. Dlaczego właśnie dzisiaj jej organizm postanowił zafundować sobie powrót do wieku dojrzewania? Dorosłe ko-

biety, kobiety z dużym doświadczeniem w dziedzinie seksu i spraw damsko-męskich nie zachowują się w ten sposób...

- Możemy przecież napić się whisky i po prostu chwilę pogadać. - Podniósł się, pocałował ją w policzek i wyszedł z pokoju.

Osunęła się na materac, przeklinając dzień, w którym została obdarzona hormonami. Dużo lepiej jest spokojnie poleżeć, rozmyślając o królowej i ojczyźnie, niż walczyć z tymi cholernymi impulsami, wysyłanymi przez jej ciało. W myśli zaczęła obrywać płatki z margerytki: kocha, nie kocha... Jak to się skończy? Sztywna ze znużenia, oparła głowę na poduszce i zrzuciła pantofle. Paddy wrócił do pokoju z dwiema szklankami whisky. Umieścił jedną w dłoni Alice i ułożył się obok niej.

Kiedy dotknęli się przelotnie, jęknęła cicho, przełykając whisky.

- Strasznie cię przepraszam, nie mam pojęcia, dlaczego tak idiotycznie się zachowuję... - wykrztusiła. - Może to z powodu Jamiego, sama nie wiem... Może podświadomie uważam, że każdy mężczyzna mnie zdradzi lub coś w tym rodzaju...

Wiedziała, że jej reakcja nie ma nic wspólnego z Jamiem, ale sądziła, iż Paddy zasługuje na jakieś wyjaśnienie.

- Przestań się tak przejmować, skarbie. To tylko whisky, a to tylko ja... Nie masz się czym martwić, naprawdę.

Napiła się jeszcze trochę whisky i poczuła, że powoli się rozluźnia.

- Niesamowite, jak czasami ciało buntuje się w takich chwilach - ciągnął Paddy. - Zwyczajnie wypowiada posłuszeństwo, nie chce nas słuchać...

Alice zachichotała. Nie miała wielkiego wyboru, mogła albo się śmiać, albo płakać.

- Ale twoje ciało chyba jednak pragnie tego, prawda? - zapytał cicho, patrząc jej prosto w oczy.

W milczeniu skinęła głową. Paddy postawił szklankę na podłodze koło materaca, odwrócił się do niej i pocałował ją. To wystarczyło.

Alice starała się jednocześnie odstawić swoją szklanę, nie rozlewając whisky, rozsunąć zapięcie, które przez całą noc wżerało jej się w plecy, i nie przerywać kontaktu wzrokowego z Paddym. Z Paddym, który na szczęście nie był już istotą pozaziemską, ale zwyczajnym, normalnym mężczyzną, dokładnie świadomym, czego chce. Alice przesunęła dłońmi po piersi, którą w głęboko przemyślany sposób przygotował na jej dotyk już wcześniej, zdejmując z niej koszulę. I dobrze, bo po trzydziestu minutach wyczerpującego unikania gry wstępnej nie miałyby siły rozpinać tych wszystkich guziczków. Z westchnieniem ulgi skupiła się na jedynym guziku, który ją w tej chwili interesował, i delikatnie zsunęła spodnie z bioder Paddy'ego. No, jednak odzyskałam formę, pomyślała, kątem oka obserwując, jak jej biustonosz żegluje w powietrzu gdzieś pod ścianę. Chyba gdzieś już widziałem te czarne koronki, pomyślał Paddy, ostrożnie dopasowując swoje ciało do ciała Alice.

scandalous

## Rozdział 25

- Halo, tu numer Alice - odezwała się Lysette, która od ponad pół godziny czujnie rozglądała się po sali, wypatrując Jennifer. Wiedziała, że jeżeli Alice wkrótce się nie pojawi, czeka ją marny los. - W tej chwili nie ma jej tutaj. W czym mogę pomóc?

- Muszę się z nią jak najszybciej skontaktować, naprawdę bardzo mi na tym zależy - przemówił głos z wyraźnie angielskim akcentem. - Czy Alice ma może komórkę?

- Niestety nie, ale mogę przekazać jej wiadomość. - Lysette konała z ciekawości i gotowa była na wszelkie poświęcenia, byle tylko się dowiedzieć, kto to taki.

- Nazywam się Simon Benedictus. Miałem zatrzymać się u Alice, ale utknąłem na lotnisku i nie bardzo wiem, co robić. Nie zna pani przypadkiem jej adresu? - Simon wrzucił następną półdolarową monetę do otworu w automacie i potoczył dookoła nerwowym wzrokiem. Znajdował się niedaleko punktu odbioru bagażu i nadal czekał na pojawienie się na taśmie toreb swoich oraz Gibba.

- Chwileczkę... - Lysette wychyliła się zza swojej przegródki. Jennifer na szczęście nie było w zasięgu wzroku, lecz Alice także nie. - W tym mieście taksówki są po prostu beznauczajne, więc może przyjadę i zabiorę cię z lotniska, dobrze? Powinam dojechać dość szybko i to naprawdę żaden problem...

- To bardzo miły pomysł, serdeczne dzięki - powiedziała

Simon, bynajmniej nie zaskoczony, że zupełnie obca osoba zgłasza gotowość natychmiastowego opuszczenia stanowiska pracy, aby zapewnić mu transport.

Przede wszystkim był jednak zbyt zajęty obserwowaniem mężczyzny po drugiej stronie taśmy z bagażami, mężczyzny o błyszczących czarnych włosach i w zamszowych butach od Gucciego, który co prawda z zupełnie spokojnym wyrazem twarzy rozmawiał przez komórkę, ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Simona i Gibbo.

Alice zamierzała już wcześniej zadzwonić do pracy i powiedzieć, że jest chora. Zresztą, przecież ubiegłego wieczoru naprawdę się zatrula, prawda? Gdyby znalazła się w sytuacji podbramkowej, zawsze może skontaktować się z lekarzem, który ratował ją w szpitalu i poprosić go o odpowiednie zaświadczenie. Leżała bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami i zastanawiała się nad różnymi wersjami Poranka-Po-Wieczorze-Przed, które ona i jej przyjaciółki często rozważały od chwili ukończenia siedemnastego roku życia. Poranek-Po istnieje po to, aby mężczyzna mógł uspokoić sumienie kobiety, wzburzone popełnieniem aktu cudzołóstwa. To najszczęsza prawda - nawet dziś, w latach, kiedy kobiety dostają to, na czym im zależy, mężczyźni nadal są przekonani, że zaraz po przebudzeniu ich partnerki zaczną gorzko żałować tego, co się stało. Jest to bardzo miłe ze strony mężczyzn, ale jednocześnie niezwykle męczące dla biednych kobiet.

- Dzień dobry - odzywa się mężczyzna, przysuwając się bliżej do kobiety. - Jak się czujesz?

- Świetnie, dziękuję - odpowiada kobieta, niepewna, czy mężczyźnie chodzi teraz o kolejną serię nieprzyzwoitych aktów, czy może interesuje go stan jej śmiertelnej duszy.

- To dobrze - mówi on, kiwając głową z troskliwym wyrazem twarzy.

- Masz może aspirynę? - pyta ona, na wypadek, gdyby jednak chodziło mu o seks, a nie o to drugie.

- Ten wieczór był naprawdę bardzo miły. - On ignoruje podniesioną przez nią kwestię aspiryny. - Dziękuję...

- Mnie także było bardzo miło - oświadcza ona, nie przestając żałować, że on nie ogolił się przed randką, co oszczędziłoby jej ostrego podrażnienia skóry twarzy i nie tylko.

- To miało dla mnie duże znaczenie - wyznaje on, zglądając jej w oczy i zastanawiając się, dlaczego ona ma taką czerwoną i jakby obrzmiałą twarz.

- Uch! - Ona ma ochotę wrzasnąć. - Dajże mi w końcu spokój i przestań traktować mnie jak nieletnią dziewczynkę! Poszłam z tobą do łóżka, bo chciałam, nie dla dobra ludzkości! Nie traktuj mnie w tak idiotycznie pobłażliwy sposób!

Oczywiście nie mówi tego wszystkiego, ponieważ jest zbyt uprzejma, w rezultacie on nie ma szans niczego się nauczyć, więc następna dziewczyna, która znajdzie się w jego łóżku, będzie musiała wycierpieć dokładnie to samo.

Leżała w skapaniej w słonecznym blasku pościeli i myślała o tym wszystkim. Paddy spał obok niej. Alice, która cierpiała na wyżej wspomniane podrażnienie skóry dosłownie na całym ciele, w tym nawet, nie wiedzieć dlaczego, na prawej stopie, postanowiła, że mimo wszystko nie zada sakramentalnego pytania o aspirynę. Miała też nadzieję, że Paddy nie okaże się nadmiernie troskliwy. Sięgnęła po zegarek, leżący na podłodze tuż obok, i o mały włos nie zsunęła się z łóżka, porażona oparami ze szklanki po wczorajszej whisky. Okazało się, że jest dopiero siódma trzydzieści, tymczasem ona nie spała już od ponad godziny. Teoretycznie zasnęli koło czwartej, natomiast ona nie zmrzyła oka jeszcze przez godzinę. Udawała spokojny sen, co nie było łatwe, jeżeli weźmie się pod uwagę, że obok niej spoczywał w gruncie rzeczy obcy mężczyzna. Gdyby tylko te przekłete krewetki przestały przelewać się w jej brzuchu, z pewnością od razu poczułaby się kobietą dystygowaną i elegancką... Ale cóż, była to typowa sytuacja, jaką przeżywała w obecności nowego mężczyzny - wszystkie możliwe dźwięki, to jest chrapanie, siąkanie nosem, bulgotanie i burczenie w brzuchu brzmiały dziesięć razy głośniej niż zwykle. Na dodatek strasznie, ale to naprawdę strasznie chciało jej się siusiu. Jej ubranie leżało przy komodzie po drugiej stronie pokoju, a to miejsce wydawało się jej równie

odległe jak Alaska. Powoli opracowała poszczególne punkty trasy:

1. Poruszać się lekko i delikatnie, aby nie obudzić Paddy'ego.

2. Wstać i dyskretnie dobiec do komody, dbając o to, aby połowa mieszkańców Los Angeles nie zobaczyła jej przez to wielkie okno nagiej, jak ją Pan Bóg stworzył.

3. Najważniejsze to postarać się, żeby Paddy nie zaczął wrzeszczeć ze strachu, gdyby obudził się i ujrzał nagle jej przeraźliwie białe ciało.

4. Podnieść ubranie, nie schylając się (trudne, ale absolutnie konieczne).

5. Dotrzeć do łazienki, która chyba w ogóle nie ma drzwi, o zgrozo, i wysuszać się po cichu, a następnie znowu rozebrać się, rzucić rzeczy na podłogę i wrócić do łóżka jak gdyby nigdy nic.

Alice umierała ze strachu. Za każdym razem, kiedy już sądziła, że Paddy pogrążony jest w głębokim śnie i na pewno nie drgnie przez parę godzin, on wydawał jakiś bardzo sympatyczny, lecz niemożliwiający działania dźwięk. Wreszcie się zmobilizowała, pociągnęła whisky dla kurażu i okryta żakietem, który miała na sobie ubiegłego wieczoru, bezpiecznie dotarła do łazienki. Tam, po zakończeniu podstawowych czynności, dopadł ją następny dylemat: spuszczać wodę czy nie spuszczać? Wzięła głęboki oddech i odważnie pociągnęła za rączkę. Szum wody zagłuszył na chwilę wszystkie inne odgłosy. Zamarła, ale ponieważ nic się nie działo, na palcach podeszła do trochę popękanego lusterka nad umywalką i bacznie przyjrzała się swojej twarzy. Cały makijaż już dawno przemieścił się na poduszkę Paddy'ego, oczywiście z wyjątkiem tuszu do rzęs, którego obfity zapas spoczywał w płytkich (na szczęście) zmarszczkach pod oczami. Palcem naniosła na zęby trochę miętowej pasty, wypłukała usta, wypluła wodę i wróciła do sypialni. Obiecała sobie, że jeżeli wszystko pójdzie jak należy, postawi obok komody kij od mopa z zatkniętymi na czubku własnymi majtkami, ale los miał wobec niej inne plany.



Paddy leżał z głową opartą na zwiniętej w wałek poduszce i obserwował ją z wyraźnym rozbawieniem.

- Byłaś w jakimś przyjemnym miejscu? - zagadnął.

Alice poczerwieniała jak burak, ale przemogła się, zrzuciła zakiet i siedem kroków, jaki dzieliły ją od łóżka, przebyła nago. Paddy gwizdnął z uznaniem, natomiast ona zanurkowała pod narzutę z całą swobodą, na jaką było ją stać.

- A więc, panno Lewis, co pani powie na pożywne śniadanko? Może koktajl z krewetek?

Och, Bogu niech będą dzięki! Wszystko wskazywało na to, że Paddy nie zamierzał rozmawiać z nią o ostatniej nocy...

- Alice, jeżeli chodzi o ostatnią noc...

- Mam nadzieję, że nie wszyscy w restauracji widzieli, jak spadam z krzesła? - przerwała mu pośpiesznie.

Skinął pogodnie głową.

- Obawiam się, że wszyscy, skarbie, trzeba jednak przyznać, że zrobiłaś to bardzo dystyngowanie. Sporządziłem odpowiednie notatki na wypadek, gdybym jeszcze kiedyś miał instruować aktorkę, jak powinna mdleć w elegancki sposób. - Lekko pocałował Alice w ramię. - Muszę odcedzić kartofelki, kochanie...

Wyskoczył z łóżka i swobodnym krokiem ruszył do łazienki. Alice wetknęła głowę pod narzutę i z trudem zdławiła okrzyk. Paddy był cudowny, wspaniały, nieodparcie atrakcyjny i przynajmniej na razie nawet nie próbował rozmawiać z nią o tym, jak zapowiada się ich związek. Coś upadło na poduszkę tuż obok niej. Paddy stał nad nią ze szklanką wody w ręku. Rzucił jej opakowanie proszków przeciwbólowych i sam właśnie wkładał sobie do ust jedną tabletkę. Och, uwielbiam cię, pomyślała Alice, przełykając pastylkę i popijając ją wodą.

- Rozumiem, że nie wybierasz się dziś do pracy?

- Może spróbuję pójść tam po lunchu, jeżeli tylko zdołam się pozbierać - odparła słabo.

Popatrzył na nią tak, jakby w ogóle w to nie wierzył.

- W Malibu jest jakaś impreza na plaży - rzekł, siadając na brzegu łóżka. - Masz ochotę pójść?

Alice zaniemówiła, ponieważ od razu pomyślała o Izzy.

- Izzy tam nie będzie - oświadczył Paddy i wyciągnął się wygodnie obok niej. - Możemy też po prostu zafundować sobie program rekonwalescencyjny, jeżeli wolisz.

- Program rekonwalescencyjny? - Nie bardzo wiedziała, co to znaczy, ale miała nadzieję, że nie będzie musiała wkładać kostiumu bikini i wystawiać swego białego jak śmietana ciała na działanie promieni słonecznych.

- Jeszcze ze dwie tabletki przeciwbólowe, kilka krwawych maryl i mnóstwo lenistwa - wyjaśnił Paddy.

Bez chwili wahania zgodziła się na program rekonwalescencyjny. Paddy, wyraźnie zadowolony, otulił się narzutą, objął Alice ramieniem i po chwili zapadł w głęboki sen.

Lysette otworzyła okno samochodu i wjechała na parking przed halą przylotów lotniska w Los Angeles. O Simonie wiedziała raczej niewiele, dokładnie tyle, że ma dwadzieścia parę lat i prawdopodobnie wygląda trochę jak Alice, oczywiście gdyby Alice była młodym facetem. W każdym razie tak wyobrażała go sobie Lysette. Z drugiej strony, wiedziała przecież dokładnie, że ona sama wcale nie jest podobna do swoich prostodusznych i doprawdy mało eleganckich i wyrafinowanych kuzynów z Atlanty, za co zresztą była szczerze wdzięczna Bogu. Hmm... Może powinna była poprosić Simona, żeby wetknął sobie goździk do kieszonki koszuli, czy coś w tym rodzaju... Wyłączyła radio, żeby lepiej się skoncentrować i nagle poczuła mrowienie w czubkach palców. Zawsze cierpły jej palce, kiedy czekały ją podniecające przeżycia. Ostatnim razem spotkało ją to mniej więcej dwa lata temu, kiedy wróżka z Las Vegas powiedziała jej, że ma przed sobą odmianę losu. Zaraz potem odwiedziła kasyno i straciła 400 dolarów. Teraz podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. No i proszę bardzo, jak tu nie wierzyć w przeczucia... W zatoczce obok przystanku tramwajowego, z rękami w kieszeniach i z plecakiem u stóp, stał mężczyzna, który mógł być tylko i wyłącznie Simonem Benedictusem, nikim innym. Na widok jego granatowego swetra i mocno opalonych uszu Lysette aż zaparło dech w piersiach.

- Simon? - zawołała, wychylając się przez otwarte okno.

Simon i Gibbo spojrzeli na nią tak, jakby była fatamorganą, mającą w rozgrzanym do granic możliwości powietrzu.

- Cześć, to ja, Simon Benedictus - odezwał się Simon, podchodząc do samochodu i potrząsając dłonią Lysette, która w ułamku sekundy wyskoczyła na zewnątrz.

Była co najmniej pięć centymetrów wyższa od niego i bardziej egzotyczna niż jakiekolwiek stworzenie, na które natknął się w amazońskiej dżungli.

- Lysette - przedstawiła się szybko. - Nie mam pojęcia, gdzie jest Alice, ale oczywiście możecie zatrzymać się u mnie...

Gibbo, który nie pragnął niczego poza tym, aby jak najszybciej znaleźć się w jakimś chłodnym miejscu, z puszką zimnego piwa w ręku, zaczął ładować plecaki i torby do bagażnika, nie zwracając uwagi na to, że Lysette i Simon wpatrują się w siebie jak zaczarowani. Samoloty lądowały i startowały, hucząc i hałasując jak szalone, lecz oni nadal patrzyli na siebie bez słowa. Los postawił Simona Benedictusa na ścieżce życia Lysette, która po prostu nie mogła nie wykorzystać takiej okazji...

- Wiesz co? - przemówiła w końcu Lysette, której włosy falowały na wietrze, wzbudzonym przez lądującego boeinga. - Moglibyśmy wybrać się do tej cudownej małej herbaciarni w Beverly Hills... Myślę, że po tak długiej nieobecności w kraju masz ochotę wrócić do... Do dawnych zwyczajów...

- Tak jest, Lizzy. - Simon mrugnął do Lysette. - Bardzo chętnie ponownie odkryję niektóre dawne zwyczaje...

Uśmiechnęła się szeroko.

- No, dobra, ludzie, będziemy tkwić tutaj, dopóki któraś z tych cholernych maszyn nie zetnie nam głów, czy może wreszcie się stąd wyniesiemy? - zapytał elegancko Gibbo, zartaskując bagażnik. - Masz może siostrę, Lizzy?

Patrick i Alice obudzili się koło południa, Paddy rzucił Alice stare spodnie do joggingu oraz koszulkę, a sam zamknął się w kabinie prysznicowej. Wyłonił się stamtąd zupełnie mokry i dwa razy bardziej seksowny, i natychmiast przystąpił do zdejmowania z Alice wspomnianych części odzieży. No

cóż, gdyby pod pewnymi względami nie zachowywał się w sposób przewidywalny, Alice mogłaby zacząć podejrzewać go, że jest dziwny, nie z tego świata, żonaty lub może zainteresowany raczej mężczyznami niż kobietami. Poza tym teraz, po paru godzinach smacznego snu, była w całkiem niezłym nastroju i wiedziała już, że Paddy nie zamierza wyrzucić jej na ulicę. Mogła spędzić z nim cały dzień. Tylko ona, Paddy, kanapa i seks... Czego jeszcze może pragnąć dziewczyna?

O czwartej po południu, kiedy popołudniowy film dobiegł końca, Alice nagle przypomniała sobie, że zapomniała zadzwonić do Tash, która najprawdopodobniej nadal żyje w przekonaniu, iż jej przyjaciółka tkwi w barze z kurczakami z rożna razem z niejaką Patricią.

- Mogę skorzystać z telefonu? - krzyknęła do Paddy'ego, który właśnie wyjmował piwo z lodówki.

- Jasne. Chcesz piwo? - zapytał, demonstrując jej przez drzwi kusząco oszronioną puszkę.

- Nie, dziękuję. - Usłyszała dźwięk włączającej się automatycznej sekretarki i odetchnęła z ulgą. - Tash, tu Alice. Ja... No... Jeszcze mnie nie ma. Jestem u koleżanki. Do zobaczenia później, pa! - Odłożyła słuchawkę, ponieważ nagle się przestraszyła, że Tash mogła włączyć mikrofon i zaraz podniesie słuchawkę, żeby ją odpytać.

- Boisz się jej? - Paddy padł na kanapę obok niej i z roz-targnieniem zaczął bawić się sznureczkiem od jej spodni.

- Nie, po prostu wolę na razie nie mówić całej prawdy. Oczywiście zrobię to w odpowiednim momencie, ale widzisz... Tash miała nadzieję, że z mojej znajomości z Charliem wyniknie coś poważniejszego, więc nie chcę sprawiać jej zawodu... Może kiedy cię pozna, poczuje się spokojniejsza...

Paddy wypuścił z ręki sznureczek od spodni i utkwiał wzrok w ekranie telewizora. Alice zrobiło się zimno. Och, Boże, popełniła niewybaczalny błąd, sugerując, że ich związek może potrwać dłużej niż do dzisiejszego wieczoru... Mężczyzna może bezkarnie mówić o imprezie w Malibu, ale kiedy robi to kobieta, naraża się na oskarżenia, że usiłuje usidlić nie-

szczęśnika. Zamknęła oczy i pomyślała, że może powinna już pozierać swoje rzeczy i wyjść. Znowu przypomniał jej się Jamie z tym swoim bezustannym pojękiwaniem: „Nie jestem gotowy, żeby związać się na stałe, po prostu nie jestem na to psychicznie przygotowany...”.

Nie wiedziała, że Paddy się zastanawia, czy nie wyznać jej całej prawdy. Może powinien powiedzieć jej teraz, że to on jest zbrodnicem, od którego dostawała kwiaty i czekoladki? A może lepiej poczekać, aż poznają się lepiej i wszelkie obawy, że jego łagodna powierzchowność skrywa niebezpieczne dewiacje, same się rozwieją? Z drugiej strony, jeżeli sam nie powie jej o wszystkim, na pewno zrobi to za niego Tash... Paddy po prostu nie rozumiał, co w tym złego, że szukał sposobu zbliżenia się do Alice. Wszystko to razem było zupełnie niewinne i wydawało się doskonałą drogą do serca dziewczyny. To zbrodnicze umysły innych przekształciły jego działania w coś godnego potępienia. Gardził ludźmi, którzy potrafili wygenerować tego rodzaju podejrzania. No, nieważne. Poczeka jeszcze trochę. Oderwał wzrok od telewizora w chwili, gdy Alice właśnie wychodziła z sypialni, niosąc pod pachą swoją sukienkę i torebkę.

- Idę już, Paddy. Dziękuję za kolację.

Przystanąła w progu, z nadzieją, że Patrick ją zatrzyma. I nie pomyliła się.

- Dokąd się wybierasz, na miłość boską? - Roześmiał się głośno. - Jeszcze nie zakończyliśmy programu rekonwalescencyjnego...

Alice była jednak twarda jak stal. Dużo czytała o cyklach behawiorystycznych i o powtarzaniu błędów, popełnianych we wcześniejszych związkach, dlatego nie zamierzała paść ofiarą własnej słabości. Gotowa była nawet zapomnieć, jak cudowny był seks z Paddym i jak wesoło brzmiał jego śmiech.

- Muszę iść. - Wzięła głęboki oddech. - Znam nieprawidłowo funkcjonujące związki, oczywiście z własnego doświadczenia, i dobrze wiem, kiedy zaczynają się problemy. Przykro mi...

Spojrzała na niego i ze zdumieniem spostrzegła, że na jego

twarży bynajmniej nie maluje się wyraz przerażenia i niechęci. Nie odwrócił lekliwie wzroku, lecz wybuchnął głośnym śmiechem.

- Chyba trochę za długo jesteś w Kalifornii! - wykrztusił.

Zaniemówiła z oburzenia. Jak on śmie kpić z niej w chwili, kiedy ona kwestionuje podstawy ich związku?!

- Co zrobiłem nie tak? - zapytał Paddy. Przestał się śmiać i teraz patrzył na nią uważnie.

- Gdy wspomniałam o przyszłości, zamilkłeś i zamyśliłeś się.

- O przyszłości?

- Tak, wspomniałam o kolacji u Tash. Naturalnie nie oczekuję, że wkrótce poprowadzisz mnie główną nawą do ołtarza, czy czegoś w tym rodzaju, chciałabym jednak móc wspomnieć o przyszłości, nie wprawiając cię w zdenerwowanie...

Alice była całkiem zadowolona ze swojego rezolutnego wystąpienia. Szkoda, że nie potrafiła równie jasno i szczerze zwerbalizować kiedyś swoich uczuć na użytek Jamiego. Więc jednak Ameryka nauczyła ją czegoś więcej niż tylko tego, aby wystrzegać się koktajlu z trawy oraz mężczyzn z obszytymi futerkiem akcesoriami...

- Usiądź tutaj. - Paddy poklepał kanapę obok siebie.

Wahała się chwilę w progu, lecz w końcu podeszła i zajęła miejsce jak najdalej od niego.

- Jeżeli zachowałem się w taki sposób, to przepraszam - powiedział. - Chcę, byś uwierzyła, że jesteś najwspanialszą, najpiękniejszą dziewczyną, jaką... O, tak, wiedziałem, że zaraz przewrócisz oczami...

Alice przewróciła oczami, ale w głębi serca była zachwycona komplementem.

- No, właśnie... - Spokojnie poczekał, aż jej atak skromności minie bez śladu. - Muszę przyznać, że mam spore doświadczenie z kobietami, ale ty, Alice Lewis, jesteś absolutnie wyjątkową przedstawicielką tego gatunku. Jesteś najbardziej błyskotliwą, pełną poczucia humoru i najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. No, wreszcie to powiedziałem! Mógłbym nawet wymamrotać coś o miłości, ale zda-

ję sobie sprawę, że wtedy natychmiast zaczniesz na mnie warczeć, a może nawet czymś we mnie rzucisz... - Uśmiechnął się rozbajająco.

Alice zagryzła wargi i o mało nie rozplakała się ze wzruszenia.

- Więc mam zostać? - zapytała cicho, żałując, że w tej chwili nie siedzi jednak bliźutko Paddy'ego.

Roześmiał się, pochylił ku niej i pocałował ją.

- Och, a ja już miałem nadzieję, że pójdziesz sobie i nigdy nie wrócisz...

Spróbowała uderzyć go unieruchomioną ręką.

- Bardzo śmieszne, słowo daję - parsknęła.

Paddy zatrzymał samochód w dole ulicy i nerwowo zerknął we frontowe okna domu.

- Masz ochotę wejść na filiżankę herbaty? - zapytała Alice, mając nadzieję, że Tash jeszcze nie wróciła.

Pocałował ją. Nie miał czasu, by się ogolić i popołudniowy zarost pokrywał jego policzki coraz głębszym cieniem.

- Nie, dziękuję - odparł. - Powinienem już jechać.

Nie zaciągnął nawet ręcznego hamulca i gdyby Alice nie była dobrze zorientowana w jego uczuciach, mogłaby pomyśleć, że Paddy nie może się już doczekać, kiedy ona wysiądzie.

- Cóż, dobrze. Niedługo się zobaczymy.

- To chyba oczywiste, kochanie - rzekł, lecz jego stopa wciąż wisiała w powietrzu gdzieś w pobliżu pedału gazu.

- Do widzenia. - Chwyliła leżącą na podłodze u jej stóp torbę i wyskoczyła z samochodu.

Przestań być paranoiczką, Alice, powiedziała sobie, zatrzymując drzwiczki. Paddy odjechał. Jej najcudowniejsza randka, najbardziej fascynujący mężczyzna, najlepszy seks - wszystko to razem zniknęło w obłoku kurzu, pozostawiając tylko zapach przypalanej gumy.

- Trudno... - Wzruszyła ramionami i poszła w kierunku domu, od którego dzieliło ją dobre kilkaset metrów. - Mam jego spodnie do joggingu i najlepszy kaszmirowy sweter, więc na pewno o mnie nie zapomni...

## Rozdział 26

- Nikt cię nie zmusza, do cholery! - wrzasnęła Tash.  
- Nie rozumiesz, Tash. Mieszkamy w Kalifornii, skarbie. Jeżeli nie pójde, to będzie wyglądało na to, że wcale nie zależy mi na ratowaniu naszego małżeństwa i po sprawie rozwodowej ona dostanie więcej, niż powinna. Zgodnie z kalifornijskim prawem cywilnym kobiecie przysługuje połowa wspólnego majątku, ale jeżeli sędzia będzie do mnie źle nastawiony, mogę stracić dom na Martha's Vineyard...

Alan pojękiwał żałośnie i Alice nie bardzo mogła pojąć, dlaczego jakiegokolwiek kobiecie miałyby zależeć na pozostaniu w związku z takim mężczyzną.

- Jeżeli sądzisz, że mnie to obchodzi, to bardzo się mylisz!

Tash potrafiła być prawdziwą lwicą, Alice nie miała co do tego cienia wątpliwości. Nie wiedziała, o co kłóć się zakochani, ale była tak szczęśliwa, że z radością wydobyłaby jakąś armatkę (gdyby ją miała) i zaczęła zagrzewać Tash do boju.

- Posłuchaj, kochanie, fakt, że pójde z Marion do psychoanalityka, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na nasz związek...

- Bleee... - mruknęła Alice, wyrażając w ten sposób pogardę dla ugodowego tonu Alana.

- Och, bardzo się mylisz! - prychnęła z wściekłością Tash. - Jesteś facetem bez jaj, a nasz tak zwany związek już nie istnieje!

Alice zamarła, czekając na następną rundę, kiedy nagle



z sypialni Tash wypadł wyraźnie przerażony i nagusieńki reżyser zdjęć. Zaraz potem Tash rzuciła w niego kasetą wideo. Alice przyglądała się chwilę, jak Alan podskakuje najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze, usiłując w pośpiechu wciągnąć spodnie. Kiedy wreszcie mu się udało, podniósł wzrok i spojrzała na nią tak, jakby miał przed sobą istotę z Marsa.

- Nie przeszkadzaj sobie... - wymamrotała, czerpiąc kolejną łyżkę cheeriosów i wycofując się na próg własnej sypialni.

Z pokoju Tash wyleciała paczka pociętych na strzępy prezerwatyw i wylądowała u stóp Alice.

- Tash, skarbie, posłuchaj mnie, proszę... - Alan zdołał podciągnąć spodnie do kolan i niezdarne podskakując, ruszył w kierunku pokoju Tash.

Dokładnie w tej chwili Tash z hukiem zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem. Niezła zabawa na Fourth Street, pogodnie pomyślała Alice.

- Fantastyczna herbatka! - Simon uśmiechnął się do bardzo zadowolonej z siebie Lysette. - Moja niania przyrządzała podobne smakołyki...

Dochodziła ósma, lecz Lysette była na nogach już od szóstej, ponieważ musiała upiec pieguska.

- Czy to dobrze, że koiarzę ci się z nianią?

- Jasne. Moja niania jest wspaniała, natomiast matka nie potrafi ugotować nawet jajka. - Simon z nieukrywaną przyjemnością opróżnił filiżankę herbaty.

Lysette obrzuciła go uważnym spojrzeniem i zauważyła, że włosy kręcą mu się wokół odstających uszu, a nos jest dość długi, ale prosty i delikatny. Popatrzyła na jego trochę podarty szary sweter, zawiązany w pasie, i pomyślała, że oto ma przed sobą mężczyznę, którego prawdopodobnie poślubi. Nie mogła sobie przypomnieć, jakie obiekcje zgłaszała wobec niego Alice, ale podejrzewała, że wszystkie były mało istotne.

- Masz pistolet, Lizzy? - zapytał Gibbo, wtaczając się do pokoju i przecierając zaspane oczy.

- Zamknij się, Gibbo - polecił Simon. Podeszedł do okna, stanął obok przyjaciela, ostrożnie odsunął zasłonę i wyjrzał na ulicę. - Pistolet nie będzie nam do niczego potrzebny, w każdym razie nie byłby potrzebny, gdybyś nie okazał się taki chciwy. Jezu Chryste, ależ z ciebie idiota!

Z tymi słowami Simon oddalił się w stronę łazienki.

- Ojej, ależ jest wybuchowy! - zachwyciła się Lysette, z satysfakcją wyczuwając wibracje w murach domu.

- Och, zwykle nie jest taki - powiedział szybko Gibbo, który sam miał ochotę na Lysette i nie życzył sobie, aby Simon sprzątnął mu ją sprzed nosa. - Normalnie jest z niego całkiem łagodny kociazek... - Doszedł do wniosku, że jeżeli Lysette lubi twardzieli, to on dopiero jej pokaże, jaki z niego macho. - Szczerze mówiąc, to wszystko moja wina. Namówiłem Simona. Przewoziliśmy przez Wenezuelę pewien towar dla takich tam gangsterów, kompletnych psycholi, ale pomyślałem sobie, że nie zamierzam nadstawiać tyłka, w żadnym razie. Więc przeschmuglowaliśmy towarek, ale później nie oddaliśmy im i teraz oni nas ścigają. Widzisz tego facia w lamborghini po drugiej stronie ulicy? - Gibbo odwrócił się, ale Lysette już nie było.

Pukała do drzwi łazienki.

- Simon, naprawdę uważam, że jesteś wspaniały i tak dalej, ale popalanie trawki z przyjaciółmi to jedno, natomiast nielegalne przewożenie narkotyków to zupełnie co innego...

Drzwi łazienki otworzyły się i w progu stanął Simon, zupełnie nagi i szeroko uśmiechnięty.

- Wejź na chwilkę, skarbie - powiedział, zamykając drzwi za Lysette i siadając na brzegu wanny. - Może wyda ci się to nieprzemyślane, zresztą podzielam twoją opinię na temat szmuglowania narkotyków, ale nie jest tak, jak sądzisz... Nieważne... Staram się tylko powiedzieć, że odkąd poznałem cię dwadzieścia cztery godziny temu...

- Dwadzieścia dwie, jeżeli mamy być dokładni - sprostowała. Wcale nie wydawało jej się dziwne, że tkwi zamknięta we własnej łazience z nagusieńkim, zajmującym się handlem narkotykami przedstawicielem brytyjskiej arystokracji.

Przychodziło jej do głowy tylko jedno, a mianowicie, że najprawdopodobniej jest to chwila, o jakiej marzyła przez całe życie.

- No, dobrze, więc dwadzieścia dwie... Tak czy inaczej, dzisiaj zrobiłaś mi cudowne śniadanie, a wczoraj wspaniały stek i zapiekankę z nerek... Na dodatek używaś wody lawendowej Yardleya... - Simon wziął do ręki buteleczkę z wodą toaletową. - Widzisz, chodziłem z wieloma kobietami, niektóre były piękne, inne niezupełnie. Wszystkie mogły pochwalić się inteligencją, doskonałym gustem, elegancją i tak dalej... Jadaliliśmy w świetnych restauracjach, spędzaliśmy fantastyczne wakacje na wyspie Mustique ze wszystkimi szukanami, wiesz, o co mi chodzi...

Lysette rzadko bywała zazdrosna, lecz w tej chwili czuła, że chętnie zamieniłaby całą swoją amerykańską wczesną młodość, spędzoną z aparatem ortodontycznym na zębach, aby być jedną z tych Angielek o dziwacznym guście i spędzić kilka chwil u boku Simona Benedictusa.

- Sęk w tym, że żadna z nich nie miała w sobie tego czegoś - ciągnął Simon. - Moja niania... Cóż, była chyba pierwszą kobietą, jaką pokochałem... Niania używała wody lawendowej Yardleya, piekła niesamowitego pieguska i... Na pewno wiesz, że większość mężczyzn żeni się z kobietami w typie swojej matki, lecz ja zawsze marzyłem o tym, żeby poślubić nianię... Od mojej matki nauczyłem się tylko tego, że należy słuchać instynktu i żyć jak najpełniej, bo inaczej wróci się na ten świat jako mrówka czy coś takiego...

Lysette z zafascynowaniem obserwowała Simona, który przygryzł dolną wargę, ukazując nieprawdopodobnie seksowne, krzywe zęby.

- Mów dalej - poprosiła.

- Chodzi mi o to, że... Lizzy, odpowiedz mi na jedno pytanie. Wyjdiesz za mnie?

Na twarzy Simona odmalował się wyraz najprawdziwszego onieśmienia. Zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby w tym kluczowym momencie swego życia był ubrany, ale z drugiej strony przecież jeszcze parę minut temu nie wiedział,

co zamierza zrobić. Teraz zaś nie mógł się już doczekać, kiedy zawlecze Lysette do kościoła. Sięgnął po wiszący na drzwiach szlafrok, ale Lysette właśnie w tej chwili rzuciła mu się w ramiona i oboje runęli do pustej wanny, śmiejąc się i wymieniając pocałunki.

- Zaczekaj sekundę... - Simon przechylił się przez krawędź wanny, podniósł swoje džinsy i wyjął coś z kieszeni. - Pomyślałem, że może to spełni rolę czegoś w rodzaju zaręczynowego pierścionka... - Położył na dłoni Lysette największy brylant, jaki kiedykolwiek widziała.

- O mój Boże, Simon, przecież ten brylant jest wielki jak hotel Ritz! -jęknęła. - Uwielbiam go... - Pocałowała kamień, a następnie ofiarodawcę. - W jaki sposób znalazł się w twojej kieszeni?!

- Mówiłem ci już, że cała ta sprawa z narkotykami to nieporozumienie. Moi rodzice od dawna z tym skończyli, ja zapaliłem skręta chyba raz w życiu, i to dawno temu, a poza tym wcale nie jestem taką podejrzaną postacią, na jaką wyglądam, więc... Widzisz, Gibbo i ja szmuglowaliśmy brylanty, nie prochy. Zgodziłem się na to, żeby ratować skórę Gibba, więc myślę, że nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym wziął sobie ten kamyczek. Krótko mówiąc, kochanie, teraz jest twój, i już. Przyjmij ten kamień, Lysette...

Ujmując to najprościej, Alice czuła się jak nowo narodzona. Zaparkowała samochód i wysoko podrzuciła kluczyki, zupełnie jak w jakiejś marnej reklamie. Lekkim krokiem, prawie płynąc w powietrzu, przeszła przez hol, nie obdarzając Kelly nawet przelotnym spojrzeniem. Kelly wydeła usta i wypuściła z nich spory balon z gumy do żucia, po czym złożyła sobie uroczystą obietnicę, że tego dnia będzie podsłuchiwała wszystkie prywatne rozmowy telefoniczne Alice, a później spróbuje ją szantażować. Kiedy Alice dotarła do biurka, usiadła i zakręciła się na krześle jak na karuzeli. Ach, ten seksowny, cudowny Paddy, pomyślała, włączając komputer.

- Byłoby dobrze, gdybyście obie, ty i Lysette, przychodziły do pracy mniej więcej o tej samej godzinie. - Jennifer stanęła

za plecami Alice i rzuciła na jej biurko plik papierów. - Na razie zdjęłam z ciebie obowiązek zajmowania się nowym wizerunkiem Tommy'ego. Powierzam ci sprawy Robertsona O'Rourke. W Nowym Jorku ma odbyć się konferencja prasowa Robertsona, na której masz być obecna.

Jennifer podała Alice grubą kopertę, z której wysypały się nieco pożółkłe wycinki prasowe. Boże, akta Tommy'ego miały przynajmniej inspirująco różowy kolor... Robertson O'Rourke. Alice nie wiedziała o nim nic poza tym, że należał do kategorii przedpotopowych dinozaurów, ale podejrzewała, że w ciągu najbliższych paru godzin dowie się o nim wszystkiego. Nie szkodzi, i tak nic nie zepsuje jej wspaniałego nastroju. Zaczęła przeglądać folder z takim entuzjazmem, z jakim większość pań zabrałaby się do ponownej lektury *Dumy i uprzedzenia*, gdyby właśnie leżały w wysokiej trawie, pogryzając wyśmienite czekoladki.

- Alice, musisz zejść do recepcji. - W słuchawce zabrzmiał głos Lysette. - Mam dla ciebie niespodziankę.

- Nie mogę. Jennifer przykuła mnie do biurka...

- Pieprzyć Jennifer, kochanie! Chodzi o coś znacznie ważniejszego!

Alice uznała, że Lysette spędziła weekend, pochłaniając koktajle złożone z wyjątkowo niebezpiecznych narkotyków.

- Dobrze, zaraz będę. - Wstała i chwyciła kopertę z wycinkami oraz ołówek.

Jeżeli Jennifer ją teraz przyłapie, to przynajmniej pomyśli, że Alice jednak stara się coś robić. Poszła w stronę windy, udając, że z głębokim skupieniem czyta artykuł z 1967 roku, opisujący szczegóły jednego z rozwodów Robertsona. Ciekawe, dlaczego Lysette zachowuje się w tak dziwny i tajemniczy sposób...

- Niespodzianka!

Alice wysiadła z windy i wpadła prosto na Lysette oraz Simona, którzy stali przed nią, ciasno objęci i szeroko uśmiechnięci.

- Simon... - Alice przez parę minut na zmianę jąkała się i ściągała brwi.

Wysłuchiwała skomplikowanych wyjaśnień przyjaciółki i kuzyna, ale nadal nie miała zielonego pojęcia, dlaczego Simon jest tutaj razem z Lysette, z jakiego powodu Lysette postradała zmysły i dlaczego oboje muszą uciekać przed południowoamerykańskimi gangsterami. W końcu się poddała, serdecznie ucałowała Simona w oba policzki i doprowadziła wyjątkowo niechętnie nastawioną do pracy Lysette do jej biurka.

- Nie chciałabym psuć wam zabawy, kochani, ale któraś z nas musi utrzymać pracę - powiedziała przed wepchnięciem Lysette do windy. - Punktualnie o pierwszej sprowadzę ją do recepcji, Simon. Później opowiesz mi, co się z tobą działo, do brze? A przy okazji -jesteś wspaniale opalony...

Lysette przewiesiła płaszcz przez oparcie swego krzesła, zdołała usiąść przy biurku i przynajmniej przez chwilę udawać szalenie pracowitą pod wściekłym spojrzeniem Jennifer, która krążyła dookoła niczym rozeźlony rekin.

- Nie uśmiechasz się tak z powodu moich zaręczyn z Simonem - szepnęła do Alice. - Nie wyobrażaj sobie, że nie rozpoznam kretyńskiego uśmiechu zakochanej po uszy osoby...

- Spędziłam wspaniały weekend.

- Kiedy widziałyśmy się ostatni raz, wybierałaś się na kolację z Patricią z działu księgowości. - Lysette zrzuciła buty i wystukała na klawiaturze swoje hasło.

- Och, daj spokój, przecież my nie mamy żadnego działu księgowości! Powiedziałam to Tash, żeby się nie denerwowała, ale tak naprawdę umówiłam się z Patrickiem...

- Z jakim Patrickiem? - Lysette zupełnie się pogubiła.

- Z Paddym, z Patrickiem. Z Paddym.

- Z facetem Izzy?! Z tym seksownym Irlandczykiem?!

- No, właśnie, tyle że on wcale nie jest facetem Izzy. - Alice zarumieniła się lekko. - Niewykluczone natomiast, że może będzie moim...

Alice nagle przeistoczyła się we wszystkie postaci z *Alicji z Krainy Czarów* razem wzięte, przy czym jej twarz rozświetlał radosny, odrobinę łakomy uśmiech. Lysette pochyliła się ku niej i mocno ją uściskała.

- Och, kochanie, tak się cieszę! Cieszę się, ze względu na ciebie i na siebie!

- Ja też, ja też! - przytaknęła Alice ze wzruszeniem.

W oczach osoby trzeciej ich rozmowa mogła wyglądać na spotkanie w klubie Anonimowych Alkoholików, a Alice na osobę, która właśnie wyznaje koleżance, że zrobiła Dwunasty Krok. Jennifer przeszła obok i zmierzyła je podejrzliwym spojrzeniem.

- Alice, Kelly powiedziała mi, że zdecydowanie za często wykorzystujesz telefon do rozmów prywatnych - oświadczyła. Usiłowała odgadnąć, z jakiego powodu te dwie obejmowały się i wylewały łzy. Od razu wykluczyła z listy ewentualnych przyczyn ciężę Alice, ponieważ dziewczyna absolutnie nie wyglądała na taką, której uda się kiedykolwiek złapać faceta, zresztą nawet gdyby go złapała, to i tak by nie wiedziała, co z nim zrobić, ach, te angielskie dziewczęta... Jennifer westchnęła ciężko. - Wolałabym, żeby biuro było dla nas wszystkich miejscem pracy, a nie... - Zawahała się. - A nie rozrywki - dokończyła szybko.

Dziewczęta wróciły na swoje miejsca i Alice zabrała się do pisania zwięzłej notatki prasowej o Robertsonie O'Rourke, który, jak się właśnie dowiedziała, był siedemdziesięciodziewięcioletnim dziadymą i niedawno ożenił się z własną siostrzenicą.

Alice właśnie skopiowała w trzystu egzemplarzach krótki tekst pod tytułem „U Robertsona O'Rourke wszystko zostaje w rodzinie”, kiedy nagle Jennifer uchyliła drzwi swego gabinetu i wystawiła głowę na zewnątrz.

- Telefon do ciebie, Alice - warknęła. - Jakiś Patrick Wilde.

Po tym oświadczeniu z rozmachem zatrzasnęła drzwi. Parę sekund później na biurku Alice odezwał się telefon. Alice o mało nie weszła pod biurko ze strachu. Z jednej strony przed chwilą otrzymała ostrzeżenie (choć wyrażone tylko wzrokiem) od szefowej, co bynajmniej nie zapowiadało podwyżki, świątecznej premii czy awansu, z drugiej właśnie dowiedziała się, że dzwoni mężczyzna jej marzeń. Wszystko to razem wydało jej się nagle po prostu nie do zniesienia.

- Alice, natychmiast odbierz telefon! - Lysette starała się zahipnotyzować wzrokiem przyjaciółkę, która wykonywała coś w rodzaju szkockiego tańca narodowego między telefonem i tylną ścianką biurka.

- Nie wiem, co mu powiedzieć... -jęknęła Alice.

- Może na początek przywitaj się z nim. - Lysette, której cierpliwość przed sekundą się wyczerpała, podniosła słuchawkę. - Halo? Oczywiście. Zaraz ją zawołam.

Alice potrząsnęła głową i zamarkowała wydawanie serii mrozących krew w żyłach okrzyków, ale jej głos należał do kogoś innego, zupełnie jak w przypadku głównej bohaterki *Egzorcysty*.

- Alice już idzie...

Alice zrobiła przerażającą minę na użytek Lysette i wzięła od niej słuchawkę.

- Cześć, Patrick, tu Alice... - przemówiła słodkim, beztrojskim głosem.

Zdesperowana Lysette przewróciła oczami. Czy wszystkie młode Angielki są takie? Musi zapytać o to Simona. Ach, Simon... Na samą myśl o nim uszczypnęła się w rękę i wyjęła z kieszeni zaręczynowy brylant. Simon ma kumpla na Goa, który oprawi kamień. Już wyobrażała sobie swoje zdjęcie w magazynie „Tatler”, przedstawiające ją na schodach rodowej rezydencji, z Simonem u boku oraz wielkim czarnym labradorem (może dwoma). Wszystkie moje marzenia na pewno się spełnią, pomyślała, oczywiście pod warunkiem, że Simon nie zostanie do wieczora zamordowany przez gangsterów... Rozpaczliwie odepchnęła tę myśl i usiłowała przypomnieć sobie, czy wysoko urodzeni Anglicy dolewają mleko do herbaty zaraz po jej zaparzeniu, czy trochę później.

Alice odłożyła słuchawkę i na jej twarz znowu wypełził patologiczny uśmiech.

- Patrick zabiera mnie na lunch. Zabiera mnie na lunch...

Obie dziewczyny uśmiechnęły się do siebie, podobne do zakochanych po uszy bliźniaczek z filmu z Doris Day.

Resztę przedpołudnia Alice spędziła w toalecie, starając się umyć grzywkę i wysuszyć ją pod suszarką do rąk, co wyma-



gało wykonania całej serii ćwiczeń przygotowujących do sezonu narciarskiego - opieranie się plecami o ścianę w dziwnym przysiadzie, a nawet robienie mostka, który nie był jej najmocniejszą stroną. Podczas piątej wycieczki do toalety została przyłapaną przez Jennifer.

- Jeżeli masz zapalenie pęcherza, to lepiej weź jakieś lekarstwo - zawarczała Jennifer, gdy tymczasem całkiem interesujący goniec rozkładał wewnętrzną pocztę na biurku Alice.

Alice zaczerwieniła się okropnie i po zniknięciu szefowej natychmiast przystąpiła do robienia sobie manikiuru znalezionymi w środkowej szufladzie malutkim nożyczkami. Usiłowała zdrapać z paznokci fioletowy lakier, którym w napadzie próżności pomalowała je poprzedniego wieczoru. W dziennym świetle paznokcie wyglądały mniej więcej tak, jakby przytrzasnęła je sobie drzwiami. Wreszcie wskazówki zegarka wskazały godzinę pierwszą. Biuro opustoszało, ponieważ wszyscy wyruszyli do drogich restauracji z klientami lub przyjaciółmi, którzy czekali w recepcji. O tej porze Alice zwykle była już w drodze do restauracji, gdyż razem z Lysette wychodziła za dziesięć pierwsza, udając, że musi jeszcze zajrzeć do stanowiska pocztowego, aby wysłać kilka paczek. Lysette i Simon czekali razem z nią, ale kiedy minęło dziesięć minut, a Paddy się nie pojawił, postanowili wreszcie pójść do Taco Bell i tam poznać się trochę lepiej.

- Jeżeli nie pójdziemy teraz, Ally, nie możemy nawet marzyć o kurczaku na ostro - powiedział Simon przepraszająco.

- Pa, kochanie. - Lysette cmoknęła Alice w policzek i wcisnęła jej do ręki półpensową monetę. - To na szczęście. Bardzo stara angielska moneta, która na pewno przyniesie ci powodzenie - dodała, już biegnąc do wyjścia. - Mnie przyniosła, i to mnóstwo... - Lysette wzięła Simona za rękę i mrugnęła do przyjaciółki.

Alice spojrzała na monetę i na chwilę z przyjemnością wróciła myślami do czasów, kiedy wszystko kosztowało dziewięćdziesiąt dziewięć i pół pensa. Nagle pożałowała, że nie ma już jedenastu lat. Paddy na pewno nie przyjdzie. Prawdopodobnie zobaczył gdzieś na światłach Izzy z rozwianymi włosami w jej

wspaniałym kabriolectic z podniesionym dachem i doszedł do wniosku, że szkoda mu czasu na lunch w towarzystwie Alice, z jej uczuleniem na frutti di marę. Po następnych dwudziestu trzech minutach Alice starła z ust szminek i zaczęła się zastanawiać, czy nie przynieść sobie kanapek ze sklepu na dole.

Nagle panującą w biurze ciszę przerwał ostry dzwonek telefonu. Alice szybko podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Alice? Mówi Robertson O'Rourke. Jak się masz, skarbie?

Oczy Alice rozszerzyły się z przerażenia. Boże, tylko nie to... Robertson słyszał z tego, że każdego potrafi zagadać na śmierć.

- Zamierzam właśnie zafundować sobie sjęstę razem z Mimi, moją żoną. - Robertson zaniósł się szczekliwym śmiechem. - No i nagle pomyślałem, że nie wolno mi ograniczać swoich uczuć tylko do pięknej młodej małżonki, niezależnie od tego, jak obfity ma biust. Zadałem sobie pytanie, z kim jeszcze mógłbym podzielić się szczęściem i...

Alice rozpaczliwie usiłowała znaleźć jakiś sposób na przerwaniu Robertsonowi, ale szybko zrozumiała, że raczej jej się to nie uda. Robertson mówił w rytmie karabinu maszynowego. Było już dwadzieścia osiem po pierwszej.

- ...i na tym właśnie polega wspaniały seks z młodszą kobietą, prawda? - klepał dalej Robertson.

Po paru minutach Alice odłożyła słuchawkę. Po prostu odłożyła ją na widełki. Jeżeli ktoś zapyta ją później, co się stało, powie, że coś przerwało połączenie.

Nie minęło dziesięć sekund, a telefon znowu zaczął dzwonić. Uznała, że może to być tylko Robertson O'Rourke, więc spokojnie pozwoliła mu dzwonić. Piekielna maszyna dzwoniła i dzwoniła, zupełnie jakby wiedziała, że ona stoi tuż obok. W końcu chwyciła torebkę i pobiegła do windy. Kupi kanapki, wmusi je w siebie i zapomni o istnieniu Paddy'ego, który teraz na pewno leżał w hamaku Izzy, roztaczając wokół aurę męzczyzny w pełni usatysfakcjonowanego i spełnionego.

Powoli szła przez hol w stronę wyjścia, rozważając ewen-

tualną wizytę u wróżki, której ogłoszenie widziała w „Los Angeles Times”. Doszła do wniosku, że musi zdobyć jakiś amulet, który chroniłby ją przed złowrogimi spojrzeciami Kelly, bo nawet teraz ciarki chodziły jej po plecach ze strachu. Może powinna też poprosić wiedźmę o trochę proszku z szarańczy czy czegoś podobnego, co należy dosypywać mężczyznom do napojów, żeby ich skutecznie uwieść. Było oczywiście, że jej własne metody uwodzenia pozostawiają wiele do życzenia.

Może zresztą wcale nie chodziło o uwodzicielski czar... Alice wlokła za sobą nogi, usiłując jednocześnie podciągnąć odrobinę opadające rajstopy. Może tajemnica kryła się w jej umiejętnościach, no, tych... łózkowych... Kiedyś w jakiejś reklamie telewizyjnej usłyszała termin „niepokój przed odbyciem stosunku”. Niewykluczone, że ona sama cierpi na „behradność przed odbyciem stosunku”. Może (ach, dlaczego nie przyszło jej to do głowy wcześniej!) robi coś nie tak, po prostu źle... Kiedy była mała, często się zastanawiała, czy jej rodzina nie siada na sedesie w odwrotną stronę niż cała reszta świata i myśl ta dręczyła ją przez wiele miesięcy. Bała się też, że jeżeli tak właśnie sprawy się mają, to ona nigdy nie dowie się prawdy i do końca życia będzie siadała na toalecie odwrotnie niż należy. Może coś podobnego dzieje się w jej życiu seksualnym, może popełnia jakiś straszliwy błąd? Tylko jak ma się tego dowiedzieć? Własne ciało wydawało jej się tak ciężkie, bezwładne i bezkształtne jak worek starych kartofli.

- Alice, gdzie byłaś?

Odwrociła się, porażona dźwiękiem znajomego głosu. Ze stojącego w rogu holu fotela podnosił się właśnie Paddy, pośpiesznie składając gazetę. Alice znowu przeobraziła się w bohaterkę *Egzorcysty* - głowa zaczęła jej się kręcić na karku, raz w stronę Kelly, która ukryła twarz za jadownicę zielonym balonem z gumy do żucia, raz w stronę Paddy'ego, który sprawiał wrażenie odrobinę urażonego.

- Od jak dawna tu jesteś? - wyjąkała, gorzko żałując, że nie wybrała innej chwili na podciągnięcie rajstop. - Dzwoniłeś

do mnie? - Odwróciła się do Kelly, której głowę nadal przesłaniał imponujący balon.

- Twoja linia była zajęta - skłamała Kelly, demonstrując swoje aktorskie umiejętności.

- O której przyszedłeś? - Alice postanowiła, że tym razem nie odpuści.

Robertson zadzwonił sporo po pierwszej, zresztą Alice na wszelki wypadek czuwała nad telefonem jak nad niemowlęciem aż do pierwszej trzydziści.

- Słuchaj, nie traćmy czasu na dochodzenie - odezwał się Patrick. - Chodźmy na lunch. Konam z głodu.

Pocałował Alice lekko w usta i przytrzymał drzwi, przepuszczając ją przodem.

Po drodze wstąpił do delikatesów i napełnił dużą papierową torbę zdumiewającymi sałatkami, serami oraz butelką białego wina (było ciepłe, ale co z tego?). W błyskawicznym tempie pojechali nad zatoczkę i rozłożyli wszystkie te przysmaki na dość obskurnym szarym kocu, który Paddy zabrał z mieszkania.

- To okropne, że za godzinę muszę wracać. Jak myślisz, czy godzina nam wystarczy?

- W żadnym razie - odparł, zamykając jej usta pocałunkiem.

Na szczęście nie mieli czasu na nieśmiałość. Nie mieli też czasu, aby się zastanawiać, czy można mówić wprost o pewnych sprawach. Po prostu musieli pomieścić w jednej godzinie wszystko - jedzenie, pieszczoty i rozmowę. Musieli zdążyć do drugiej trzydziści.

Słońce zarumieniło policzki Alice. Odłożyła widelec i sięgnęła po serwetkę. Sałatka z koziego serka i młodego szpinaku była chyba najbardziej pożywną potrawą, jaką kiedykolwiek jadła. Przeżuła jeden zielony listek i nie była w stanie przełknąć następnego kęsa. Paddy też niezbyt dobrze radził sobie ze swoją sałatką z sera Roquefort i szynki. Można powiedzieć, że głównie wpatrywali się w siebie z nieprzytomną czułością. Alice nie przestawała oddawać się temu zajęciu, kiedy Paddy odwracał wzrok, żeby ukroić kawałek sera

Brie lub spojrzeć na unoszącego się wysoko nad lśniącem oceanem lotniarza, a gdy udał się w krzaczki na siusiu, z zapalem wyrzyła w pamięci każdy szczegół tych chwil, od widoku postrzępionego sznurowadła Paddy'ego po jego trochę nierówny krok. Uroczyście obiecała sobie, że później, siedząc przy biurku, przywoła wszystkie te cudowne wspomnienia.

Paddy nie był w aż tak beztroskim nastroju. Naprawdę bardzo chciał zaprosić Alice na kolację, ale wiedział, że wtedy będzie musiał zaryzykować, narażając się na bezpośredni kontakt z Tash. Nie zdołał jeszcze wymyślić wymówki, którą usprawiedliwiłby swoje poprzednie wizyty w okolicy domu Tash. Przez cały czas się łudził, że może Tash będzie musiała wyjechać na plan zdjęciowy do Meksyku na pół roku i zanim wróci, Alice zwiąże się z nim tak mocno, iż nie zdecyduje się opuścić go nawet ze względu na zastrzeżenia najlepszej przyjaciółki. Poza tym, ta cholerna Izzy zwyczajnie nie chciała zostawić go w spokoju. Zaprosiła go na swoje zajęcia z salsy tego wieczoru, co, jeśli dobrze odczytał, równało się w tym mieście otwartemu wyznaniu poważnych uczuć. Lecz Alice wyglądała naprawdę ślicznie, kiedy usiłowała niepostrzeżenie wydłubać sobie widelcem spomiędzy zębów listek szpinaku i chociaż on nadal nie mógł otrząsnąć się z szoku wywołanego świadomością, że oto nie ma ochoty pójść do łóżka z żadaną z cudownych piękności, paradujących po pobliskiej plaży, to przecież wcale nie żałował, że jest tu, gdzie jest. Może powinien raczej myśleć o sztuce *A Chaste Maid in Cheapside*, którą miał wyreżyserować po powrocie do Londynu, już za parę tygodni, ale co z tego...

Oboje z zapalem zabrali się do powoli rozpuszczających się lodów czekoladowych z polewą toffee. Alice zanurzyła palec w bitej śmietanie na czubku różka i oblizała go starannie, a Paddy wsunął sobie do ust koktajlową wisienkę i delikatnie pozbawił ją ogonka. Ich łyżeczki zderzały się, cicho postukując o siebie i pełne lodowej słodyczy trafiały do łakomie otwartych ust. W końcu oboje opadli na koc, całkowicie nasyceni.

- Czy to końskie włosie? - Alice się skrzywiła, opierając nagie ramię na szorstkiej tkaninie.

- Też mam wrażenie, że musi to być koc z więzienia Alcatraz lub coś w tym rodzaju. Drapie jak diabli, prawda?

- Nie da się ukryć. - Alice podciągnęła spódnice, usiłując dokonać cudu, to znaczy choć odrobinę przyciemnić nieskalaną biel skóry nóg. - Lody były fantastyczne, takie czekoladowe... - Zamknęła oczy i wyciągnęła się na kocu.

Paddy tęsknie spojrział na jasne włoski na jej udach i spróbował sobie przypomnieć, kiedy to ostatnio zwykły deser sprawił mu tyle przyjemności. Zaczął też się zastanawiać, kiedy przestaną zastępować seks jedzeniem lodów i przystąpią do konkretów.

- Chyba powinnam już wracać... - Alice podniosła rękę i zerknęła na zegarek.

Paddy, który nadal nad nią siedział, trochę nieprzytomnie skinął głową i lekko potarł stopą jej łydkę.

- Nie musisz mnie odwozić, jeżeli masz ochotę tu zostać, mogę wziąć taksówkę. - Alice uświadomiła sobie nagle, że godzina trzecia zbliża się z zatrważającą szybkością, a wypite wino i perspektywa popołudnia w biurze łączą się w katastrofalną całość.

Ale Paddy robił wrażenie zupełnie nieświadomego, że jej myśli błądzą już wokół pracy. Ułożył się obok niej, oparty na łokciu, delikatnie ujął między palce jej podbródek i wpatrywał się w nią bez słowa. Alice była wstrząśnięta, głównie dlatego, że cała ta scena wydawała jej się odrobinę zbyt filmowa, lecz Paddy wyglądał tak pięknie i patrzył na nią z tak szczerą czułością, że w końcu się rozluźniła. Położył rękę na jej dłoni, splatając palce z jej palcami.

- Alice, na pewno uznasz, że jest za wcześnie na takie deklaracje albo że mówię to, co zamierzam powiedzieć, z tego samego powodu, z jakiego mężczyźni zwykle to robią, ale wierz mi, to nie tak... Naprawdę dużo o tym myślałem... I muszę to powiedzieć...

Alice była przygotowana na wszystko. Może zamierzał ją wpisać jako poręczyciela na ubezpieczeniu swojego samocho-

du? Może chciał, żeby pomogła mu wybrać nowe buty albo wyprasowała kilka koszul...

- Kocham cię, Alice.

Na to nie była jednak przygotowana. Kolana zaczęły jej dygotać a zęby dzwonić, chociaż leżeli w pełnym słońcu. Rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem jakiegoś ekranu czy parawanu, za którym kryłby się tłum byłych dziewczyn tego cudownego faceta, gotowych w każdej chwili wyśmiać głupią dziewczynę, tępą Alice, która wyobraziła sobie, że Paddy Wilde może się w niej zakochać. Ale nie, w pobliżu nie było ani parawanu, ani żywej duszy. Nie było niczego poza wysoką trawą, oceanem, kołyszącym się na falach tuż przed linią horyzontu jachtem i Paddym, który nadal przyglądał się jej w skupieniu i trzymał ją za rękę. Nagle poczuła się jak jedna z jego aktorek. Nadszedł czas, by wypowiedziała swoją kwestię, jakieś słowa, które zatrzymałyby czas.

- Dziękuję...-wykrztusiła.

Cóż, nie była to odpowiedź na miarę *Doktora Żywago*, ale przecież ona nie była Julie Christie. Paddy nachylił się niżej i pocałował ją.

- Pomyślałem sobie, że powinnaś o tym wiedzieć. - Uśmiechnął się i duch Laurence'a Oliviera zniknął w jednej chwili, a jego miejsce zajął czarujący Paddy. - Nigdy dotąd nie powiedziałem tego żadnej kobiecie.

Oczywiście, Alice nie spała przez trzy następne noce. O północy codziennie rozmawiali przez telefon, przy czym Paddy leżał w blasku księżycy na białej pościeli, nagi, ponieważ upał był nie do zniesienia, natomiast ona na otoczonym zapalonymi świecami wielkim łóżu z wodospadem za wężłowiem. Cicho śmiali się z żartów, które rozumieli tylko oni, a Alice osiągnęła taką perfekcję w wypowiedaniu aluzyjnych uwag, że czerwieniła się gwałtownie i pragnęła natychmiast znaleźć się obok Paddy'ego.

- Naprawdę powinieneś kiedyś wpaść - mówiła. - Mam tu zdumiewające łóżko i po prostu nie mogę się już doczekać, kiedy je wypróbujemy...

- Ja też chciałbym być teraz z tobą.

Opowiadał jej o księżycu, podając jakieś mało znane fakty, które sprawiały, że nie mogła się nadziwić, jak nieistotne i ulotnie krótkie jest jej życie. Przez cały tydzień nie widzieli się ani razu, ale w gruncie rzeczy może i dobrze się złożyło, ponieważ Alice harowała jak wół roboczy.

Musiała zostawać w biurze do dziesiątej wieczorem i pracować nad kampanią reklamową Robertsona O'Rourke, bo wstrętny dziaduga nie omieszkiał zadzwonić do Jennifer w sprawie swojej rozmowy z Alice.

- Wiesz, Jennifer, chyba jestem starszy, niż mi się wydawało - oświadczył ze smutkiem. - Ta młoda kobieta z twojego działu, Alice, uważa mnie za zupełnie nieatrakcyjnego. Dlaczego, pytasz? Odłożyła słuchawkę, kiedy rozmawialiśmy, więc jak inaczej można to wytłumaczyć? Dobrze chociaż, że mam moją Mimi, to prawdziwe błogosławieństwo, a chyba i ty nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym się tobą zajął, prawda, Jenny?

Tak czy inaczej, Jennifer dała wyraz oburzeniu z powodu dziwnego zachowania Alice i kazała jej zadbać, aby kampania przebiegła gładko i bez pomyłek, bo w przeciwnym razie... Właśnie dlatego Alice codziennie wydzwaniała do dziennikarzy we wszystkich strefach czasowych, próbując namówić ich, żeby jednak nie publikowali tekstów o Robertsonie, ozdobionych tytułami: „Oblesny stary dziad i kazirodczy skandal”, i tak dalej.

Jedyną wolną chwilę w ciągu tygodnia poświęciła na spotkanie z Simonem i Lysette w „LA Farm”. Zastanawiała się, czy nie pójść tam z Paddym, ale przyszło jej do głowy, że może rozmowa o ślubie i dzieciach, których narodziny przewidywała młoda para, będzie zbyt dużym obciążeniem dla ich trwającego zaledwie tydzień związku. Przecież nawet określenie „związek” wydawało się w tych okolicznościach trochę za poważne... W rezultacie tych rozważań Alice sama dołączyła do szczęśliwej pary.

- Przepraszamy, że umówiliśmy się z tobą tutaj, ale ten bar jest z dala od centrum i facet, który chce odzyskać swój bry-



lant, raczej nie będzie nas tutaj szukał - powiedziała Lysette, która bardziej bała się utraty klejnotu niż życia.

- Dlaczego nie powiadomicie policji o całej tej sprawie? - zapytała Alice.

- O, Chryste, nic dziwnego, że zawsze wygrywałem z tobą w „Policjantów i złodziei”, kiedy byliśmy mali, Alice - odezwał się Simon, kładąc jedną rękę na kolanie Lysette, a drugą ujmując szklanekę z piwem. - Nie rozumiesz, że nie chcę donieść na samego siebie?

- Ale przecież nie zrobiłeś nic złego, prawda?

- Simon przesznuł wielki brylant, Alice. - Lysette powiedziała to z taką dumą, jakby podobne działanie wymagało intelektu fizyka jądrowego i odwagi korespondenta wojennego.

- No, tak - poddała się Alice. - Obiecacie mi przynajmniej, że będziecie ostrożni, przecież ci ludzie mogą być niebezpieczni... - Ale ani Simon, ani Lysette nie wyglądali na specjalnie przejętych. - A teraz powiedzcie mi, gdzie będzie ślub - w katedrze św. Pawła czy w Opactwie Westminster-skim? - zagadnęła, zastanawiając się, czy przynajmniej raz w życiu trafi na rozkładówkę magazynu „Hello!” jako „Alice Lewis, kuzynka pana młodego i bliska przyjaciółka panny młodej”.

Przez chwilę była pełna nadziei, szybko jednak doszła do wniosku, że redaktor działu zdjęciowego na pewno pominie jej podobiznę, zastępując ją fotografią Fifi lub innej aktorki. Zastanawiała się również, czy odważy się poprosić Paddy'ego, aby jej towarzyszył.

- Można powiedzieć, że już podjęliśmy tę życiową decyzję - rzekła ostrożnie Lysette, dla kurażu biorąc Simona za rękę. - Weźmiemy ślub na białej tratwie w Nepalu.

- Słucham? - wykrztusiła Alice, daremnie próbując wyobrazić sobie pełną wdzięku i gracji Lysette, składającą przysięgę ślubną w kasku ochronnym i kamizelce ratunkowej.

- Zawsze marzyłem o takim ślubie - wyznał Simon. - Miesiąc miodowy spędzimy w Ritzu. Nie martw się, Ally, kochanie, na pewno znajdziemy dość dużą tratwę, żebyś mogła się

na niej zmieścić! - Simon ryknął śmiechem i żartobliwie stuknął Alice w teraz płaski jak deska brzuch.

Nie ulegało wątpliwości, że nie dostrzegł żadnej zmiany w jej wyglądzie, odkąd skończyła jedenaście lat.

- Wspaniale. To cudowny kompromis, prawda? Widać, że wam obójgu naprawdę na sobie zależy...

- Właśnie. - Simon się rozpromienił. - A później zamieszkamy w siedzibie przodków...

- Doskonale. Będziesz zachwycona, Lysette, zobaczysz. Wielki ogród, kaplica i to niezwykle przytulne skrzydło zamku, gdzie kiedyś mieszkała służba...

- Nie mówię o zamku, tylko o barce, Alice. Urodziłem się na barce i tam spędziłem najszcześniejsze lata swojego życia. Marzę o tym, żeby zamieszkać na niej z Lysette.

Alice zerknęła na Lysette, przekonana, że dostrzeże w jej oczach błysk rozczarowania. Po co wychodzić za lorda o krzywych zębach i uszach jak słonik Dumbo, jeżeli po ślubie ma się mieszkać na gnijącej bambusowej barce gdzieś w Kaszmirze? Ale najwyraźniej bardzo się pomyliła, bo na twarzy Lysette malowała się czysta miłość i uniesienie. Może nie usłyszała, co mówił Simon? Nie, to niemożliwe... Zdumiewające, ale Lysette była naprawdę zakochana w kuzynie Alice.

Przed północą Alice pożegnała się ze szczęśliwymi narzeczonymi i pośpiesznie wróciła do domu, żeby zadzwonić do Paddy'ego. Spędziła ten wieczór w Krainie Zakochanych i było jej trochę ciężko. Nie mogła przecież nikomu zwierzyć się z własnych nadziei w kwestii uczuć, łączących ją i Patricka. Wioząca ją taksówka wyjechała na autostradę przy dźwiękach sączącej się z radia melodii Burta Bacharacha i z mężczyzną w czarnym lamborghini na ogonie.

W czwartek o jedenastej wieczorem wyczerpana Alice osunęła się na biurko. Ukryła twarz w dłoniach i na kilka cudownych sekund zamknęła oczy. Tej nocy musiała już tylko dopracować liczne szczegóły organizacyjne konferencji prasowej Robertsona O'Rourke. Przejrzała przewodnik po hotelach i doszła do wniosku, że powinna zdecydować się na Trump

Towers. Słyszała, że w pokojach mają tam złote kosmetyczki na przybory do makijażu, a ona nie miała jakoś ostatnio pomysłu, w czym nosić konturowkę do warg. Zaznaczyła numer recepcji Trump Towers czerwonym mazakiem i wyłączyła komputer. Reszta może poczekać do jutra, ona musi się trochę przespać, bo inaczej dozna uszczerbku na urodzie. Tash i jej Alan wyjeżdżają na grzeszny weekend w Palm Springs, żeby uczcić przyjęcie jego żony do kliniki Betty Ford, więc Alice i Patrick będą mogli pozwolić sobie na dwa spokojne i pełne miłości dni w domu przy Fourth Street. W drodze do domu kupiła w Seven Eleven truskawki, francuskie rogaliki oraz parę zapiekanek, które miały jej zastąpić zdrową kolację.

- Nie brzydzą cię te śmieciuchy, Alice? Założę się, że nigdy nie wyobrażasz sobie, co dzieje się w twoim systemie trawiennym. - Tash siedziała na kuchennym blacie, zmywając czerwony lakier z paznokci u nóg i rozsiewając na podłodze małe kawałeczki waty.

- Dlaczego nie zrobisz sobie pedikiuru w Palm Springs? - zapytała Alice, parząc sobie język o gorącą zapiekankę.

Teraz zrobi jej się bolesny bąbel i nie będzie mogła w pełni cieszyć się pocałunkami Patricka...

- Nie jedziemy do Palm Springs - oznajmiła Tash. - Żona Alana zdołała wmówić swojemu psychoanalitykowi, że jej depresja nie ma nic wspólnego z uzależnieniem od środków przeciwbólowych, za to wszystko z nieszczęściem, jakie ją dotknęło, więc oboje muszą jechać na seminarium na temat ponownego odkrycia radości w życiu, które odbywa się w Las Vegas.

- Och, Tash, strasznie mi przykro! - powiedziała szczerze Alice.

Naprawdę było jej przykro. Nie wiedziała tylko, czy ma zwierzyć się Patrickowi, że będą musieli ograniczyć się do jej sypialni i zrezygnować z uprawiania miłosnych pieszczot na wszystkich stołach i meblach w domu, czy raczej spuścić na ten fakt zasłonę milczenia. W tej chwili pomyślała jednak, jak to będzie, kiedy obudzi się w zalanym ostrym słonecznym światłem mieszkaniu Paddy'ego i ta wizja pomogła jej podjąć

decyzję. Dieta składająca się głównie z zapiekanek oraz brak wystarczającej ilości snu nie wywarły zbawiennego wpływu na jej cerę oraz cellulitis na udach, a przecież nie mogła ryzykować, że przerażony Paddy poszuka kontaktu z gładką skórą innej kobiety, na przykład Izzy. W tej sytuacji nie miała wyboru. Zapomni powiedzieć Paddy'emu, że Tash będzie w domu przez cały weekend, i tyle. Włożyła croissantsy do lodówki i zajęła się oczyszczaniem truskawek z szypułek, kiedy nagle jej wzrok przykuł karaluch, który wylazł z pudełka po owocach i zamarł bez ruchu, niepewnie mrugając osłepionymi światłem oczkami.

- Tash, możliwe, że pewien znajomy wpadnie tu do mnie w czasie weekendu - powiedziała, rozgniatając karalucha kapciem. Najwyraźniej praca w charakterze rzecznika prasowego gwiazd Hollywood zmieniła jej serce w kamień i pozbawiła ją zbędnych sentymentów. - Nie masz nic przeciwko temu?

Tash podniosła wzrok znad środkowego palca lewej stopy.

- Znajomy? - powtórzyła.

Alice kiwnęła głową.

- Mówimy o Charliem?

- On ma na imię Paddy. - Alice wstrzymała oddech.

Wiedziała, że zasadniczo uczciwość jest najlepszą polityką, ale czasami nie mogła się zdobyć na to, żeby z dumnie podniesioną głową stawić czoło pewnym sytuacjom. Tym razem chodziło o to, że planowała spędzić najbliższe dwa dni w swoim pokoju, z mężczyzną. Na biurku w pracy miała kalendarz z Charlie Brownem i jego życiowym motto: „Nie ma tak trudnej i skomplikowanej rzeczywistości, przed którą nie można by uciec”. Alice przeżyła większą część swoich lat, realizując to hasło. Szkoda, że ten problem był wyjątkiem z reguły...

- To jakiś znajomy z Londynu czy ktoś taki? - drażyła Tash, pokrywając czubek paznokcia dużego palca świeżą warstwą lakieru. - Nie mam pojęcia, dlaczego nie umówiłam się na pedikiur w salonie kosmetycznym... Ten Paddy może nocować na kanapie w salonie tak długo, jak zechce...

- Paddy nie będzie nocował na kanapie w salonie - wy-

znała Alice, zdobywając się na odwagę godną bohaterów filmu *Braveheart*.

- Naprawdę? - Tash podniosła głowę i spojrzała na Alice, która o mało nie zdematerializowała się ze strachu.

No, Alice, mów prawdę, albo umrzyj...

- Spotykam się z nim od kilku tygodni. Niewykluźnione, że ma dziewczyną, ale podoba mi się i jak na razie nie próbował mnie związać, a to duży plus w porównaniu z Charliem...

Och, co za ulga! Wreszcie to powiedziała!

- Charlie próbował cię związać? - pisnęła Tash, tłumiąc chichot.

- Nie ma w tym nic śmiesznego, Tash, szczerze mówiąc, było to okropnie żenujące... - Teraz i ona także krztusiła się ze śmiechu, wspominając obszyte futrem kajdanki Charliego. - W dodatku warczał na mnie! -jęknęła.

- Warczał?! - Tash przewróciła buteleczkę i lakier wąską strużką ściekał z blatu na podłogę. - Jak warczał?!

- Tak jakoś... Ggrrrr... Jak niedźwiedź... - Alice otarła łzy i zanosła się śmiechem.

Obie dziewczyny spędziły następne dziesięć minut, warcząc na siebie jak niedźwiedzie, a następnie miaucząc i szczekając.

- Uważał, że ja uznam to za bardzo podniecające! - ryknęła Alice. - To jest najzabawniejsze!

- O, mój Boże, strasznie mi przykro, kochanie! Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - zapytała Tash, wycierając rozlany lakier. - Tak się cieszę, że poznałaś kogoś innego... Charlie to straszny dupek! Cóż, wszyscy agenci wielkich gwiazd są tacy, nie powinnam była ci go wciskać, to mój błąd...

Alice skwapliwie i z zadowoleniem przyjęła wyznaczenie przyjaciółki jako *carte blanche*. Teraz wreszcie mogła zaprosić Paddy'ego do siebie. Może nawet warto byłoby częściej mówić prawdę, kto wie...

- Okazuje się, że po świecie kręci się całe mnóstwo wariatów - westchnęła Tash. - Nie chciałam ci tego mówić, ale dziś rano znalazłam na progu pudełko, całkiem ładne, z różową karkardą...

Alice natychmiast pomyślała, że może to oznaczać powrót jej tajemniczego wielbiciela. Typowe, pojawia się znowu właśnie wtedy, gdy ona wreszcie spotyka mężczyznę swoich marzeń.

- W pudełku była kartka... - Tash nerwowo zerknęła na przyjaciółkę. - Tylko tajedna kartka, z trzema słowami: „Jeśli nie, to...”. Idiotyczne, prawda? Gdyby nie uganijający się za tobą zboczeniec, uznałabym, że to po prostu głupi żart, ale w tej sytuacji zadzwoniłam na policję. Obiecali patrolować naszą ulicę, ale i tak musimy bardzo uważać.

Alice o mały włos nie zakrzusiła się ze zdenerwowania. Boże, czyżby to był ten sam człowiek, o którym śniła, ten sam, z którym miała się tamtego wieczoru spotkać w Różanym Ogrodzie? Jeżeli tak, to naprawdę jest szczęściarą... Można śmiało powiedzieć, że cudem uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa. Obiecała sobie, że jeszcze w ciągu tego weekendu nauczy się na pamięć szyfru zamka i alarmu, a od poniedziałku zacznie znowu chodzić na lekcje kick boxingu. Dzięki Bogu, że Paddy będzie z nią przez całą sobotę i niedzielę. Co prawda nie jest supermanem, lecz na pewno w razie czego potrafi poradzić sobie z tym nieszczęsnym zboczeńcem.

Alice leżała w łóżku, w jednej ręce trzymała szklanekę z miętową herbatą, a w drugiej słuchawkę. Było już po północy i jak zwykle o tej porze rozmawiała z Paddym.

- W poniedziałek muszę lecieć do Nowego Jorku - oświadczyła.

- Na jak długo? - zapytał przyjemnie zgnębionym głosem.

- Muszę być na konferencji prasowej Robertsona. Nie martw się, przywiozę ci czepek kąpielowy z hotelu. W środę wracam. Będiesz za mną tęsknił?

Zdumiewające, ale przez telefon można powiedzieć wiele rzeczy, których oko w oko z Paddym nigdy by z siebie nie wydusiła...

- To chyba oczywiste. Będę niepokieszony. Ale jutro wieczorem się widzimy, prawda?

- Dziś wieczorem - sprostowała Alice, której zegarek wskazywał pierwszą trzydzieści. - Jasne, jesteśmy przecież umówieni. Przyjeżdż koło szóstej.

Gdyby Alice była bohaterką jednej z powieści Hardy'ego, na pewno by wyczuła, że los lub bogowie bawią się z nią jak kot z myszą. Nie miała pojęcia, że koło szóstej wieczorem nastąpi krytyczny moment jej wyprawy na podbój Ameryki.

Alice skończyła porządkować swój pokój. Włączyła sztuczny wodospad i starannie ułożyła narzutę, starając się, aby łóżko wyglądało tak, jakby kilka minut temu podniosła się z niego Wenus, która następnie przeciągnęła się leniwie i udała do łazienki. Biała pościel spływała na podłogę we wdzięcznych fałdach, u węzłowia leżały trociczki, którymi po zapadnięciu ciemności planowała zapalić świece. W lodówce chłodziła zielone oliwki do martini, które miała podać, oraz gałązkę świeżo rozkwitłego jaśminu, aby napełnić pokój cudownym zapachem.

W wieczornym dzienniku podano wiadomość o możliwych wstrząsach tektonicznych w Kalifornii, co wzbudziło wielkie podniecenie w jej sercu. Nie mogła się już doczekać, kiedy jej łóżko zadrzy, a świece buchną jednym płomieniem. Pragnęła obudzić się rano i żartobliwym tonem zadać Paddy'emu następujące pytanie: „Czy pod tobą także zadygotała ziemia?”. Włożyła sukienkę i boso poszła do kuchni. Tash siedziała w swoim pokoju, słuchając zespołu Go-Go i pokrywając paznokcie u nóg jadłowicie zielonym lakierem.

- Już przyszedł? - zapytała, kiedy Alice mijała jej drzwi.

- Będzie tu lada chwila. - Alice poprawiła poduszki na kanapie w salonie i upozowała się na nich niedbale, przybierając pozę odpoczywającej nimfy. - Wiesz, Tash, niewykluczone, że pamiętasz go z tamtego przyjęcia... Nie, chyba jednak nie, bo byłaś wtedy zbyt zajęta Alanem, a my rozmawialiśmy w różnym ogrodzie...

Z pokoju Tash dobiegł ją pełen udawanego oburzenia okrzyk.

- Pieprzyłaś się z nim w moim różnym ogrodzie?!

Nie ulegało wątpliwości, że w gruncie rzeczy Tash jest bardzo zadowolona z takiego rozwoju sytuacji. W końcu to ona wepchnęła przyjaciółkę w ramiona Zboczonego Charliego...

- Nic z tych rzeczy - odparła Alice. - Pocałowaliśmy się i to wszystko. Polubisz go, Tash, zobaczysz.

Potem uciekła do swojego pokoju i zaczęła zapalać świece. Spodziewała się, że czynność ta zajmie jej co najmniej pół godziny, musiała więc zakończyć ją przed ostatecznym wybuchem namiętności. Uważnie przyjrzała się wielkiemu łożu, wielkiemu marzeniu wszystkich mężczyzn z południowej Kalifornii. Cóż, może ona nie była wspaniałym winem, które każdy z nich pragnąłby sączyć z tego pucharu, ale dziś wcale jej to nie przeszkadzało. Dziś była jej noc. Zapaliła zapałkę, a od niej pierwszą trociczkę. Nie mogła się już doczekać, naprawdę...

Paddy pędził autostradą z największą szybkością, jaką zdołał wykrzesać ze swojego starego grata. W schowku na kasety znalazł zakurzoną miętówkę i z uczuciem wielkiego zadowolenia włożył ją sobie do ust. A więc wreszcie nadszedł weekend... W tej chwili był absolutnie pewny, że kiedy wyjaśni Alice całe to nieporozumienie z domniemanym zboczeniem, jego ukochana wybuchnie śmiechem, zapyta, dlaczego podarował jej czekoladki zamiast brylantów od Cartiera, a potem wyzna, że była zachwycona jego liścikami. Powie, jak bardzo żałuje, że tamtego wieczoru nie spotkała się z nim w Różnym Ogrodzie i wszystko pójdzie w zapomnienie. W końcu była to tylko idiotyczna sytuacja, jedna z tych, jakie często zdarzają się ludziom na tym etapie znajomości. Przecież ona też popełniła błąd, nie domyślając się, co naprawdę myśli o Izzy. Lubię Alice, bardzo ją lubię, pomyślał. Było to znacznie więcej, niż mógłby powiedzieć o wszystkich dziewczynach, w których był kiedyś zakochany. Może niedługo wróca do Londynu i zostaną najbardziej dynamicznym duetem teatralnym w mieście? Alice wyraźnie nie czerpała satysfakcji z pracy dla podstarzałych kazirodców, a on musiał wreszcie zabrać się do pracy nad sztuką. Zamieszkaliby w wieżycy



w Bloomsbury i powoli zakochiwali się w sobie, tocząc długie rozmowy przy piwie Guinness w pubie Nelly Dean.

Paddy zatrzymał się pod domem na Fourth Street. Czuł się trochę dziwnie, bo po raz pierwszy nie musiał się niczego obawiać. Z radością pomyślał, że od dziś stanie się uznanym przez Tash chłopakiem Alice, który nie musi parkować w odległości półtora kilometra od jej domu i w czasie przyjęć ukrywać się za roślinami doniczkowymi.

Alice zapaliła już wszystkie świece i nagle przypomniała sobie, że na sznurku pod oknem swojego pokoju zostawiła nieco zszarzałe majtki. Pragnęła, aby nic nie zakłócało cudownego widoku, więc pobiegła do tylnych drzwi i szybko wyszła do ogrodu, aby usunąć skazę na wspianym wieczorze.

Paddy zadzwonił do drzwi i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Może jednak powinien przynieść coś jeszcze poza chipsami tortilla i szczoteczką do zębów? Czuł się odrobinę sztywno i oficjalnie.

W tym samym czasie Tash przemierzała kuchnię długimi krokami, przytrzymując ramieniem słuchawkę telefonu.

- Nie wierzę, do kurwy nędzy! - wybuchnęła. - Jaka ostateczna decyzja, co ty gadasz?! Najpierw rzucasz żonę, a parę chwil później dzwonisz z tego cholernego seminarium w Vegas, żeby powiedzieć mi, że z nami koniec?!

- Przepraszam cię, Natasho. Od narodzin moich dzieci bardzo cierpiałem, ale nie umiałem sobie uświadomić, co było tego przyczyną. Teraz muszę być z moją rodziną, po prostu muszę...

Gdzieś w tle rozległy się oklaski. Najwyraźniej pozostali uczestnicy zajęć w sali im. Elvisa Presleya demonstrowali pełną aprobatę dla poczynań Alana. Jego żona uśmiechnęła się czule i otarła łzy wzruszenia i wdzięczności.

- A czy powiedziałeś swoim nowym znajomym, jak bardzo lubisz cierpieć?! - ryknęła Tash. - Może powinnam przesłać im kasetę z nagraniem, które śmiało można zatytułować: „Rekreacyjne bicie dla początkujących”, co?! Na pewno wszyscy

świetnie by się bawili! Wreszcie zobaczyliby, co ty, panie Masochisto, uwielbiasz robić ze swoim bardzo malutkim kutasiem! Najmniejszym, jaki kiedykolwiek widziałam!

Tash rzuciła słuchawkę na widełki.

W nieco zakurzonej sali im. Elvisa Presleya dwanaście otyłych par odetchnęło z ulgą. Co za szczęście, że dziś wieczorem to nie oni muszą publicznie mówić o swoich przeżyciach... Mężczyźni postanowili, że kiedy nadejdzie ich kolej, będą udawać, że ich kochanki nie podnoszą słuchawek. Alan oblał się ciemnym rumieńcem i zaczął poważnie się zastanawiać, czy nie powinien poddać się operacji powiększenia członka.

Patrick jeszcze raz nacisnął dzwonek. Zamierzał już pójść do ogrodu i przez okno sprawdzić, czy Alice jest w domu, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i na progu stanęła biała jak prześcieradło, wściekła Tash. Trudno powiedzieć, które z nich dwojga było bardziej wstrząśnięte.

Alice urwała główki kilku zwiedłym różom, które z bliska wyglądały naprawdę żałośnie. Przytrzymała zdjęte ze sznurka majtki podbródkiem i pozbawiła życia jeszcze jeden konający kwiat. Wiedziała, że zajmie jej to tylko sekundę, poza tym Paddy na pewno trochę się spóźni. Przerzuciła martwe kwiaty przez płot, do ogrodu sąsiadów i pomyślała, że może powinna zerwać kilka najpiękniejszych róż i położyć je na poduszce Paddy'ego. Nie, to jednak byłby zbyt sentymentalny gest, za bardzo w stylu bohaterek filmów z Jane Seymour... Najlepiej będzie zerwać jedną świeżą różę i wstawić ją do wazonu. Tak, właśnie to robi.

- Jesteś Patrick, prawda? - odezwała się Tash, wyciągając rękę.

Paddy cofnął się o krok, Tash zmrużyła oczy i zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Potem oboje zamarli. Zrozumiała, że ma przed sobą prześladowającego Alice zboczeńca, jeszcze jednego cholernego samca.

- To ty! - warknęła krótko.

Patrick miał ochotę rzucić się do ucieczki, ale zapanował

nad tym odruchem. Miał nadzieję, że Alice lada chwila ukaże się za plecami Tash i uratuje go.

- To ty! - wrzasnęła Tash i rzuciła się na Paddy'ego, który czujnie usunął się na bok. - To ty jesteś tym dewiantem! To ciebie spłoszyłam tamtego dnia!

- Mogę wszystko wyjaśnić - powiedział Paddy i uśmiechnął się, próbując oczarować Tash, co w tych okolicznościach okazało się całkowicie błędnym posunięciem.

- Uważasz, że to zabawne, tak?! Straszanie kobiet to dobra rozrywka, co?! Myślisz, że staniesz się mężczyzną, wysyłając kobietom pogrożki i liściki na brudnym papierze?! Jesteś nikim, zwyczajnym gnojkiem! A teraz zmiataj stąd, bo wezwę policję! Jeżeli jeszcze raz się tu zjawisz, żeby nękać Alice, osobiście cię wykastruję, rozumiesz?! - Utkwiła straszne spojrzenie w twarzy Paddy'ego, który zaczął powoli wycofywać się w stronę podjazdu.

- Nie jestem żadnym zbrojcem, jestem normalnym facetem! Tam, skąd pochodzę, podobne zachowanie traktuje się jak zaloty, uwodzenie! Większość kobiet czerpie z tego mnóstwo radości!

Jak to się stało, że Alice zaprzyjaźniła się z tą wariatką, na miłość boską? Miał ochotę wpaść do środka, zabrać Alice i uciec z nią, ale w porę zauważył, że tuż przy drzwiach stoją widły. Czy warto umrzeć dla miłości? Być może, ale Paddy nie był o tym do końca przekonany. Ciekawe, na co przydałby się Alice, gdyby Tash podziurawiła go widłami... Postanowił dać nogę i zadzwonić do Alice później, kiedy już Tash zgodnie z planem wyjedzie do Palm Springs. Jezu kochany, co za przerażająca baba!

- Spływaj, bo za piętnaście sekund sprowadzę tu uzbrojonych ochroniarzy! - Tash z przyjemnością wyobraziła sobie scenę, że rozszarpuje tego zbrojca na strzępy.

W gruncie rzeczy widziała nie Paddy'ego, ale Alana, Alana w dżinsach i kowbojskich butach, z kamerą seksownie opartą na ramieniu. Już ja ci pokażę, ty draniu, pomyślała, patrząc, jak Patrick wskakuje do swego volva i ucieka.

\*

Alice wrzuciła majtki do kosza z czystą bielizną. Frontowe drzwi były szeroko otwarte.

- Tash, musimy postarać się o jakiś nawóz pod te róże, bo niedługo wszystkie padną. - Weszła do holu i zobaczyła wyglądającą na podjad przyaciótkę. - Co robisz?

- Musimy porozmawiać, Alice. - Tash odwróciła się i zamknęła drzwi. - Usiądźmy.

- Co się stało? - Alice roześmiała się nerwowo, zastanawiając się, dlaczego przyjaciółka tak dziwnie się zachowuje.

Tash usiadła na kanapie, podwijając pod siebie jedną nogę i zrobiła miejsce dla Alice, która przycupnęła na brzegu, co parę sekund zerkając w stronę drzwi. Miała nadzieję, że Tash nie nabrała ochoty na chwilę absolutnej prawdy i psychoanalizy tylko dlatego, że nie ma co robić w piątkowy wieczór.

- Chodzi o Alana? - zapytała spokojnie.

- Nie, chodzi o tego Irlandczyka. - Tash nie mogła się zmusić, aby wymówić jego imię.

- O Paddy'ego? - Alice poczuła, jak jej żołądek ścisną się boleśnie.

Co się tu działo, na miłość boską?!

- No, właśnie - powiedziała Tash niewzruszonym tonem. - Przed chwilą tu był...

Alice usiłowała zerwać się z miejsca, żeby sprawdzić, czy samochód Paddy'ego stoi pod domem, lecz Tash zdecydowanym ruchem położyła rękę na jej kolanie.

- Nie, Alice, on już pojechał. Kochanie, to poważna sprawa...

Alice zrozumiała, w czym rzecz. Och, takie głupstwo, a ona już myślała, że to naprawdę coś ważnego...

- O, mój Boże, myślisz, że on nadal chodzi z Izzy, tak? Powinam była wszystko ci powiedzieć, Tash, skarbie. Patrick rozstał się z Izzy, jest teraz ze mną. - Uśmiechnęła się triumfalnie, zadowolona, że wreszcie dotarła do sedna.

- Nie miałam pojęcia, że chodził z Izzy, zresztą to nieistotne, kochanie. - Tash westchnęła. - Alice, ten facet jest złośliwym. To psychopata, który od dawna snuje się za tobą, obserwuje dom, przysyła ci pogróżki i Bóg wie, co jeszcze. Gdy-

byśmy nasłali teraz na niego policję, okazałoby się, że jego mieszkanie jest wytapetowane twoimi zdjęciami lub coś w tym rodzaju, mówię ci... - Tash była naprawdę wstrząśnięta i głęboko zaniepokojona losem przyjaciółki.

- Paddy jest psychopata?! Tash, o czym ty mówisz, na miłość boską?! Byłam u niego w mieszkaniu, na ścianach nie ma moich zdjęć! Gdzie jest Patrick?

Alice wstała i podeszła do okna. Była prawie pewna, że to wszystko jest jakimś okropnym żartem. Może Paddy ukrył się za drzewem przed domem? Przycisnęła twarz do szyby i zmrużyła oczy.

- Chcesz powiedzieć, że byłeś w jego mieszkaniu? - Tash z przerażeniem jęknęła. - Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało! Cholera jasna, wyobraź sobie, co mogłoby się stać, gdybym wyjechała na ten weekend! Facet mógłby zrobić coś naprawdę szalonego!

- Tash, skąd wiesz, że to Paddy?

- Bo widziałam go tamtego dnia! Odjechał wtedy tym samym volvem, więc nie mam cienia wątpliwości! Mogę go zidentyfikować, jeśli policja mnie o to poprosi! Zaraz, zaraz, przecież mogą go aresztować, kiedy wróci do domu! Gdzie on mieszka?

- Jesteś pewna, że to on? - Alice ciężko osunęła się na kanapę. - Przyznał się?

- Powiedział, że jego zdaniem nie ma nic złego w straszaniu kobiet! Że kobietom sprawia to przyjemność!

Alice leżała na ławce w różanym ogrodzie. Dwie godziny wcześniej Tash wreszcie poszła do łóżka. Teraz Alice patrzyła, jak ciemność powoli rozrzedza się i blednie, ustępując miejsca porankowi. Była śmiertelnie zmęczona. Bardzo długo powtarzała Tash, że Paddy nie jest tego typu facetem, lecz przyjaciółka nie dała się przekonać. Potem obie pocieszały się nawzajem, że wszyscy faceci są tacy sami. Szkoda tylko, że żadna z nich nie czuła się pocieszona. Alice usiłowała siłą woli ściągnąć Paddy'ego do ogrodu. Dałaby wszystko, żeby zjawił się obok niej, powiedział, że to wszystko to wielka pomyłka,

i pocałował ją. Jednocześnie miała ochotę nawrzeszczyć na niego i z całej siły skopać opony jego volva. Wcale nie była pewna, czy to rzeczywiście on przysyłał jej te dziwne i przyjemne rzeczy. Zresztą, czy było w tym coś złego? Alice przyzwyczała się do myśli, że ma swojego zбочerńca, polubiła go i miała nadzieję, że jest to ktoś tak przystojny i miły jak Paddy. Dostała od niego piękne kwiaty... Przecież to wspaniałe, że jakiś mężczyzna zainteresował się nią do tego stopnia, by zrobić to wszystko... Ledwo to pomyślała, a już przypomniała sobie słowa Tash.

- Skoro naprawdę cię kocha, a nie tylko bawi się tobą, żeby poprawić sobie samopoczucie, to dlaczego nie powiedział ci o wszystkim? To niebezpieczny typek, Alice. I w dodatku cię okłamał...

Nie, to nie mógł być Paddy... Ale jeżeli nie Paddy, to kto? Skuliła ramiona, ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się.

Dlaczego pierwszy mężczyzna, w którym się zakochała (bo tak właśnie było) od rozstania z podstępnyń Jamiem musiał okazać się psychopatą polującym na żalodne kobiety? Więc jednak powinna była dalej chodzić na zajęcia z kick boxingu... I powinna była wiedzieć, że żaden normalny mężczyzna nie zakocha się w osobie tak dziwacznej i nieciekawej jak ona, zwłaszcza że w tym przeklętym mieście dosłownie roi się od kobiet wyglądających jak żywe reklamy modnych i seksownych kostiumów kąpielowych...

Na bulwarze Santa Monica nie było żywej duszy, jeżeli nie liczyć kelnera z restauracji Lobster Pot, który chyba nawet o tej porze wyglądał konsumentów. Paddy po raz setny wybrał numer Alice, ale po paru sygnałach znowu włączyła się automatyczna sekretarka. Odwiesił słuchawkę. Jeżeli nagra wiadomość dla Alice, ta szalona Tash uzna to za kolejną pogroźkę. Nie mógł ryzykować. Musiał wymyślić inne rozwiązanie, tyle że jakoś mu to nie szło. Otworzył paczkę chipsów tortilla, którą nadal ściskał w ręku, i wrócił do samochodu, żeby zastanowić się nad następnym krokiem. Dziwne, ale tej nocy nie było go stać na optymizm. Dochodziła czwarta trzydzieści

rano i musiał przyjąć do wiadomości, że jeżeli Tash postanowiła zostać na weekend w domu, to on, Patrick Wilde, ma po prostu przechłapanie. W poniedziałek musi wrócić do Londynu, to jedno było absolutnie pewne. Nie miał innego wyjścia. Premiera sztuki przypadała za kilka tygodni i wszyscy krytycy teatralni z West Endu już na nią czekali.

- Kurwa mać! - Paddy walnął otwartą dłońią w kierownicę i zaczął wrywać sobie włosy. - Kurwa mać!

scandalous

## Rozdział 27

- Kurczak czy wołowina? - zapytała stewardesa.  
- Dziękuję, nie jestem głodna. - Alice poprawiła zatyczki w uszach, starając się zignorować głośne mlaskanie, z jakim jej sąsiad pochłaniał swoją porcję pieczeni wołowej.

Mężczyzna siedzący z drugiej strony cierpiał na jakiś nerwowy tik. Co kilka sekund drgała mu noga, a ponieważ z Los Angeles wylecieli już trzy godziny temu, Alice była nieco zmęczona.

- Nawet nie myśl o tym, żeby do niego zadzwonić! - warczała Tash za każdym razem, gdy Alice pojawiała się w promieniu siedmiu metrów od telefonu.

Alice zdawała sobie sprawę, że Tash chce tylko jej dobra, wszak znała mężczyzn znacznie lepiej niż ona... Nie na darmo od sześciu lat pracowała w przemyśle filmowym. Prawdopodobnie właśnie dlatego potrafiła rozpoznać psychopatę...

- Tak naprawdę wcale go nie kochasz, Alice. Posłuchaj, kiedy wrócisz z Nowego Jorku, umówię cię na wizytę u mojego psychoanalityka i on pomoże ci szybko wrócić na właściwą ścieżkę. Musi istnieć jakiś powód, że pociągają cię akurat niebezpieczni mężczyźni, kochanie, i wcześniej czy później dowiemy się, co to takiego. - Uśmiechnęła się pocieszająco. - Razem na pewno nam się to uda, skarbie. Dużo nauczyłam się z mojej historii z Alanem i dziś wiem, że dziewczyny powinny trzymać się razem, to najważniejsze. Za trzy tygodnie wy-



jeżdżam do Europy, do pracy przy następnym filmie i zamierzam zafundować sobie cudowny lesbijski romans...

Alice pokiwała głową i bez słowa wycofała się do swojej sypialni. Wypiła kolejne siedem kropel ziołowego eliksiru uspokajającego i zaczęła się zastanawiać, ile jeszcze dawek może przyjąć w ciągu najbliższych godzin. Elixir był bardzo smaczny, ale bynajmniej nie uśmierzał cierpienia jej serca i ciała. Nie mogła zasnąć i wyglądała jak śmierć na chorągwi. Niechętnie spojrzała w lusterko.

- Kocham cię, Paddy, naprawdę - powiedziała z nadzieją, że te słowa jakimś cudem przywołają Patricka. - Nie, nie kocham cię. Nie. Okłamałeś mnie, ty psychopatyczny wielbicielu Izzy. Nienawidzę cię.

Gdyby tylko mogła się zdecydować, co naprawdę czuje... Wtedy zadzwoniłaby do niego, albo odesłała mu jego listy za pośrednictwem Federal Express.

Z ucha pochłaniacza wołowiny wyleciała zatyczka z żółtej gąbki i wylądowała na kolanach Alice. Podniosła ją i odrzuciła w kierunku właściciela, zasłoniła oczy maską i po raz nie wiadomo który spróbowała zasnąć. Niestety, jej głowa i serce pełne były Paddy'ego. Jak w tym stanie zdoła zorganizować konferencję prasową, na miłość boską? Dobrze, że zdecydowała się polecieć dzień wcześniej. Przesiadywanie w domu z Tash niczemu nie służyło.

Czy po zerwaniu z Jamiem czuła się równie fatalnie? Nie bardzo mogła sobie przypomnieć. Jaki mądry i przebiegły okazał się Stwórca, czyniąc z bólu przeżycie, o którym tak szybko zapominamy... Gdyby było inaczej, nikt nigdy nie zakochałby się po raz drugi, kobiety rodziłyby tylko po jednym dziecku i nikt nie podejmowałby się rzeczy, które sprawiają cierpienie. Tak czy owak, Alice była przekonana, że nigdy dotąd tak nie cierpiała. Nigdy.

Kiedy Paddy zahamował przed domem Izzy, rura wydechowa jego volva prawie dotykała nawierzchni. Nie miał cienia wątpliwości, że musi ją czymś podwiązać, bo inaczej nigdy nie

dojedzie do domu. Zostawił kluczyki w stacyjce i zapukał do tylnych drzwi.

- Izzy, musisz mnie wpuścić! - krzyknął, zakłócając spokój sąsiadów Izzy. - Proszę cię, skarbie, nie rób mi tego!

- Co ty tu robisz, Paddy? - Izzy ukazała się w oknie naga jak ją Pan Bóg stworzył.

Jej twarz skąpana była w bladym świetle księżyca, potargane włosy ciężką falą opadały na ramiona. Wyglądała jak uwięziona w wieży księżniczka z bajki. Na jej widok Paddy odetchnął z ulgą.

- To zupełnie jak scena z *Romea i Julii!* - Roześmiała się z wyraźnym zadowoleniem.

- Mogę wejść? - zapytał błagalnie.

- Jesteś pewien, że nie mam towarzystwa? - Izzy mrugnęła do niego, w jednej sekundzie przeistaczając się z uciśnionej dziewicy w uwodzicielkę.

- Wszystko zrozumiem. - Zbliżył się do okna i chwycił dłoń dziewczyny. - Izzy, proszę...

W tym świetle Paddy do złudzenia przypominał młodego JFK, więc nie mogła mu się oprzeć. Ciekawe, czy miałyby coś przeciwko temu, żeby mówiła do niego „John John”... Oczami wyobraźni już widziała ich wspólne zdjęcie na okładce magazynu „People”.

- No, dobrze, skarbie - powiedziała. - Mam nadzieję, że mi się to opłaci... - Znowu mrugnęła do niego i podeszła do francuskiego okna, żeby go wpuścić.

Alice rozpakowała torbę, w której znajdowała się tylko bielizna i mocno wygnieciony kostium, padła na łóżko i zalała się łzami. Tkwiła w luksusowym pokoju w hotelu Trump Towers, ale była tu sama jak palec, nie mogła nawet zadzwonić do Paddy'ego. Wyrzała przez okno i zobaczyła żółte taksówki sunące po mokrym asfalcie. Co on teraz robi? Czy myśli o niej? Tęskni za nią? Ach, może jednak powinna zadzwonić do niego, oczywiście tylko po to, by powiedzieć, że nie chce go więcej widzieć. Nie zamierzała słuchać kłamliwych wyjaśnień, lecz chciała mu uświadomić, że każda próba kontaktu

z nią będzie stratą czasu. Gdyby chciał odzyskać ją, posyłając jej wiersze, kwiaty i czekoladki, to także nie ma na co liczyć. Nigdy jej nie odzyska, nigdy. Chyba powinien o tym wiedzieć, prawda?

Podniosła słuchawkę, wzięła głęboki oddech i wybrała pierwszą cyfrę numeru jego komórki. Przez ostatnie trzydzieści dziewięć godzin powtarzała ten numer jak mantrę. 1 310 550... Przerwała. Nie mogła tego znieść. Podeszła do barku i wyjęła miniaturową butelkę jacka danielsa.

Nagle ciszę przerwał dzwonek telefonu. Upuściła buteleczkę na dywan i znieruchomiała.

- Błagam, Boże, daj, żeby to był on... Proszę, proszę, proszę!

Następne trzy sekundy spędziła w raju. Paddy przeproszał ją za to cholerne nieporozumienie i obiecywał, że jutro wieczorem zabierze ją do baru w Chateau Marmont, aby uczcić ponowne narodziny ich związku...

- Halo? - W słuchawce rozległ się kobiecy głos.

Serce Alice z hukiem wylądowało na ziemi.

- Musisz być na konferencji, a potem na balu, bo inaczej wylecisz z pracy. Właśnie przejęłam nadzór nad tym projektem. Kiedy wrócisz do Los Angeles, dokonamy koniecznych zmian w treści twojego kontraktu. W biurze wszyscy mówią, że nie potrafisz nawet zorganizować działki ecstasy. - Kelly z zapałem przystąpiła do tępienia Alice. - Rano będę w Nowym Jorku. Masz zwolnić pokój, ja zajmę się wszystkim. Jennifer prześle ci faksem oficjalne ostrzeżenie dyscyplinarne.

Alice wysączyła jacka danielsa do ostatniej kropli i zabrała się do miniaturowej coli oraz dietetycznego sprite'a. Czy sprite zawierał kofeinę? Jak to się stało, że wysłała podpisane przez Tommy'ego zgłoszenie do klubu Anonimowych Uzależnionych od Seksu do siedmiu tysięcy dziennikarzy, i nawet tego nie zauważyła? Ukryła twarz w dłoniach. Musiała zrobić to w ubiegłym tygodniu, kiedy była jeszcze szczęśliwie, cudownie zakochana. I zupełnie nieprzytomna. Biedny Tommy... Nieszczęsne zgłoszenie musiało jakoś przyczepić się do notat-

ki prasowej o Robertsonie. Nic dziwnego, że kserowanie trwało tak długo...

Cóż, trudno... Nie miała pracy, nie miała mężczyzny. I nie miała gdzie się zatrzymać w mieście o najwyższym wskaźniku przestępczości na świecie. Życie to nie zabawa. Alice sięgnęła po słuchawkę, żeby zadzwonić do Tash, ale nagle uznała, że nie znieśie pouczeń przyjaciółki. Chciała porozmawiać z Paddy, powiedzieć mu, że w zasadzie została wywalona na pysk z pracy za poinformowanie prasy o mało apetycznych szczegółach romansów Tommy'ego ze słynnymi aktorkami. I że facet, w którym się zakochała, okazał się zbrojcem. Wiedziała, że Paddy uśmieje się do łez. Niestety, zaraz przypomniała sobie, że nie może z nim rozmawiać. Zadzwoniła więc do Lysette, która wierzy w miłość i na pewno powie jej, co robić.

- Lysette? To ja, Alice...

- Cześć, kochanie! Jak tam twój namiętny weekend? Karmiliście się już truskawkami w blasku świec? - Roześmiała się głośno.

- Jestem w Nowym Jorku. Paddy jest zbrojcem, możesz w to uwierzyć? To on przysyłał mi liściki i kwiaty, i...

- Boże, jakie to romantyczne! - zachwyciła się Lysette i przez następne trzy minuty relacjonowała opowieść Alice Simonowi, który przeglądał gazetę w poszukiwaniu ogłoszenia o kołyszce dla ich pierworodnego w kolumnie „Sprzedam”. - Dlaczego jesteś w Nowym Jorku? - zapytała wreszcie. - Czy nie powinniście teraz świętować we dwoje? Ojej, Paddy musi mieć kręcka na twoim punkcie...

- Ma kręcka, to prawda, ale Tash uważa, że to niezdrowe - burknęła Alice.

A może to Lysette miała rację? Może to jej punkt widzenia był właściwy?

- Przepraszam cię bardzo, Alice, ale mam dziwne wrażenie, że Tash raczej nie jest studnią mądrości, jeśli chodzi o związki uczuciowe - prychnęła Lysette. - Pozwoliła przecież, żeby Simon jej się wymknął...

Lysette uznała, że młodzieńcza skłonność Simona do

obcałowywania kolegów z klasy była zupełnie niewinnym efektem ubocznym działania brytyjskiego systemu edukacyjnego.

- Chodzi o to, że Paddy przysłał mi też pistolet w paczce - westchnęła Alice, w pełni świadoma, że nawet optymizm Lysette nie udźwignie tego ciężaru. - To przecież wyraźna pogrożka...

- Jaka tam pogrożka! - Lysette się zirytowała, przysiadając na plecach Simona i zabierając się do masowania jego karku i ramion. - Niby jak sformułował tę pogrożkę?

- Była tam kartka ze słowami: „Jak nie, to...”, czy coś w tym rodzaju.

- No, właśnie, już wszystko jasne. Widzisz, Alice, to ten durny Donatello pomylił ofiary, pojechał za tobą i dowiedział się, gdzie mieszkasz. Potem miał nawet wyrzuty sumienia, bo to katolik. Powinam była zadzwonić do ciebie, ale byliśmy tacy zajęci...

- Donatello? - Alice poczuła się kompletnie zagubiona.

- Tak, Donatello. Całkiem miły chłopak. Chciał odzyskać swój brylant, ale powiedziałam mu, że to nie wchodzi w grę i zamiast tego może przyjechać na nasz ślub. Zarezerwujemy nawet dla niego kask. Spróbował moich pierniczków i obiecał, że się zastanowi. Teraz jeszcze śpi w pokoju na dole.

- Och, Boże, kocham cię, Lysette! Naprawdę! Zobaczymy się w poniedziałek!

Alice szybko odłożyła słuchawkę. Teraz mogła z czystym sumieniem zadzwonić do Paddy'ego, wszystko mu wytłumaczyć i powiedzieć, że łóżko w hotelu jest zdecydowanie za duże dla niej samej, i że strasznie za nim tęskni. 1 310 550 73... 4... Wzięła głęboki oddech i pociągnęła spory łyk wódki. 6... No, już...

- Halo?

Jakaś kobieta. Wcale nie Paddy.

- Halo, czy zastałam Paddy'ego? - Zaskoczona z trudem przełknęła alkohol.

W Malibu był późny ranek. Późny ranek po baaaardzo długiej nocy. Tak czy inaczej, Izzy potrafiła w każdej sytuacji

rozpoznać angielski akcent. W dodatku wiedziała, do kogo należy ten konkretny angielski akcent...

- Czy to Alex? Chcesz rozmawiać z Paddym? - głos Izzy był pobłażliwy i lekko rozbawiony.

- Alice. Czy jest Paddy?

- Chwileczkę. Paddy? Nie, chyba poszedł wziąć prysznic. Powiedzieć mu, żeby oddzwonił?

Izzy uśmiechnęła się szeroko na widok Paddy'ego, który właśnie przeszedł z łazienki do gościnnego pokoju, w którym uparł się spędzić noc, pogwizdując melodie Van Morrisona.

- Nie, nie trzeba. - Alice przerwała połączenie.

- Ciao! - Izzy odłożyła telefon komórkowy Paddy'ego na stolik do kawy, obok jego kluczyków do samochodu i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś ubrania.

Co stało się z tym cudownym biustonoszem, który niedawno sobie kupiła?

Alice spakowała rzeczy i postawiła torbę przy drzwiach, aby wyjść zaraz po przybyciu Kelly. Było gorzej, niż mogła sobie wyobrazić. Czuła, że jeżeli jeszcze chwilę zostanie w tym pokoju, powiesi się na sznurze od lampy. Nigdy dotąd nie była w Nowym Jorku, więc chyba powinna poświęcić trochę czasu na zwiedzanie. Jak to możliwe, że Paddy wrócił do Izzy? Cóż, może nigdy się z nią naprawdę nie rozstał... Słowa Tash huczały jej w głowie, kiedy szła Czterdziestą Czwartą. Czy naprawdę była typową ofiarą? Może rzeczywiście powinna pójść do psychoanalityka? Jej zachowanie nie było normalne...

- Chodzi o to, doktorze, że... - Zawahała się. - Mam się do pana zwracać „doktorze”?

W tym momencie psychoanalityk na pewno skinie głową w typowy dla psychoanalityków sposób. W jego łysinie odbije się światło lampy, zapalanej nad wyciągniętą na leżance Alice.

- A więc problem tkwi w tym, że moi ostatni trzech mężczyźni źle mnie traktowali. Zaczyna mnie to niepokoić. Czy ten schemat będzie się powtarzał przez całe życie?

Psychoanalityk wymamrocze coś niezrozumiałego o ómach leczących do ognia, ale ona nie zwróci na to uwagi.

- Muszą się dowiedzieć, czy w moim podejściu do mężczyzn tkwi jakiś błąd. Przedostatni facet rzucił mnie w parę minut po zakończeniu stosunku i wyznał, że znacznie bardziej podnieca go związek z prawniczką obciętą na pazia...

Psychoanalityk zamieszkujący wyobraźnię Alice okazał zdumienie. Najwyraźniej uznał, że zwrot „obciętą na pazia” oznacza jakiś szczególny rodzaj gry wstępnej.

- To taka fryzura - oświeciła go Alice. - To jest dla mnie szczególnie przykre. Muszę być potwornie nudna, skoro chłopak zostawił mnie dla takiej kobiety...

Psychoanalityk milczał.

- Nieważne, rozstaliśmy się, i tyle. Chciałabym powiedzieć, że to ja go zostawiłam, ale to nieprawda. Mieszkałam z nim, byliśmy razem... Potem nauczyłam się żyć bez niego. Nie byłam wtedy uosobieniem pogody ducha, lecz jakoś przeżyłam. Potem poznałam Charliego, któremu bardziej zależało na moim łóżku niż na moim ciele, w każdym razie mam powody podejrzewać, że tak właśnie było. I wreszcie spotkałam Paddy'ego. Kocham go...

- Doskonale, to zdrowy objaw. - Psychoanalityk się ucieszył.

- Niestety, Paddy jest zboczeńcem, ale co dużo ważniejsze, woli Izzy, więc nie możemy być razem. Myśli pan, że jestem nieuleczalnym przypadkiem, doktorze? - zapytała Alice, ale psychoanalityk już zniknął.

Jego miejsce zajął otyły nowojorski policjant, który coś cicho gadał do krótkofalówki. Alice poczuła się o wiele lepiej. Może jednak psychoterapia przyniesie jej ulgę? Może przejdzie krótki kurs samopomocy i wreszcie będzie szczęśliwa? Postanowiła, że jutro musi znowu sama z sobą porozmawiać. Nagle zauważyła, że zawędrowała do dość nieciekawej części miasta, do złudzenia przypominającej Gotham City. Z otworów kanalizacyjnych w jezdni buchały kłęby pary, jacyś mężczyźni ładowali wielkie paczki do ciężarówek i witali ją gwizdami. Pomyślała, że gdyby udało jej się zgubić w Nowym Jorku, już nigdy nie musiałyby przejmować się pracą i facetami.

## Rozdział 28

Robertson otoczył ramieniem swoją siostrzenicę, z nieukrywaną przyjemnością pozując do zdjęć. Mimi uśmiechała się radośnie. Przyszło jej do głowy, że trochę później mogliby oboje wstąpić do Tiffany'ego i wybrać kilka błyskotek, które widziała w magazynie „Seventeen”.

- Więc to jest twoje źródło młodości, tak? - Jedna z dziennikarek zwróciła się do Robertsona, wskazując Mimi.

- Jasne. - Robertson z dumą zapalił cygaro.

Jego druga dłoń spoczęła na pośladku Mimi.

- Powiedz nam, Mimi, czy twój biust jest prawdziwy? - ciągnęła dziennikarka.

Alice miała ochotę wyrzucić ją z sali. Wścibska baba zadała już bardzo kłopotliwe pytanie na temat tajemniczego zniknięcia siódmej żony Robertsona, która trzydzieści lat temu dziwnym zbiegiem okoliczności trafiła na pokład wycieczkowego statku-burdelu. Na szczęście Mimi uśmiechnęła się słodko.

- Robertson mi je podarował - oświadczyła, wypinając piersi. - Wspaniałe, co?

Alice usiadła. Bogu dzięki, konferencja nie była ciężkim przeżyciem. I całe szczęście, bo po prostu nie miała siły na użeranie się z dziennikarzami. Niewykluczone, że byli tacy uprzejmi z wdzięczności za to, że Alice podała im na talerzu skandal dziesięciolecia. Proszę bardzo, moi drodzy, to wszystko dla was...

- Jak sprawiam mu przyjemność? - Dekolt Mimi pokrył



się lekkim rumieńcem, który powoli pełzł po jej szyi ku utlenionym loczkom. - Cóż... - Mimi okręciła pasmo włosów wokół palca i popadła w zamyślenie.

- Alice, musisz zamienić z tobą parę słów na zewnątrz, natychmiast! - W progu ukazała się Kelly, ubrana w kostium w stylu Demi Moore w roli przerażającej szefowej z filmu *W sieci*.

Zebrani dziennikarze odwrócili się na sekundę, obrzucili ją uważnymi spojrzeniami i spokojnie wrócili do zadawania pytań. Alice przedarła się między kamerami, głośnikami oraz mikrofonami i po chwili znalazła się obok Kelly.

- Na zewnątrz! - warknęła Kelly.

Alice usłuchała, powtarzając sobie, że jest zgodna, nie ślepo posłuszna.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - zasyczała Kelly. - Nie jesteś główną atrakcją tej konferencji, powinnaś siedzieć na podłodze! Pozwalasz im zadawać za dużo dociekliwych pytań! Robertson jest zdziecinniałym starszkiem, a ta dziewczucha to kretyнка. Masz myśleć za nich, a nie pozwalać, żeby ten tłum popaprańców atakował ich do woli!

W hotelowym korytarzu było ciemno, lecz Alice zauważyła, że Kelly przypięła sobie plakietkę z jej własną funkcją.

- Moim zdaniem Robertson i Mimi świetnie sobie radzą - odparła ostro. - Jestem ich rzecznikiem prasowym, nie opiekunką.

- Najwyraźniej nie radzisz sobie w tym mieście! Jesteś żalosną dziewczyną z jakiejś angielskiej pipidówki, która stara się rywalizować z poważnymi ludźmi. Lepiej sama się poddaj. - Kelly wypuściła z ust balon z jagodowej gumy do żucia.

- Wiesz co...-zaczęła Alice.

Kelly przewróciła oczami. Po co miałyby słuchać tej idiotki?

- Odpieprz się, Kelly. Sama możesz się zająć Robertsonem. Możesz też zająć moje stanowisko, nie mam nic przeciwko temu. Odchodzę.

Alice odwróciła się i szybkim krokiem pomaszerowała z powrotem do sali, nie zdając sobie sprawy, że nadal ma na

piersi włączony mikrofon. Kiedy sięgnęła po swoją torbę, dziennikarze wstali i zaczęli bić jej brawo.

Robertson dźwignął się z fotela na kółkach.

- Świetnie sobie poradziłaś, dziecinko - oświadczył, gorąco ściskając rękę Alice. - Nie daj im się zgnoić. Gdybyś kiedykolwiek szukała pracy, zgłoś się do mnie.

- Dziękuję ci, Alice, jesteś kochana. - Mimi wstała i przycisnęła Alice do swego wypchanego biustu.

Alice uśmiechnęła się, pośpiesznie otarła łzy wzruszenia i wybiegła z sali. Kelly czekała na nią pod drzwiami.

- Poproszę klucze do pokoju - rzuciła, wyciągając rękę.

Alice poszperała w torbie i po chwili znalazła obciążony sporym brelokiem klucz.

- Zostawiłam twoje zwolnienie w recepcji - dodała Kelly na pożegnanie.

- Łap! - Alice nie miała już ochoty silić się na uprzejmość.

Niestety, Kelly nie była dość szybka i w rezultacie wielki klucz z brelokiem wyśladował na jej palcu u nogi. Coś trzasnęło.

- Auuu! - jęknęła Kelly. - Podam cię za to do sądu, ty nieodpowiedzialna suko!

Alice nawet się nie odwróciła. Lekkim krokiem szła przed siebie w kierunku windy. Dopiero kiedy drzwi kabiny zamknęły się za nią z cichym szumem, wybuchnęła płaczem. Co teraz miała ze sobą zrobić, na miłość boską?!

Nie miała nawet mapki metra. Nie miała też karty telefonicznej, więc nie mogła zadzwonić do Tash. Nie miała nic poza torbą podróżną z džinsami w środku. Gdyby była teraz w Londynie, mogłaby liczyć na pomoc znajomych lub jakiejś organizacji charytatywnej, a w najgorszym razie wsiąść do pociągu jadącego do Norfolk i za parę godzin znaleźć się w kuchni mamy. Nieszczęście polegało na tym, że była teraz nie w Londynie, tylko w Złym Nowym Jorku. Na rozwiązanie wpadła dopiero po półgodzinnym spacerze. Central Park. Tak jest, to tam szukali schronienia ludzie tacy jak ona, ludzie, którzy trzymali papierosy i butelki z dżinem w plastikowych reklamówkach...

- Przepraszam, jak dojść do Central Parku? - zagadnęła mężczyznę, który potwierdził jej podejrzenia, że teraz żyje już poza prawem.

- Nie wiesz, gdzie jest Central Park? Niezła z ciebie dziwaczka! - Roześmiał się i wskazał palcem.

Okazało się, że właśnie minęła Central Park. Odwróciła się i poszła w kierunku najbliższego wejścia. Nagle przypomniała sobie, że pod ulicami Nowego Jorku dyszy drugie miasto. Podobno pewien projektant mody, którego kariera nagle się załamała, przeżył pięć lat w tym ukrytym Nowym Jorku. Doszła do wniosku, że i ona musi rozważyć tę możliwość, lecz szybko zmieniła zdanie, kiedy idący za nią mężczyzna zaczął szczekać jak pies.

Stała teraz u wejścia do Central Parku, ulubionego miejsca Diany Ross. Podniosła wzrok i spojrzała na rozkołysane wiatrem wierzchołki drzew. Na ławkach pod drzewami siedziały nianie, ich młodzi podopieczni świetnie bawili się na huśtawkach, zjeżdżalniach i drabinkach. Jakiś duży pies szarpał się na smyczy, dwa szczeniaki ujadły na siebie jak szalone. Oaza spokoju, co? Alice weszła do parku i ruszyła przed siebie ścieżką.

- Z drogi! - Tabun wrotkarzy nieomal ją stratował, ponieważ nie zwróciła uwagi na znak „Stać” i wdarła się na ich trasę.

- Przepraszam... - Uśmiechnęła się i uciekła na trawnik.

Czuła się całkiem niezłe. Nie miała pracy i jeszcze kilku innych rzeczy, ale co z tego? Dość tego zastanawiania się w kółko nad swoim żalonym życiem. Wróciła na leżankę w gabinecie psychoanalityka.

- Widzi pan, doktorze, muszę wreszcie przestać uciekać i stawić czoło problemom. Od lat uciekam i stosuję uniki. Unikam chodzenia na przyjęcia, umawiania się na randki z fatalnymi mężczyznami... Inna kobieta wykorzystałaby szansę, jaką daje pobyt w Los Angeles, mieście tanich zabiegów manikiuru i supermarketów z organiczną, ekologiczną żywnością, ale nie Alice Lewis. O, nie, Alice Lewis wszystko potrafi spieprzyć. Dlatego wydaje mi się, że muszę wrócić do Kalifornii.

Chwileczkę... - Usiadła na ławce i otworzyła torebkę. - O, proszę, mam nawet bilet... - Czule pocałowała wąski pasek papieru. - Więc wróć, znajdę inną pracę i powiem Paddy'emu, że jeżeli mimo wszystko chce mnie dalej prześladować, to chętnie się temu poddam. Nie zgadza się pan, doktorze? Dlaczego? - Zmarszczyła brwi. - Uważa pan, że brak mi piątej klepki? Chyba ma pan rację, ale po prostu muszę to zrobić...

- Nie ulegam wątpliwości, że brak ci którejś klepki - przemówił nagle jakiś głos tuż za prawym ramieniem Alice.

O, nie, pomyślała. Kolega pijak? Tylko nie to! Czyżby włązła na cudze terytorium?

- Bardzo przepraszam, ja zaraz... - Odwróciła się twarzą do swego rozmówcy i nagle znalazła się twarzą w twarz z Paddym, co najmniej siedem razy przystojniejszym, niż myślała.

- Mogę usiąść obok ciebie?

Była zbyt wstrząśnięta i zażenowana, żeby zarzucić mu ramiona na szyję i potraktować jak dawno utraconego ukochanego, ale zdjęła torbę z ławki, robiąc mu miejsce.

- Proszę bardzo...-wymamrotała.

Co właściwie miała powiedzieć? Paddy przyłapał ją na gadaniu do siebie w Central Parku i teraz trudno było jej znaleźć słowa, które mogłyby oddać jej stan ducha.

- Jak mnie znalazłeś?

Dobre, logiczne pytanie na początek. Wreszcie mogła wykazać się odrobiną rozsądku.

- Przypominało to dwanaście prac Herkulesa, ale jakoś się udało...

Postanowiła przejść do konkretów.

- Wróciłeś do Izzy, tak? - odezwała się, nie odrywając oczu od psa, który właśnie obsikiwał leżącą na ziemi reklamówkę jakiejś kobiety. Czekwała na ostry atak bólu.

- Skąd wiesz? - Paddy zmarszczył brwi.

No i proszę... Alice czuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej silny cios w zębra. Zachwiała się.

- Nie wróciłem do Izzy, skąd taki pomysł? Pojechałem do niej wczoraj w nocy, bo...

- Hahihuuu! - Z piersi Alice wyrwał się dziki krzyk rozpaczy kobiety z Borneo. - Sądzisz, że ci uwierzę? Kiedyś byłam najbardziej łatwowierną idiotką na świecie, Paddy, ale zmieniłam się, zrozumiałam, że...

- Zapominasz, że byłem świadkiem twojego spotkania z psychoanalitykiem. - Paddy się uśmiechnął.

Miała ochotę go uderzyć i może zrobiłaby to, gdyby nie owinęła sobie biustonosza dookoła ręki tak mocno, że w ogóle nie mogła poruszyć palcami. Kobieta siedząca na ławce naprzeciwko odkryła właśnie, że pies obsikał jej nowy żakiet od Ferragamo. Psina poszybowała w powietrzu z odciskiem podeszwy buta firmy Timberland na tyłku.

- Alice... - Paddy chwycił jej owiniętą biustonoszem rękę i zmusił ją, żeby na niego spojrzała. - Poszedłem do Izzy wyłącznie dlatego, że chciałem wydobyć od niej telefon siostry Lysette, która miała mi pomóc odnaleźć Lysette, a przez Lysette ciebie. Lysette powiedziała, że jesteś w Nowym Jorku, więc przyjechałem tu za tobą. Przed chwilą wypisałem czek na 500 dolarów dla jakiejś baby, która podaje się za twoją szefową i twierdzi, że suma ta należy jej się w ramach rekompensaty za uszkodzenia ciała, których od ciebie doznała. Potem facet na wózku powiedział mi, że wymeldowałaś się z hotelu i dodał, że gdyby nie miał Mimi, natychmiast ożeniłby się z tobą. Przez ostatnią godzinę wydawało mi się, że jestem krok za tobą, lecz zaraz gubiłem trop. Można więc powiedzieć, że rzeczywiście łączę za tobą i... - Alice bez słowa wpatrywała się w Paddy'ego, który sprawiał wrażenie całkowicie zaskoczonego takim rozwojem sytuacji. - I jest to pewna odpowiedź, chociaż naturalnie bardzo słaba, na oskarżenia twojej demonicznej przyjaciółki. Przyznam się też, że kiedy uświadomiłem sobie, że mogę cię już więcej nie zobaczyć, postanowiłem zostać mnichem...

- Naprawdę? - Przygryzła dolną wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

- Może trochę koloryzuję, ale tak czy inaczej, kocham cię, Alice. I lubię cię. Myślę, że to, co nas łączy, przetrwa więcej niż pięć nocy i jeden lunch... - Lekko pocałował ją w policzek.

- Co teraz zrobimy? - zapytała, czując, że jak na jeden dzień podjęła już dosyć ważnych decyzji i nie ma siły zastanawiać się nad następną.

- Uważam, że powinniśmy wrócić do Londynu, bo od Los Angeles dzieli nas mniej więcej taka sama odległość, a poza tym Izzy, Tash i prawdopodobnie połowa tamtejszej policji poszukuje mnie po tym, jak przesłałem ci pogrożki...

- Właśnie! - Alice się roześmiała. - Ale ja nie mam żadnych wrogów!

- Owszem, masz. Twoją szefową, Izzy, Charliego i może kogoś jeszcze... - Paddy zaczął całować dłoń Alice. - Jeżeli przeczekamy najgorszą zawieruchę w Londynie, wrócimy tu z podniesioną przyłbicą.

- Co miałabym robić w Londynie?

- Już od pewnego czasu chciałem z tobą porozmawiać o pewnym zespole teatralnym, który bardzo potrzebuje dobrego rzecznika prasowego. Znam też pewnego faceta, który ma duże mieszkanie w Soho i chciałby je z kimś dzielić, ale jest strasznie wybredny i nie każdy mu pasuje... - Uśmiechnął się, patrząc na nią wyczekująco.

- Jeżeli sądzisz, że przekreślę swoje życie, aby ganiać za tobą po świecie tylko dlatego, że taki scenariusz jest zgodny z twoimi planami zawodowymi, to bardzo się mylisz. Mam większe wymagania, jeśli chodzi o związek uczuciowy. Chcę znaleźć mężczyznę, który udowodni, że mnie kocha, który będzie gonił za mną przez pół świata, uwodził mnie, może nawet przysyłał mi kwiaty i wiersze.

- W takim razie nie mamy o czym mówić - rzekł Patrick, kręcąc głową. - Postanowiłem raz na zawsze skończyć z romantycznymi gestami. Są zbyt niebezpieczne...

- Nie szkodzi. - Alice raźnie ustąpiła, obserwując, jak Patrick całuje jej drugą rękę. - Może uda ci się mnie przekonać, że da się żyć bez tych wszystkich romantycznych porywów...